S. T.

Stanisławowi Tugutowi

Wnukowi memu Kochanemu

składa w pamiątce te dwa tomy "Wyboru Poezji"
złożonych z najcelniejszych naszych Poetów; —
z dołączeniem z serca Błogosławieństwa
na drogę życia

Dozgonnie Kochający
Dziadek
Tomasz Olinatowicz

Warszawa
9 Grudnia
1881. —

Wybór Poezyi.

zebral

T. M.

Tom 1szy

r. 1880.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO

Akc. Rps 7228/1

VV. 489/97
14.11.

Co tylko serce poruszy,
Z chwałą niech idzie do duszy.

(Fr: Dyo: Kniaźnin.)

Pod tym znakiem zwyciężysz. (Podług obrazu Centnera).

POEZYE.

U STÓP OŁTARZA.

I.

Ucichły śpiewy... przebrzmiały organy...
Reszta pobożnych zwolna we drzwi płynie —
Ostatniéj prośby z westchnieniem zmięszanéj,
Stłumione echo pod sklepieniem ginie..
I cicho — pusto w świątyni wspaniałéj,
Gwar ludzi zewnątrz już tylko dolata.
I w dźwięki, które jeszcze w górze drgały,
Ostry dyssonans niby skargą wplata. —
Nagle w te tony niepochwytne prawie
Miesza się nowa, wyraźniejsza nuta,
Tak dziwnie tęskna, dźwięcząca tak łzawie,
Jak gdyby z piersi rozdartéj wysnuta...
U stóp ołtarza w pobocznéj kaplicy
Młoda kobieta klęczy, zapatrzona
W cudownie piękną twarz Matki-Dziewicy,
Tulącéj boskie dzieciątko do łona. —
Rękoma na krzyż złożonemi ciśnie
Pierś głuchém łkaniem, czy westchnieniem wzdętą
Gruba łzy kropla raz po raz zawiśnie
U mokréj rzęsy, i w ślad za zepchniętą
Łzą, zwolna spływa na twarz zrumienioną —
A z ust przetwartych ów głos, co w swém tętnie
Zdradza tęsknotę ciężko rozżaloną,
Związany w słowa, skarży się namiętnie: —
Matko! miej litość nad moją boleścią,
Którą zwątpienie do szału posuwa —
Wszakże Ty sama masz duszę niewieścią,
Co snadnie moje sieroctwo odczuwa! —
W imię téj chwili co ci poznać dała
Szczyt najwznioślejszéj rozkoszy na ziemi,
Gdyś dziecię swoje jedyne witała
Pierwszych uniesień łzami najsłodszemi,
Użal się łzom tym, co płyną wciąż skrycie,
Cliś noszę miano szczęśliwéj mężatki..
Oh! bo do szczęścia trzeba nieodbicie,
Każdéj kobiecie dostojeństwa matki!
Trzeba by w dziecku odżyła nanowo —
By tego dziecka uśmiech i pieszczoty,
Łagodząc życia stronę zbyt surową,
Wskrzesiły dla niéj miniony wiek złoty! —
Najświętsza! czyliż nigdy téj rozkoszy
Nie zaznam biedna — i zawodem zgięta,
Gdy wiek ostatnią nadzieję rozprószy,
Resztę dni moich samotna — wyklęta
Z rodzinnych pociech — mam dożywać smutnie.!
A mąż mój! również biedny — zawiedziony —
Za to skarany ma być tak okrutnie,
Że mnie pokochał — i dał godność żony! —
To być nie może! w głowie mi się mąci...
Matko! spójrz na mnie — tak mi w duszy ciemno.
Oh! jeźli Matka tę prośbę odtrąci —
To któż się inny zlituje nademną!...
Gdzie okiem rzucić.. każdy dom się roi
Rzeszą figlarnych niewiniątek gwarną,
Która wybrańcom radość życia dwoi,
Wyrzutkem losu słodzi dolę czarną!
A tylko u nas pusto i klasztornie. —
Nie dźwięczą śmiechy wesołego szału!
Po cóż nam radość udawać przekornie,
Skoro w niéj serce nie bierze udziału! —
Świat można złudzić wesela pozorem.
Lecz kłamać sobie to praca daremna —
Więc chociaż z iście rozrzutnym uporem
I przyjaźń ludzka — i miłość wzajemna —
Byt dobry — kwiaty pod stopy nam ściele,
Nam smutno mimo wszystkie losu łaski,
Bo męczy życie, w którém sztuczne cele
Stroją się w pragnień przyrodzonych maski —

Zdejm litościwa! wszechwładną przyczyną
Tę srogą klątwę, która cięży na mnie,
Bo choć wraz z życiem wszystkie smutki miną,
Moc ich przed czasem duszę moję złamie! —
A jeśli Bóg już rozrządził inaczéj,
I gorzki kielich niedoli dozgonnéj,
Nieodwołalnie wypić mi przeznaczy —
To niech przynajmniéj z téj nadziei płonnéj,
Co czasem jeszcze słodko mię kołysze,
Żal się w mém sercu jak chwast nie rozradza.
Lecz przytłumiony w rezygnacyi ciszę,
Rozpaczne szały zwolna zeń wygładza!
Niechaj to serce tak się nie rozdziera
Gdy ujrzę matkę, jak szczęściem promienna
Na swą dziecinę miłośnie spoziera...
A ta się do niéj na wpół jeszcze senna
Wdzięcznie uśmiecha — i drobne rączęta
Z miłym szczebiotem ku matce wyciąga...
Matko! niech serce wtedy nie pamięta,
Że się ten obraz méj doli urąga!
Skonał głos tęskny na ustach kobiety,
Ciężkie westchnienie w ślad za nim pobiegło,
I uderzywszy w smukłych kolumn grzbiety,
Przeciągłym jękiem świątynię zaległo. —
A Matka Boża zda się jeszcze słucha
Niby z współczuciem, niby rozmarzona,
Tych smutnych zwierzeń zbolałego ducha...
Tylko dzieciątko hoże u jéj łona,
Z figlarnym śmieszkiem spogląda z ołtarza,
Na zapłakanéj rozgorzałe lice..
A wzrok ten Zbawcy-dzieciątka wyraża
Jakąś tajemnic pełną obietnicę!...

II.

Z tysiąca piersi, jak potok wezbrany,
Leją się tony uroczystéj pieśni...
Potężnym głosem wtórzą jéj organy
Niby z tryumfem—to znowu boleśniéj,
Gdy z ust śpiewaków wród dziękczynnych pieśni,
Wydrze się skarga na ich byt sierocy...
Bezbrzeżnym żalem zadźwięczy w przestrzeni,
I kończy tęskném wołaniem pomocy..
Nagle się srebrny głos dzwonka odzywa —
Lud padł na klęczki i pochylił głowy...
Oto Pan Niebios do smutnych przybywa,
Z czół poranionych zdjąć wieniec cierniowy —
Oziębłe dusze rozbudzić z martwoty —
W skrawione serca wlać balsam pociechy —
I ponawiając ofiarę Golgoty.
Umrzéć znów za swych krzyżowników grzechy!—
Goręcéj wszystkie uderzyły serca —
Lud pojął, że Ten, który z własnéj woli
Straszną męczarnią winy ich uśmierza,
Ufnym w nieszczęściu zginąć nie dozwoli. —
I w pognębionych wstępuje otucha
Milknie pieśń skargi — a hymn uwielbienia
Z takim zapałem na nowo wybucha,
Aż drżą radośnie świątyni sklepienia!...
W bocznéj kaplicy — kędy promienista
Dostojną swego macierzyństwa chwałą,
Tajemnic Bożych Wybranka przeczysta
Piastuje dziecię, co niebo jéj dało —
Ta sama młoda kobieta znów klęczy...
Dziwnie się mieni twarzyczka jéj świeża,
Splecione ręce wsparła na poręczy
Kraty, co ołtarz w półkole obmierza. —
I jakby czarów tajemnych urokiem
Zaklęta we dwie wilgotne źrenice,
Modli się – pieści – pochłania swym wzrokiem
Boskie Dzieciątko i Matkę-Dziewicę...
I opowiada tych oczu wymową —
Wyrazem twarzy, na któréj koleją
Każde uczucie pisze swoje słowo —
Z jaką radością, dumą i nadzieją,
Smutne jéj niegdyś serce się poddawa
Słodkiém wrażeniom nowego dlań bytu...
Jak niecierpliwość i dziwna obawa
Wszystkie wzruszenia wznoszą do zenitu!...
A Matka Boża zda się głowę kłoni,
Z zajęciem uczuć grę w twarzy jéj śledzi —
I dobrotliwie uśmiecha się do niéj.
Czy téż z wymownéj jéj oczu spowiedzi...
Dzieciątko Jezus zaś porozumiawczo,
Z figlarnym śmieszkiem spogląda z ołtarza...
I wznosząc niby rączynę swą zbawczą
Z błogosławieństwem—myślom jéj przywtarza.—
Wtém pieśń dziękczynna całą pełnią tonów
Uderza w echo kaplicy odżyłe —
A wtór organów, bicie wszystkich dzwonów,
Zolbrzymia jeszcze ludzkich piersi siłę. —
Drgnęła kobieta zbudzona z zadumy —
Raptownym ruchem odwróciła głowę.
I utopiła w rozśpiewane tłumy
Niemej nagany spojrzenie surowe. —

Lecz zwolna oko łzą wzruszenia mięknie,
Niechętne ucho pilniéj się nadstawia,
Bo jéj treść pieśni w całém swojém pięknie,
Nagle się uchu i sercu objawia! —
Znów wzrokiem tonie w obraz ulubiony —
Rozmyka usta, i w te bujne dźwięki
Wplatając głos swój wzruszeniem ściszony,
Szepcze gorąco.: dzięki Tobie, dzięki! —

III.

O Ty! co cudem łaski tajemniczéj,
Zostając matką ziemskiemu dziecięciu,
Niepokalana w czystości dziewiczéj,
Samego Boga tuliłaś w objęciu...
Ty wiesz, co w sercu kobiecém się dzieje,
Gdy w upragnioném, pierwszém dziecku swojém
Całe swe szczęście — i wszystkie nadzieje —
Przyszłość swą całą składa z niepokojem ..
Więc mi przebaczysz, że się zbyt szczęśliwa
Ciemną zagadką téj przyszłości trwożę —
Nie wiem co w łonie jéj dla mnie spoczywa,
A tak mię ciężko los dotknąć dziś może...
Szczytny cel życia na własność zdobyty —
Męża mojego szczęście bezgraniczne —
I macierzyństwa rozkoszne zachwyty —
Prace słodkiego obowiązku liczne —
Wszystkie te skarby przez Ciebie zyskane
Jedna zła chwila pochłonąć jest żądna,
Lub zniszczyć może plony spodziewane
Prac wszystkich własna siejba nierozsądna! —
Ach! wstrzymaj zapęd chwil takich zbyt skory —
Lub jeśli kiedy zdoła duszę moją
Zbytnia powyślność w błędne unieść tory,
Niechże Twe prośby litośnie rozbroją
Sprawiedliwości wyrok niezbadany,
Co w dzieciach czasem karze ojców winy...
Matko! wszak takiéj okrutnéj przemiany
Przy Tobie lękać nie mam się przyczyny. —
Pomnij, że Bóg Cię dał nam na zadatek
Rychłego całéj ludzkości zbawienia,
Więc przedewszystkiem jesteś Matką matek,
Bo téj ludzkości błędy i cierpienia,
To ból i grzechy ich dziatwy zbłąkanéj,
Któréj zwiastować przyszłaś żywot nowy...
A czyjeż to się zabliźniają rany:
Gdy z dziecka spadną nieszczęścia okowy? —
Jam na to dziecię tak długo czekała —
Tyle łez gorzkich na serce mi padło —
Tak się zwątpienie, jak zatruta strzała,
W stęsknioną duszę głęboko mi wjadło.
Ryjąc znękania bruzdę niezatartą —
Że dziś, choć taka radość ją obleka,
Już ona nie jest ową białą kartą,
Co jeszcze rylca przyszłych wrażeń czeka! —
Przeszłość swe na niéj wycisnęła piętna,
Spotęgowawszy siłę ukochania..
A miłość wielka, i dusza pamiętna
Bezmyślną radość od siebie odgania!
Matko! Ty widzisz całe serce moje...
I wiesz, że w zamian za szczęście tak wielkie,
Żadnych się ofiar dopełnić nie boję...
Oddam ostatnią krwi mojéj kropelkę,
Byle to moje najmilsze maleństwo
Męczarnią własnéj matki odkupione,
Zaznać nie mogło, co losu przekleństwo.
Co życie gorzkim zawodem strawione!
Ale mnie wspieraj w nowéj życia drodze,
Daj ująć w walce wiedzionéj zwycięzko,
Własne swe serce na rozsądku wodze. —
Bym słuszną wolę, i powagę męzką
Mojego męża, nie brała za próżne,
Brakiem tkliwości trącące przygany —
Bo gdzie dążenia rodziców są różne,
Oboje dziecko trują na przemiany.
Najmędrsza z matek, bądź mu matką drugą!
Pomóż go chować na człowieka czynu,
Bogu i ludziom miłego zasługą! —
Lecz niech ta drobna gałązka wawrzynu,
Którą za trudy swe może zdobędzie,
W rózgę potwarzy, która hańbą siecze,
Dłonią zawiści zmieniona nie będzie...
Bo to byłoby nad siły człowiecze;
W mozolnéj pracy mieć zapał ochoczy,
Gdy wróg podstępnie utajony czycha,
I najczerwieńszą krew zpod serca toczy,
Z wyżyn zapału w zniechęcenie spycha!
Matko! niech syn nasz będzie mężny — dzielny —
Niech przeciwnościom dumnie czoło stawi,
Z każdą pokusą zwiedzie bój śmiertelny.
Nędzną słabością życia nie zniesławi! —
Niech umie wybrać same zdrowe ziarna
W olbrzymim snopie wszechludzkiéj mądrości,
By mu ta wiedza podniosła i karna
Była hamulcem na nizkie skłonności! —

Bo gdyby miał być nikczemnym robakiem,
Co w błocie pełza, nie podnosząc głowy —
Lub pozbawionym honoru pustakiem,
Co w chęci zysków wykrętnemi słowy
Sobie i ludziom nieszlachetnie kłamie —
Gdyby miał kiedy, zgłuszywszy sumienie,
Brudem pokalać człowieczeństwa znamię,
I swym przykładem rozsiewać zgorszenie...
O Miłosierna! zabierz Ty go raczéj
Małém dzieciątkiem do aniołów grona;
Bo własna matka dziecku nie przebaczy,
Gdy w niém i przezeń zostanie shańbiona!...
Tylko o Matko! niech ja nie przeżyję
Chwili, co życie mego dziecka przetnie. —
Nacóż, gdy rozpacz duszę mi zabije,
Żyć ciałem jeczcze, a żyć znów bezdzietnie!...
Bezdzietnie... czemuż tak przykro— odmiennie—
To słowo w echa kapliczne się wdziera?
Całéj modlitwie wtórzyły pel-sennie,
Nagle — jak gdyby ostatnia litera
Wyrazu tego zmąciła złośliwie
Subtelne tętna w harmonją związane,
Zgrzytnęły ostro—gniewnie—przeraźliwie—
Jak rdzawe struny gwałtownie zerwane. —
Struchlała młoda matka przytulona
W kornéj postawie do stopni ołtarza —
Serce w niéj stygnie—myśl w głowie jéj kona—
Trwoga ją w niemy posąg przeobraża.
Tylko bezwiednie do piersi swéj garnie
Śliczną dziecinę na ręku jéj śpiącą
Jak gdyby chciała zastawić ofiarnie
Skarb swój tą piersią wzruszeniem dyszącą.—
Wtém drobna rączka muśnie ją po twarzy —
Zbudzone dziecię w naiwnym zachwycie
Spogląda w ołtarz—uśmiecha się—gwarzy—
Wyciąga rączki, jakby na zdobycie
Gwiazdki złocistéj — wabnéj jak pokusa,
Co lśni nad Bożéj Rodzicielki czołem,
Spromienia skronie małego Chrystusa. —
Wreszcie znudzone daremnym mozołem
Zwiesza z niechęcią maleńką swą główkę,
I gładząc rączką twarz matki pobladłą,
Stroi usteczka w misterną podkówkę...
A modre oczki mglą się jak zwierciadło
Ciepłym oddechem zaćmione chwilowo...
Lecz za to matki zmącona źrenica
Wilgotnym blaskiem jaśnieje na nowo —
Obraz się dziecka w głębiach jéj prześwieca,
Jak niebios w toni przeźroczéj odbicie...
Łagodny uśmiech usta jéj okala —
W zastygłe rysy wraca znowu życie,
I krwi gorącéj bije na nie fala. —
Z nagłym wybuchem tkliwości niewieściéj
Objęła dziecię namiętnym uściskiem —
Różową buzię pocałunkiem pieści —
Aż się pod słodkiéj pieszczoty naciskiem
Błękitne oczki spojrzały weseléj —
Rozległ się głośniéj srebrny śmiech dziecięcy —
Szczęśliwa matka radość synka dzieli,
Przedchwilnéj trwogi nie pamięta więcéj. —
A Matka Boża znów patrzy z wysoka —
Leciuchna zmarszczka czoło jéj przerzyna.
W oczach widnieje zaduma głęboka —
Może swą własną przeszłość przypomina! —
I dziecię Jezus wyciąga rączyny,
Uśmieszkiem wabi wesołe pacholę —
Czyż je do siebie wzywa na wyżyny? —
Czy ziemską jego błogosławi dolę? —

IV.

W świątyni pańskiéj brzmią żałobne pienia,
Smutne jak kwiaty na grobie uszczknięte...
Wszystkie łzy ludzkie i wszystkie cierpienia
Zostały zda się w te tony zaklęte...
Ksiądz u ołtarza kirem przyodziany
Błaga Niebiosa w modlitwie ognistéj,
O spokój duszy świeżo wymazanéj
No wieczność całą z tego świata listy —
Kilkoro osób klęczy nieco daléj —
Gną się ku ziemi postacie złamane, —
Przygasłe oczy gryząca łza pali —
Z ust płyną słowa z ciężkością wyłkane..
Gromadka ludzi w kąt kościoła wbita,
Do cudzych bolów święte tajemnice
Przyszła podglądać — snać wrażeń nie syta —
Szepcze, wlepiając spojrzenie w kaplicę. —
Tam wprost ołtarza niebiańskiéj Zesłanki.
W świateł jarzących fatalnym pierścieniu,
Strojna w ziół wonnych i kwiatów równianki,
Mała trumienka stoi na wzniesieniu...
Uśpione niby dzieciątko w niéj leży —
Snać śmierć ostrożnie swą ofiarę brała,
I starła ślady obydnéj grabieży,
Bo żyć się zdaje twarzyczka zbielała...

Obok jak posąg ze spiżu topiony,
Z okiem wpatrzoném prawie bezrozumnie. —
Stoi mężczyzna nieco pochylony
Ku téj dziecinie uśmiechniętéj w trumnie...
Młoda kobieta również nieruchoma;
U stóp ołtarza klęczy sztywna — sina —
Lecz jakby nowych męczarni łakoma,
Powstaje zwolna — na palce się wspina —
I okiem, w którém skrzepła łza połyska,
Na katafalku martwo się opiera,
Kędy śmiertelna synka jéj kołyska
Skarb jéj na własność dla siebie zabiera...
I znów się wzraca do ołtarza chwiejna,
Jak liść zmiętego przez burzę powoja —
W twarzy wyryta rozpacz beznadziejna,
Choć usta szepczą: stań się wola Twoja!...
A Matka Boża smutnie zadumana
Miękkiém spojrzeniem tuli nieszczęśliwą —
I ona niegdyś była tak znękana,
Więc wspólnych cierpień łączy je ogniwo! —
Lecz czemuż dziecię Jezus się uśmiecha?
Wzniesioną rączką śle błogosławieństwo! —
Jakaż i kiedy czeka ją pociecha,
Co wynagrodzi dziesiejsze męczeństwo?!...

Zofia.

OJ FIGLE, FIGLE!

GAWĘDA

PRZEZ LUDWIKA NIEMOJOWSKIEGO.

Wiedzcież asaństwo, choć to rzec smutno
Że dzisiaj szlachcic przy zmiennéj doli
Stracił fantazyą i postać butną,
Pilnując jeno sochy a roli;
Zaś krotochwilny wzięcia się sposób,
Który subtelnéj facecyi słowem
Budził śmiech szczery w gronie onych osób,
Zmilkł przed milczenia szpetnym narowem.
Jedzą okrutnie — a piją tęgo,
Ten i ów bając żartem przepieprzy,
Lecz on spryt dawny stał się mitręgą,
A walor akcyi od słów nie lepszy.

Ongi, gdym w służbę wszedł do starosty,
Żył ci rezydent na pańskim dworze,
Człek nieuczony, ba, nawet prosty
Lecz krotochwilny, no — nie daj Boże!
Zwał się Jan Płoniec. Owa facyata
Pełna, okrągła, z tłustém obliczem
Co ino kąski z farfurek zmiata,
Bywało, nie śmie ozwać się z niczém;
Ano kto bacznie wpatrzył się w fizys
Lichego wygi, poznał w nim franta,
I zgadł że kiedy nadejdzie kryzys
Pan Płoniec wszystkim wytnie kuranta.
Wrzkomo na skórze spisać wołowéj
Nikt onéj hecy nie byłby wstanie,
Jaką wyprawiał akcyą i słowy,
Gdy się rozegził przy wina dzbanie.
Raz, w czas wieczorny, skrył barki płótnem,
Na twarz maszkarę nadział obrzydłą
I wciąż stękając z jękiem okrutnym,
Kroczy przez szpaler, niby straszydło...
Co się tam stało, kiedy znienacka
Przed francymeru zasię pannami,
Stanęła w cieniu postać cudacka.
Dalipan milczę — zgadniecie sami...
Znów Francuzicy pannie Anieli
Żywą mysz nocą pod kołdrę włożył,
A gdy zwierzątko firgło w pościeli,
Madam hyc z łóżka, jak ją Bóg stworzył,
I taką straszną podniosła chryję
I w taką wściekłość wpadła szaloną
Wrzeszcząc na całe gardło: „mon dyjel“
Że aż starosta zgniewał się pono.

Słowem czy pośród statecznych osób,
Czyli też wlazłszy w młodzieży koło;
Każdemu umiał w kunsztowny sposób
Gładką fececyą rozmarszczyć czoło,
By zaś rzecz skończyć jednym zamachem
Nie przedłużając bez końca gadki:
Powiem asaństwu, jakim raz strachem
Nabawił pana Starżę, z Kurczatki.

Był ci to szlachcic pyszny okrutnie
A w samochwalstwie nie znając granic,
Do wszystkich zawżdy przemawiał butnie,
Jakby świat cały miał sobie za nic.
„Hetką pentelką zwać się dozwolę,
W przedpiekle diablu zapalę świecę.
Jeżeli zdoła wywieść mnie w pole
Ów trefniś dworski przez swoje hece!“
Mówił, a słowa jego nie baczne
Doszły tłuściocha. „Oho“ rzekł Płoniec:
Chcesz zemną igrać — niech ino zacznę
A dmuchniesz w pięście, ujrzawszy koniec!“

Tak rzeczy stały, kiedy raz goście
Zjechali na dwór czeredą całą,
By swe atencye złożyć staroście,
Jako wioskowéj szlachcie przystało.
Był tam i Starża; widząc że mucha
Na łep mu lezie, zmrużywszy oczy
Nasz frant coś szepnął dworskim do ucha
I takim kształtem sprawę wytoczy:
„Mości panowie, wszakże nie późno;
Starosta legł już, siądzmy więc społem,
Chcąc przemitrężyć godzinę luźną
W zacnéj kompanii, do kart za stołem.“

Wniesiono dzbany. Płoniec się sili
Prosić, zachęcać, nalewać niby,
Lecz każdy, wiedząc o krotochwili
Baczny na siebie stroni od biby
W subtelny sposób; pan Starża ino
Nierad chwil tracić nad czczą mitręgą,
Śledzi azaliż nie zklęsło wino
W kuflach i przy grze zapija tęgo.

Złykał się szlachcic — zasię nad rankiem
Gdy już kogucie zabrzmiały głosy,
Padł niby martwy pod ławę z dzbankiem,
Niewiedząc co mu gotują losy.
Zgaszono świeczki, okna zawarto.
A kiedy opój rozlepił oczy,
Słyszy iż goście bawią się kartą
Choć noc misterna cieniem ich mroczy:
„Gram ze dwudziestu!“ „Pamfila święcę!“
„A ot król u mnie, dam dublę aści!.“
„O nie, mosanie, bom ja na ręce,
„A panu bratu brakło téj maści!“

Starża wynurzył głowę z pościeli,
I przecierając oczy, zawoła:
„Czyście asaństwo zacz poszaleli
Bawiąc się w karty, gdy mrok do koła?“

Parsknięto śmiechem: „Mrok, co on plecie?
Jak mi Bóg miły sfiksował człowiek:
Toż już oddawna błysł dzień na świecie!
Rozbudź się asan, otrząś sen z powiek,
A dub smalonych nie praw nam we śnie!“...
„Bies chyba sztuki wyprawia ze mną“...
Zajęczy biédny pacyent boleśnie:
„Patrzę i patrzę — a wszędzie ciemno!“...

Podejdę k'niemu: „Spojrzyjcie ino,
Oko ma czyste, wzrok pełny, jasny;
Czyliżby pijąc nad miarę wino
Nie oślepł nagle z winy swéj własnéj?“
„Jam ciemny!“ strasznym zaryczy głosem
„Już mi jutrzenka nie błyśnie złota!“
I płacząc nad swym okrutnym losem
Wciąż się w bezsilnéj żałości miata...
Frant zasie powie; „Z atencyą wszelką
Rzec sobie memu panu pozwolę,
Żeś się zwać kazał hetką pętelką,
Jeśli cię Płoniec wywiedzie w pole;
Otóż wywiodłem.“ „Klaśnie na sługi:
„Rozpalić świece!“ Rozkaz ów żywo
Spełnionym został, a jedne smugi
Światła, w blask zmienią ciemnię straszliwą.

Szlachcic, choć butny, wyciągnął rękę
I rzekł: „Zżymać się za to nie mogę,
Zasię przyjm asan szczerą podziękę
Żeś wyfortował mnie na cną drogę;
A gdym z téj biby wyszedł bez szwanku
Klnę, że jakibądź los mi przypadnie
Nigdy nie zgrążę pamięci w dzbanku,
Boć słodkie wino ma gorycz na dnie.“

WIĘC DALÉJ W ŚWIAT.

Więc daléj w świat za losem, szukać chleba!
Samotny wciąż snuć życia smutną przędzę,
Duchem się rwać w obłoki, bliżéj nieba
By upaść znów w życiowy brud i nędzę.
I słyszéć wciąż tylko przekleństwa słowa
I widzieć tłum jęczący wśród niemocy,
Zrozumieć to, że gniewem swym Jehowa
Karze ten świat, śląc mu ciemności nocy;
I niemoc znać błądzących wkrąg idei,
I czytać śmierć wśród wściekłych orgij świata
Zrozumieć krzyk nędzarzy bez nadziei,
I widzieć wciąż jak brat zabija brata
I odczuć to w swéj piersi sercem młodem...
Ha, można być, jak Dant, za życia w piekle!

Jastrzębiec.

MALI PRACOWNICY.

PRZEZ EMILIĄ LEJOWĄ.

O wielcy téj ziemi,
Nie gardźcie małemi,
Co w korném pracują milczeniu.
Gdy trudy ich ciche,
Gdy prace choć liche,
Z korzyścią ludzkiemu plemieniu.
Nie same na świecie,
Olbrzymy są przecie,
Nie same lwy, orły wspaniałe,
Lecz mrówki téż drobne,
I barwą niezdobne,
Są wielkie w swéj pracy, choć małe.
Niewielka téż pszczoła,
Co kwiaty i zioła,
Skwapliwie oblata od rana,
Wciąż trudząc się szczerze,
Dla człeka miód bierze,
I światło na ołtarz Wszechpana.
Polipów zarody,
Co w głębi gdzieś wody,
Jak pyłek pogrążą się w fale,
Gdy zwolna się mnożą,
Wnet wyspy tam tworzą,
I ludziom w dań niosą korale.
Tak kmiotek prostaczy,
Choć wiele nie znaczy,
Jak wzniosły w swéj kornéj postaci!
Bo szafarz to Boży,
Co ziarno wciąż mnoży,
By żywić niém krocie współbraci.
Rzemieślnik w warstacie,
W zczerniałéj swéj szacie,
To kółko w téj wielkiéj machinie,
Co jak mocą cudów,
Parte pracą ludów,
Za prądem postępu wciąż płynie.
I skromna niewiasta,
Choć w domu nie wzrasta,
Domowe miłując zacisze,
W kóleczku tak ciasném,
W zaparciu się własném,
Potęgę ludzkości kołysze.
O! dłoń to nie marna,
Co ziarno do ziarna
Z mozołem przez życie gromadzi,
Aby w chwili zgonu,
Garstkę swego plonu,
Dołożyć dla pańskiéj czeladzi.
Ten tylko człek niczem,
Co hardem obliczem,
Wciąż wodząc po wielkiéj téj ziemi,
Skąpi własnéj dłoni,
Przed pracą ją chroni,
I nie chce pracować z drugiemi.
O! w trudach wytrwali,
Pracownicy mali,
Wielbijcie z rozkoszą swą dolę,
Szczęśliwsi od wielu,
Traficie do celu,
Spełniając najwyższą tę wolę,
Co w światów ogromie,
I nikłym atomie,
Wciąż pracę prowadzi swą świętą;
Jaśniejszą od słońca,
A wielką bez końca,
W mgłach ciemnych chaosu poczętą.

FRAGMENT.

Tak to życie rozstraja,
Tak unuża i smuci,
Tak rozpaczą upaja,
Tak okropną pieśń nuci

Tak ponura i głucha,
Tak posępna, bez Boga,
Tak męcząca dla ducha
Idzie poprzez świat droga.

I dopiéro gdzieś pono,
Na jéj końcu, jak słyszę,
Duszy boleść tajoną
Anioł-śmierć ukołysze.

JAGÓDKA.

GAWĘDA

PRZEZ LUDWIKA NIEMOJOWSKIEGO.

Zazwyczaj w dniu imienin Imci Pana Prota
Żurawskiego, stolnika ze wsi Radoszewic,
Gościnnego się dworca otwierały wrota
Dla starców, mężów, matron i nadobnych dziewic;
W on czas całe sąsiedztwo zjeżdżało pospołem,
Poszustno i hajduczno lśniły pańskie cugi,
Potém zaś przy festynie siadano za stołem,
Czcząc w dostojnéj personie krajowe zasługi.
A on dwór był zamożnym i wielce dostatnim,
Stolnik zaś na rodzinne węzły zawżdy baczny
W sentymencie dla swoich nie ustawał bratnim,
Karmiąc chlebem łaskawym poczet krewnych [znaczny.

Wśród grona rezydentów żyli staruszkowie
Imci państwo Buczaccy: on zwiędził niemało
Ziem cudzych, więc biesiadnym stawał się w roz- [mowie,

Gdy ona była cichą, jak żonie przystało.
Aż serce rosło, patrząc na leciwe stadło
Które przeżywszy w zgodzie pół wieku z okładem,
Przyjmowało co z woli Bożéj nań przypadło,
Stając się dla cnych chlubą, dla płochych przy- [kładem;

Istna para gołąbków gruchająca społem
W smutku, trosce, weselu, szczęściu lub radości:
Bywało pan mąż usiadł z namarszczoném czołem,
Ino patrz, jak się na płacz zbiera u jéjmości.....
Pan mąż powié facecyą w krotochwilny sposób
Zasię ona ociera łzę, co z ócz jéj spływa
I wśród zajętych dykcyą narratora osób
Promienieje weselem—radosna, szczęśliwa!
Słowem czy z szczęścia zorzą czy z troski zawo- [dem,

Wciąż razem, zawżdy zgodni, zawżdy uśmie- [chnięci
Szli sobie drogą życia jednakowym chodem
Drogocenny skarb wspomnień gromadząc w pa- [mięci.

Było to, ile pomnę, millesimo quarto...
Ruch we dworze wrzał wielki całuteńki ranek,
A kolaski mijając na rozcierz otwartą
Bramę dworu, zjeżdżały kolejno przed ganek.
Siła gości waliła się z wszystkich stron kraju
Pokrewnych ze stolnikiem węzłem koligacyj,
Solenizant zaś wedle cnego obyczaju
Słuchał stojąc na progu przeróżnych oracyj,
Potém wiódł swych łaskawców w paradne komnaty,
Ugaszczał jak przystoi obficie, dostatnio,
I szlachta zagonowa na poły z magnaty
Afektem serc w drużynę łączyła się bratnią.
W południe dano obiad. Ja, chudopacholek
Nie mający prezencyj ani parenteli,
Siadłem na szarym końcu, skromnie sunąc stołek
Tam, kędy już dworzanie miejsca swe zajęli.
Siedząc zasię, słuchałam co prawiono wkoło,
Jako dzicz bisurmańska szpetny żywiąc narów
Plądrowała na kresach, a rycerstwa czoło
Broniło ziemi ojców od najścia Tatarów;
Jako na walnym sejmie uradziły posły
Gromadzenie w szeregi wioskowych mieszkańców,
Aby ona czeladka, ludek domorosły,
Stała niby przedmurze zaborom pohańców.
Pito, a solenizant wdzięczen za cześć bratnią,
Dank poniósł w imię swoje, żony i dwóch córek,
Tymczasem już potrawę sprzątnięto ostatnią,
Gdy goście resztę jadła zmiatali z farfurek.
Przyszła koléj na wety—że zaś było lato,
Więc chcąc uczcić specyalem tę porę radosną
Miskę jagód dla gości podano czubatą,
Onych smacznych jagódek, które w lesie rosną.
Staruszkowie po sobie spojrzeli z nienacka
I jedna myśl w ich głowach powstała niebawem:
Jegomość targnął wąsa, zaś pani Buczacka
Zapłoniona, łzę cichą otarła rękawem.
Dostrzegł ową konfuzyą leciwego stadła
Stolnik, a chytry zbadać fenomen ów z blizka:
— Cóż to, rzecze,—asińdzce łza na rąbek spadła,
A asan się wystraszył wniesieniem półmiska?
Gdyby owa konfuzya spłynęła z widoku
Bisurmańskich meczetów, lub pogańskich pagód
Nie mówię—ale cóż wam stanęło na oku?
Oto misa czubata pełnych krasy jagód.
Jeśli owoc do tyla smaczny a nadobny
Zdoła kromie oskomy inne wzniecić chęci,
Więc zasię w curriculum vitae fakt osobny
Wiążę się z nim bezwiednie wśród waszéj pa- [mięci

Azaliż nie odgadłem? „Tak“ mości stolniku
Odgadliście,“ rzekł starzec z pochyloną głową:
„Frukt, który postawiła służba na stoliku,
Zmienił nam longi w szczęście życia dni jałowe.

Słuchajcie: przed półwiekiem ów błogi zadatek
Afektu nie znał jeszcze serc czułych skojarzeń;
Jam był w on czas wyrostkiem, ona, niby kwia-
[tek,
Rosła, kryjąc w swéj duszy rój dziewiczych
[marzeń.

Gdyśmy się spotykali, a było to codzień
Ona z skraśniałem licem stawała przedemną.
Jam zasię oczy spuszczał, niby jaki zbrodzień,
Ukrywszy w głębi duszy mą miłość tajemną.
I byłbym rozmarzony przez urok niewieści
Całe lata na dziewkę patrzał okiem sowiém
Gdyby... ale wypadków nie uprzędzę treści,
A jak się rzecz złożyła, misternie opowiem.
Raz, dążym na jagody, ona niesie dzbanek,
Ja kobiałkę, a idąc milczemy wciąż społem,
Minąwszy zaś grobelkę, łączkę i kurhanek,
Kierujemy swe kroki do lasu za siołem.
Bór był gęsty, lecz jagód próżno śledzi oko:
Tylko chwast, dzikie zielę, traw zeschłych od-
[padki,

I sosny co konary swe wznoszą wysoko,
I dęby wpół spróchniałe, dawnych wieków
[świadki.

Idziem daléj a daléj z puszczonemi nosy,
Ja milczę wciąż upornie, dziewka się rumieni,
Gdy nagle na dróg skraju kędy rosną wrzosy
Coś barwą koralową w trawie zaczerwieni.
„Jagoda!“ krzykniem razem, i schyleni społem,
Szukamy bacznie, pilnie.. o chwilo ponętna!
Głowa styka się z głową, czoło zwarło z czołem
A w piersiach krwi młodzieńczéj uderzyły tętna.
Nie wiem jak się to stało: szał, płochość, myśl
[pusta,

Żar serca, prąd afektu, czy prosty trefunek,
Lecz drżące moje wargi spotkały jéj usta,
I wycisnęły na nich słodki pocałunek.
Oniemiałem ze zgrozy nad śmiałością własną,
Pot mi wybiegł na skronie, łzą zaszły powieki,
Lecz ona uśmiechnięta patrząc na mnie jasno:
„Miłuję,“ szepnie z cicha—„jam twoją na wieki!“
. . . . . .
. . . . . .

Pięćdziesiąt lat minęło od czasu zamężcia:
Pięćdziesiąt, to pół życia nie zaś chwila krótka...
Cóż pytam, pierwsze blaski wyrodziło szczęścia
Kojarząc czułe serca?—co?... owa jagódka!

Z téj pory widok fruktu który stał się hasłem
Dusz spójni, sprawia cud ów że ta łezka błoga,
Niby pryzmat rozkoszy lśni w oku przygasłem
A z ust hymn dziękczynienia wzlata przed tron
[Boga

NAWRÓCENIE.

...Lećmy — i odtąd nie zniżajmy lotu.
A. M.

Kochanko moja, niebieska, świetlana,
Do ciebie wracam jak syn marnotrawny!
Smutny, zraniony, biedny i bezsławny
Wracam i zginam przed tobą kolana,
I znown tobie modlę się — zwątpiały,
I znowu serce przynosząc ci moje,
Ani miłości żądne już, ni chwały,
Przez ciebie tylko nadzieją się poję...

Ty mi przebaczysz pustą chwilę szału,
Że jak za cackiem rozpieszczone dziecię,
Za życiem tęskny gonilem po świecie,
Łudząc się własną marą ideału.
Ty mi przebaczysz, bo przychodzę w skrusze
Bo ja, samotnik o doli tułaczéj.
Niosę ci we łzach oczyszczoną duszę...
Ty mi przebaczysz, bo któż mi przebaczy?

Do ludzi biegłem i co mam od ludzi?
Ci, co mię kochać chcieli — nie wytrwali,
A zawiść dla mnie miała pierś ze stali,
A w ustach potwarz, co kala i brudzi.
Bóg z nimi!... Dzisiaj na twe jasne łono
Z ufnością dziecka głowę moję składam,
Pełną trosk głowę, ciężką, odurzoną,
I tobie jednéj żale me spowiadam.

Ty mego czoła dotkniesz usty swemi
I żar uśmierzysz, co pod czaszką pała;
Na wargach moich spocznie dłoń twa biała,
I nie dasz żalom mym rozbrzmieć po ziemi.
Pod skrzydeł złotych weźmiesz mię osłonę,
I polecimy szukać myśli końca:
Wyżéj i wyżéj, w świetlną nieba stronę,
Wyżéj i wyżéj, do gwiazd i do słońca!

Od samolubstwa wolny i od pychy,
Dam ludziom miłość, nie pragnąc miłości,
I dam im prawdę za ich kłam i złości,
I Chrystusowy będę im i cichy.
Bo mię nauczysz przebaczać i kochać
I wierzyć w jutra świętość i szczęśliwość,
I nie pozwolisz mi za szczęściem szlochać,
I dasz hart duszy — sercu pobłażliwość.

Ja cię nie zdradzę, lecz póki tchu stanie
W méj piersi wątłéj, wiernym będę tobie;
I nawet w głuchym spocząwszy już grobie,
Chciałbym tam jeszcze żywić to kochanie.
A ty, o moja, nieśmiertelna, święta,
Ty mię przed światem bronić będziesz śmiele,
I potępienia rozerwiesz wnet pęta
Jedném świadectwem: żem ukochał wiele...

Bogusz.

NIE PŁACZ ZA MNĄ!

PRZEZ LUDWIKA NIEMOJOWSKIEGO.

Zaledwie w wiosennem wszechtworów rozwiciu
Me oko zamdlone świat piękny ujrzało
Już zgasłem, bo w wątłém i krótkiém mém życiu
Jam dziejów istnienia nie znało.
Umarłem w kolebce. Spłakani anieli
Ponieśli duszyczkę mą w górne obłoki,
A ciało, z śmiertelnéj podjęte pościeli,
Grób ukrył na zawsze głęboki.
I odtąd ty codzień, o matko jedyna,
Spragniona uświęcić miłości zadatki
Przychodzisz żałosną łzą zrosić grób syna,
Ubarwić go w wieńce i kwiatki.
I wołasz: mogiło, oddaj mi me dziecię,
Wróć pryzmat radości, pociechę mą drogą,
Bom biedna, sierota, bom sama na świecie,
Bo nie mam z rodziny nikogo!...
Do nieba zwróć, matko, wzrok jasny nadziei,
Gdzie w hymnie serafów urocze brzmią pieśni:
Czyż trumna raz zwarta kiedy się rozklei
A trupy powstaną z swéj pleśni?
Niewczesną ta rozpacz, ta boleść daremną,
Co splata blask wieczny z niedolą swą własną;
Zgnębiona cierpieniem ty płaczesz nademną,
A mnie tu tak błogo, tak jasno!
Bo jeśli jest boleść wśród niebios wysoko,
To tylko ta jedna gdy w chwale niebieskiéj,
Zwróciwszy na ziemię promienne swe oko,
Dostrzegę, o matko, twe łezki!

NIECH SIĘ NIE ŻALI...

Niech się nie żali, komu raz rozkwita
Wśród życia trudów wonny kwiat purpury,
Niech się nie żali, komu raz zaświta
Gwiazda srebrzysta z za burzliwéj chmury,
Po kwiecie zwiędłym woń słodka zostaje,
A promień gwiazdy ciepło sercu daje.

Niech się nie żali, kto na cierpień torach
Jednę choć chwilę zyskał upojenia,
Ni ten, kto w tęczy uroczych kolorach
Raz jeden w życiu, znalazł czar marzenia;
Czar chociaż zginie, pamięć nie uleci,
I w sercu ogień świętych natchnień wznieci.

Niech się nie żali, komu dar niebiański,
Twórczość poety, przekazan w udziale;
Niech się nie żali, kto dźwiga krzyż Pański
I kim miotają, losów gorzkie fale —
Bóg tylko krzyże i wieszcze katusze,
Zseła na męzkie, bochaterskie dusze.

Niech się nie żali, kto w skarbie pamiątek,
Gdy włos siwizną zbieli się srebrzystą,
Szczęścia ukryty odnajduje wątek,
I w sercu chowa miłość piękna czystą,
Miłość dlań wiecznie majową i młodą,
Tętno wspomnienia, gorzkich chwil osłodą.

Lecz ten, kto kroczy z pochyloną skronią
Z rozpaczą chmurną, i zgasłą zrenicą
Kto się téj jednéj róży cudną wonią
Cieszyć nie umiał nad szczęścia krynicą,
Kto w promienistą gwiazdę nie uwierzył
I świata krańców natchnieniem nie zmierzył.

Komu nie ozwał się głos w piersi mocny
Głos pełen dźwięków radosnéj swobody —
Kogo owiewa grobowy chłód nocny
Kto w czarach wspomnień nie znalazł osłody,
Kto nie zaznał poczucia zwycięztwa
Gdy zmógł pokusę siłą swego męztwa.

Kto po zasłanych kwiatuszki drobnemi
Stąpał kobiercach bez walki ni szalu,
Komu natchnienie i boleść obcemi
I obcą słodycz twórczego zapału —
Ten niech się żali, jemu skarg pierwszeństwo
Bo najstraszniejsze ponosi męczeństwo.

H.

POŻEGNANIE.

(Z Albumu).

Żegnaj! W wędrówce ku piękna krainie,
Gdzie każdy kwiatek wonią niebios nęci —
Gdzie niéma ludzi, lecz są tylko święci —
Gdzie na anielskich skrzydłach dusza płynie
Ku ideałów tronem — o!.. radosny,
W szczęściu nie rzucaj wspomnień życia wiosny
I mężem będąc, czcij snów tych ostatki,
Co niosą pamięć pocałunku matki.

Niech w piersi twojéj brzmią te święte głosy,
Co z pól ojczystych biją w obce światy:
W wieniec swéj sławy wpleć rodzinne kwiaty,
Wpleć macierzankę i cierń w swoje włosy,
I kij pielgrzymi z dębu albo sosny
Wziąwszy do dłoni, krocz śmiało, bez trwogi,
Byś kiedyś wrócił w macierzyste progi
Silny, potężny, czysty a radosny.

O sztuko święta, o aniele Boży,
Zwiastunie niebios na stęsknionéj ziemi,
Ty pieśń rodzinną dźwigaj skrzydły swemi,
A gdy się przed nią przybytek otworzy,
W którym Pan mieszka—niech się tam rozdzwoni
Głosem wymownym prawdy i boleści —
Niech słodka, cicha, z liliami u skroni,
Szepcze swe żale, skarby i boleści...

R.

FRAGMENT.

(z Niekrasowa).

Kiedy w twą duszę zbłąkaną,
Przez moje prośby zachwianą,
Przyszła poprawy myśl błoga
I wstydu w gorzkiéj téj męce —
Boleśnie łamiąc swe ręce
Wznosiłaś modły do Boga...
Zwróciwszy na mnie spójrzenie
Szczeremi łzami zalane,
Duszy wyznałaś cierpienie,
Nieszczęścia w życiu doznane...
Mnie promień Boskiéj miłości
Drogę oświecił twą ciemną,
Jam pojął błędy ludzkości,
Ty byłaś czystą przedemną...
Doczegóż ciągłe zwątpienia?
Czy w bliźnim nie widzisz brata?
I czekasz wciąż przebaczenia
Opinii marnego świata?
Nie ufaj tłuszczy złośliwéj,
Wymaż z pamięci swe grzechy —
Dla duszy ciągle lękliwéj
Od Boga czekaj pociechy...
Troską i smutkiem znękana
Nie płacz tak wciąż pokryjomu,
Jak towarzyszka i żona
Śmiało do mego wejdź domu!...

K. L...ca.

SIEROTY.

z WIKTORA HUGO.

I.

Noc. Ciężkie krople deszczu wiatr zimowy miecie,
Chata jest pełną cienia, ale wpośród cieni
Jakieś niepewne światło mdławo się promieni.
Pod sufitem rybackie rozwieszone siecie,
Parę drewnianych półek przy bielonej ścianie,
A na nich kilka misek obok pustej dzieży;
W głębi tapczan pokryty płótnem, przy tapczanie
Na dwóch koszlawych ławach stary siennik leży;
Tam dziatek śpi pięcioro. A z komina płowe
Światło na czarne belki w krwawy odblysk pada,
Mżąc ponuro. Oparłszy na tapczanie głowę,
Młoda kobieta klęczy i modli się blada...
To matka. Sama w chacie. Zewnątrz, śród nawały
Burzliwej, na mgłę, na noc, na wichry, na skały,
Wspieniony ocean gromką skargę miota.

II.

Mąż jej na morzu. Wiosłem ciemne fale porze;
On rybak. Walka z losem to jego żywota
Jest dola. Deszcz czy burza, on musi na morze
Płynąć, bo dzieci głodne. Odjeżdża z wieczora,
Gdy się przypływ bałwanów silniej z brzegiem pora
Sam, a nieraz mu w duszy ponuro i smutno.

Tymczasem żona w domu grube zszywa płótno,
Naprawia wędy, suszy pomoczone sieci,
Doglada ryby, która wędzi się w kominie,
I modli się do Boga, żeby spały dzieci.
On w mroźną noc grudniową coraz dalej płynie,
Prując falę po fali, wysiłkiem znękany,
A wokoło chłód, ciemność i szum morskiej piany.
Tak trzeba wciąż przed siebie przez morskie odmęty
Płynąć śród skał podwodnych, które szum wód bieli,
Żeby odnaleźć miejsce, gdzie los uśmiechnięty
Obdarzy łowcę rybą o złoconej skrzeli.
A przestrzeń to niewielka śród wodnej otchłani,
Punkcik w nieskończoności, kędy morze cichsze,
Jakże go tu wyszukać przy zimowym wichrze,
Co kawałkami lodu twarz i ręce rani.
Kiedy niebo dokoła czarną skryte chmurą,
Gdy się coraz gwałtowniej prąd morski wysila,
Skrzypią zmęczone żagle, ster jęczy ponuro,
A wiosło się z pod ręki wymyka co chwila,
On tymczasem śród fali, co huczy spieniona,
Marzy o swej najdroższej Joasi, a ona
Duma o nim i płacze... i myśli ich raczo
Biegnąc, jak dwie ptaszyny w powietrzu się plączą.

III.

Matka szepcze modlitwę co majtków śród burzy
Chroni, zdala głos mewy ponuro jej wtórzy
I przeraża ją morze swą groźną nawałą.
Jakieś cienie przez duszę ciągną się zbolałą,
Coraz smutniejsze widma zwolując i krwawsze
Tych, którzy w głębiach morskich legli już na zawsze.
Tymczasem stary zegar, dźwięki miarowemi,
Rozmierza czas, i liczy godziny, dnie, lata,
A każde uderzenie na przestrzeni świata
Jakieś życie zamyka, albo nowe plemi,
Otwierając na dolę możnych lub nędzarzy
Tu kołyskę a tam grób.

Więc kobieta marzy,
Bo wielki ciężar nędzy mdłe jej barki niosą.
Nieraz zimą czy latem, biedna, chodzi boso,
Krzątając się za chlebem co czarny i suchy.

Na niebie chmur płaszcz szary wiatr rwie na okruchy
Dmąc jak miech, a o skały szum fal bije wściekły
Jakby młotem.... Ostatnie gwiazdy już uciekły
I znikły niby iskry gasnące w popiele...
Już północ. Owa północ, co płodzi wesele
I z pod maski jedwabnej uśmiecha się rada.
I owa północ zbójcza, gdy wiatr rozszalały
Zbłąkanego na morzu rozbitka napada
Gruchocąc go o twarde ścian podwodnych skały.
I strasznie, kiedy deski zgruchotane z trzaskiem
W głąb się suną, a fala jęk ostatni głuszy,
Gdy zapadając w otchłań, przed oczyma duszy.
Nędzarz widzi brzeg słońca ozłocony blaskiem.

IV.

Biedne żony rybaków! O! ileż cierpicie
Powierzając otchłani miłość waszą całą;
Gdy wasz mąż, syn, brat, ojciec walczy tam o życie,
Gdy w tym wirze lgnie wasza krew, dusza i ciało!
Bo fala morska ślepa, głupia i zdradziecka,
Kobieta czuje że śmierć naostrza swe szpony,
I że nad głową męża, lub nad głową dziecka
Wicher morski rozwija pod burzy szalony,
I że przeciw tym falom co zdziczałe płyną,
I że przeciw tym skałom co szarpią w kawały
Jedynem ocaleniem, ucieczką jedyną
Jest parę lichych desek i szmat płótna mały....
Więc biedna na brzeg biegnie i śród nocnej ciszy
Drogich, krzykiem rozpaczy wzywa z serca wnętrza,
Ale morze nie widzi, nie czuje, nie słyszy,
Tylko coraz groźniejszą falą się rozpiętrza.

Lecz Joanna jest w stokroć nieszczęśliwszą, ona
Wie, że mąż jej sam jeden, i może w tej chwili
W ostatniej grozie śmierci walczy tam i kona...
Więc mówi: „Gdybyż chłopcy choć dorośli byli,
On tam sam!“—A gdy kiedyś, z nim, na morskiej fali
Zawiszą, rzeknie z płaczem: „Gdybyż byli mali!“

V.

Bierze płaszcz i latarnię i wychodzi. Trzeba
Opatrzeć brzeg skalisty i zbadać stan nieba;
Czy płomień, co powrotu zwiastuje nadzieję,
Nie płonie już sygnałem na maszcie... czy dnieje...
Zobaczmy. Wkoło pusto i głucho. Śród cieni
Jeszcze się biała linja zorzy nie promieni.
Deszcz mży. Ów deszcz poranny, który się zdradziecko
Wpija wszędzie i ciało zimnym wstrząsa dreszczem,
Dzień się waha niepewny, bo światło jak dziecko
Czując że się ma na świat zrodzić — płacze deszczem,
A w oknach wszędzie ciemno.

Tędy oto droga...

Joanna dąży przed się. Wśród chmur deszczu łza-
[wych
Tam cień jakiś. To stoi lepianka uboga;
Bez światełka, drzwi skrzypią na zawiasach rdza-
[wych
Na wolę wiatru. Ściany spękane. Ze strzechy
Dziurawej, mokre słomy zwieszają się wiechy,
Bo je starość ku ziemi nachyla i gniecie.

I spojrzała Joanna.

— To ta biedna wdowa,
Rzekła, jej także ciężko na tym Bożym świecie,
Cherlała wciąż nieboga... Zobaczmy czy zdrowa?...
A więc ostrożnie do drzwi puka. Cisza głucha.
Dreszcz ją przejął. Milczenie. Znów nadstawia ucha.

— Widać chora, a dzieci dwoje. Sama jedna,
Bez męża. Ciężko żywić dzieci. Musi biedna
Cierpieć.

I puka mocniej, myśląc sobie:

— Pewno
Śpi twardo. Jakże do niej pukać trzeba długo!...

Wtem drzwi same się niemą otwarły posługą,
Jak gdyby czucie ludzkie martwe miało drewno.

Więc weszła i spogląda na okół. Latarnia
Skupione cienie izby na strony rozgarnia,
A deszcz kapiąc z pułapu w mgłę się siną mroczy.

I nagle straszny widok uderzył jej oczy.

W kącie izby, na kłębie zbrukanej odzieży
Naga, sina i sztywna kobieta tam leży.
To trup. Już się jej oczy na zawsze zawarły.
Przerażający widok tej matki umarłej...
Biedna!... Toż z niej zostało po upartej walce
Z losem?... Ręka jej jedna zwiesza się ku ziemi,
Jakby chciały ją ująć zesztywniałe palce...
A tchnienie śmierci wieje ustami sinemi,
Które w ostatniej chwili, zionąc z siebie ducha,
Wydały ten krzyk grozy, co go wieczność słucha.

Obok niej, przy zastygłem ognisku komina,
Leży dwoje dzieciaków, chłopak i dziewczyna,
I we śnie uśmiechają się do siebie.

Matka,
Dłoń śmierci już na sobie czując lodowatą,
Chciała swe biedne dzieci chronić do ostatka
I wystrzępionej sukni nakryła je szmatą.
A była to ostatnia już sierot osłona...
Niech w cieple zasypiają, kiedy skrzepnie ona.

VI.

Jak cicho śpią przy sobie te biedne sieroty!...
Tchnienia się ich mieszają razem. To sen złoty
Niewiniątek i żadna zdałoby się siła
Nie przerwie go, a możeby ich nie zbudziła
Trąba ostatecznego sądu, na krawędzi
Chmur.
Dzieci Boskiego nie boją się Sędzi.

A szaruga wre zewnątrz. Przez zmurszałe sople
Słomy, na trupa, deszczu wciąż spadają krople.
Zdawałoby się, że łzy po tej twarzy płyną.
Jakieś dzikie odgłosy wstrząsają głębiną
Wód, jak dzwon pogrobowy, a martwa ich słucha.
Jakby ciało napowrót zwoływało ducha.
Usta z oczyma gwarzą w milczeniu głębokiem...
— Coś zrobił z twojem tchnieniem? — A ty z twoim
[wzrokiem?

Niestety! żyjcie, czujcie, cieszcie się... To wasze
Co dzisiaj. Do dna szczęścia wypróżniajcie czaszę,
Nie wsłuchując się w głosy, które wieczność szepce.
Bo los, tej uczcie życia pierwotnej, kolebce,
I matkom czuwającym nad dziećmi bez przerwy,
I pocałunkom ciała, co wstrząsają nerwy,
I uśmiechom, i pieśniom co na usta biegą,
Jako ostatnie słowo daje grób.

VII.

Dlaczego
Joanna tak ucieka od tej matki ciała,
Zostawując je w cieniów otoczeniu smętnem?
I kryje coś pod płaszczem jakby się lękała?
I serce jej uderza przyśpieszonem tętnem?
Czemu szybko do domu drżącym dąży krokiem,
Jakby ją straszne jakieś goniły widziadła?
Czemu, wszedłszy do izby, niespokojnym wzrokiem
Wodzi, kryjąc coś w łóżku?...
Co ona ukradła?

VIII.

Szarawe światło zorzy już zwolna z pod cienia
Bielało, w chatce tchnienia szeptały dziecięce
Modlitwę, ona siadła i głowę na ręce
Oparła, jakby trapił ją wyrzut sumienia.
Jakieś słowa się w ciszy z ust jej wyrywały,
A wtórzył im szum fali zdala rozszalałej.

„Biedaczysko"—mówiła—cóż on na to powie,
Już trudy życia na nim ślady swe wyryły;
I tak dzieci pięcioro na tej jednej głowie
Cięży — tyle pracować — to chyba nad siły.
A tu jeszcze...—wszak to on? — nie — I cóż?... Któż
[poda
Biednym rękę?... musiałam. Przyjdzie tu za chwilę—
Może zechce mnie wybić—odpowiem mu... zgoda
Bij mnie... tak... to on teraz... nie — znowu się mylę.
To trudno... oburknie się... powie że nic potem...
Tak pragnęłam by wrócił... teraz mam obawę..."
Powstała i raz jeszcze upadła na ławę
Bezwładna... serce w piersi biło jakby młotem,
Więc tak siedziała nad swym zadumana losem;
A mewy się chrapliwym odzywały głosem.

Nagle drzwi zawiasami skrzypnęły staremi,
Struga światła białego zabłysła na ziemi
I rybak, siatkę w ręku trzymając zmoczoną,
Stanął u wejścia i rzekł:

— No, masz mnie już żonol

IX.

Joanna się gwałtownie rzuciła ku niemu
I na piersiach mu zwisła, a on po staremu
Wziął ją i ucałował, i w brzasku półcieni
Pozostali tak chwilę uściskiem spojeni.

—Jakaż pogoda?

—Dżdżysta.

—A morze?

—Bez chyby
Burza będzie, bo wiatr dmie jak z miecha, dwa węzły.
Płynąłem, ale siecie nadaremnie grzęzły,
Ani jednej mizernej nie schwyciłem ryby.
Wicher pchał łódkę na bok, myślałem bez mała
Że wywróci, a grad mnie tak wytłukł aż parzy...
No... ale ty przez ten czas cóżeś porabiała?
W domu zdrowo?

Kobieta skraśniała na twarzy.

—U nas?—rzekła—a cóż chcesz mój kochany? co tu
Może być? szyłam trochę i słuchałam grzmotu
Dalekiego, jak w morskiej odbijał się fali...

Głos jej począł drżeć trochę, lecz mówiła dalej:
—Czy wiesz?.. nasza sąsiadka umarła... ta wdowa
Po majtku... no, była już nie zupełnie zdrowa...
To wczoraj... dzieci dwoje pozostało po niej...
A powiadam ci jaka nędza!.. niech Bóg broni..
Jedno jeszcze nie chodzi, a drugie od ziemi
Ledwie odrosło... straszna bieda będzie z niemi..

Rybak nagle spoważniał i rzucił do kąta
Czapkę sączącą wodą:

—Ot tobie wesele!
Rzekł—do nas zawsze jakaś bieda się przypląta...
A przyznam się, siedmioro, to trochę za wiele...
I tak bywały chwile, że się kładło nieraz
Bez wieczerzy... A pytam, co tu robić teraz?
No—lecz to nie ich wina... Jak się raz usadzi
Nieszczęście... Niech Bóg radzi o swojej czeladzi...
Po co im zabrał matkę... mój ty Jezu złoty!
Co tobie zawiniły te biedne sieroty?
Wszak pracować nie mogą... to już nad ich siły...
No .. wiesz co moja żono... jeźli się zbudziły,
Idź i sprowadź je tutaj... to charłactwo głupie
Musi tam drżeć ze strachu i zimna przy trupie.
Toż matka do wrót naszych puka o te swoje
Sieroty... do pięciorga przybędzie ich dwoje,
I jeźli się nam przez to pomnoży mozołów,
Jeźli nie potrafimy im zaradzić sami,
To Pan Bóg, ojciec sierot, pewno się nad nami
Zlituje i obfitszy nadarzy mi połów.
Będę pił czystą wodę i pracował za to
Za dwóch... No... czemuż na mnie patrzysz głupowato?
Rusz-że się... dalej! żywo...

A żona zasłonę
Od łóżka uchyliwszy, rzekła:

—Otóż one!

Wacław Szymanowski.

CZARA I USTA.

(Z pożółkłych kartek.)

Czarę złotą trzymam w dłoni,
Wargi me pragnieniem drżą,
Suche usta schylam do niej,
Pragnę! — śpieszę spełnić ją!
O szaleńcze! — pozór mami!
Wszak tyś nędzarz — a nie król:
Między czarą i ustami —
Przepaść —wieki — ból!...

Zaczerpnąłem w życia zdroju,
Czara wonna gdyby kwiat
Takiej czary i napoju
Pozazdrości cały świat!
Nie goń — nie goń za marami!
Choć ci do nich serce drży:
Między czarą i ustami —
Przepaść — wieki — łzy!...

Patrzę w czarę pozłocistą,
Jaśniej gdyby słońce lśni,
Ambrozją szumi perlistą,
Czarę dajcie! — czarę mi!

Sny młodości z marzeniami
Poszły sobie — poszły w dal:
Między czarą i ustami
Przepaść — wieki — żal!...

Pękła czara na połowę,
Bo zmartwiała moja dłoń;
O kolumny marmurowe
Gorejącą strzaskam skroń.
Precz — ach precz ze złudzeniami,
Biały kwiat — to blady trup:
Między czarą i ustami —
Przepaść — wieki — grób!...

Bożymir.

Do...

Chcesz, pani, piosnek i kwiatów — o proszę!
Piosnek i kwiatów mam jeszcze w zapasie.
Kwiatki, co prawda, już zwiędły potroszę,
Licha piosenka na cóż komu zda-się?

Lecz chcesz — oddaję wszystko: niezabudki,
Róże, elegje, ody i sonety;
Jak świat prastare zachwyty i smutki
I kwiaty zwiędłe w ogródku poety.

W grzmiącym akordzie szumnych wykrzykników.
Gdy znajdziesz dźwięk serdeczny—niech ci służy!
Wpośród bukietów moich poprzedników
Dzięki za miejsce dla mej zeschłej róży!

Ale — o pani! — nie chcesz przestać na tem
I szczątków serca żądasz wciąż odemnie.
Niestety, pani, nie jestem magnatem
I szukać u mnie klejnotów daremnie.

Czesław.

Ranek w górach*).

Wyzłocone słońcem szczyty
Już różowo w górze płoną,
I pogodnie lśnią błękity
Nad pogiętych skał koroną.

W dole—lasy skryte w cieniu,
Toną jeszcze w mgle perłowej,
Co w porannem oświetleniu
Mknie się zwolna przez parowy.

Lecz już wietrzyk mgłę rozpędza,
I ta rwie się w chmurek stada...
Jak pajęcza, wiotka przędza,
Na krawędziach skał osiada;

A z pod sinej tej zasłony
Świat przegląda coraz szerzej,
Z nocnych, ciemnych snów zbudzony
Taki jasny, wonny, świeży.

Wszystko srebrzy się dokoła
Pod perlistą, bujną rosą,
Świerki, trawy, mchy i zioła
Balsamiczny zapach niosą;

I blask spływa wciąż goretszy,
Coraz głębiej oko tonie,
Cudowności świat się piętrzy
W wyzłoconej swej koronie.

Góry wyszły jak z kąpieli,
I swem łonem świecą czystem,
W granitowej świecą bieli,
W tem powietrzu przezroczystem

Każdy zakręt, każdy załom
Wyskakuje żywy, dumny;
Słońce dało życie skałom,
Rzeźbiąc światłem ich kolumny.

Wszystko skrzy się, wszystko mieni,
Wszystko w oczach przeistacza—
Gra przelotnych barw i cieni,
Coraz szerszy krąg zatacza.

Już zdrój srebrną pianą bryzga,
Gdy po ostrych głazach warczy...
Już się żywszy odblask ślizga
Po jeziorek sinej tarczy...

Już pokraśniał rąbek lasu...
Już się wdzięczy i uśmiecha
Brzeg doliny—a z szałasu
Dolatują śpiewne echa...

Przez zielone łąk kobierce
Dzwoniąc idą paść się trzody...
Jakaś rozkosz spływa w serce,
Powiew szczęścia i swobody.

Pierś się wznosi, pierś się wzdyma,
I powietrze chciwie chwyta —
Dusza wybiedz chce oczyma
Upojona a niesyta;

Niby lecieć chce skrzydlata,
Obudzona jak z zaklęcia...
I tę całą piękność świata
Chce uchwycić w swe objęcia.

El...y.

MIŁOŚĆ BOGA.

(przez Maryę Janinę).

Miłość Boga uciszać winna burze ziemi
Miłość skarbem nad skarby, drogie światło duszy,
Co jedność utrzymuje pomiędzy bliźniemi,
Strapione serca ciszy, łzy boleści suszy.
Kto chce życie prowadzić w spokojnéj zaciszy,
Nie znać trudów i nie czuć jarzma uciśnienia
Niechaj szczérze ukocha, niechaj tylko słyszy
Boskie Chrystusa słowa i czeka zbawienia.
Wtedy będzie szczęśliwym i wzgardzi ponęty
Zwodnéj ziemskiéj miłości, co tkanki złotemi
Błyszczy, wabi, chcąc zgasić błogi ogień święty,
I zaćmi dni pogodne chmurami mglistemi.
Gdy kto wpadnie w tę siatkę, to w takiéj niewoli,
Niby szczęściem się cieszy, pieśń radości nuci,
Lecz życie mu nie miłe i serce go boli,
Bo wie, że błogi spokój już prędko nie wróci.
O! nie wróci, bez woli i bez Bożéj łaski,
Bo Bóg tylko przysyła aniołów pociechy,
Co rozerwą te pęta światowéj igraszki,
Przedstawią ich znikomość, wzbudzą żal za grzechy.
Ach! żałuj wtedy, żałuj, człowieku szczęśliwy,
A z żalem miłość wyższa niech do serca płynie.
Załuj, kochaj i ufaj, bo Bóg litościwy
Wspomni żal, miłość, wiara w ostatniéj godzinie.
Pomnij: iż twe cierpienia i troski osłodzi
Ten, któregoś ukochał, Ten ci spokój błogi
Ześle tutaj na ziemię i chojnie nagrodzi

Jan Kochanowski.

TRENY.

ORSZULI KOCHANOWSKIEJ,

Wdzięcznej, ucieszonej, niepospolitej dziecinie — która cnót wszystkich i dzielności panieńskich początki wielkie pokazawszy, nagle, nieodpowiednie, w niedoszłym wieku swoim, z wielkim a nieznośnym rodziców swych żalem zgasła — Jan Kochanowski, niefortunny ojciec, swojej najmilszej dziewce ze łzami napisał.

Niemasz cię Orszulo moja!

Tales sunt hominum mentes, quales) pater ipse*
Jupiter auctiferas lustravit lumine terras.

TREN I.

Wszystkie płacze, wszystkie łzy Heraklitowe
I lamenty i skargi Simonidowe,
Wszystkie troski na świecie, wszystkie wzdychania
I żale i frasunki i rąk łamania!
Wszystkie a wszystkie zaraz w dom się mój znoście,
A mnie płakać mej wdzięcznej dziewki pomożcie,
Z którą mię niepobożna śmierć rozdzieliła
I wszystkich moich pociech nagle zbawiła.
Tak więc smok, upatrzywszy gniazdo kryjome,
Słowiczki liche zbiera, a swe łakome
Gardło pasie; tymczasem matka szczebiece
Uboga, a na zbójcę coraz się miece
Próżno; bo i na samą okrutnik zmierza,
A ta nieboga ledwie umyka pierza.
Próżno płakać, podobno drudzy rzeczecie,
Cóż przebóg żywy; nie jest próżno na świecie?
Wszystko próżno! — macamy, gdzie miękcej wrzeczy,
A ono wszędy ciśnie; błąd wiek człowieczy.
Nie wiem, co lżej, czy smutku jawnie żałować,
Czyli się z przyrodzeniem gwałtem mocować?

TREN II.

Jeślim kiedy nad dziećmi piórko miał zabawić,
A kwoli temu wieku lekkie rymy stawić,
Bodajżebych był raczej kolebkę kołysał
I z drugiemi nieważne mamkom pieśni pisał,
Któremiby dziecinki noworodne spiły
I swoich wychowańców lamenty tuliły.
Takie fraszki mnie zbierać pożyteczniej było,
Niźli — w co mię nieszczęście moje dziś wprawiło —
Płakać nad głuchym grobem mej wdzięcznej dziewczyny
I skarżyć się na srogość ciężkiej Proserpiny.
Alem użyć w obojgu jednakiej wolności
Nie mógł: owom ominął, jako w dojrzałości *)
Dowcipu coś rannego; na to mię przygoda
Gwałtem wbiła i moja nienagrodna szkoda.
Ani mi teraz łacno dowiadać się o tem,
Jaka mię z płaczu mego czeka cześć na potem?
Nie chciałem żywym śpiewać; dziś umarłym muszę;
A cudzej śmierci płacząc, sam swe kości suszę.
Próżno to, jakie szczęście ludzi naśladuje,
Tak w nas abo dobrą myśl abo złą sprawuje.
O prawo krzywdy pełne! o znikomych cieni
Sroga, nieubłagana, nieużyta ksieni:
Takli moja Orszula, jeszcze żyć na świecie
Nieumiawszy, musiała w ranem umrzeć lecie?
I nie napatrzywszy się jasności słonecznej,
Poszła nieboga widzieć kraj ów nocy wiecznej?
A bodaj ani była świata oglądała;
Co bowiem więcej, jeno ród a śmierć poznała?
A miasto pociech, które winna z czasem była
Rodzicom swym, w ciężkim je smutku zostawiła.

TREN III.

Wzgardziłaś mną dziedziczko moja ucieszona!
Zdałać się ojca twego bardziej uszczuplona
Ojczyzna, niźli byś ty przestać na niej miała.
To prawda, żeby była nigdy nie zrównała
Z ranym rozumem twoim, z pięknemi przymioty,
Z których się już znaczyły twoje przyszłe cnoty.
O słowa, o zabawo, o wdzięczne ukłony!
Jakożem ja dziś po was wielce zasmucony!
A ty pociecho moja! już mi się nie wrócisz
Na wieki, ani mojej tęsknice okrócisz.
Nie lza, nie lza, jedno się z tobą gotować,
A stopeczkami twemi ciebie naśladować;
Tam cię ujźrę, da pan Bóg; a ty więc z drogiemi
Rzuć się ojcu do szyje ręczynkami swemi.

TREN IV.

Zgwałciłaś niepobożna śmierci! oczy moje,
Żem widział umierając miłe dziecię swoje;
Widziałem, kiedyś trzęsła owoc niedojrzały;
A rodzicom nieszczęsnym serca się krajały.
Nigdyćby ona była bez wielkiej żałości
Mojej umrzeć nie mogła, nigdy bez ciężkości
I serdecznego bolu, w któremkolwiek lecie
Mnieby smutnego była odbiegła na świecie;
Alem ja już z jej śmierci nigdy żałościwszy,
Nigdy smutniejszy nie mógł bydź, ani tęskliwszy.
A ona (by był Bóg chciał) dłuższym wiekiem swoim
Siła pociech przymnożyć mogła oczom moim,
A przynajmniej tymczasem mogłem był odprawić
Wiek swój i Persefonie ostatniej się stawić,
Nie uczuwszy na sercu tak wielkiej żałości,
Której równia nie widzę w tej tu śmiertelności.

Nie dziwuję Niobie, że na martwe ciała
Swoich najmilszych dziatek patrząc skamieniała.

TREN V.

Jako oliwka mała pod wysokim sadem
Idzie z ziemie ku górze macierzyńskim śladem
Jeszcze ani gałązek ani listków rodząc,
Sama tylko dopiero szczupłym prątkiem wschodząc;
Tę jeśli ostre ciernie lub rodne pokrzywy
Uprzątając sadnik ów podciął ukwapliwy,
Mdleje zaraz, a zbywszy siły przyrodzonej
Upada przed nogami matki ulubionej:
Takci się mej najmilszej Orszuli dostało;
Przed oczyma rodziców swoich rostąc, mało
Od ziemia się wzniosłszy, duchem zaraźliwym
Srogiej śmierci otchniona rodzicom troskliwym
U nóg martwa upadła. O zła Persefono!
Mogłażeś tak wiele łzom dać upłynąć płono?

TREN VI.

Ucieszna moja śpiewaczko, Safo słowieńska!
Na którą nietylko moja cząstka ziemieńska,
Ale i lutnia dziedzicznem prawem spaść miała,
Tęś nadzieję już po sobie okazała
Nowe piosnki sobie tworząc, nie zamykając
Ustek nigdy, ale cały dzień prześpiewając,
Jako więc lichy słowiczek w krzaku zielonym
Całą noc prześpiewa gardłkiem swem ucieszonem.
Prędkoś mi nazbyt umilkła, nagle cię sroga
Śmierć spłoszyła, moja wdzięczna szczebiotko droga!
Nie nasyciłaś mych uszu swemi piosnkami —
I tę trochę teraz płacę sowicie łzami;
A tyś ani umierając śpiewać przestała,
Lecz matkę ucałowawszy takieś żegnała:
Już ja tobie moja matko! służyć nie będę,
Ani za twym wdzięcznym stołem miejsca zasiędę.
Przyjdzie mi klucze położyć, samej precz jechać,
Domu rodziców swych miłych wiecznie zaniechać.
To, i czego żal ojcowski nie da serdeczny
Przypominać więcej, był jej głos ostateczny;
A matce, słysząc żegnanie tak żałośliwe,
Dobre serce, że od żalu zostało żywe,

TREN VII.

Nieszczęsne ochędóstwo! żałośne ubiory
Mojej najmilszej córy!
Poco me smutne oczy za sobą ciągniecie?
Żalu mi przydajecie;
Już ona członeczków swych wami nie odzieje —
Nie masz, nie masz nadzieje:
Ujął ją sen żelazny, twardy, nieprzespany;
Już letniczek *) pisany
I uploteczki wniwecz i paski złocone —
Matczyne dary płone.
Nie do takiej łożnice moja dziewko droga!
Miała cię mać uboga
Doprowadzić, nie takąć dać obiecowała
Wyprawę, jakąć dała.
Giezłeczko **) tylko dała a lichą tkaneczkę ***);
Ojciec ziemie bryłeczkę
W główki włożył; niestetyż i posag i ona
W jednej skrzynce zamkniona!

*) Ubiór kobiecy letni. **) Koszulka. ***) Czepek

TREN VIII.

Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim
Moja droga Orszulo! tem zniknieniem swojem;
Pełno nas, a jakoby nikogo nie było;
Jedną maluczką duszą, tak wiele ubyło.
Tyś za wszystkich mówiła, za wszystkich śpiewała,
Wszystkieć w domu kąciki zawżdyś pobiegała,
Nie dopuściłaś nigdy matce się frasować,
Ani ojcu myśleniem zbytniem głowy psować,
To tego, to owego wdzięcznie obłapiając
I onym swym uciesznym śmiechem zabawiając.
Teraz wszystko umilkło; szczere pustki w domu;
Nie masz zabawki, nie masz rozśmiać się nikomu;
Z każdego kątka żałość człowieka ujmuje,
A serce swej pociechy darmo upatruje.

TREN IX.

Kupićby cię mądrości! za drogie pieniądze,
Która (jeśli prawdziwie mienią) wszystkie żądze,
Wszystkie ludzkie frasunki umiesz wykorzenić,
A człowieka tylko nie w anioła odmienić,
Który nie wie co boleść, frasunku nie czuje,
Złym przygodom nie podległ, strachom nie hołduje.
Ty wszystkie rzeczy ludzkie masz za fraszkę sobie,
Jednaką myśl tak w szczęściu, jako i w żałobie,
Zawżdy niesiesz, ty śmierci nigdy się nie boisz,
Bezpieczną, nieodmienną, niepożytą stoisz;
Ty bogactwa nie złotem, nie skarby wielkiemi,
Ale dosytem mierzysz i przyrodzonemi
Potrzebami; ty okiem swem nieuchronionem
Nędznika upatrujesz pod dachem złoconym,
A uboższym nie zajźrysz szczęśliwego mienia,
Ktoby jeno chciał słuchać twego upomnienia.
Nieszczęśliwy ja człowiek, którym lata swoje
Na tem strawił, żebych był ujrzał progi twoje;
Terazem nagle z stopniów ostatnich zrzucony
I między insze, jeden z wiela, policzony.

TREN X.

Orszulo moja wdzięczna! gdzieś mi się podziała?
W którą stronę, w którąś się krainę udała?
Czyś ty nad wszystkie nieba wysoko wzniesiona
I tam w liczbę aniołów małych policzona?
Czyliś do raju wzięta? czyliś na szczęśliwe
Wyspy zaprowadzona? czy cię przez tęskliwe
Charon jeziora wiezie i napawa zdrojem
Niepomnym, że ty nie wiesz nic o płaczu moim?
Czy człowieka zrzuciwszy i myśli dziewicze,
Wzięłaś na się postawę i piórka słowicze?
Czyli się w czyscu czyścisz, jeśli z strony ciała
Jakakolwiek zmazeczka na tobie została?
Czyś po śmierci tam poszła, kędyś pierwiej była,
Niżeś się na mą ciężką żałość urodziła?
Gdzieśkolwiek jest, jeśliś jest, lituj mej żałości;
A nie możeszli w onej dawnej swej całości:
Pociesz mię, jako możesz, a staw się przedemną
Lubo snem, lubo cieniem, lub marą nikczemną.

TREN XI.

Fraszka cnota, powiedział Brutus porażony:
Fraszka, kto się przypatrzy, fraszka z każdej strony,

Kogo kiedy pobożność jego ratowała?
Kogo dobroć przypadku złego uchowała?
Nieznajomy wróg jakiś miesza ludzkie rzeczy,
Nie mając ani dobrych, ani złych na pieczy;
Kędy jego duch wienie, żaden nie ulęże;
Prawli, krzywli — bez braku każdego dosięże.
A my rozumy swoje przed się udać chcemy,
Hardzi między prostaki, że nic nie umiemy;
Wspinamy się do nieba Boże tajemnice
Upatrując; ale wzrok śmiertelnej źrenice
Tępy na to; sny lekkie, sny płoche nas bawią,
Które się nam podobno nigdy nie wyjawią.
Żałości! co mi czynisz? owa już oboje
Mam stracić, i pociechę i baczenie swoje?

TREN XII.

Żaden ojciec podobno barziej nie miłował
Dziecięcia, żaden barziej nad mię nie żałował;
A też ledwie się kiedy dziecię urodziło,
Coby łaski rodziców swych tak godne było:
Ochędożne, posłuszne, karne, niespieszczone,
Śpiewać, mówić, rymować, jako co uczone,
Każdego ukłon trafić, wyrazić postawę,
Obyczaje panieńskie umieć i zabawę;
Roztropne, obyczajne, ludzkie, nierzewniwe *),
Dobrowolne, układne, skromne i wstydliwe;
Nigdy ona po ranu karmie nie wspomniała,
Aż pierwej Bogu swoje modlitwy oddała;
Nie poszła spać, aż pierwej matkę pozdrowiła
I zdrowie rodziców swych Bogu poruczyła.
Zawżdy przeciwko ojcu wszystkie przebydź progi,
Zawżdy się uradować i przywitać z drogi,
Każdej roboty pomódz, do każdej posługi
Uprzedzić—było wszystkie rodziców swych sługi,
A to tak w małym wieku sobie poczynała,
Że więcej nad trzydzieści miesięcy nie miała.
Tak wiele cnót jej młodość i takich dzielności
Nie mogła znieść, upadła od swojej bujności,
Żniwa nie doczekawszy. Kłosie mój jedyny!
Jeszcześ mi się był nie stał, a ja twej godziny
Nie czekając znowu cię w smutną ziemię sieję;
Ale pospołu z tobą grzebę i nadzieję;
Bo już nigdy nie wznidziesz, ani przed mojema
Wiekom wiecznie zakwitniesz smutnemi oczema.

*) Niekwaśne, niedziwaczne.

TREN XIII.

Moja wdzięczna Orszulo! — bodaj ty mnie była
Abo nie umierała, lub się nie rodziła!
Małe pociechy płacę wielkim żalem swoim
Za tem nieodpowiednem pożegnaniem twojem.
Omyliłaś mię jako nocny sen znikomy,
Który wielkością złota cieszy zmysł łakomy,
Potem nagle uciecze, a temu na jawi
Z onych skarbów jeno chęć a żądzę zostawi.
Takeś ty mnie Orszulo droga! uczyniła
Wielkieś nadzieje w mojem sercu rozniecіła,
Potemeś mię smutnego nagle odbieżała
I wszystkie moje z sobą pociechy zabrała,
Wzięłaś mi, zgoła mówiąc, dusze połowicę —
Ostatek przy mnie został na wieczną tęsknicę.
Tu mi kamień murarze! ciosany położcie,
A na nim tę nieszczęsną pamiątkę wydrożcie:

Orszula Kochanowska tu leży, kochanie
Ojcowe, albo raczej płacz i narzekanie.
Opakeś to niebaczna śmierci! udziałała;
Nie jać onej, ale mnie ona płakać miała.

TREN XIV.

Gdzie te wrota nieszczęsne, któremi przed laty
Puszczał się w ziemię Orfeus, szukając swej straty?
Żebych ja też tą ścieżką swej najmilszej córy
Poszedł szukać i on bród mógł przebydź, przez który
Srogi jakiś przewoźnik wozi blade cienie
I w lasy niewesołe cyprysowe żenie!
A ty mię nie zostawiaj wdzięczna lutni moja!
Ale ze mną pospołu pójdź aż do pokoja
Surowego Plutona; owa go to łzami,
To temi żałośnemi zmiękczywa pieśniami,
Że mi moją namilszą dziewkę jeszcze wróci,
A ten nieuśmierzony we mnie żal ukróci.
Zginąćci mu nie może, tuć się wszystkim zostać,
Niech się tylko niedoszłej jagodzie da dostać.
Gdzieby też tak kamienne ten Bóg serce nosił,
Żeby tam smutny człowiek już nic nie uprosił?
Cóż temu rzec? więc tamże już za jedną drogą
Zostać, a z duszą zaraz zewlec troskę srogą.

TREN XV.

Erato złotowłosa i ty wdzięczna lutni!
Zkąd pociechę w swych troskach biorą ludzie smutni,
Uspokojcie na chwilę strapioną myśl moję,
Póki jeszcze kamienny w polu słup nie stoję —
Lejąc ledwie nie krwawy płacz przez marmor żywy —
Żalu ciężkiego pamięć i znak nieszczęśliwy.
Mylę się? czyli patrząc na ludzkie przygody
Skromniej człowiek uważa, niż swe własne szkody?
Nieszczęsna matko! (jeśli przyczytać możemy
Nieszczęściu, co prze głupi rozum swój cierpiemy),
Gdzie teraz twych siedm synów i dziewek tak wiele?
Gdzie pociecha, gdzie radość i twoje wesele?
Widzę czternaście mogił, a ty nieszczęśliwa,
I podobno tak długo nad wolę swą żywa,
Obłapiasz zimne groby, w których (ach niebogo!)
Składłaś dzieteczki swoje zagubione srogo.
Takie więc kwiaty leżą kosą podsieczone,
Abo deszczem gwałtownym na ziemię złożone.
W którą nadzieję żywiesz? czego czekasz więcej?
Czemu śmiercią żałości nie zbywasz coprędzej?
A wasze prędkie strzały abo łuk co czyni
Niepochybny, o Febe i mściwa bogini!
Abo z gniewu (bo winna), abo więc z litości
Dokonajcie prze Boga jej biednej starości.
Nowa pomsta, nowa każń hardą myśl potkała:
Dziatek swoich Niobe *) płacząc skamieniała;
I stoi na Sypilu marmor nieprzetrwany,
Jednak i pod kamieniem żywią skryte rany;

Jej bowiem łzy serdeczne skałę przenikają
I przezroczystym z góry strumieniem spadają,
Zkąd zwierz i ptactwo pije, a ta w wiecznem pęcie
Tkwi w rogu skały wiatrom szalonym na wstręcie.
Ten grób nie jest na martwym, ten martwy nie w grobie,
Ale samże jest martwym, samże grobem sobie.

TREN XVI.

Nieszczęściu kwoli a swojej żałości,
Która mię prawie przejmuje do kości,
Lutnią i wdzięczny rym porzucić muszę,
Ledwie nie duszę.

Żywem? czy mię sen obłudny frasuje,
Który kościanem oknem wylatuje,
A ludzkie myśli tem i owem bawi,
Co błąd na jawi?

O błędzie ludzki, o szalone dumy!
Jako to łacno, pisać się z rozumy,
Kiedy powoli świat mamy, a głowa
Człowieku zdrowa!

W dostatku będąc ubóstwo chwalemy,
W rozkoszy żałość lekce szacujemy;
A póki wełny skąpej prządce staje,
Śmierć nam za jaje. *)

Lecz kiedy nędza abo żal przypadnie,
Ali żyć nie tak, jako mówić snadnie;
A śmierć dopiero wtenczas nam należy,
Gdy już knam bieży.

Przecz z płaczem idziesz Arpinie wymowny
Z miłej ojczyzny? wszak nie Rzym budowny,
Ale świat wszystek miastem jest mądremu
Widzeniu twemu.

Czemu tak bardzo córki swej żałujesz?
Wszak się ty tylko sromoty warujesz,
Insze wszelakie u ciebie przygody,
Ledwie nie gody.

Śmierć, mówisz, straszna tylko niezbożnemu.
Przeczże się tobie umrzeć cnotliwemu
Nie chciało, kiedyś prze dotkliwą mowę
Miał podać głowę?

Wywiodłeś wszystkim, nie wywiodłeś sobie;
Łacniej rzec, widzę, niż czynić, i tobie
Pióro anielskie! duszę toż w przygodzie,
Co i mnie, bodzie.

Człowiek nie kamień, a jako się stawi
Fortuna, takich myśli nas nabawi.
Przeklęte szczęście; czy snać gorzej duszy,
Kto rany ruszy?

Czasie, pożądnej ojcze niepamięci! —
W co ani rozum ani trafią święci —
Zgoj smutne serce, a ten żal surowy
Wybij mi z głowy.

TREN XVII.

Pańska ręka mie dotknęła,
Wszystkę mi radość odjęła;
Ledwie w sobie czuję duszę,
I tę podobno dać muszę.

Lubo wstając gore jaśnie,
Lubo padnąc słońce gaśnie,
Mnie jednako serce boli,
A nigdy się nie utoli.

Oczu nigdy nie ususzę,
I tak wiecznie płakać muszę,
Muszę płakać; o mój Boże!
Kto się przed tobą skryć może?

Próżno morzem nie pływamy;
Próżno w bitwach nie bywamy;
Ugodzi nieszczęście wszędzie,
Choć podobieństwa nie będzie.

Wiodłem swój żywot tak skromnie,
Że ledwie kto wiedział o mnie;
A zazdrość i złe przygody
Nie miały mi w co dać szkody;

Lecz pan, który gdzie tknąć, widzi,
A z przestrogi ludzkiej szydzi,
Zadał mi raz tem znaczniejszy,
Czemem już był bezpieczniejszy;

A rozum, który w swobodzie
Umiał mówić o przygodzie,
Dziś ledwie sam wie o sobie;
Tak mię podparł w mej chorobie.

Crasemby się chciał poprawić,
A mnie ciężkiej troski zbawić;
Ale gdy siędzie na wadze,
Żalu ruszyć nie ma władze.

Próżne to ludzkie wywody,
Żeby szkodą nie zwać szkody;
A kto się w nieszczęściu śmieje,
Jabych tak rzekł, że szaleje.

Kto zaś na płacz lekkość wkłada,
Słysząc *) dobrze, co powiada;
Lecz się tem żal nie hamuje,
Owszem większy przystępuje;

Bo mając zranioną duszę,
Rad i nierad płakać muszę.
Co snać nie cześć, to ku szkodzie,
I zelżywość serce bodzie.

Lekarstwo to przebóg żywy!
Ciężkie na umysł troskliwy;
Kto przyjaciel zdrowia mego
Wynajdzi co wolniejszego.

A ja zatem łzy niech leję,
Bom stracił wszystkę nadzieję,
By mię rozum miał ratować,
Bóg sam mocen to hamować.

TREN XVIII.

My nieposłuszne panie! dzieci twoje
W szczęśliwe czasy swoje,
Rzadko cię wspominamy,
Tylko rozkoszy zwykłych używamy;

Nie baczym, że to z twej łaski nam płynie,
A także prędko minie.
Kiedy po nas wdzięczności
Nie uznasz panie! za twe życzliwości.

*) Za nic.

Miej nas na wodzy, niech nas nie rozpycha
Doczesna rozkosz licha;
Niechaj na cię pomniemy
Przynajmniej w kaźni, gdy w łasce nie chcemy.

Ale ojcowskim nas karz obyczajem,
Boć przed twym gniewem stajem
Tak, jako śnieg niszczeje,
Kiedy mu słońce niebieskie dogrzeje.

Zgubisz nas prędko wiekuisty panie!
Jeśli nad nami stanie
Twa ciężka boska ręka:
Sama niełaska jest nam sroga męka.

Ale od wieku twoja litość słynie;
A pierwej świat zaginie,
Niż ty wzgardzisz pokornym,
Chocia był długo przeciw tobie spornym.

Wielkie przed tobą są występy moje,
Lecz miłosierdzie twoje
Przewyższa wszystkie złości —
Użyj dziś panie nademną litości!

TREN XIX.

Abo sen.

Żałość moja długo w noc oczu mi nie dała
Zamknąć i zemdlonego uspokoić ciała,
Ledwie mię na godzinę przed świtaniem swemi
Sen leniwy obłapił skrzydły czarnawemi!
Natenczas mi się matka właśnie ukazała,
A na ręku Orszulę moją wdzięczną miała,
Jako więc po paciorek do mnie przychodziła,
Skoro z swego posłania rano się ruszyła;
Giezłeczko białe na niej, włoski pokręcone,
Twarz rumiana, a oczy ku śmiechu skłonione.
Patrzę, co dalej będzie? — aż matka tak rzecze:
Spisz Janie? czy cię twoja żałość zwykła piecze?
Zatemem ciężko westchnął i tak mi się zdało,
Żem się ocknął. A ona pomilczawszy mało,
Znowu mówić poczęła: Twój nieutulony
Płacz synu mój! przywiódł mię w te tu wasze strony
Z krain bardzo dalekich, a łzy gorzkie twoje
Przeszły aż i umarłych tajemne pokoje.
Przyniosłam ci na ręku wdzięczną dziewkę twoją,
Abyś ją mógł oglądać jeszcze, a tę swoją
Serdeczną żałość ujął, która tak ujmuje
Sił twoich i tak zdrowie nieznacznie twe psuje,
Jako ogień suchy knot obraca w perzyny,
Darmo nie opuszczając najmniejszej godziny.
Czyli nas już umarłe macie za stracone
I którym już na wieki słońce jest zgaszone?
A my owszem żywiemy żywot tem ważniejszy,
Czem nad to grube ciało duch jest szlachetniejszy;
Ziemia w ziemię się wraca, a duch z nieba dany
Miałby zginąć ani na miejsce swe wezwany?
O to się ty nie frasuj, a wierz niewątpliwie,
Że twoja najmilejsza Orszuleczka żywie;
A tu więc takimci się kształtem pokazała,
Jakoby się śmiertelnym oczom poznać dała;
Ale między anioły i duchy wiecznemi
Jako wdzięczna jutrzenka świeci, a za swemi
Rodzicami się modli, jako to umiała
Z wami będąc, choć jeszcze słów nie domawiała.
Jeśliżeś też ztąd roście żałość, że jej lata
Pierwiej są przyłomione, niźli tego świata
Rozkoszy zażyć mogła; o biedne i płone
Rozkosze wasze! które tak są usadzone,
Że w nich więcej frasunków i żałości więcej —
Czego ty doznać możesz sam z siebie najprędzej.
Ucieszyłeś się kiedy z dziewki twej tak wiele,
Żeby pociecha twoja i ono wesele
Mogło porównać z twoim dzisiejszym kłopotem?
Nie rzeczesz tego, widzę. Także trzymaj o tem,
Jakoś doznał; ani się frasuj, że tak rana
Twojej ze wszech najmilszej dziewce śmierć zesłana.
Nie od rozkoszyć poszła; poszłać od żałości,
Od pracej, od frasunków, od łez, od żałości,
Czego świat ma tak wiele, że — by też co było
W tym doczesnym żywocie człowieczeństwu miło —
Musi smak swój utracić prze wielkość przysady,
A przynajmniej prze bojaźń nieuchronnej zdrady.
Czego płaczem prze Boga? czego nie zażyła?
Że sobie swym posagiem pana nie kupiła,
Że przegróżek i cudnych fuków nie słuchała,
Że boleści w rodzeniu dziatek nie uznała,
Ani umie powiedzieć, czego jej troskliwa
Matka doszła! Co większem utrapieniem bywa:
Czy je rodzić, czy je grześć? Takieć pospolicie
Przysmaki wasze, czem wy sobie świat słodzicie;
W niebie szczere rozkoszy, a do tego wieczne,
Od wszelakiej przekazy wolne i bezpieczne.
Tu troski nie panują, tu pracej nie znają,
Tu nieszczęście, tu miejsca przygody nie mają,
Tu choroba nie najdzie, tu nie masz starości,
Tu śmierć łzami karmiona nie ma już wolności;
Żyjem wiek nieprzeżyty wiecznej używamy
Dobrej myśli, przyczyny wszystkich rzeczy znamy,
Słońce nam zawżdy świeci, dzień nigdy nie schodzi,
Ani za sobą nocy niewidomej wodzi;
Twórcę wszech rzeczy widziem w jego majestacie,
Czego wy w ciele będąc próżno upatrzacie.
Tu w czas obróć swe myśli, a chowaj się na te
Nieodmienne synu mój! rozkoszy bogate.
Doznałeś, co świat umie i jego kochanie,
Lepiej na czem ważniejszem zasadź swe staranie.
Dziewka twoja dobry los (możesz wierzyć) wzięła,
A właśnie w swoich rzeczach sobie tak poczęła,
Jako gdy kto na morze nowo się puściwszy,
A tam niebezpieczeństwo wielkie obaczywszy,
Woli nazad do brzegu; drudzy, co podali
Żagle wiatrom, na ślepe skały powpadali —
Ten morzem zwyciężony, ten od głodu zginął,
Rzadki, coby do brzegu na desce przypłynął.
Śmierci zniknąć nie mogła, by też dobrze była
Onę dawną Sybillę wiekiem swym przeżyła,
To, co miało bydź potem, uprzedzić wolała;
Temże mniej tego świata niewczasów doznała.
Drugie po swych najmilszych rodzicach zostają
I ciężkiego sieroctwa nędzne doznawają:

Wypchną drugą za męża leda jako z domu,
A namiętność zostanie, sam to Bóg wie komu;
Biorą drugie i gwałtem, a biorą i swoi;
Ale i w hordach część się wielka ich zostoi,
Gdzie w niewoli pogańskiej i w służbie sromotnej,
Łzy swe piją, czekając śmierci wszystkokrotnej.
Tego twej wdzięcznej dziewce bać się już nie trzeba,
Która w swych młodych leciech wzięta jest do nieba,
Żadnych frasunków tego świata nie doznawszy,
Ani grzechem dusze swej drogiej pomazawszy.
Jej tedy rzeczy synu! (nie masz wątpliwości)
Dobrze poszły, ani ztąd używaj żałości;
Swoje szkody tak szacuj i omyłki swoje,
Abyś nie przepamiętał, że baczenie twoje
I stateczność jest droższa; w tę bądź przedsię panem,
Jako się kolwiek czujesz w pociechy obranym.
Człowiek urodziwszy się zasiadł w prawie takiem,
Że ma bydź jako celem przygodom wszelakim;
Z tego trudno się zdzierać; pocznijmy co chcemy,
Jeśli po dobrej woli nie pójdziem, musiemy;
A co wszystkich jednako ciśnie, nie wiem czemu
Tobie ma bydź synu mój! niecięższej jednemu?
Śmiertelna, jako i ty, twoja dziewka była,
Póki jej zamierzony kres był, póty żyła,
Krótko wprawdzie, ale w tem człowiek nic nie włada,
A wyrzec też, co lepiej? nie łacno przypada.
Skryte są pańskie sądy; co się jemu zdało,
Nielepiej żeby się też i nam podobało?
Łzy w tej mierze niepłatne; gdy raz dusza ciała
Odbieży, próżno czekać, by się wrócić miała.
Ale człowiek nie zda się praw szczęściu w tej mierze,
Że szkody pospolicie tylko przedsiębierze,
A tego baczyć nie chce ani mieć w pamięci,
Co mu też czasem padnie wedle jego chęci.
Tać jest władza fortuny mój najmilszy synie!
Że nie tak uskarzać się, kiedy nam co zginie,
Jako dziękować trzeba, że wżdam *) co zostało —
Bo to wszystko nieszczęście w ręku swoich miało.
A tak i ty, folgując prawu powszechnemu,
Zagrodź drogę do serca upadkowi swemu,
A w to patrzaj, co uszło ręku złej przygody;
Zyskiem człowiek zwać musi, w czem nie popadł szkody.
Nakoniec: w co się on koszt i ona utrata,
W co się praca i twoje obróciły lata,
Któreś ty niemal wszystkie strawił nad księgami,
Mało się bawiąc świata tego zabawami?
Terazby owoc zbierać z swojego szczepienia
I ratować w zachwianiu mdłego przyrodzenia.
Cieszyłeś przedtem insze w takiejże przygodzie —
I będziesz w cudzej czulszy, niźli w swojej szkodzie?
Teraz mistrzu! sam się lecz, czas doktór każdemu;
Ale kto pospolitym torem gardzi, temu
Tak próżnego lekarstwa czekać nie przystoi;
Rozumem ma uprzedzić, co insze czas goi.

A czas co ma za fortel? dawniejsze świeżemi
Przypadkami wybija — czasem weselszemi.
Czasem też z tejże miary, co człowiek z baczeniem
Pierwej, niż przyjdzie, widzi i takiem myśleniem
Przeszłych rzeczy nie wściąga, przyszłych upatruje
I serce na oboję fortunę gotuje.
Tego się synu! trzymaj, a ludzkie przygody
Ludzkie noś; jeden jest pan smutku i nagrody.
Tu zniknęła, jam się też ocknął — aczciem prawie
Nie pewien, jeślim przez sen słuchał, czy na jawie.

EPITAFIUM

Hannie Kochanowskiej,

I tyś Hanno! za siostrą prędko pospieszyła
I przed czasem podziemne kraje nawiedziła,
Aby ojciec nieszczęsny zaraz odżałował
Wszystkiego, a na twarósze rozkoszy się chował.

KONIEC.

Nadziei nietrzeba tracić — Pieśń (Jana Kochanowskiego.)

Nie porzucaj nadzieje,
Jakoć się kolwiek dzieje:
Bo nie już słońce ostatnie zachodzi,
A po złéj chwili piękny dzień przychodzi.

Patrzaj teraz na lasy,
Jako przez zimne czasy,
Wszystkie swą krasę drzewa utraciły,
A śniegi pola wysoko przykryły.

Po chwili wiosna przyjdzie,
Ten śnieg zniénagła zyjdzie,
A ziemia skoro słońce jéj zagrzeje,
W rozliczne barwy znowu się odzieje.

Nic wiecznego na świecie:
Radość się z troską plecie:
A kiedy jedna weźmie moc największą, [1])
Wtenczas masz ujrzeć odmianę najprętszą.

Ty nie miéj za stracone,
Co może być wrócone:
Siła Bóg może wywrócić w godzinie:
A ktomukolwiek ufa, nie zginie.

[1]) Największą.

Wyjątki z Poematu: Wiosna.

Ewalda Kleista

przekład Jana Zawadzkiego. —

1.

Przyymcie mię, cienie święte, krzewiste sklepienia,
Przyymcie mię, duchem wieszczym natchnionych me pienia!
Bym kreślił odmłodniałéy przyiemność natury!
Wy zaś kwieciste błonia, lasy, łąki, góry,
Wonią tchnące doliny, umaione niwy,
Wśrzód was, pragne rozkoszą oddychać szczęśliwy;
Wśrzód was, przyiemne w lutni obudzaiąc dźwięki,
Waszą wesołość, wasze głosić będę wdzięki.
Niechay mym śpiewom głośne Echo towarzyszy,
Niech ie wdzięczny poranek, niech ie wieczór słyszy.
Na różowym obłoku, kwieciem wieńcząc skronie,
Spuszcza się młoda Wiosna, twarz skromnością płonie,
Tchnienie iéy rzeźwi ziemię. Toczą się z gór śniegi,
I strumienie wezbrane zarywaią brzegi.
Mgły gęste topią łany, w tém nowe iéy tchnienie,
Łagodnieyszém powietrzem wypełnia przestrzenie.
Pije deszcz ziemia, strumień znów się łoża trzyma
Otoczonego trzciną. Uchodząca zima
Wprawdzie z nocą przestrachy ponawia w naturze,
To śniegi, to szron sypiąc. Rozhukane burze,
Burze z trzaskiem północne rzuciwszy iaskinie,
Szumią wśrzód lasów, walczą na morskiéy głębinie.
W tém za wtórym rzeźwiącym istoty oddechem,
Ciszy się przestrzeń, burze uchodzą z pośpiechem.
Świeży kwiecie okrył łąki, wiąz schylony laty,
Orzeźwia się, zielone przywdziewaiąc szaty;
Brzmią pienia wkoło, słońce widzi się w strumieniu,
Iskrzy się strumień, wonia w całém przyrodzeniu;
A pastuszek co zdala na flecie przygrywa,
Swoiém pieniem do uciech, do rozkoszy wzywa.

Wyjątek drugi.

Lecz rzuciwszy szczęk broni, rzuciwszy dumanie,
Pójdź Muzo skromne kmiotka odwiedzieć mieszkanie.
Twych oczu tam nie zwrócą iakiéy sztuki ślady,
Kunsztowne skały, groty, źrzódła wodopady.
Drzewo, pod ktorém przodki siadały przed laty,
Od trzech wieków iest cieniem, iest ozdobą chaty.
W podwórzu staw, tam złudzon rozkoszą przyiemną,
Niebo nad sobą, niebo oglądam podemną.
Przy brzegu kokosz płonną obawą przejęta,
Zwołuie wylęgnięte niedawno kaczęta,
Ale płód niewzruszony, niewdzięczny i płochy,
W trzcinie przed troskliwością kryie się macochy.
Bliżéy gąsiory skrzydła rozpostarte wznoszą,
I gniewliwém ksykaniem czuynego psa płoszą.
Tam znów z koszyczkiem małym w ręku dziewczę skrzętne
Ucieka, przez kurczęta ścigane natrętne;
To uwodząc ie znagła, w kręte ścieszki stroni,
To znów staie, złociste ziarno sypiąc z dłoni,
I odchodząc z zakłóceń śmieie się wzaiemnych.
Tam śnieżny królik z lochów wyglądaiąc ciemnych,
Słucha, drży i lękliwy uchodzi z pośpiechem.
Tu gołębica gniazdo rzucaiąc z uśmiechem,
Czesze grzbiet nóżką, skubie rożanne kolanka,
Wnet na dach, do lubego spieszy się kochanka;
Lecz on gniewliwy, winne obraca się strony.
W krótce przyiemném pięknéy pochlebstwem wzruszony,
Grucha, — miłą oboie rozkoszą poieni,
Wznoszą się ku obłokom, i nikną w przestrzeni.
Sad bliski nowych we mnie budzi tłum uniesień.
Kwieciem wiosna, owocem ozdabia go iesień.
Ach! iakie wdzięki, iakie widoki mamiące!
Błędne oko i serce porywaią drżące.
Lekki Zefir wśrzód pieszczot z kwiatów woń unosi,
Igra z chmurą, z nią spada i zwiędły liść rosi.
Przez gęstwinę, przez lasek leszczyny ponury,
Widać błękitne niebo, powleczone chmury.
A łąk, iezior, gór, dolin, widok pomięszany,
Niepewne oko moie chwyta na przemiany.
Zwiedźmy naprzód kray Flory. Któż, o tulipanie!
Nadał ci wszystkich słońca kolorów igranie!
Witay królowo roślin! witay boski kwiecie!
Tysiącznolistna różo, wiosny lube dziecie!

Wyjątek trzeci.

Patrz Muzo! oto w biegu rączonogie konie,
Lekkim kopytem depcą różnofarbne błonie,
Brzmią wesołém ich rżeniem doliny i gaie,
A obudzone echo rżenie to oddaie.
Tam krów stado, którym byk poważny przewodni.
Przez zarosłe folwarku trzęsawisko brodzi;
Za tém winnica, w kształcie gęstego obłoku,
Daleką spragnionemu kryie przestrzeń oku.
Lecz cóż to? nikną chmury, iutrzenki blask złoty
Szerzy dzień, iuż skowronek lekkiemi poloty
Wznosząc się nad doliną, przez wdzięczne swe pienie
Zdaie się orzeźwione witać przyrodzenie.
Staie oracz, przyiemnym odgłosem zdziwiony,
Słucha, wnet pługiem czarne przewraca zagony;
Za iego śladem zwolna skrzętny siewacz kroczy,
Z iego oblitéy dłoni złoty deszcz się toczy.
Tam znowu rozproszone skrzętnych pszczół gromady,
Biegnąc od koniczyny, do słodkiéy stokroci,
Wiszą na niéy, iak rosa, którą Xiężyc złoci;
Wnet pełen wosku, pełen przyiemnego miodu,
Płód pracy do skromnego biegną złożyć grodu.
Obraz męża, co zwiedza pilnie obce kraie,
Ciśnie się w tłumy ludu, śledzi obyczaie,
By powróciwszy w źrzódła mądrości bogaty,
Przykładał się do szczęścia ziomków i oświaty.

Wyjątek czwarty.

Więc zieleńcie się łąki, zieleńcie się gaie,
Niech wasz widok serc czystych rozkoszą się staie.
Gdy zazdrość z dumą ścigać mnie będzie szaloną,
Wy bądźcie tarczą moją, wy moją ochroną.
Niech mi z was Zefir wieie, niech znękane znoiem
Nienaruszonym serca napełnia pokoiem.
Wśrzód was myśli się moie ku temu uniosą,
Co zimno koi słońcem, upał chłodzi rosą.
Wśrzód was imieniem iego przestrzeń będzie brzmiała;
Wśrzód was powtórzę z niebem: chwała Stwórcy! chwała!
A gdy doczesne życie, na wieczne się zmieni;
Niech spokoynie wśrzód waszych odpoczywam cieni.

Wiersz do Boga.

Potężny w niebios łonie utaiony Boże! (rzył,
Coś twém słowem wszechmocném *stań się* wszystko stwo-
Niebo, xiężyc, i słońce, gwiazdy, ziemię, morze,
Coś stworzeniom dał życie, i wzrost ich rozmnożył,
Przyymiy ieźlić podoba, z ust lepianki chwałę,
Przyymiy duszę i serce, skarby moie całe.

Niechay moią modlitwa do ciebie zaleci,
Niech odbiie swe echo w wszystkich ścianach nieba!
Gdzie odbierasz cześć, pokłon od światłości dzieci,
Ktorą ci wydrzéć chciały mieszkańcy Ereba.
A ięzyk móy z czułością dobroć twą opowie,
Tam gdzie tron twóy na barkach noszą aniołowie.

Oycze świata kochany! Oycze nasz iedyny!
Tak się nazwać kazałeś, ty co iesteś w niebie,
Święć się imie twe! śpiewa ziemia z swemi syny.
Z wolą twoią złączonym day pokarm w potrzebie;
Odpuść winy grzesznika, my krzywdy daruiem;
Nie wodź nas na pokusy, bo pod złém szwankuiem.

O! ktożby mi dać raczył, abym od win wolny,
Od namiętności kaydan był oswobodzony!
Na ów czas zgiąłbym umysł hardy i swawolny,
Byłbym pewien twéy łaski i moiéy korony.
Lecz pokąd ciężar ciała mego dźwigam, proszę,
Trzymay mnie, bym nie upadł, gdyż ia słabosc noszę.

* * *

Piosnka Flisa.

przez Zefila Lenartowicza.

Héj retmany! retmany!
Pójdźcie nad brzeg wiślany,
Słoneczko wam przyświeci,
Kulik przodem poleci,
I ten bocian daleki,
Tęskny do naszéj rzeki,
I ta wronka siodłata,
Co nad sosny podlata,
I kruki niespokojne,
Co się kupią na wojnę,
Co się chmurą tak garną,
Że na śniegach aż czarno;
Poleci i skowronek,
Żeby ośpiewać dzionek,
I po wodzie, po szklistéj,
Wiatr powieje ojczysty.
Oj Stachu, miły Stachu!
Oj ciecze woda z dachu,
Oj wiosna da wiosenka,
Niedługo lód popęka!
Oj zima, twarda zima
Oryla [1]) w chacie trzyma,
Pod śniegiem trawkę młodą,
A jaskółkę pod wodą.
Oj zima, twarda zima,
W chałupie drzewa nie ma,
Ni chróstu na ognisko,
A słonko jeszcze nisko.

Ptaszek się w wodzie pluska,
Do lasa jedzie zwózka,
Wyciągaj Stachu wiosła,
Bo woda lód podniosła.
Pan Jezus oj łaskawy!
Niedługo przyjdą spławy,
A do kalety grosze,
Co ją na sobie nosze.

.....

Oj daléj Stachu daléj,
Pośrodkiem kra się wali.
Sroga jakby moc boża
Wisła się rwie do morza;
A my dzieci téj wody
Na hulanki, przygody,
Na galary a śmiało,
Ażeby aż zagrzmiało.

Z ALBUMU PIESNI.

III.

NA ZGON POEZYI.

Nie! nie umarła, jak to próżno głoszą,
Ta jasnych krain pani i królowa,
Co serca ludzkie napawa rozkoszą;
Żaden jej grabarz pod ziemię nie schowa,
Nie stłumi natchnień, które pierś jej wznoszą,
Nie skazi wdzięku cudownego słowa,
Bo nim ją w piasku mogilnym pogrzebie,
Już z nową jutrznią zabłyśnie na niebie.

—

Ci, którzy ciągle mówią o jej zgonie,
Czyliż nie wiedzą, że ma żywot wieczny
W piersiach ludzkości i w natury łonie,
Że się odnawia w jasności słonecznej,
W ogniu miłości, co wieczyście płonie,
I czarodziejsko w jeden węzeł splata
Marzenia ludzi z pięknościami świata.

—

Czyliż nie wiedzą, że ona jest wszędzie
Rozlaną w całej błękitów przestrzeni,
Że ciemnych jaskiń przenika krawędzie,
I świeżym liściem w gruzach się zieleni,
A choć zużyte porzuci narzędzie,
Choć dawne swoje koryto odmieni,
To w nowych myślach, uczuciach lub czynie,
Naprzód z wezbranym prądem życia płynie.

—

Po cóż więc trwoga o jej przyszłe losy?
Czyliż zabraknie wiosennych błękitów?
Czyliż zabraknie łez ożywczej rosy,
Snów bohaterskich, miłosnych zachwytów?
Czyliż ucichną tajemnicze głosy
Stłumionych westchnień i rozpaczy zgrzytów?
I czyliż wszystko w nicość się rozwieje,
Co żywi całych pokoleń nadzieje?

—

Nie! nic nie zginie z uczuć przędzy złotej,
Choć wzór powolnej ulegnie przemianie —
Zawsze tak samo młodych skrzydeł loty
Wzbijać się będą nad ciemne otchłanie,
Zawsze te same słowicze tęsknoty
I żądza szczęścia ta sama zostanie,
I sercom ludzkim śpiewną da wymowę:
Dźwięki tak znane, a tak wiecznie nowe!

—

Niewczesne wasze żale, o wróżkowie!
Co nieśmiertelnej śmierć wróżycie pewną;
Ona się w martwem nie zamyka słowie,
Nie jest zaklęta w marmur ani drewno,
Lecz ma sklepienia niebios za wezgłowie,
A na usługi sfer harmonię śpiewną,
I rządzi z góry sercem niewolnika..
Jak chce zstępuje—i kiedy chce znika.

—

Ona żyć będzie, choć jej oddźwięk zgłuchnie
W lutniach śpiewaków i w sercach słuchaczy;
Ona w grobowem przechowa się próchnie,
Przetrwa mrok zwątpień i burze rozpaczy,
I świeżym ogniem w przyszłości wybuchnie,
I świat ją znowu schodzącą zobaczy,
Biorącą berło, by rządzić wszechwładnie,
I znów z miłością do nóg jej upadnie.

=

Ta trumna, którą do grobu składacie,
Zawiera tylko kształt jej już przeżyty...
Uwiędłe kwiaty na jej ślubnej szacie,
Woń znikającą, lutni dźwięk rozbity...
Wolno wam płakać po kochanki stracie,
Co w was młodzieńcze budziła zachwyty,
Ale nie wolno orzekać—że ona
Dla serca ludzi na zawsze stracona.

—

Wy się nie troszczcie o nią—o wróżbici!
Bo ona w piasku mogilnym nie leży,
Lecz dawnych marzeń potargane nici
Przerabia w ciszy na strój inny, świeży,
W którym znów serca stęsknione zachwyci
Nowych kochanków i nowych rycerzy.
Nie płaczcie nad nią—bo ona w obłoku
Na chwilę tylko uszła ludzi wzroku.

(Z Wiktora Hugo).

Skromny kwiat mówił: — blaskami świecisz
Piękny motylu!
Jam uwięziony na swym badylu...
Ty, — gdzie chcesz leciszl...
Tak byśmy byli, w naszej ustroni,
Szczęśliwi... sami...
My; — tak podobni, — zwą nas kwiatami
Barwy i woni!
Niestety! ziemia mnie więzi, — ciebie
Wiatry wciąż gonią,
Ach! chciałbym śledzić oddechu wonią
Twój lot po niebie...
Gdy między kwiaty błądzisz pięknemi.
Próżne marzenie!...
Muszę — przykuty, patrzeć na cienie
Pod stopy memi.
Błądzisz wciąż dalej, jaśniąc barwami,
Ty słońca dziecię!
I mnie znajdujesz codzień o świcie...
Zlanego łzami...
By nam miłości ciekły dni jasne
Mój ukochany!
Przyjmij me ziemskie smutne kajdany,
Daj skrzydła własne.

LETNI WIECZÓR.

Już zaszedł nad doliną
Złocisty słońca krąg —
Ciche odgłosy płyną
Z zielonych pól i łąk.

Dalekie ludzi głosy,
Daleki słychać śpiew,
I cichy szelest rosy
Po drżących liściach drzew.

Promieni gra różana
Topnieje w sinej mgle,
A świeży zapach siana
Skoszona łąka śle.

Wraz z wonią polnych kwiatów,
Z gasnącym blaskiem zórz,
Cicha poezya światów
W głąb ludzkich spływa dusz.

W półcieniu pierś olbrzymią
Podnoszą widma gór,
Nocnemi mgłami dymią,
Wdziewają płaszcze chmur.

I wiążą swoje skrzydła
Podarty kryjąc stok,
Jak senne malowidła
Powoli toną w mrok.

Wieczoru blask niepewny
Oświetla obraz ten —
Ludzie w zadumie rzewnej
Gonią piękności sen.

El-y.

* * *

Lubię błądzić samotny wśród ciszy cmentarza,
Pośród mogił, pomników... zdaleka od wrzawy,
Myślą groby przenikać — zapuszczać wzrok łzawy
W te obrazy ponure, co myśl smętna stwarza.
Ile schronionych uczuć, łez, trosk i boleści;
Ile z gorączki życia wysnuwanej przędzy...
Heroizm obok głupstwa, próżności lub nędzy
Pod grobowców kamieniem dziś cicho się mieści!
Mogiła swoim chłodem ileż burz ostudzi!?
Ona jest wielką księgą:—i w niejednej duszy
Takie myśli i struny ukryte poruszy...
Jakich księga mądrości ludzkich nie obudzi!

Stefan-Anastazy.

PO KONCERCIE.

(Fragment).

Kocham ja lirę—lecz lirę tak dźwięczną,
Jako szemranie strun arfy Eolskiej,
Albo jak szmery starej lipy polskiej,
Gdy gałązkami śpiewa w noc miesięczną.
Kocham ja lirę, co ją dziad wyciosał
Niezgrabną dłonią, z uschniętego drewna;
Lecz już zginęła taka lira śpiewna,
A i ten umarł, co pieśni z niej krzesał,
Jak żar z krzemienia...
I drzewa już niema
Na owe liry—bo je w pień wycięto,
I dziadów niema, co grali pieśń świętą
U progów cerkwi.—
Dziś, gdy przyjdzie zima
I śniegi białe na polach pokładzie,
Pieśń wyfraczona żyje na estradzie,
I wyuczona mądrze, tresowana
Jak koń hecarski, wykręca się w koło,
I łamie kształt swój w najdziwniejsze nutki.
Lecz nie wywoła zadumy na czoło,
Ani poruszy stare w sercach smutki,
Ani drgać każe tym strunom, co w duszy
Są nawiązane, jakby w teorbanie...
Zadziwi swoją zręcznością, ogłuszy
I oszołomi człowieka to granie,
Ale nie zdoła porwać całej rzeszy,
I nie roztkliwi—ani też pocieszy,
Ani pokrzepi...
O! prawda to święta,
Że siła pieśni mieszka w jej prostocie,
Jak dźwięk we srebrze i jak blask w klejnocie.
Że pieśń nie lubi, jeśli ją kto spęta
I pognie dziwnie i w foremki wtłoczy,
I wszystkie ducha pragnienia i smutki
Na takty porwie—posieka na nutki,
I poszarpane da tłumom przed oczy...
Może to teraz tak modnie i pięknie;
Ale wspanialsza ta pieśń, co jak jęknie,
To wszystkie serca jękną z nią zarazem,
Co jak uderzy, to jakby żelazem,
Co jak zapali—to drgnie każda dusza
Że nosi w sobie dar Prometeusza,
Że święta iskra jeszcze nie ostygła.

Prostoto dawnych pieśni niedościgła,
Zaklęta w stare rapsody i psalmy!
Coś przez pustynie szła, pomiędzy palmy,
Piaski palące—prowadziłaś ludy
Dzieląc ich dolę i prace i trudy,
Coś bohaterów greckich w boje wiodła,
I coś uczyła jak czcić święte godła,—
Czyś ty umarła? Czy nie ma już ciebie?

O! jak nie umrze słońce, co na niebie
Jest wiekuistem źródłem świateł jasnych,
Tak ty nie umrzesz, lecz o siłach własnych
Powstaniesz znowu piękna w swej prostocie,
I śpiewać będziesz ludowi o cnocie,
I zabrzmisz jeszcze taką nutą dźwięczną,
Jako szemranie strun arfy Eolskiej,
Albo jak szmery starej lipy polskiej,
Co gałązkami śpiewa w noc miesięczną.

Klemens Junosza.

W TATRACH.

WODOSPAD SIKLAWY.

Jakaż to prządka snuje białe nici,
Które wśród głazów migają tak żywo,
Że je zdaleka ledwie wzrok pochwyci?
Jakaż to prządka rozpierzchłe przędziwo
Łowi po skałach strojnych w szarą pleśń,
I z drobnych nitek srebrną wstęgę przędzie,
I przez granitów przewiesza krawędzie,
Nucąc wieczyście jednobrzmiącą pieśń?

—

To wartki strumień szumiącej Siklawy
Zagarnia w koło śnieżne ścieżki gór,
Na nić swą czarne nawiązuje stawy,
I wiedzie głośny z kamieniami spór,
Powoli wzbiera siatką wód pajęczą,
I coraz głębiej pierś wąwozu porze,
I znika w ciemnej gardzieli otworze
Kończąc krajobraz wodospadu tęczą.

—

Skromny to potok! a jednak w swym biegu
Tyle piękności naszych gór jednoczy —
Chylą się nad nim ściany pełne śniegu,
I gonią za nim czarnych stawów oczy —
Za nim piętrami spadających wzgórz
Ciągną się gruzem zasłane rozdroża,
Jak falujące a zastygłe morza,
Co skamieniały wśród pierwotnych burz.

—

Skromny to potok! lecz tak wdzięcznym rzutem
Zamyka wąwóz na błękitów tle,
Tak pięknie ginie w wnętrzu skał rozprutem,
Znikając w tęczach, albo w sinej mgle!
Skromny wodospad nie ma w świecie sławy,
Lecz tak mu pięknie w ukrytej czeluści,
Gdy na wiatr wstęgi srebrzyste rozpuści
Skromny wodospad szumiącej Siklawy.

NIEŚMIERTELNI.

Przez mgłę czasu w otchłań wieków
Zaglądając — widać w dali
Pośród mętnych plemion ścieków,
Wśród burzliwej ludów fali,
Nieśmiertelnych, co przetrwali
Długą kolej pierzchłych wieków.

—

W próchnie ziemi, w dziejów pyle,
Rozjaśnione twarze świecą —
Ku nieznanej ich mogile
Duchy nowych mężów lecą,
By wyprosić światła nieco
Na jutrzejszą świtań chwilę.

—

Na świeczniku z trupich kości,
Niezgryzieni pleśnią rdzawą,
Stoją żywcem wśród ciemności
Nad przebrzmiałą życia wrzawą.
I płomieniem swym jaskrawo
Oświecają twarz ludzkości.

—

Każdy w swego wieku łonie
Całą jego myśl zawiera,
Ster przyszłości biorąc w dłonie
Nową jutrznię rozpościera,
A zaczęta przezeń era
Nieśmiertelne wieńczy skronie.

El-y.

Zostań! (·)

Hasłem sztuki myśl ludzką podnosić i ducha,
Elektryzować czucia uśpione zapały,
Lać strumień prawdy, kędy zwątpienia posucha,
Echem cnoty obudzać tłum zobojętniały,
Niezmiennym stać posągiem przy sztuki ołtarzu,
Aniołem życia jasnym na życia cmentarzu.

Matka poezja karmi cię piersią świetlaną,
Owiewa skroń natchnienia promienną koroną,
Dumny więc z ciebie rodak ugina kolano,
Rozumiąc blask twój, ciebie ubóstwia natchnioną;
Z każdego słowa twego i dźwięk i myśl pije,
Emalją tego słowa:—grą—w zachwycie żyje!...
I chcesz rzucić kraj, świetny wieść żywot tułaczy?
Ou snać bodźcem, zachętą dla twego zawodu?
W całym świecie podbijesz zdumionych słuchaczy,
Samotną jednak będziesz zdala od narodu,
Który woła rodzinnej mowy wyrazami:
Ach, rodzinna kapłanko sztuki! zostań z nami!

Agrykola.

(·) Pierwsze litery formują Imie i nazwisko znakomitej Artystki Heleny Modrzejewskiej.

W Imionniku Józefowi K.

(Kraszewskiemu.)

Oto xiężyc trupią twarzą
Po ruinach starych kroczy,
Liście z wiatrem o czemś gwarzą,
Smutno patrzą duchów oczy.
Drzemią w grobach mężе sławne,
Cichy wieczór śni w komnacie,
Swiecą w blasku zbroje dawne,
Wiatr drze chwasty w okien kracie:
Księgi prawa niezgorzałe
Popiół stroi w szaty białe.

Dawne czasy, czasy złote!
Mężne ojców naszych cięnie,
Na wspomnieniach, przez wspomnienie,
Widzę waszą dzielność, cnotę.

Cóż nad pamięć lepsze w świecie?
Ona jakby liście wina
Koło serca się rozpina,
Z myślą, z duszą węzeł plecie.

Ależ tego bóztwa ślady
Przyjaźn w sercach nie zostawi,
Przyjaźń co się tylko jawi
Jak cień zmarłych zimny, blady.
Chcąc w pamięci czyjéj zostać,
Trzeba zbawiać albo chłostać.

Ludzie biedni, ludzie marni
Nie pochlebnych proszą słówek,
Dajcie ziemi na podgłówek,
Na okrycie kawał darni.

Ja z tych ludzi ród wywodzę
W smutku każdy witam dzionek,
Jeślim chmurą na twéj drodze
W Loretański brzęknij dzwonek.

T. L.

F. Lenartowicz

Hellada...

Ziemski to raj!..
Ach! tam gdzie—w nocną ciszę,
Oliwny szumi gaj
I róże sieją woń!..
Morze lekko kołysze,
Swą szmaragdową toń,
Ujętą w cudne brzegi.
Tam szczyt Parnaskich gór,
Lśniącemi strojny śniegi.
Niebo bez chmur!...
Zeń gwiazd mdlejących rój...
Blaskiem na ziemię spada;
Kraj ten!—sen złoty mój!
Hellada!!

Ten kraj:—to czar!
Co owiał duszę moją
Rojem przeszłości mar!...
Z minionych budzę dni
Oręża szczęk pod Troją.
I Olimp mi się śni
I bogów cudne twarze
I nimf uroczych gwar..
I zachwycony—marzę:
Ten kraj—to czar!

Ten kraj:—to świat,
Zbudzony z mroków cienia:
Podniosłych uczuć kwiat—
I myśli pierwszy brzask—
Co ludzkość opromienia!
To sztuki święty blask,
Co swojem światłem chroni,
Piękności wieczny zdrój!..
I z pod Fidjasza dłoni—
Dał starych bogów rój!
To siedmiu grodów syna
Potężnej pieśni ton!...
Termopil! — Salamina!
Maraton!

Stefan Anastazy.

* * *

Szukaj do szczęścia drogi jaknajprostszej,
Kwiatów nie szukaj, szukaj cierni na niej;
Kwiat cię uwieńczy, jeśli cierń cię zrani,
Wszelka przeciwność odwagę zaostrzy.

Czesław.

POEZYE.

DWIE POTĘGI.

PRZEZ MARYĄ KONOPNICKĄ.

I.

Nicość chwyta za ramiona
I zapładnia ją oddechem—
Słońc miljonem roziskrzona,
Wirująca ich pośpiechem,
Światy wzrokiem swym zatacza—
Z mgławic stęża gwiazd miljardy—
I ciążenia zakon twardy
Globom pchniętym w bieg wyznacza.
Ima przestrzeń—waży bryły—
Wszechistnienia rodzi prawa—
Tchnie w przyrodę twórcze siły—
I dnia mieczem, noc rozkrawa.
Wieczność zowie jéj imieniem
W rozciągłości kształt zamyka
Falującéj żądzy drżeniem
Świetlny eter wskroś przenika.
Dzwięk dostraja—promień łamie—
Pręży gazy—studzi śniegi
I potęgi swojéj znamię
W pierwobytów tchnie szeregi.
Węzeł przyczyn dzierży w dłoni—
Rozpryskuje się w atomy
Tryska w blasku—w barwie—w woni
Głos jéj cisza—słowo gromy.
Turkusowy pierścień morza
Ziemi daje w upominku—
Wichrem rzuca się w przestworza—
Lądy rzeźbi dla spoczynku.
Popęd rzuca jako strzałę—
Z części wiąże całość bytu—
W pąkach zwija róże białe
I dogląda ich rozkwitu...
Czas, to ona—ruch, to ona;
W nieskończoność mknie jéj droga —
Słońc miljonem roziskrzona,
Bezgraniczna.

To myśl Boga.

II.

Świadomość w bezwiedzę tchnięta—
Płomień zamknięty w krysztale,
Nurt, co brzegów zrywa pęta
I pod chmury ciska fale...
Budzi się—drży—wzmaga skrzydła—
Potężnieje—świat rozpiera—
Słońca promień chwyta w sidła—
I milczeniu głos wydziera.
Przestrzeń zwija niby kartę—
Ruch ujarzmia—czas zdobywa—
Na materją nieodparte,
Kładzie więzów swych ogniwa—
Prawdę chwyta obnażoną—
Podsłuchuje życia tętna
Rozłakniona i namiętna
Na przyrody pada łono.
Sto dróg przed nią, sto dróg za nią.
Wskroś ciemności tory bije—
Zawieszona nad otchłanią
Z żywych zdrojów wiedzę pije.
Martwe siły w jarzmo wprzęga—
Oceany szturmem bierze—
Tajemniczych głębin sięga—
Z huraganem ma przymierze—
Duch—jéj imię; czyn—jéj ciało,
Jéj dziedzina—prawa bytu.
Z snów świątynię stawia białą—
A z pewników—słup granitu.
Jéj sztandary—postać świata;
Bezcielesna, nieujęta,
Z płomienistych stosów wzlata—
I kajdanów zrywa pęta.
Skroń zbielała—krew przelana—
Wzgarda klątwy—nędzy łupy—
I tułactwa krwawa rana—
—To narodzin jéj okupy.
Rozproszonych prawd okruchy
Zebrać w całość—stać na czele
Ruchów świata—budzić duchy—
—Pojąć życie—to jéj cele.

Spromienione krople znoju—
Z własną głębią cicha zgoda—
Szczęście ludów—wiek pokoju—
Miłość bratnia—jéj nagroda.
Z bóstwem stapia się w zachwycie—
Z bohaterem w przyszłość leci—
Z mędrcem czuje bieg stuleci—
A z geniuszem—stwarza życie.
Wzlata—pada—znów powstaje—
W wiekuistość się obleka—
Ideałom ciało daje—
Posiew wieków....

Myśl człowieka.

ZŁOTA KOLEBKA.

PRZEZ LUDWIKA NIEMOJOWSKIEGO.

Gdy z brzaskiem życia przez pierwsze łezki,
Jakiemiś dziecię świat ten witało
Promień się światła przedarł niebieski,
Wszystko ci błysło szczęściem i chwałą.
Pośród pałaców w kolebce złotéj
Przezroczą gazy w krąg osłonięte,
Miałoś usłużnych nianiek pieszczoty,
A karm ci dały piersi najęte;
Posłaniem był ci mięciutki puszek,
Wezgłowiem jedwab', batyst osłoną,
A herb złocisty u twych poduszek
Z książęcéj mitry splótł się koroną:

Świat zlał na ciebie przepych, dostatki,
Tylko opiekę wydarł ci matki.

Matka.... wszak Matka? toć ona dziecię
Płód krwi swéj własnéj szczerze kochała,
Ona dlań chętnie niosłaby życie
Lecz względów świata święcić nie śmiała.
Ledwie się z łoża cierpień podniosła
Już nią owładła rozkosz ponętna,
A wśród rozkoszy co w zmysły wrosła
Zmilkły matczynéj miłości tętna;
Chciała, niemogła—bo gdy z uściskiem
Biegła do dziecka, wnet żądza pusta
Uciech, zawarła przelotnym błyskiem
Do pocałunku otwarte usta;

A dłonie drżące chęcią pieszczoty
Zwisły przy syna kolebce złotéj.

Malutkie dziecię stało się chłopcem,
Roztlał blask wiedzy w natchnień iskierce,
Lecz świat serdeczny był dziecku obcym
Bo go matczyne nie zgrzało serce,
Bo na jéj miejscu przybyszów zgraje
Kształciły w umie latorośl młodą;
Wdrażało cudzych ludów zwyczaje
Każąc skroń korną chylić przed modą.

I chłopię wątłe z wybladłém czołem,
Z okiem co dziwnym świeciło blaskiem,
Widząc jak wszyscy wielbią go społem,
Gnało za marném pochlebstw oklaskiem....

Gnało, a pośród owéj gonitwy,
Rąk nie umiało spleść do modlitwy!

Chłopiec wzrósł w męża—wzrokiem pogardy
Mierzył one czyny miłości bratniéj,
A umysł jego dumny i twardy
Zćmił w sercu promień uczuć ostatni.
Skąpany w chłodzie, z zimnym obliczem,
Patrzył na straszne ludu katusze,
Świętość, cześć, cnota były dlań niczem,
Wszystkiém—ów cynizm co wżarł się w duszę!
Za nic miał ludzkość—wiekowe skargi
Cierpień, nie brzmiały mu w czyn braterstwa,
A jeśli skrzywił wybladłe wargi
To wtedy parsknął śmiechem szyderstwa!

Bo to, co mężom cnót daje hasło
Już u kolebki dziecka zagasło.

Niewiasto-Matko! gdyś płód krwi własnéj
Precz odtrąciła, gdy promień złoty
Przyszłości dziecka zgasł w swerze ciasnéj
Służalczych pochlebstw, płatnéj pieszczoty;
Kiedyś w istnieniu żywota całém
Spaczone wieku żywiąc pojęcia,
Święciła (uciech popchnięta szałem)
Wszystko dla świata,—nic dla dziecięcia!
Bóg który w blasku swojéj potęgi
Śledzi rodowe życia wypadki,
W sprawiedliwości zapisał księgi
Niewiarę syna i płochość matki;
A grzech co z braku wyrósł miłości
Zwiśnie wam karą w dziejach przyszłości.

ŻYCIE.

PRZEZ BOLESŁAWA LONDYŃSKIEGO.

Życie! .. Cóż to jest życie?—To lampa przyćmiona,
Zawisła od fantazyi możnéj losu ręki:—
Podniesie knot do góry—światło się rozjaśni—
To chwila, kiedy wolni od cierpień i męki
Żyjemy jak w marzeniu, żyjemy jak w baśni;—
Przyćmi ją—nikną baśnie i marzenie kona
Płomień drgnął:—to nadzieja—i jéj nikną wdzięki
Jeszcze chwilka... drgać przestał—komedja skończona!...

PRZYSZŁOŚĆ.

PRZEZ BOLESŁAWA LONDYŃSKIEGO.

Braterskim węzłem złączą się ludy,
Duch Przenajświętszy oczyści świat,
Znikną nienawiść, fałsze i brudy,
Skruszą się więzy zła i obłudy,
Nikt nie zabije, nie będzie kradł!....
I prawda święta zabłyśnie wszędzie,
I kast nie będzie—wrogów nie będzie,—
Nie wzniesie ręki na brata brat!....

* * *

Jedno wyznanie na świecie będzie,
Jak jeden tylko jest Wielki Bóg.—
I dawne życie lepszém się zaćmi,
I wszyscy ludzie staną się braćmi:—
Nie będzie panów—nie będzie sług!...
Nadziemska rozkosz świat cały czeka:
Bliźni w swym bliźnim znajdzie człowieka,—
I ziemia Bogu wypłaci dług!!

NA WŁASNYCH ŚMIECIACH.

GAWĘDA

PRZEZ LUDWIKA NIEMOJOWSKIEGO.

Pan Kuźma co za młodu po świecie wędrował
Był w Paryżu, Londynie, ba tam gdzie pieprz rośnie
Tym kształtem się przed wojskim w dykcyi sub- [mitował:
Wierzaj mi cny sąsiedzie iż nie mówię sprośnie
Dla aści karmię afekt gorący a szczery
Zawżdym jego personę w wielkiéj miał estymie
Więc zasię panu memu rzeknę bez kozery:
Człek akcyą jeno żyje a w stagnacyj drzymie.
Sklęsnąć na własnych śmieciach dobrze jest dla
Albo też chudeusza bez tynfa w kalecie, [dziada
Lecz mąż zdrowy a silny z fortunką nie lada
Winien zbadać wsze kraje i otrzeć się w świecie.
Jakiż to żywot proszę wśród gleby wciąż szperać,
Obszerne pole działań w drobny kątek zwężyć,
Harować się z czeladką, siać, orać i zbierać,
I cały wiek istnienia marnie przemitrężyć.
Wszakże leżąc na miejscu w mech porasta kamień,
Żelazo rdzą się śniedzi, traci blask swój złoto;
Czyż więc człowiek zwładnięty czarną złudą [marzeń,
Raz z cholew swych nie strząśnie starych ma- [ksym błoto?!

Zwertowałem świat Boży mosanie na okół,
Badając życie tworów i obyczaj ludów;
A potem jak ów z górnych stref zwabiony sokół,
Wróciłem do swéj chaty syt chwały i trudów,
Otoczony sąsiady lub gronem młodzieży,
Prawię o tem o owem, a one chudziątka
Które nic nie widziały prócz kościołka wieży,
Dziwią się, chcąc z słów treści dojść mych ga- [węd wątka.
Na ten przykład, zważ waszmość, co to ów kraj [włoski:
Tam w zimie nikt jak u nas nie dmucha w swe
Ale rad się wylega na słońcu bez troski, [pięście,
Czerpiąc w złocistéj czarze niezachwiane szczęście;
Kwitną mu wciąż pod nosem róże i konwalje,
Cytryn, fig, pomarańcz ma zawżdy do syta,
Popija czekoladę, zajada bakalje,
Nie troska się przyszłością, o jutro nie pyta.
Paryż zaś mosterdzieju, gród z rozumu znany,
Tam wszelkiéj kultury krzewi się ogłada,
Niema Maćków i Bartków jeno same pany,
A pędrak... choćby tyli. po francuzku gada.
W Londynie, zimny anglik więzi w ustach słowo,
Skąpy dykcyją lecz za to w pomysłach bogaty
Bąknie coś, machnie ręką, lub też kiwnie głową
I twórczością swą wprawia w zdumienie światy.
W ślad za nim kroczy niemiec, sztuka panie mądra
Nosi się krótko, kuso, a kłania bez miary;
Rozumy ludzkie zbadał do samego jądra,
Umiejąc zawżdy grosze zmieniać na talary.
Daléj zaś co krok różne widzieć można dziwy,
Ludzi z wełną na głowach, a czarnych jak [czarty;
Tu pod skałą wyrasta gad jakiś straszliwy,
Tam znow mrowią się dzikie hijeny, lamparty,
Więc przepaście wieczystą zakryte pomroką
W dna, których nigdy promień nie dolata słońca,
Więc góry jakich szczytu niedojrzało oko,
Obszary bez zieleni i morza bez końca,
Słowem jeżeli masz waszmość pochop do podróży
By poznać dokumentnie co poznać wypada,
Otrzęśnij się z barłogu i nie marudź dłużéj:
Sąć tynfy—ruszaj w drogę—taka moja rada!"
„Bóg zapłać panie Kuźmo, prawisz jak orator
Biegły w swoich wywodach—ale próżna zmuda
Kłaść mi w głowę te dziwy, jam zasię domator
I wolę swoje śmiecie niżli cudze cuda.
Szwab chytry, gładki francuz, mądry angliczanin
Mórz głębie, gór wierzchołki, obszar pełen piasku,
I z owczą wełną na łbie zczerniały poganin,
Toć to piękne dalipan—ale na obrazku.
Człek który cnót ojczystych w sercu zaród nosi,
Któremu sława przodków lśni czcią dobroczynną
Czci ludzkość, kocha bliźnich, obcą wielkość głosi,
Lecz nad wszystko miłuje swą ziemię rodzinną.

WIOSKA.

przez

ŁUCYANA KOŚCIELECKIEGO.

Jaśniejące
Kwiatem maju
Wstaje słońce
Z nad ruczaju
I godowe
Szaty wdziewa
Brylantowe,
Bo wypływa
Zadumane
Z wód pościeli,
Nieubrane
Jak z kąpieli...
Kryje lica
Zrumienione
Chmurek wiankiem,
Jak dziewica
Pod zasłoną
Przed kochankiem,
I ucieka
Pod obłoki
By z daleka
Siać uroki,
Bo się boi
Że wyjawi
Na swą szkodę
Komu z ludzi,
Jak się stroi
Jak się pławi
Jak się młode
Na świat rodzi.

* * *

Dolinami
Flet pasterza
Szle z wiatrami
Hymn przymierza,
A rzuć oko
Na lazury,
Heń wysoko
Po nad chmury,
Król pierwiosnek
W chmurce stoi
I do piosnek
Fletnię stroi.
Pod gwiazdami
Swawolnika
Szukaj okiem,
Jak susami
Znika, znika
Za obłokiem
I świergoce
Łącząc swemi
Piosneczkami,
Łzy sieroce
Biednéj ziemi
Z niebiosami

* * *

Dzwon z kościółka
Perły roni
Nawet pszczółka
Pacierz dzwoni—
I traw liście
I strumyki
Uroczyście
W takt muzyki
Zlane w jeden
Chór Eola,
Niosą w eden
„Bądź Twa wola.“

* * *

Ożył świątek...
Z białych chatek,
Patrzaj, śpieszą
Przed krynicę
Żwawą rzeszą
Krasnolice,
Ze śpiewkami
I kosami
A długiemi
Aż do ziemi,
Każda żywa
I radosna,
Urodziwa
Niby wiosna!
Niech Bóg broni
Jak cię zoczy!
Toż się spłoni,
Toż odskoczy—
Toż się kłania
Zastraszona
Niby łania
Przepłoszona...
Aż z daleka
Dumkę nuci
I ucieka
I niewróci.
Bo się wstydzi
Czarnobrewa,
Że ją widzi
Słowik z drzewa.
Gotów rankiem
Jasne zorze!—
Przed kochankiem
Zdradzić może...
Więc ucieka,
Jeszcze nuci
Coś z daleka,
Lecz nie wróci!
Rozchmurz czoło,
To w zwyczaju.

* * *

Zato w koło
Jakby w raju
Pod twe nogi
Złote kłosy
Pokłonami
Uderzają,
A wśród drogi
Ciemne wrzosy
Legendami
Rozmawiają:
Że bezdenny
I wieczysty
Czas wiekowy
Choć ucieka,
Ale zmienny
Choć kwiecisty
I cukrowy
Sen człowieka!

* * *

W dzień na łanach
Śpią samotne
Przy kurhanach
Wichry słotne;
Nocną rosą
Przez zagony
Żal swój niosą
Roztęskniony,
Co rozgłośnie
W każdéj stronie
Dźwięczy w dali
Aż żałośnie
Gdzieś utonie
W modréj fali.

* * *

Szukasz wrażeń—
Masz tu dziwa,
Snów i marzeń
Istne żniwa!
Ale żniwa
Nie posiane
Więc i dziwa
Zagrzebane.
Siéj, siéj ziarno
W rolę czarną!—

Chociaż w trudzie
Serce boli,
To sąd boski—
Żyj nadzieją,
Że na grudzie
Z Bożéj woli
Złote kłoski
Zajaśnieją.

A kto w biedzie,
Ten poszuka
Ziarna wszędzie—
Bo się zdarza,
Że nauka
W las nie idzie,
Siana w grzędzie
Gospodarza.

OT I RZECZ!

Uciekła nam przepióreczka w proso,
A ja za nią z wieczorową rosą,
Trzeba pójść się pani matki spytać
Czy nie lepiéj podniu będzie chwytać;
A tymczasem nim zaświta
Jeszcze wyspać się do syta,
Ot i rzecz.
Ej synalku świt już niedaleczko
Czuwać było ci nad przepióreczką,
Miast do matki się przychodzić pytać,
Bo jak tylko dzionek zacznie świtać
A przepiórka pójdzie w żyta,
Mądry będzie kto ją schwyta.
Ot i rzecz.
Więc ja nazad biegnę z ranną rosą,
Siedzę, patrzę się w zielone proso;
Już i południe cichuteńko idzie
A ja ciągiem dumam o méj biedzie,
Aż tu łąka kędy kładka,
Z dwojakami idzie matka,
Ot to rzecz.
Ej synalku! kiedy weszło słonko,
Przepióreczka była już za łąką
Bo uciekła gdyś ty chodził pytać,
Trzeba było wtedy w życie chwytać;
Ale teraz wyszła z żyta
To już synku z ptaszki kwita.
To jest rzecz.
Bo pamiętaj mój synalku miły,
Co masz w garści trzymaj to co siły
A gdy ci się raz wyśliźnie z ręki
To na razie goń, nie szczędząc męki;
A jak pytasz, pytaj w porę,
Bo do lotu ptaszki skore.
Ot w czem rzecz.
A no rozpacz zła jest sługa.
Niema ptaszki, będzie druga.

Zeta.

REMINISCENCYE JESIENNE.

PRZEZ ŁUCYANA KOŚCIELECKIEGO.

Ot kłamią ludzie, mówiąc że cierniowém
Łożem jest życie... ba, dobryś mój mości;
Kto żyć nie umie, temu i w puchowém
Ciernie i koście wpiją się do kości.
Żartem się żyło, żartem... ba, kochałem
Niegdyś szalenie—byłem przecie młody,
Alem nie umiał żyć i romans brałem
Nie podług serca, lecz podług metody.
Bodaj przepadli ci uczuć grabarze,
Którzy zbyt wcześnie uczą nas, piętnować
Pogardą świętéj miłości ołtarze,
Zmysły upadkiem ducha rozkoszować!...
Umiałem tylko szydzić, uśmiechnięty
Patrzéć w nią, badać jéj oczu otchłanie...
Kochałem w sposób dziwny, niepojęty,
Więc rzekła krótko „nudnyś ty mój panie.“—

* * *

Dziwny był romans, był to egzotyczny
Kwiatek w nieswojski klimat zaszczepiony...
Wiązał się zatem blady, sarkastyczny;
W niebie poczęty—nudą zakończony.
Dziś, po dniach wielu, gdy z uczuć rozlicznych
Śmiech pasorzyta pozostał z niecnotą,
Powracam nieraz do tych egzotycznych
Chwil zapomnienia myślą i tęsknotą...

* * *

Dziwny był romans... nitka snuta z haftu,
Przy któréj dłonie splotły się chwilami—
Czarowny widok letniego landszaftu,
Kędy igrały muszki z motylami....
Pamiętam, czasem w oczach jéj zabłysła
Łza, gdym szyderstwem wezbraną pierś drasnął—
I chmura gniewu nad czołem zawisła,
Co jak zagorzał, tak prędko i zgasnął.—
A taż mój Boże ciągłéj sprzeczki wena...
Ów żal następnie waśnią chwil straconych—
Te pojednania co w dźwiękach Szopena
Z ócz do ócz biegły światem słów natchnionych...
Drogie wspomnienia pierwszych chwil zachwytu
Co tyle skarbów garną w swéj nicości!
Dziś jeszcze echem budzą mnie z przesytu—
I patrząc na świat, tęsknię do młodości!...

* * *

Hej! hej! frunęły latka!... i kaduka
Warte to życie... ot, już człowiek stary.
Umieć żyć, iście wielka to nauka!
Gdyby raz wtóry młodym być! O czary!
Śmiesznem życzenie, które się nie ziści.
Westchnienia biegną ciężkie, używane,
Jak te, po szczytach drzew obranych z liści
Burzą jesienną wichry rozpętane!
Muzyka wronia w polu, a domowe
Szczęście: kąt próżny, chłodny jak asceta.
Na honor, nudne te październikowe
Dnie i to słońce, zimne jak kokieta.....

DO BŁAWATKA.

PRZEZ EMILIĄ LEJOWĄ.

Skromny kwiatku z ojców roli,
Czemuż na cię mimowoli,
Tkliwa płynie łza.
Czemuż po nad inne kwiaty,
Modrą barwę twojéj szaty,
Ceni dusza ma?
Tyś najmilszym lata wieńcem,
Choć ni róży lśnisz rumieńcem,
Ni masz fiołka woń.
Lecz nie chciwy świetnych losów,
Z gęstéj fali bujnych kłosów,
Drobną wznosisz skroń.
Och! ku tobie wzrok mój leci,
Tyś kochaniem wiejskich dzieci,
Tyś gwiazdeczką niw,
Twój wianeczek cudnie stroi,
Opaloną skroń dziewoi,
Na wszech oczu dziw.
I jak krasna ta dziewoja,
Tak bławatku postać twoja,
Skromnym wdziękiem lśni;
Jest rozkoszą, jest pociechą,
Pod wieśniaczą cichą strzechą,
W skwarne lata dni.
A gdy żniwa czas nastanie,
Na pożętym zboża łanie,
Smutny stoisz sam.
Jakbyś pragnął w całéj sile,
Dawno zbiegłe wiosny chwile,
Przypominać nam.
W zwojach żyta i pszenicy,
W wieńcu hożéj przodownicy,
Ty najdłużej trwasz.
I choć listki twoje zbladną,
W późne dzionki jeszcze ładną
Zawsze postać masz.
A w zimowéj nie raz porze,
Przypominasz w wiejskim dworze,
Tę przyszłości dal:
Gdy dni smętnych szereg zleci,
A twa główka znów zaświeci,
Wśród zbożowych fal.

PYTANIE SIEROTY.

Czy warto było na ten świat przychodzić,
By czasem śmiać się, a częściéj się smucić,
Chwilę uwierzyć, i znów się zawodzić,
Lecieć ku szczęściu, a w przepaść się rzucić?
Zamiast różowéj lub białéj sukienki,
Żałobne szaty przywdziewać w rozpaczy,
Zamiast wesołéj o szczęściu piosenki,
Żałosną nutą zniechęcać słuchaczy.

Żyć bez radości u obcych ogniska,
Bez serca ojca, bez matki pieszczoty,
Ukrywać smutek, który łzy wyciska,
Nosząc w swéj piersi ból wiecznéj tęsknoty.

Miłość gorącą, jak o głaz kamienny
Rozbić o serca, których nic nie wzruszy,
Pić piołun gorżki za napój codzienny,
I konać zwolna na samotność duszy!

I patrzéć—patrzéć osłupiałym wzrokiem,
Jako dla innych los zawsze bogaty,
Zdobi im życie chwil jasnych urokiem,
Pod stopy sypie, same szczęścia kwiaty.

Lecz trudno walczyć przeciw losu fali,
Trudniéj chcieć życia zagadki dochodzić,
A więc z pytaniem owém, idę daléj—
Czy warto było na ten świat przychodzić.

Zeta.

ZACOFANA.

Patrzaj dziewczyno! nieba się chmurzą
Zaszumiał las,
Rzuć dzban z jeżyną, uchodź przed burzą
Dopóki czas;
Albo daj rączkę i miast iść błoniem
My wskroś tych smug,
Przez jar i łączkę burzę przegoniem
Najkrótszą z dróg,
Kędy gąszcz sroga poprzez rozłogi
Gdzie płot za most
Najkrótsza droga chodzić bez drogi
Bo idziesz wprost.

Idziesz bez drogi piękny paniczu
Wśród leśnych smug,
A ja wśród trwogi w burzy obliczu
Najszerszą z dróg;
Nie bym myślała że tam źle brodzić
Przez leśną toń,
Lecz że wieś cała nawykła chodzić
Pośrodkiem błoń;
A że w ten samy dom nam po łanie
Czy przez kłód złom,
Toż się spotkamy, z Bogiem więc panie,
Nim huknie grom.

Zeta.

JASKÓŁKA.

PRZEZ MARYĄ KONOPNICKĄ.

I.

Z za morza powraca! ach, leci tu, leci
Jaskółka pod strzechę, pod naszą...
A cichoż ty bosa gromadko! sza, dzieci,
Bo krzyki ptaszynę wystraszą.
Ach, śpiesz się, dziewczyno, nie splataj warkoczy,
Do strugi za wioską bież strzałą,
Nim ptaszka w niéj skrzydła czarniawe umoczy,
Ty w wodzie twarzyczkę myj białą..
Jeżeli się uda ten wyścig z jaskółką,
I staniesz ty pierwsza u wody,
To słońce przez lato całując twe czółko,
Smagłością nie przyćmi urody..
Ty, chłopcze tęskniący, śledź bystrém spojrzeniem,
Gdzie ptaszka gniazdeczko zaściele,
Tam w późne dosiewki szlij swata z pierścieniem,
A w zapust wyprawiaj wesele...
Ty, młoda gosposiu, wybiegnij z wrzecionem
Nim w locie się zwinie jaskółka,
Cieniuchną niteczkę pasemkiem srébrzoném
Nawijaj, nawijaj na kółka...
A kiedy jesienią zaświécisz łuczywo
I siędziesz prząść lniane włókienka,
To nitka, jak ptaszek, okręci się żywo,
I równa, i mocna, i cienka...
Dziadusiu, babusiu, siadajcie u proga
Pod przyżbą, na ławie dębowéj,
Niech dla głów siwiutkich uprosi u Boga
Jaskółka ten roczek, ten nowy.
Ach leci, ach leci, powraca z za morza
Do naszéj wioskowéj zagrody,
I czarném skrzydełkiem pozdrawia rozdroża,
I łąki, i pola, i wody...

II.

„Witajcie, tak do was tęskniłam w oddali.
Dziś wracam z piosenką radosną...
Cóż słychać nowego? czy zdrowi, czy cali,
Czy żyją staruszki jak jabłoń zsiwiali,
A Kasie, Maciusie czy rosną?...
Ach cóż to? te same jak widzę kłopoty,
I biéda jak była przed laty...
Na drogach kałuże, wyboje, wywroty,
Podwórka nie strzegą popsute już płoty,
I dach się zapada garbaty...
Przez strzechą zmurszałą deszcz w chatę przecieka,
A ściany się krzywią i paczą,
Jak gdyby nie były siedzibą człowieka,
Co ziemię tę potem uprawia od wieka,
Lecz tylko gospodą tułaczą...
Na twarzach znękanie, i niechęć, i troski,
Na ustach piosenka niedoli,
A dziatki wzrastają jak płonne te kłoski,
Na dzikim ugorze zbujałe wśród wioski,
Bez światła, bez myśli, bez woli...
Stęskniona leciałam przez morza, z nadzieją
Wiosennych błękitów i słońca—
Lecz tutaj błękity nad wioską ciemnieją,
I wichry lodowe czatują z zawieją,
Tu zima i zima bez końca...
Och, gdybym ja mogła rozegrzać was pieśnią,
Jak słonko tę rzeczkę pod lodem,
Myśl strząsłaby z siebie co rdzą jest i pleśnią,
Duch zerwałby więzy, co lot jego cieśnią,
I ludby się zbudził narodem.

III.

„O spojrzyj, o spojrzyj, to pierwsza jaskółka,
Pod gzymsem w skrzydełka trzepocze,
I w okna zagląda, i zwija się w kółka,
I o coś się pyta, szczebiocze...
Toż wiosna już, wiosna, za tydzień, za drugi,
Miéć będę z fijołków bukiety...
Czy w polu już sieją? czy orzą już pługi?“
— „Najdroższa, czytajmy gazety.“—
.....O panie, o pani, słoneczko kwietniowe
Przyświeca tak jasno, tak ładnie.
Czyż żaden promyczek, na główki, na płowe,
Wioskowych pacholąt nie padnie?
Czyż mi tak co wiosna trzepotać napróżno
W okienka skrzydłami czarnemi?
I kiedyż wybiegną ptaszynę podróżną
Wieściami powitać dobremi?
I kiedyż gniazdeczko pisklętom uwinę
Pod strzechą szczęśliwą wieśniaczą?
I kiedyż tu światłem ubogą dziecinę,
Jak chryzmem na życie naznaczą?..
„Och widzisz, nie mogę dziś słuchać z uwagą,
Myśl moja ucieka z jaskółką
I leci nad wioską odartą i nagą...
Mój drogi, zajmijmy się szkółką!
Niech biédne te dzieci nie rosną tak dziko,
Wszak kraj do ich czynów ma prawa...“
„Hm... chłopu nauka, co najmniéj ryzyko...
Czytajmy, jeżeliś łaskawa.“

. . . . . .

.....O panie, o pani, za morzem, za sinem,
Plon myśli runieje, dojrzewa,
I słowo tam pada nie dźwiękiem, a czynem,
I wzorem—nie radą—zagrzewa.
Ach, rzućcie wy w wiosce ziarenka oświaty,
I wiedzy maleńkie okruchy,
A wzniosą się czoła ku słońcu, jak kwiaty,
I zbudzą się myśli i duchy...

. . . . . .

„Najdroższy, chcę wiedzieć, dlaczego z pozoru
Praw równość głosicie człowieka,
A przestrzeń odwieczna od chaty do dworu,
Tak zawsze boleśnie daleka?...
Dlaczego, przed dzieckiem, panienką, paniczem,
Zsiwiałą swą głowę odkrywa
Staruszek, piast wiejski z dostojném obliczem?
Kto bratnie rozerwał ogniwa?
Kto kraj śmiał zubożyć o siłę bez czynu,
O myśl tę zmąconą, niejasną?
Czyż nie tém, co marnie przepada wśród gminu,
Wymierzać nam niemoc swą własną!
Zajmijmy się szkółką! czyż tyle już trudu,
Czyż tyle mozołu potrzeba,
By światło nauki rozpalić dla ludu,
Łaknącym zdrowego dać chleba? ..
— „Co?... może ja, pierwszy mam zbijać wiatraki
Z poczciwym Kiszotem w zawody...
I brudnych pastuszków zmieniwszy na żaki
Sam gęsi zaganiać od szkody?...
A może wziąć książkę—i siadłszy na trawie,
Nauczać z niéj ludek jak klecha?...
Ztąd widzę sąsiadów, jak patrzą ciekawie,
Jak każdy się skrycie uśmiecha...
Nie przeczę, że trudy się takie opłacą
Gdzie wille, gdzie fermy, szalety,
Lecz chłopu naszemu... jak, poco i naco?...
Ot, lepiéj czytajmy gazety!“

. . . . . .

.....O słonko, świéć jaśniéj, bo ziemia zakrzepła,
Rozbudzić się ze snu nie może...
O więcéj daj światła! i więcéj daj ciepła!
I rosy ożywczéj, o Boże!...

. . . . . .

BLICHTR NIEWIEŚCI.

GAWĘDA

PRZEZ LUDWIKA NIEMOJOWSKIEGO.

Posłuchać zbawiennéj rady
Zawżdy marny kłopot skraca:
Naraiły mi sąsiady
Panieneczkę, że aż caca!
Oprócz znanéj paranteli
Po mieczu i po kądzieli
Z ojca dziada i pradziada
Miała fortunkę nielada,
Zaś w sperandzie mówi Marek
Cztery wioski i folwarek.
Posażna panna jak rzadko
Gleba, tynfy, wdzięczne lica,
Więc chcąc sprawę wywieść gładko
Zajechałem do szlachcica.

Rodzic snadź człek staréj daty
Dzielny w dykcyi żwawy w geście,
Wiedzie w paradne komnaty,
I przedstawia cnéj niewieście,
Pani z Grabskich Żegocinie,
Którą jako ochmistrzynię
Fortowania nauk córki
Przyjął ojciec. Wnet zwołano
Ze śpiżarki czy komórki
Ową dziewkę sfrasowaną,
Mnącą w dłoni swéj fartuszek;
Ja co nie mam faramuszek,
Obces do niéj w koperczaki...
Lecz z panną gadać daremnie,
Spuszcza ślipki, piecze raki
Jakby sam bies siedział we mnie;
Ja zatem, pragnąc ab ovo
Rzecz prowadzić, zmieniam szyki,
Gdy nie można obcesowo,
Biorę się do retoryki:
„Mościa panno,“ rzekę do niéj:
Każdy z nas w zachodu trudzie.
Za tą aurą złotą goni
Którą szczęściem zowią ludzie,
Mnieć wśród rodzinnego gniazda
Zaświeciła owa gwiazda,
A zaświeciła tak jasno
Iżbym pragnął drogę ciasną
Mego życia w krąg rozszerzyć...
Mościa panno! chciéj mi wierzyć,
Że ja chowam w sercu na dnie
Dla asindźki szczerość zacną,
Więc co paść ma, niech raz padnie,
Rzeknij słowo, wszak to łacno!...“

Piękniem prawił, co? lecz ona
Słów mych chwyta sens daremnie,
I zagadnie zadziwiona:
„Co waszmość pan chcesz odemnie?..“
Mater dei dolorosa!
Wszakcim mówiąc nie szedł z toru
Jasnéj dykcyi! A toć koza
Bez dystynkcyi i poloru,
Wychowana w alkierzyku
Między drobiem przy kurniku,
Kiedy walor słów mych treści
W jéj się głowie nie pomieści.

Gdy tak dumam osowiały,
Kundle w budach zaszczekały,
Głosząc gościa wśród podwórka,
Patrzę... a tam dzielna czwórka
Siwków, przed dworową bramę
Wiezie jakąś cudną damę.
Była to pani Protowa,
Po stolniku z Ostrołęki
Obrępalskim, młoda wdowa,
Słynna w świecie swemi wdzięki.

Gdym ją zoczył, Jezu Chryste!
Stałem jako głąb przez chwilę,
A afekta me strzeliste
Dla téj gąski—ot z nich tyle!
Znikły, prysły, bo czyż sposób
W równi cudnych stawić osób,
Szlachciankę jakąś lichą,
Skromną, małomówną, cichą,
Która, gdy zagadasz do niéj,
Miasto rzec co, wciąż się płoni.

We łbie nie brak mi oleju,
Wżdym się tęgą chlubił głową.
Koniec końcem, mosterdzieju,
Jak nie przyprę wdówkę ową
Jędrném słówkiem, oczów mrugiem,
Krygiem, migiem, pląsem, dąsem,
Tak po staraniu niedługiém,
Oblana rumieńca pąsem,
Kryjąc błogą radość w sercu,
Staje ze mną na kobiercu
Przed ołtarzem... a ksiądz stułą
Wiąże zasię parę czułą.

Wszystko szło jak po atłasie,
Same miody. Miesiąc minął,
A jam spostrzegł w onym czasie,
Że z tych miodów jad wypłynął:
Naprzód małżonka cacana,
Z którą mnie złączyły losy,
Była całkiem malowana
I cudze nosiła włosy;
A gdym raz zajrzał do gęby,
Płochą wiedzion ciekawością,
Klnę na biesa, że jéj zęby
Jakiéjś bestyj były kością!
Mniejsza o to, bo felery
Są zwykle niewiast udziałem,
Lecz jeżeli mam być szczery,
To figę w wianie dostałem.
Byłoż tam wsi bardzo wiele:
Zamki, konie, cugi, zbytki,
Ale Icek i Leibele
Na wszystko już mieli kwitki.
No, a fumy! nie daj Boże
W fanaberyach dojść tych granic:
Strój, baw, cackaj, wóż za morze,
Poć się jak mysz—wszystko za nic!
Jużem pół mienia z okładem
Puścił na fioki, rupiecie,
W ten skład żyjąc wyjdę dziadem
Co z torbą łazi po świecie,
Lub też obdarty i bosy
Siada w kruchcie klnąc swe losy.

Czasem gdy się jéj ofuknę,
Palcem kiwnę, pięścią puknę,
Lub słówko wyrzeknę marne,
Wnet niby widmo cmentarne
Uśmiercony mąż dobrodziéj
Z ciemni grobowéj wychodzi,
Zdobny w tyle cnych przymiotów
Iż sam nieraz jestem gotów
Nazwać się herodem dzikim
W porównaniu z nieboszczykiem.

Cóż rzec więcéj? Herkulesem
Byłem ongi w życia treści,
Dziś zbabiałem już z kretesem,
Tak mnie rygor zmiął niewieści;
Kwękam, stękam osowiały,
Niby kundel na obroży,
Łażę z kąta w kąt dzień cały,
Potém legnę gdy sen zmroży.
A w snu nawet czczem widziadle
Złudą wspomnień niepojętą,
Czuję, marząc, jak zajadle
Znęca się babstwo nademną,
Jak wyszedłszy z umu granic,
Ceniąc siebie, mnie ma za nic...

Ot i finis: mym udziałem
Byłci szczęścia promień jasny;
Miałem pannę, wdowy chciałem,
Więc też cierpię z winy własnéj...
A gdy jarzmo tkwi na karku,
Wszem na ucho rozpowiadam:
Lepsza gąska choć z folwarku,
Niżli malowana madam.

SZCZĘŚLIWA.

W ogródku moim
Zakwita róża,
Ach! taka piękna,
Barwna i duża!

Rozwiń swe listki,
Kwiateczku złoty,
Jutro ozdobisz
Me krucze sploty.

Jutro tu przyjdzie
Rówieśnic wiele:
Będą mnie stroić
Na ślub—wesele.

Mirtowy wianek
Włożą na skronie,
A przy tym wianku
Kwiat twój zapłonie.

Jutro, ach! jutro,
Sny ziści moje,
Jutro się pełném
Szczęściem upoję!

* * *

Po cichéj nocy
Słonko witało
Twarz narzeczonéj
Coś dziwnie białą.

Jak marmur zimną,
Bladą—jak chusta,
I całowało
Jéj sine usta.

Druchny ją łzami
Obmyły swemi
I ubierały
Szaty śnieżnemi.

Wiankiem róż białych
Skroń jéj okryły,
Potém ją wiodły
Do stóp.... mogiły.

Z czasem—na grobie,
Gdzie zmarłéj głowy,
Bez siejby wzrasta
Kwiatek różowy.

I codzień rosą
Listki obmywa,
I drżąc na wietrze
Szepce: szczęśliwa!

Bolesław Zaleski.

PIOSNKA JESIENNA.

PRZEZ EMILIĄ LEJOWĄ.

Liść za liściem z drzewa spada,
Za chmurami gonią chmury,
Jakaż smutna, jakaż blada,
Ta jesienna twarz natury.
I choć blaskiem złota ludzi,
Choć purpury wdziewa wieniec,
Już rozkoszy nie pobudzi,
Suchotniczy jéj rumieniec.
W mgle, co srébrem się przesnuwa,
Tworząc widok tak wspaniały,
Zdala baczny wzrok przeczuwa
Martwéj zimy całun biały.

Och! inaczéj było przecie,
Nim okwitły lilie, róże;
Och! inaczéj w ciepłém lecie,
Choć ma także wichry, burze.
Bo choć burza gradem chłośnie,
Piorun z hukiem w zygzak błyśnie,
Złote słonko wnet miłośnie
Smutnéj ziemi promień ciśnie.
I na górnym niebios stropie,
Siedmiobarwnéj łukiem tęczy,
Pan, jak niegdyś po potopie,
Pokój ludziom znów zaręczy.
I z pod ciężkiéj deszczu rosy,
Co je chyląc w ziemię ścieka,
Wstają kwiaty, wstają kłosy,
Wionąc rozkosz w pierś człowieka.
Przyrodzenia święta księgo!
Lubię za twą śledzić kartą,
Bo w niéj widzę ja z potęgą,
Dziejów życia treść zawartą.
Od rozkosznéj gdzieś zieleni,
Co ją młodość wplata w życie,
Aż do chmurnéj mgły jesieni,
Własnych widzę dni odbicie.
Łzawo zeszła krótka wiosna,
Znój mi krwawy zatruł lato,
A dziś jesień wpół żałosna,
Zdala śmierci miga szatą.
I gdy śledzę nić pajęczą
W jasny dzień babiego lata,
W duszy dziwne echa brzęczą:
„Coś zebrała z niwy świata?“
Z ziarn miłości co za młodu,
Rozproszyła dłoń ma drżąca,
Jam zebrała cierń zawodu,
Wśród bolesnych ran tysiąca.
Z łez boleści i cierpienia,
Kropel potu w życia znoju,
Zżęłam snopek doświadczenia
I niebiański kwiat spokoju.
I dziś z żniwa mego miarą,
Z skąpą garstką życia plonu,
Ożywiona cichą wiarą,
Czekam zimy, czekam zgonu.
A pierś grzeje mi otucha,
Że na ziemskim tutaj łanie,
Chociaż kilka ziarnek ducha,
Dla mych braci pozostanie,
I ogrzane czuciem tkliwem,
Gdzieś w dalekiéj choć przyszłości,
Komuś znowu błyśnie żniwem,
Jako prawy dar miłości.

MRÓZ.

(PODŁUG LEGENDY LUDOWEJ)

PRZEZ

KLEMENSA JUNOSZĘ.

Pan jeden groźny, co mu Mróz na imię,
Przyszedł i ziemię uśpioną uścisnął;
I na pociechę siostrzycy swej Zimie,
W tysiącznych igłach na drzewach zawisnął,
A miljon iskier po śniegach rozprysnął...

Srebrzysty miesiąc z gwiazdeczki złotemi
Na modrem niebie jasnością się mienił,
I blady promień powłóczył po ziemi,
A światłość jego z blaskiem lodów żenił
I zdał się igrać ze śniegi białemi...

Wesoła rzeczka zakowana w pęta
Już się nie bawi z kwiaty i nie szemrze,
Lecz jest jakoby wiecznym snem ujęta,
Jakoby lilja, co zwiędnie i zemrze,
Błyszczącą kosą, w wiośnie dni, podcięta.

Ogołocone z bujnych listków drzewa
Do kościotrupów stały się podobne,
A gdy północny wiatr niemi powiewa.
To każde jęczy... chwieje się... a śpiewa
Pieśni posępne, grobowe, żałobne...

I obumarły wszystkie—jedno sosna
Została zawsze świeża i zielona.
I tej Mróz nawet groźny nie pokona,
Bowiem w niej jednej mieszka wieczna wiosna,
Silna jak miłość i trwała jak ona.

. . . . . .

Czyś ty widziało Mróz? moje pacholę,
Czyliś słyszało, jak ten mocarz srogi
Jedzie na wiatrach przez zamarłą rolę,
Jak mu się śniegi ścielą po pod nogi,
A Zawierucha toruje mu drogi?

Czyś ty widziało Mróz? tego olbrzyma,
Co świat przygniata jakoby ołowiem,
Co jednem tchnieniem rzekę w biegu wstrzyma
Co jest jak kamień i litości nie ma?
Nie—nie widziałoś—a więc ci opowiem...

Raz, o północy, Mróz on wyszedł z lasa.
Zawyły wilki od strasznego chłodu,
A on, brat Nędzy, Zarazy i Głodu
Miał długą brodę białą, aż do pasa,
A w niej włos każdy wyrzeźbiony z lodu...

Wzrostem najwyższej dorównał topoli,
Na głowie dźwigał cała górę śniegu,
I szedł ku ludzkim siedzibom powoli,
Krocząc po twardej, skamieniałej roli,
Po wartkich rzekach, zatrzymanych w biegu.

Skrzydlate wichry na rozkaz mocarza
Konary dębów wyniosłych szarpały,
I dziko wyły wśród krzyżów cmentarza,
I ze strzech ludzkich wątłą słomę rwały,
A przed swym panem niosły tuman biały.

Hejże! wędrowcze, wstrzymaj się w pochodzie,
Bo oko twoje od wichrów oślepnie...
Idź—szukaj ognia w najbliższej gospodzie,
Bo zesztywniejesz w tym północnym chłodzie,
A krew gorąca w żyłach ci zakrzepnie...

Drugiej nie znajdziesz w śnieżystej zamieci,
Wicher ci oddech na ustach zamrozi,
A jasny miesiąc ścieżki nie oświeci,
Bo mu wichura tumanem zagrozi,
Więc się w manowcach splączesz niby w sieci...

O! bo okrutny jest ów tyran groźny,
Twardy, jak w kryształ ścięta bryła lodu,
Siwy, jak starzec u życia zachodu,
A jak kamienne serce, taki mroźny,
A jak wystygła dusza — pełen chłodu...

A skoro zstąpić zamierza na ziemię,
Ucieka ptactwo przed tem jego przyjściem,
Woda lodowej tarczy dźwiga brzemię,
Roznieca ognie słabe ludzi plemię
I nagie drzewo już nie śpiewa liściem...

Jestże sroższego co w całej naturze
Nad tego króla lodów i północy?
Nad jego wichry, ryczące jak burze,
Nad ciemność w dzikiej zawieruchy chmurze?
— Jest straszniejszego coś... w doli sierocej...

. . . . . .

Dziad siwowłosy w łonie ziemi twardem
Świeżą mogiłę dla kogoś wybierał;
Zmarznięte bryły rozbijał oskardem...
I sił ostatki do tej pracy zbierał...
A z zmarszczonego czoła pot ocierał...

Wiatr mu rozwiewa długą brodę białą
I między krzyże cmentarne się wślizgał,
I wśród przybytku śmierci igrał śmiało,
Starcowi w oczy ostrym śniegiem bryzgał,
A nad sąsiednim grobem drzewo drżało...

W zmarzniętej ziemi szła praca powoli,
A wiatr ze starca jakby się natrząsał...
Jakby się gniewał na niego i dąsał,
Bo go za brodę targał w tej swawoli,
I po policzkach pomarszczonych kąsał...

Ale nie zważał na to dziad cmentarny,
Oskard uchwycił silnie w ręce obie,

I wciąż wyrzucał bryły ziemi czarnej;
A choć mu psoty czynił wiatr figlarny,
On już do pasa zagłębił się w grobie...

Grób! smutny koniec wędrówki człowieczej,
Ostatnia stacja życiowej podróży,
I port wytchnienia po światowej burzy;
I wieczny spokój co wsze smutki leczy
Znajdzie w nim kiedyś i mały i duży...

Komuż? grabarzu, ostatnią siedzibę
Gotujesz dzisiaj przy takiej zawiei:
Czy rolnikowi, co pruł ziemi skibę,
Czy myśliwemu, co zwierza gnał w kniei?
Kogóż? grabarzu, chowasz dziś z kolei?...

Może tu starzec spocznie siwobrody,
Co się już życiem nacieszył dowoli,
Co go złamały troski i zawody?
Pan? albo cichy pracownik na roli?
Sędziwa babka? czy parobczak młody?

Ej nie podobno! nie takich dziś gości
Oddawać będziem dobrej matce ziemi,
Lecz kwiat jej damy podcięty w młodości,
Śliczną kobietę, z oczami modremi,
Pełnemi niegdyś ognia i miłości.

Któż nie pamięta złotowłosej Hanki,
Jej miłych piosnek, co na łąkach brzmiały.
Któż nie pamięta tych ust co się śmiały,
Tej pięknej twarzy łagodnej i białej,
Tej miłej główki ustrojonej w wianki...

Ej uganiali się też za nią chłopcy,
Bo i dziewoja była dziwnie cudna.
Nad wszystkie we wsi—a wieś nasza ludna—
Szaleli za nią i swoi i obcy,
Tak była wdzięczna i taka ułudna...

Wyszła więc za mąż wprędce—rok nie minął,
Aliści czasy Bóg dał niespokojne.
Tatarzyn krwawą chorągiew rozwinął,
I mąż Hanusi poszedł też na wojnę
I niewiadomo czy żyje? czy zginął?..

Wioski zmieniono w zgliszcza i popioły,
Krzywda się działa i Boska obraza,
Poganin łupił zamki i kościoły
I nie zostawił chaty ni stodoły,
Aż naostatek przyszła i Zaraza...

Królewscy żwawo na pogan natarli,
Spokój powrócił do naszej siedziby,
I rolnik pługiem nowe orał skiby,
Gdy tatarzyna-łupiezcę odparli;
Ale ludziska biedni—srodze marli.

Marność marności! cóż znaczy bogactwo,
Czem jest ułuda cudnej dziewic krasy?
Porozpędzały ludzi wrogie czasy.
Mąż Hanki poszedł po śmierć, lub tułactwo,
A po niej małe zostało biedactwo!

. . . . . .

Wiatr niósł na skrzydłach pieśni żałobliwe
I „Dies irae" brzmiało w całej grozie,
Biała trumienka leżała na wozie,
A wóz ciągnęły zwolna woły siwe.
Na końcu dziecię jakieś szło trwożliwe...

Złożyli ludzie trumnę w świeżym dole,
I zasypali ją zmarzłemi bryły,
A potem wszyscy wracali przez pole,
Tylko dziecina siadła u mogiły,
Skarżąc się cicho na swoją niedolę...

— Matko—szeptała—wróćmy już do chatki,
Bo tutaj straszno i zimno w tym śniegu.—
Wiatr niósł tę skargę wśród mogił szeregu,
Niósł aż do chaty, co stała na brzegu...
Lecz odpowiedzi nie było od matki...

W siedzibach ludzkich światełka już gasną,
Noc się zrobiła—iskrzą gwiazd miljony,
Tuli się dziecię do brzozy schylonej,
I wzrok lękliwy rzuca na wsze strony,
A księżyc w pełni przyświeca mu jasno.

Od drzew na śniegu pokładły się cienie,
Wiatr ucichł nieco i skrył się w głąb boru,
I było pięknie wśród tego wieczoru,
A złoto-blade miesiąca promienie
Słyszały ciche sieroty westchnienie.

Wychodzi dziecię za cmentarne wrota
I już ku wiosce rodzinnej się zbliża,
Już na gościńcu stanęło u krzyża,
Lecz pies zajadły wyskoczył z za płota
I drogę dziecku zagrodził, niecnota.

Głaszcze go dziecię swoją rączką drobną,
A stary brytan tę prożbę zrozumiał...
Więc puścił do wsi sierotkę żałobną,
Nawet się łasił i cieszył jak umiał,
Jakby nad ludzką niedolą się zdumiał.

Ale do ludzi, sieroto zbłąkana,
Nie tak to łatwo jest trafić po nocy,
Snadniej podobno ugłaskać brytana,
Niż znaleźć serce, chętne ku pomocy,
Lub ramię, coby dźwignęło z niemocy.

Płacze u okna dziecię przeziębnięte,
Obchodzi wszystkie lepianki wśród sioła
Ale daremnie kołacze i woła,
Serca kamiennym snem jakby ujęte
A wszystkie chaty, jak twierdze, zamknięte.

Cicho dziecina na swój los się żali,
Srebrny jej głosik rozpływa się w skargach,
Że jej wołania ludzie nie słuchali;
A imię matki, wciąż mając na wargach,
Idzie jej szukać, biedna, coraz dalej...

Lecz nie zlitował się nikt nad sierotą,
Każdy był głuchy na jej płacz i jęki,
Nikt jej do chaty nie przyjął z ochotą
I nikt z pomocą nie wyciągnął ręki
Do tej dzieciny wątłej, tej maleńkiej.

Aż z boru wyszedł Mróz, ów tyran groźny,
Twardy jak w kryształ ścięta bryła lodu,
Siwy jak starzec u życia zachodu,
A jak kamienne serce, taki mroźny,
A jak wystygła dusza, pełen chłodu...

Gdzie stąpił, wszystko w twarde bryły kował,
A nawet gwiazdy drżały przed nim złote,
Szedł—a na drodze znalazłszy sierotę,
Wnet się jej doli gorzkiej umiłował
I w same usta dziecko pocałował...

Czoła dzieciny dotknął dłonią skrzepłą,
Potem ją tulił do piersi wystygłej,
Na rzęsy kładł jej drobne, srebrne igły,
A dziecię czuło, że mu jakoś ciepło,
Że jest w błogości stanie niedoścignionej...

I pieścił dziecię, usiadłszy pod sosną,
Ten srogi tyran co strumienie pęta;
Dziecina była błogo uśmiechnięta,
Bo Mróz jej szeptał, jak to kwiatki rosną
I jak rozkosznie jest na świecie z wiosną...

On jej ukazał wnętrze ciepłej chatki
I ożywczego ognia odblask złoty,
On jej dał widzieć łagodną twarz matki,
Jej uśmiech słodki, serdeczne pieszczoty
I oczy modre — a pełne tęsknoty.

Potem ją odział w śniegowe kryształy.
On — co się doli dziecka umiłował,
Raz jeszcze drobne usta ucałował
I powstał wreszcie, w swej grozie wspaniały,
Gdy ku obłokom płynął anioł biały...

I odszedł. Wichry na rozkaz mocarza
Konary dębów wyniosłych szarpały
I dziko wyły wśród krzyżów cmentarza
I ze strzech ludzkich wątłą słomę rwały,
A przed swym panem niosły tuman biały.

. . . . . .

Gdy ranne słońce wyjrzało z za chmury,
A wichry w borach jęknęły smutnem echem,
Od wioski człowiek przechodząc niektóry
Znalazł pod drzewem, u stóp śnieżnej góry,
Zmarznięte dziecię, z anielskim uśmiechem.

Wrzesień 1879 r.

KONIEC.

Wiele tajonych smutków, pragnień niespełnionych
Wiele łez wypłakanych—czynów poronionych...
Przepaście rozczarowań i morza boleści!
Biedny żywot człowieczy w swym przebiegu mieści.
Trzeba prawdy i piękna błysków jaśniejących,
Trzeba myśli podniosłej i uczuć gorących,
By duch w nich oczyszczony, — skrzydły promieniemi
Wzniósł się;—i zapanował nad nędzami ziemi.

Stefan Anastazy.

ŚWIĘTO UMARŁYCH.

I.

Jesień przyszła posępna... ustami zimnemi
Już śmierci pocałunek złożyła na ziemi...
Wiatr chłodny niesie powiew, z drzew zwiędły liść spada,
Z za chmur smętnie spogląda twarz księżyca blada...

Dzisiaj święto umarłych—więc do ich siedliska
Idą ci, co tu serca drogie pogrzebali...
Zmrok wokoło... na grobach tysiąc świateł błyska,
I tysiąc serc uczuciem tęsknoty się żali..

Milknie tu i zamiera wesoły gwar świata!
Tylko szept szczerych modłów do niebios ulata...
Niech więc cisza zalegnie nad cmentarną ziemią,
Gdzie duchy ojców naszych w śnie wieczystym drzemią.

II.

Biedna... z żalem przyniosła swoje szaty wdowie,
Na grób rzuca pamięci żywe jeszcze kwiecie:
To serce co raz tylko kochało na świecie
I już nigdy miłości słowa nie wypowie.

Ona mu życie całe w ofierze święciła,
Darząc kwieciem miłości co się w sercu plemi,
A teraz grób ozdabia kwiatami świeżemi,
Póki ich nowym ślubem nie złączy mogiła.

Choć jej młodość śle jeszcze uśmiechy wesoło,
Samotnica ku ziemi pochyliła czoło...
Umarła dla tych, którzy do życia się śmieją,
Bo dla niej grób jest światem, życiem i nadzieją!...

III.

Tam młoda matka z jękiem na ziemi się ściele...
W tym grobie śpi snem śmierci dziecię jej jedyne...
Ona przyszłość swą całą i życia wesele
Z radością by oddała za drogą dziecinę...

Zaledwie po raz pierwszy to słodkie pacholę
Swym uściskiem miłości dało jej zapłatę,
Przyszła śmierć—wyciągnęła dłonie lodowate
I mroźny pocałunek złożyła na czole...

Matka... kiedy usłyszy cudzej dziatwy głosy,
Boleść jej w stokroć cięższą, męki w stokroć krwawsze...
Do serca nie przytuli główki jasnowłosej,
Bo już ją anioł szczęścia opuścił na zawsze.

IV.

Dwie dzieciny uklękły na zwiędłej darninie,
Do modlitwy złożyły drobne swe rączęta,
Z oczął, w niebo wzniesionych, łza tęsknoty płynie,
Łzami sierot zroszona zmarłych ziemia święta...

Tu je biedne przywiodła pamięć i tęsknota
Na matki i na ojca ukochane groby...

W życiu ledwie im błysła szczęścia gwiazda złota,
Wnet zgasła — wkoło szaty ciemnieją żałoby...

Biedna dziatwo! któż ciebie do serca przygarnie?
Kto ci miłość matczyną straconą powróci?!...
Może was los okrutny w otchłań bez serc rzuci,
I w samotnem tułactwie zaginiecie marnie?!

O! módlcie się sieroty, aby dusze młode,
Czy śród wichrów zawiei, czy w szczęścia pogodę,
Były jak niebo jasne — czyste jak łzy wasze; —
A szczęście... nawet w nędzy zawita poddasze.

Niechaj się los nieszczęsnych nad wami nie zjiści: —
Gorycz życia serc młodych nie zatruje jadem; —
Byście nie poszli nigdy dusz zbłąkanych śladem,
Którym nic nie zostało... oprócz nienawiści...

V.

Patrzcie! tu starzec stoi nad pustą mogiłą: —
Na martwej jego twarzy smętny uśmiech gości,
Snać w sercu dawno zmarłe uczucie odżyło.....
Z sierot wszystkich najbardziej on godzien litości...

Strasznie, gdy młode lata sieroctwo zasmuci,
Lecz stokroć smutniej, straszniej, kiedy starość blada
Nad ostatnią mogiłą sama jedna siada
I płacze, że już szczęście stracone nie wróci...

Młodość, choć na nią wicher złowrogi powieje
I wszystkie skarby życia uniesie wraz z sobą,
Nigdy się nie pokryje wieczystą żałobą,
Bo w dali widzi lepszej przyszłości nadzieje...

Lecz starzec, gdy mu losy najdroższych wydarły,
Biedny, nic już nie widzi, prócz mogiły, w dali...
I staje śród umarłych — sam nawpół umarły,
Im tylko już na świecie sercem się pożali...

VI.

Najsmutniejsza ze wszystkich, samotna mogiło,
Czy nikt w świecie o tobie biednej nie pamięta? —
Twoje kwiaty uwiędły .. twoja ziemia święta
Zdeptana... Wichru tchnienie twój krzyż pochyliło...

Nawet imię zatarte... nikt się go nie dowie —
Ani śladu człowieka, co żył między nami...
Wkrótce... i prochy będą rozwiane wichrami,
I kości prapradziada nie znajdą wnukowie...

Może kiedyś niejedno serce dlań tu biło,
Może niejedne oczy po nim zapłakały...
Światło wspomnień nad cichą jaśniało mogiłą,
Lecz zgasło....dla śpiącego już zamarł świat cały.

Dziś na grobie spoczywa kamień niepamięci —
I czasem tylko oczy tu spojrzą ciekawsze:
Czyją pamięć krzyż czarny nad mogiłą świeci...
Lecz znikąd nie odgadną — grób zamilkł na zawsze!

Antoni Pilecki.

POWIEŚĆ O SOSNOWEM ZIARNKU.

Raz jesienią chłodno było,
Wicher bujał szparko,
Skręcił się i porwał z ziemi
Drobne, czarne ziarnko.

A potem się ciągle wzmagał,
Aż urósł w wichurę,
I swój ciężar leciuteńki
Porwał z sobą w górę..

Niósł go z sobą jak na skrzydłach,
Daleko, daleko,
Aż porzucił gdzieś na skale
Za dziesiątą rzeką.

„Rośnij tutaj, rzekł do ziarnka,
Na tej góry szczycie,
Gdy wyrośniesz, kąpać będziesz
Koronę w błękicie.

Będą orły szaropióre
U twych stóp siadały,
A w konarach twych, schronienie
Znajdzie gołąb biały.

Widzieć będziesz codzień rano
Życie, ruch w dolinie...
I ten potok bystry, rwący
Co u stóp twych płynie.“

To powiedział wiatr figlarny
I odleciał szparko,
Ale jakoś rość nie chciało
Na tej górze ziarnko...

Więc rozgniewał się Boreasz
Na tę odrobinę,
Jednem tchnieniem wnet ją z góry
Strącił na dolinę.

„Więc bądź tutaj, w cichym kącie
Karłowatą sosną,
Niech cię chłop tu na kłonicę
Zetnie kiedyś z wiosną...

Niechaj lada marne bydlę
Grzbiet ociera o cię,
Nie dorośnij i skończ życie
Jako kołek w płocie.!“

To powiedział wiatr złośliwy
I odleciał szparko,
Lecz nie chciało i w dolinie
Rosnąć małe ziarnko.

Rozgniewał się wiatr potężny,
Zolbrzymiał w wichurę,
Porwał ziarnko i ze złością
Podrzucił je w górę.

Niósł nad lądem i nad wodą,
Nad modrem jeziorem,
Nad miejskiemi wieżycami
I nad czarnym borem.

Na maleństwo niepokorne
Ostrzył sobie zęby,
Bił o ziemię, to znów rzucał
O sękate dęby...

—

Tuman kurzu mu pomagał,
Pomagały deszcze,
A on huczał, wył i groził,
I rzucał je jeszcze.

—

I przyleciał na płaszczyzny,
Gdzie sosnowy lasek...
I skręcił się i zagrzebał
Małe ziarnko w piasek.

—

„Ha! nie chciałoś, rzekł do niego,
Szczytów gór i blasku,
A więc zostań tu na wieki
Na podlaskim piasku.“

—

Zawył, świsnął, zwinął skrzydła
I odleciał szparko...
A niedługo — dwie igiełki
Wypuściło ziarnko.

—

I wyrosło — och! wyrosło
W pełni sił i blasku,
Bo znalazło matkę-ziemię
Na podlaskim piasku!

Kl. Junosza.

Mech na kamieniu.

Żal mi ciebie mchu czuły, nieszczęsna roślino!
Dla kogóż to rodzinne porzucasz ukrycie?...
Patrz: co za widok wspaniały!
Tyle się pięknych drzewin wznosi nad doliną
I do nieba dąży czołem;
A Ty chcesz łączyć życie
Z życiem poziomej skały,
Co się wznieść nie potrafi nad ziemi padołem!—
Wiesz że co ciebie czeka? Kiedy w sercu młodém
Tkliwego przywiązania iskra się obudzi
Westchnienie wzajemnego zażąda westchnienia
Czém ci kamień odpowie? Uczuciem kamienia!
Ty otoczysz go pieszczot niebieskim urokiem,
A on zimnym uściskiem czucia zetnie lodem,
Wszystkie piękne wzruszenia twéj duszy wystudzi,
Jeszcze urągać będzie obojętnym wzrokiem.
Rzuć kamień, on cię nie zna, nie wié co posiada.
Szukaj serc coby nęcąc czuciem i swobodą
Zabrzmiały z twojém sercem harmonijną zgodą. —
Tak mówię, mech cierpiący nic nie odpowiada —
Widać natłok boleści pomaga milczeniu.
Ale boleść milcząca tyle ma wyrazu
Tak przemawia do serca, — że w pierwszém wzruszeniu
Przemocą chcę oderwać mech tkliwy od głazu.
Zbliżam się, i postrzegam jak gęstém pokryciem
Tak się drobne gałązki o kamień owiły
Że małe oddalenie płaciłyby życiem
Westchnęłam, i odrywać już nie miałam siły. —
Ach! ileż bidnych istot ręka przeznaczenia
Tak przykuła do świata — jak mech do kamienia!

Człowiek wielki.
(wyjątek.)

Wielkim jest człowiek, jeśli w jego duszy
Tli zapał święty, zapał wojownika;
W którym grom śmierci odwagi niewzruszy:
Dzielnym orężem tłumy przeciwnika
Zmiata jak roje drobnych muszek w wiośnie;
Któremu z ludzi nikt nie sprosta w męztwie,
Przecięż na wrogów pogląda litośnie,
Goi im rany, gdy już po zwycięztwie;
A wieniec chwały co mu wieńczy skronie,
Nie swéj odwadze, lecz Bogu przyznaje;
Mężne, waleczne, bohaterskie dłonie,
Niższym od siebie jak braciom podaje!

Wielkim jest człowiek, gdy rozum wytrwały,
Gdy umysł silny, gruntowny, niezgięty,
Jego działaniom ruch nadaje śmiały;
W zwodnicze widma czucia nie ujęty,
Wyższy nad wszystko co nam serce pieści,
Co umysł łechce i roskosz przynosi,
W własnym rozsądku szuka szczęścia treści,
Tysiącom ludów prawa święte głosi,
Prawa mogące przetrwać wieków siłę,
Przemiany losów dziwne, niespodziane;
Co nad przeszłości wzniesione mogiłę
Palcami czasów stoją nie tykane:

Wielkim to prawda! — lecz większym bydź jeszcze
Człowiek jest zdolnym niźli prawodawca,
Niźli mąż dzielny, genijalne wieszcze:
O! stokroć większym *Chrystusa wyznawca!*
Co pośród cierpień bolesnych, niezmiennych,
Zgasłego szczęścia, straconéj nadziei,
Goryczy wspomnień chwil znikłych przyjemnych,
Stoi odważnie na życia kolei;
Nie skarży losom, nie szemrze niedoli,
Lecz w chrześcijańskiéj wyrzeknie pokorze:
«Choć dusza cierpi, chociaż serce boli,
Bądź wola twoja o mój dobry Boże!»

ZBURZENIE PERSEPOLU.

(Ze staréj legendy greckiéj.)

Czy to ze szczytu niebieskiego stropu
Ogniem dysząca na świat chmura spadła?
Czyli to klęska nowego potopu
Szle swoje gońce—straszliwe widziadła?
Co to?—czy bogów nieznajomych plemię,
Niosąc zniszczenie i zagładę światu,
Deszczem piorunów nawodniło ziemię
I gasi słońce blaskiem majestatu?

Daryusz potężną postradał koronę!
Azyi pogromca w jego gmachach gości,
Grzmią trąb odgłosy i dźwięki radości
Biją wspaniale w niebo zachmurzone...
Noc już i ciemność—z Persepolu murów
Blasków i gwaru leje się kaskada
I w łono nocy daleko zapada
Odgłos potężny tryumfalnych chórów.

Świetny to tryumf —wart szumnéj biesiady.
Azya już legła pod zdobywcy nogą—
Pers—groza Wschodu, wylękły i blady
Przed Macedonem runął zdjęty trwogą.
Młody bohater pędzi burzy lotem!
Dziś się zabawia w Daryusza stolicy—
Jutro—świat runie! sława jego—grzmotem!
A miecz w téj dłoni—nakształt błyskawicy!

Warto ucztować, patrząc jak w pokorze
Pół świata wielbi Marsowego syna—
Po krwawém morzu—oceany wina,
Po krwawym znoju—Afrodyty łoże.
W gmachu prastarym wre orgia szalona.
W powodzi światła, harmonii i woni
Drżą białe ręce w silnéj męzkiéj dłoni,
Na lśniących zbrojach dziewicze ramiona
Oczy białością olśniewają śnieżną,
Łono faluje rozkoszą bezbrzeżną...
Takich klejnotów w koronie złoconéj
Nie miał król Daryusz ani też na szatach,
Jakie rozrzucił po jego komnatach
Król Macedonów téj nocy szalonéj.
Dziewice tłumnie, jakby wieniec z kwiatów,
Wśród biesiadników przy stole usiadły.
Przy lic białości—alabastry zbladły!
A jak w powiciu monarszych szkarłatów
Cudnie się bielą perły rozsypane,
Tak wśród rozwartych warg karmazynowych
Lśniły ich zęby... Ich włosy rozwiane
Walczą o lepsze z blaskiem kryształowych
Świeczników. Oczy błyszczą jak gwiazd krocie
Przyćmione lekką mgłą, jakby omdlenia...
Cypryjskie wino przelewa się w złocie
Rżniętych puharów i krew w żyłach zmienia
W lawę palącą...

Jeszcze jedna chwila—
Znać, że ta uczta, co się już przesila,
Jakby szumiące wino się rozleje
Za brzeg puharu. Jak z nadmiaru woni,
Krew coraz mocniéj uderza do skroni,
Coraz gwałtowniéj w żyłach płomienieje,
Oczy mgłą kryje i piersi rozsadza—
A niezwalczona namiętności władza
Odbiera siły...
Król siedział na tronie
Pod baldachimem. W młodym bohaterze
Żądza rozkoszy pali się już w łonie.
Wzrok płomienisty zwrócił ku heterze,
Co u stóp jego siedziała milcząca,
Jak wulkan—cicha a tajemnie wrząca.
Była to Tais, lwa kochanka—lwica.
Od tronu w koło wzrok puszczając dumny,
Okiem mierzyła wyniosłe kolumny
Gmachu. Czy oko niemi się zachwyca?
Czy dumna z pana swojego wielkości
I sama do niéj jakie prawo rości?
Trudno odgadnąć!—wzrok jéj był jak chmura,
Kiedy w niéj drzemie piorun—tak ponura.
„Moja orlica—Tais zadumana,
Rzekł Macedończyk—czyż złe mamy gody?
Przed nami Azya padła na kolana!
Proch stopy naszéj całują narody!
Czegoż ci więcéj, piękna moja, trzeba?
Pierścień Diany mamże ci zdjąć z nieba?
Czy pędzić daléj w nieznajome strony—
Mów—chcę ci oddać wszystko, co dać mogę!“

Błysnął wzrok lwicy—dziko zaiskrzony
Strzelił w około, jak piorun co spada
Na spiekłą niwę i wielką pożogę
Szerzy dokoła. Twarz jéj była blada
A usta drgały namiętnie.
—„Nie, Panie!
Słusznie ucztujesz w Persepolu murach,
Po walkach idąc na laurów posłanie.
Lecz jabym chciała, by orzeł co w chmurach
Na lot Twój orli patrzy ze zdumieniem
Zląkł się Twéj siły! by te mury dumne
Runęły w gruzy zniszczone płomieniem!
By Persepolis zmieniło się w trumnę!
Tu w katakombach śpią perscy mocarze...
Dumnie się kładli na pościel śmiertelną—
Królu! stolice ich zamień w cmętarze!
Ognie w krainę przedrą się piekielną,
Kędy ich duchy napuszone siedzą
I o pogromie Persyi im powiedzą!
Zburz królu nogą dumy ich siedlisko!
Z pożaru miasta zrób mi widowisko!
Za gwiazd promiennych starczy mi Plejady
Proch Persepolu za klęski Hellady!“

Zerwał się z tronu upojony winem
Lew Macedoński,—błysło po nad tłumy
Czoło różami zdobne i wawrzynem,
Aż spadł zeń wieniec. Oko pełne dumy
Mierzy wyniosłe gmachu kapitele

A silna ręka z białych rąk kochanki
Chwyta pochodnią.
—„Więc cię rozweselę!
Za mną tu wszyscy!“—
I wnet przez krużganki,
Między kolumny posępnie milczące
Wali się tłuszcza! W koło blaski krwawe
Rzucają smolnych pochodni tysiące
I cisza w pianą zamienia się wrzawę
I krzyk szalony na miasto wypada:
Persom zniszczenie! i śmierć! i zagłada!
Aż błysnął ogień... Wzmaga się wciąż, rośnie,
Tysiące śmiechów zabrzmiało radośnie—
Już liżą mury ogniste języki,
Coraz straszniejsze, coraz dziksze krzyki
Coraz groźniejszéj wtorują zagładzie.
Łamią się stropy i pękają mury!
Głaz potrącony na głazach się kładzie,
Wśród kłębów dymu świecą się marmury,
Po adamaszkach gruzy się już sypią,
Złoto i srebro wśród płomieni kipią
I z popiołami mieszając się razem
Walą na ziemię dymiącym się głazem!
Wśród kłębów dymu, za płomieni chmurą
Gmach się wydawał gorejącą górą,
Z któréj niekiedy silnie wyrzucone
Leciały w niebo marmury i złoto
I upadały znowu na zgęszczone
Z krwi i popiołu i rumowisk błoto...
Krwi było dosyć. Gdzie spojrzéć—dokoła
Błyskają noże, kąpiąc się w krwi perskiéj!
Tysiąc nieszczęsnych miłosierdzia woła—
Wszystko daremno! W walce nierycerskiéj
W dzikim zapale Aleksandra męże
Na rozbrojonych tępią swe oręże...
I śmiech pijany za odpowiedź stanie
Na konających pod nożem chrapanie...

Trzy doby trwały mordy i pożoga.
Trzy doby grzmoty walących się murów
Z jękami rannych leciały w lazurów
Tonie—i palec karzącego boga
Pisał po murach głoski ognistemi
Wyrok nicości dla pół-bogów ziemi...

Słońce nareszcie zadziwioném okiem
Spojrzało z góry strwożone widokiem
Strasznéj ruiny. Z pod gruzów opoki
Dym tylko jeszcze płynął pod obłoki...
Wszystko runęło!—i gmach, Persyi chwała
Spoczął w popiele.
Wpośród jego stosów
Dymem owiana jakaś postać stała.
To—Tais! milczy wśród radośnych głosów.
Nogę oparłszy na spadłéj kolumnie,
Patrzyła w niebo spokojnie i dumnie.
W dłoni jéj była pochodnia zgaszona,
Kaskada włosów spadła na ramiona—
Na tle ich ciemném jéj oblicze blade
Drżało rozkoszą zemsty—za Helladę!

Stanisław Grudziński.

Ustęp z poematu „Tatry“.

Kazimierza Glińskiego.

VI.

Wyprawa do Morskiego Oka.

Promienne słupy błysły na lazurze
Królewskie przyjście światu zwiastujące.
Na bladych chmurach siadły ogniów róże,
Mienią się, płoną—po muraw tkaninie,
Drżąc brylantami ciche światło płynie—
Błysnęły wierzchy gór—i zeszło słońce.
Szliśmy ściśnieni skał wązkim wąwozem,
Brzegiem Roztoku fal, w milczeniu głuchém.
Na górach chmury stanęły obozem,
Jak wojska błędnych widm, z wiatru podmuchem
Chyląc ku ziemi powiewne sztandary.
Słońce szło wyżéj—jakieś dźwięki, gwary
Zaczęły mącić uroczystą ciszę—
Każdy rozumiem głos, każdy dźwięk słyszę:
To brzęk owadów cichy, to radośny
Szmer dziękczynienia ptaszęcego świata,
Ich gruchotania czułe, śpiew miłośny...
Słyszę jak wicher po górach przelata
I strąca głazy; dźwięczą echa drżące,
Grają jękliwie z cichych gór płynące
Pasterskie pieśni:—drzew szum, wichrów loty,
Posępne zdrojów gwary, krzyk juhasów,
Głuche szelesty traw, mruczenie lasów,
Płaczliwe dzwonki trzód i głazów grzmoty—
Wszystko, złączywszy się w harmonię jedną,
Brzmiało do koła pieśnią niepowszednią.
Wtém łoskot głuchy rozległ się w wąwozie
I jęknął grzmotem wśród skał rumowiska—
Jakby wrzask boju, gdy w zaciętéj grozie
Pierś na pierś natrze, miecze tną, stal pryska,
Grzmią działa, kule z gwizdem ziemię ryją,
Umierający jęczą, ranni wyją—
Taki gwar walki na powietrza fali
Rozgłośne echa gór niosły z oddali.
I oto nagle, w sinéj jaru głębi,
Przed naszém okiem łuk tęczy zabłysnął—
Jakby z błękitów zleciał i zawisnął
Między ścianami skał—wije się, kłębi,
Jak wąż się czołga, skier płomienie ciska,
W tysiąc się mieni barw, i grzmi i błyska.

O! czarujące zjawisko Przyrody,
Olbrzymich Tatrów pyszny wodospadzie!
Kto barwą niebios maluje twe wody
I tyle świateł na twe nurty kładzie?
Czy anioł boży upadły z błękitu,
Fal lubieżnemi skrępowan uściski,
Na twoje łono zarzucił z granitu
Promienie słońca i wszystkich gwiazd błyski,
I rozkochany przyodział twe fale
W szmaragdy, perły, rubiny, opale.?!

Darmo roztaczasz swe ramiona śnieżne
I na nas skokiem ciskasz się padalczym;
O darmo skrapiasz kamienie nadbrzeżne
I jakąś pieśnią grozisz nam złowrogą—
My śmiałą stopą te przeszkody zwalczym,
Po śliskich głazach pewną pójdziem nogą
I zniweczone twych pragnień pochopy
I twój bezsilny gniew rzucim pod stopy!

Jak gdyby z naszéj wyczytał źrenicy,
Wielkiéj potędze swojéj, urąganie,
Ryknął—dwa głazy porwał i w otchłanie
Cisnął zajadle.—Lotem błyskawicy
Runęły w przepaść— w rozpaczliwych skokach
Wiją się, jęczą w wrzących fal potokach,
Rwą pęta wodne, ale silne ramie
Spienionych nurtów wszelką moc ich łamie.
Co raz bezsilniéj walczą jak omdlałe,
Co raz się głębiéj zanurzają w fale—
Z bólu jęczące, z przerażenia białe
Wydają krzyki i płacze i żale.
Aż je owinął kłąb wody falisty
I legły w głębiach na sen wiekuisty...

Pod nami przepaść z wodospadu wstęgą,
Wyrwy granitów, głazów świat zamarły—
Przed nami straszną dźwignione potęgą
Ostrza skał nagich w błękity się parły,
Niby Tytanów skamieniałe grody.
Tu drzemią ciche Pięciu-Stawów wody,
Zkąd dwuramienną szarfą, wśród kamieni,
Rwie się wodospad, szeleszcze i pieni,
Wrzącemi nurty pierś głazów roztrąca
I leci w przepaść niby tęcza grzmiąca.

Jak wśród miłosnych szeptów pogadanki
Kochanek kibić ujmuje kochanki—
Tak u lesistych gór zielonych stoków
Srebrzystą nicią mruczących potoków,
Cichych wód stawy łączą się miłośnie,
Szepczą namiętnie, to ciszéj, to głośniéj,
A gdy dnia blaski cicha noc rozproszy—
Posłyszysz długie westchnienie rozkoszy.
Drzemią jeziora marzące, spokojne,
Odbiciem lasów i błękitów strojne—
Czasami tylko ich spokój naruszy
Góralska piosnka albo róg pastuszy,
Lub ptak wędrowny milczące powierzchnie
Lotnemi pióry potrąci i pierzchnie.

Było południe.—Po długiém wytchnieniu
Nad brzegiem stawu, w rozkosznym drzew cieniu,
Kędy łagodniéj niebo się uśmiecha
I słońce powiek swym blaskiem nie mruży,
Strzałami Karpat spróbowawszy echa,
Znowu do dalszéj wstaliśmy podróży—
A celem naszéj dzisiejszéj wędrówki
Morskiego-Oka przejrzyste zwierciadło.
Po nad olbrzymiéj przepaści głębiną,
Pokrytą wiecznie otchłani mgłą siną,
Na przepaściasty szliśmy grzbiet Swistówki.
Traconych nogą kilka głazów padło,
Warknęło dziko i z przeciągłém grzmieniem,
Po prostopadłéj niemal ścianie skały,
Pokrytéj śliską murawy powłoką,
Zleciało głębi okrywszy się cieniem.
O wędrowniku! jeśliś nie dość śmiały
Zwróć kroki swoje i zmróż trwożne oko—
Wracaj w doliny, bo czoło ci zbladnie
Strachem, gdy wzrok twój w tę otchłań zapadnie.

Niejednokrotnie mniéj śmiałych pielgrzymów
Przejmuje tutaj lęk i z nóg obala—
Więc się oddają ramionom górala
I pod opieką tych lekkich olbrzymów,
Stuliwszy oczy zbielałe od trwogi,
Przechodzą drżący ten pas ciężkiéj drogi.
Ale my lekko, jakby Tatrów syny,
Szli na najstromsze granitów wyżyny—
Wolni przestrachu, nieznający grozy,
Ze skał na skały biegli w oka mgnieniu,
Tak, że nas góral, w wielkiém zachwyceniu,
Porównać musiał do tatrzańskiéj kozy.
—„Nie tak wy, mówił, jak inni panowie,
Których potrzeba sadowić na grzbiecie,
Gdy w delikatnéj zakręci się głowie—
Wy jak koźlęta karpackie skaczecie.“—
Więc naśladując lotnego rogala,
Spieszym na czoło posuwistym krokiem,
I zdumionego rzuciwszy górala
Na szczyt Swistówki wbiegliśmy z podskokiem.
Czarowny obraz!—nad naszemi głowy
Skaliste turnie i sklep lazurowy
Czystego nieba—a u stóp, w głębinie,
Pod gór ciężarem ugięty, świat ginie.
Roztok, co płynął szumiąco i szalał,
Gdzieś u stóp naszych zwęził się i zmalał—
Pośród pokrytéj zielenią doliny
Srebrzył się tylko jak nić pajęczyny,
I wśród kamieni błękitnawych stosu
Ukrył się drżący i skonał bez głosu.

W głębi, szukaniem zdobyczy zajęty,
Ważył się orzeł na skrzydłach rozpięty—
Wzrok swój utopił w rozpadłe skał złomy,
Drgnął—i w powietrzu zawisł nieruchomy.
Zobaczył giemzę.—Jak z podniebnych szlaków
Zlatuje piorun—tak runął król ptaków,
Porwał ją, skrzydły uderzył dwa razy,
Wzniósł się w obłoki i cisnął na głazy.
Padło na granit roztrzaskane zwierzę,
Żegnając jękiem gór rodzinnych skały—
Krzyk konającéj i zapach krwi świeżéj
Odurzył orła—zakrakał i cały
Drżący radością padł z nieba i szpony
Rozrywać począł zewłok okrwawiony,
I dziób zanurzył w pierś trupa nieskrzepłą
I pił, morderca, ofiary krew ciepłą.

Ustęp z poematu „Tatry".

II.

PO BURZY.

W podgórskiéj wiosce, w chałupie górala,
Znużeni drogą legliśmy na słomie.
Huk burzy jeszcze dolatywał zdala,
Deszcz lał rzęsisty i grom bił po gromie.
Ale słuch tępiał, zwisały powieki,
Czasami tylko wznosiliśmy głowy,
Gdy łoskot gromu uderzał daleki,
Lub zbiegł po ścianie zygzag piorunowy.
Lecz z każdą chwilą gwar burzy ucicha—
Już błysły gwiazdy w rozkrytych lazurach,
Wzburzoną piersią tylko wiatr oddycha,
Znużony piorun przewraca się w chmurach,
Chcąc je rozszarpać, ale gniewu przemoc
Nic już nie zdoła—więc czując swą niemoc,
Raz jeszcze wydał głos groźny, ponury—
Zagrzmiał i umilkł i ukrył się w chmury.

A chmur gromady pobiegły burzliwe,
Kędy olbrzymów drzemią czoła siwe—
I okrywając ich śnieżne ramiona,
Całują piersi i płyną gdzieś daléj.
Z łożyska koza wybiegła spłoszona,
Spojrzała trwożnie, stanęła na skale,
Słuch wytężyła i ciała połową
Zwisła nad głębią... Już była gotową
Runąć piorunem w otchłanie z granitu—
Lecz się wstrzymała: u stromego szczytu
Tylko całuny rozdartych chmur wiały...
Więc powróciła znowu spać na skały.

A chmur gromady pobiegły na złomy
Skał, kędy ostrzą swoje strzały gromy—
Rozpadliskami gór dzikich zawładły,
Tam, gdzie niedźwiedzie do snu się układły...
Ale szum wichrów ich wcale nie zbudził,
Mieszkaniec lasów podnieść się nie trudził,
Tylko gdy piorun uderzał w granity,
Zły władca borów, że ze snu wybity,
Ryknął ponuro, znak dając, że czuwa—
I senne oko powieką zasuwa,
A kiedy piorun stoczy się po skale,
Gniewliwie mruczy, sapiąc ociężale.

A chmur gromady pobiegły brzemienne,
Nad piersi lodów, po nad Tatry senne—
Zbudziły orła.—On podniósł się dumnie,
Potrząsnął skrzydły, piór kity najeżył...
To tylko chmury przebiegają tłumnie—
On zna je dobrze—to goście codzienne!
Wyciągnął szyję, skrzydłami uderzył,
Podniósł się—wzrokiem krąg świata obiegnął—
I schylił głowę i do snu znów legnął.

Doliny tylko śnią we śnie spokojnie.
Po groźnéj burzy, po żywiołów wojnie
Wróciła cisza—tylko blaski żywsze
Lśnią w kroplach deszczu, burzliwsze potoki,
Tylko rzek fale bielsze i swarliwsze
Spienionym nurtem płyną w świat szeroki.
Brzemienna w gromy górą przeszła burza,
Deszcz wązkich zdrojów wypełnił koryta—
Spokojnie wioska śpi u gór podnóża,
Osłoną ciemnych szafirów nakryta.
Podniósł się księżyc i promiennem licem
Rozsypał światło na góry rodzinne;
I marzą góry olśnione księżycem
I wonią kwiatów, ślą modły dziękczynne.
Blady stróż ziemi błąka się po szczytach,
Niby na wrażeń czekający połów—
A cisza taka, jakgdyby w błękitach
Wybiła chwila modlitwy aniołów.

Kazimierz Gliński.

PRZECHODZIEŃ.

(Z rozdartej kartki.)

„Wszystko prowadzi dziwnie Boża ręka,
Tak dziwnie—że mi serce wre i pęka."

J. Słowacki.

. . . . . .

..... Wtedy—głos jakiś w inny świat mnie woła,
Tajemne słowa bezwiednie się kreślą,
Gwiazdę ci złotą zapalam u czoła:
Ty jesteś, lecz—tylko myślą!

Myśl ta się w ludzką postać przyobleka,
Schodzi na ziemię za woli podmuchem,
Wzrok chwilę goni—serce chwilę czeka:
Ty jesteś, lecz tylko—duchem!

Duch bierze ciało, lecz skrzydeł nie łamie,
Pierś tak potężnem podnosi się tchnieniem,
Że świat za ciasny.....ach, lecz świat ten kłamie,
Ty jesteś, ale—marzeniem!

.....Ciężko oddychać zawsze ziemi pyłem,
Do bezowocnej walki stawać codzień;
Myśl—duch był ze mną, więc przez chwilę śniłem:
Ty jesteś, aleś—przechodzień!

Gdzieś w dal prowadzi los szczęsny—czy wrogi;
Śpiewak wędrowcom piosenkę w ślad rzuci:
Myśl—duch—marzenie mogą wrócić z drogi!
Ale przechodzień—nie wróci!

Wszystkich odbiegłych czekać nadaremno,
Może dźwięk piosnki zwolua ich zgromadzi....
Myśl, duch, marzenie—pozostaną ze mną,
Przechodnia—niech Bóg prowadzi!

Bożymir.

NAPAD NA PARNAS.

Dobrze było w swoim czasie
Apolina służbie głodnej,
Mieć kąt własny na Parnasie
Ciepły, suchy i wygodny.

—

Dobrze było w laurów cieniu,
Pod opieką Muz dziewięciu,
W poetycznem zachwyceniu
Żyć po własnem wniebowzięciu.

—

Wierne sługi, łaska Feba
Przyodziała w blask sowicie,
Wszystko było co potrzeba
Na Parnasu górnym szczycie.

—

Można było pełną dłonią
Z Kastalskiego czerpać zdroju,
I oddychać kwiatów wonią
W błogiej ciszy i spokoju.

—

Do przejażdżki służył stary
Lotny rumak, co miał skrzydła,
A śmiertelni nieśli dary
I pochwalny dym kadzidła.

—

Niezła była to dzierżawa!
Gdy kto innych nie miał włości...
W gruncie rzeczy dym i sława
Także godne są zazdrości.

—

Więc i wielcy, więc i mali,
Brnąc przez wszystkie życia burze,
Jak umieli tak się pchali
Na Parnasu święte wzgórze.

—

Ten przy lirze, ten przy gęśli,
Ów z piszczałką nawet lichą,
Wszyscy z góry światem trzęśli,
A śmiertelni byli cicho.

—

Chociaż który śpiewał cienko,
Chociaż czasem rozdarł uszy...
Lud się pieścił wciąż piosenką,
Bo melodyę miał w swej duszy.

—

Aż tu naraz zgiełk i wrzawa...
Bartki, Wojtki, nawet Kasie,
Zaprzeczają wieszczom prawa
Do pobytu na Parnasie.

—

Gmin się burzy, rwie się czeladź,
I przekupki i studenci,
Wszyscy krzyczą: „Siec i strzelać!
Niechaj giną wniebowzięci!“

—

Wydostali gdzieś z przedpiekla
Pozytywnych dział bateryę,
W pękające bomby Haeckla
Uzbroili artyleryę,

—

Przypasali miecz Darwina
Mściwi, groźni i zajadli,
I do gaju Apollina
Na drzemiących wieszczów wpadli.

—

Łatwo rzeszę zgnieść bezbronną,
Łatwo krwawe sprawić rzezie,
Gdy najezdzcy walczą konno
Na pochodzeń hypotezie;

—

Induktywną swą metodą,
Ewolucyi chytrą sztuką,
Jednych rąbią, drugich bodą,
W prawo, w lewo, tną i tłuką.

—

Nikt nie ujdzie ich pogoni,
Próżno śpiewny chór się cofa,
Już nikogo nie zasłoni
Słodko brzmiącej pieśni strofa.

—

Wykarmione wieszczym duchem
Ody, hymny, lub peany,
Jęczą teraz pod obuchem
Mechanicznej sił przemiany;

—

Tren miłosny, lub ballada,
W swym rynsztunku idealnym,
Wszystko pierzcha, wszystko pada,
Przed doborem naturalnym.

—

Ta broń straszna, w ręce tłumu
Rozstrzygnięcie daje łatwe—
W imię świętych praw rozumu
Apollina biją dziatwę.

—

Trubadury i minstrele,
Poetyczne bardów pułki,
Otrzymawszy sińców wiele
Przez Parnasu mkną zaułki,

—

I niejedna nawet Muza
Zaskoczona przez studenta,
Oberwała nagle guza,
Który długo popamięta.

—

Aż nareszcie śpiewne bractwo
Woła: „Ratuj, Apollinie,
Ukarz jawne świętokradztwo,
Bo sług twoich ród zaginie.

—

„Barbarzyńcy ci zuchwali
Już niczego się nie zlękną—
Gdy nie wstrzymasz—pójdą dalej
Nieśmiertelne burzyć piękno.

—

„Widzisz panie straszny zamęt,
Broń więc wiernych od bezprawia...“
Na te skargi, na ten lament,
Melodyjny bóg się zjawia.

—

W złotym blasku uśmiechnięty
Na burzliwą patrzy młodzież,
Co napadłszy wzgórek święty,
Potargała wieszczom odzież.

—

Z olimpijskim bóstw spokojem
Przed zwycięzców zastęp schodzi,
I ucisza tchnieniem swojem
Przemawiając tak do młodzi:

—

„Zkąd te gniewy? zkąd te krzyki?
Zkąd ten rozbój mojej służby?
Zkąd ten cały zamach dziki
Na śpiewaków sny i wróżby?

—

„Zkądże przyszło wam do głowy
Napaść cichy Muz przybytek,
I doktryny sztandar nowy
Na tak śmieszny wziąść użytek?

—

„Czyż sądzicie, że dorywczo
Zaczerpnąwszy mądrość szkolną,
Już wam pieśni moc ożywczą
Sponiewierać teraz wolno?

—

„Ja poważam także wiedzę,
I oddaję cześć Minerwie,
Co mieszkając tuż o miedzę
Nigdy badań swych nie przerwie.

—

„Chcę, by Parnas żył z nią w zgodzie,
Korzystając z jej wyroku,
I w kwitnącym Muz ogrodzie
Wieczne prawdy miał na oku;

—

„Chcę, by kroczył w równej mierze
I otrząsał lutnie z pleśni,
Wszystkie życia prądy świeże
Odtwarzając w swojej pieśni.

—

„Jednak moje wdzięczne państwo
Cel i zakres ma odrębny,
I nie może pójść w poddaństwo
Guwernantki tej bezzębnej,

—

„Która siostry mej Minerwy
Przedrzeźniając obyczaje,
Wciąż roztrząsa: czyli pierwej
Było kurczę, czy też jaje?

—

„I nie mogą struny lutni
Drżące szmerem pocałunków,
Do uczonych schodzić kłótni,
Powstawaniem brzmieć gatunków.

—

„Tej krainy śpiewnych marzeń
Nietykalną jest potęga,
I wśród wszystkich przeobrażeń
W ideału sferę sięga.

—

„Gdyż królewska pieśni władza,
Wieczne swoje panowanie
Na uczuciach tych zasadza,
Co nie mają uledz zmianie.

—

„Idealnych snów przędziwo
Wiecznie snuje dla człowieka,
Serc tęskniących walkę żywą
W strój piękności przyobleka.

—

„Piękność, pierwszem dla niej prawem,
Główną gwiazdą na błękicie,
Piękność tylko swym objawem
Nieśmiertelne da jej życie!

—

„Więc chcąc sądzić w państwie sztuki
O fałszywej piewców nucie—
Prócz rozsądku, prócz nauki,
Trzeba piękna mieć poczucie.

—

„Komu takiej braknie miary,
Ten się światu nie przysłuży,
Gdy poezyi słodkie czary
I fantazyi gmachy zburzy.

—

„Wyście przyszli jak szkodnicy,
Biorąc sobie za rzemiosło,
Deptać wszystko bez różnicy
Co w ogrodzie mym wyrosło.

—

„Muszę skarać taki zamach...
I tej hordzie, która wrzeszczy
W mej świątyni stojąc bramach,—
Nowy rodzaj stworzę wieszczy.“

—

To wyrzekłszy, bożek wkrótce
W napastników wybrał gronie:
Krzykliwego wziął dowódcę,
Wieńcząc laurem jego skronie,

—

Złotą lirę dał mu w ręce,
Tajemnicze wyrzekł słowo,
I rozkazał, by w piosence
Streścił światu mądrość nową.

—

Wnet Parnasu cały wzgórek
Stanął w niemem osłupieniu,
Słysząc romans dwóch komórek
W pacierzowym tkwiących rdzeniu.

—

Pieśń na nowe pchnięta tory,
Materyalną wziąwszy suknię,
Do mózgowej sięga kory,
Po nerwowem pędzi włóknie.

—

Serc pragnienia i zachwyty
I myśl każdą i uczynek,
Wyprowadza z walki skrytej
Wirujących wciąż drobinek.

—

W nieprzerwanym kreśli wątku
Organizmów epopeję,
Odtwarzając od początku
Protoplazmy pierwsze dzieje,

—

I w powszechnej bytu walce
Przez rodzajów zmiany skacze...
Aż w rozpaczy łamiąc palce
Upadają w proch słuchacze,

—

I błagają: „Wielki Febie!
Dość tej kary, dość tej męki,
My o litość prosim ciebie,
Ucisz dzikie lutni dźwięki.“

—

Lecz Apollo nieubłagan,
Zapał wieszcza wciąż podsyca—

I pieśń huczy jak huragan,
Albo wyje jak wilczyca.

—

Spiewa dalej mistrz uparty
Rozdzierając wszystkim uszy—
A tłum widząc, że nie żarty,
Pragnie strasznej ujść katuszy.

—

Napastników roty bitne
Na złamanie lecą karku,
Swe sztandary gubiąc szczytne
Uciekają z Muz folwarku.

—

Wszyscy chcą się w ziemię zapaść,
By ujść mściwej Feba dłoni—
Taki koniec wzięła napaść;
Ledwie przetrwa pamięć o niej.

—

Znowu Parnas lśni pogodą,
Znowu spokój w nim głęboki—
Tylko wieszcze dotąd wodą
Okładają swoje boki.

El-y.

Przysłowia ludowe słowiańskie.

Niech cię nigdy człowiecze nie ogarnia trwoga:
Przez najmniejszą szczelinę wchodzi łaska Boga.

*

Biedak jęczy i wzdycha,
Bóg mu taczkę popycha.

Gdy dziecię na świat przychodzi,
Nowy kęs chleba się rodzi.

*

Gdy ci ta godność nie dana,
Nie wdziewaj sukni kapłana.

*

Kiedyś z rodu borowika,
To leż bracie do koszyka.

*

Na cudzym półmisku ryba
Ocenia się taniéj grzyba.

*

Kłos, co ziarna nie zawiera,
Dumnie w górę łeb zadziera.

*

Kto dojne krowy w darze przyrzeka,
Często przepomni dać szklankę mleka.

*

Ten pierwszy u mety stanie,
Kto w lecie naprawia sanie.

*

Nieszczęście pół-nieszczęściem bywa z dobrą żoną,
A radość z nią dzielona zawsze podwojoną.

*

Do trybunału wchodzisz w kontuszu, w żupanie;
A przy wyjściu zaledwie koszula zostanie.

*

Kto sobie nawarzy piwa,
Niech pijąc nie postękiwa.

*

Daj leniuchowi kasztany w darze,
On ci je z łupin obierać każe.

*

Dla żony to podróż jedyna:
Prosto od progu do komina.

*

Gdy na sajetę nie stanie,
I drelich dobre ubranie.

*

Nie miłość się wzmaga do miary piękności,
Lecz piękność się zwiększa do miary miłości.

*

Choć stuła dłonie zwiąże u ołtarzy,
Serc niedobranych tém się nie skojarzy.

*

Zgłodniały smakosz, gdy dozna braku,
Smakować będzie i w pasternaku.

*

Jeden pacierz przed wojną, dwa płynąc na morze,
A kiedy masz się żenić, odmów trzy nieboże.

*

Jaka prządka u kądzieli,
Takie płótno tam się bieli.

*

Nie zawsze ten kolącym bywa,
Kto skórą jeża się poszywa.

*

Miłość i od różańca
Porwie nieraz do tańca.

*

Za późno szczędzić już wina,
Gdy beczka dzwonić zaczyna.

*

Kto często mówi: „Jakoś to będzie,“
Wcześniéj, czy późniéj, pod płotem siędzie.

*

Przyjęcie ofiary zawsze upokarza,
Toć wdzięczność u ludzi rzadko się wydarza.

Marcin Prawdzic.

DOLA.

(Z Szewczenki.)

Oj, po górze kwiat się wspina.
W dole idzie kozaczyna;
Idąc biedę rozpytuje,
Gdzie ta dola zamieszkuje?

Może w karczmach z bogaczami?
Albo w stepach z czumakami?
Albo w polu igrać woli
I z wiatrami gdzieś swawoli?

Nie tam, nie tam, panie bracie!—
U dziewczyny w cudzej chacie,
Gdzieś w ręczniku i chusteczce
Przechowuje się w skrzyneczce.

L. Sowiński.

Ustęp z poematu „Tatry".

Kazimierza Glińskiego.

(Dokończenie).

Po krętych ścieżkach, wśród ostrych kamieni,
Szliśmy niemiłą drogą, umęczeni,
Z góry na górę, to między rozpady
Skał, gdzie śnieg zbity zalegał płatami,
To pnąc się stromo po nad urwiskami
Na słupy głazów.—Jakby tracąc ślady
Gościńca, góral wstrzymywał się, wzrokiem
Rzucał do koła i niepewnym krokiem
Wiódł nas, trwożliwie patrząc w stronę nieba,
Gdzie do snu słońce pochylało głowę—
Znać, że mu było tego słońca trzeba,
Że przewidywał jeszcze trudy nowe.

Wiatr z gór węgierskich przejmującym chłodem
Owiał nam czoła, gdy na stromym wierzchu,
Znużeni długo trwającym pochodem
Wstrzymaliśmy się... W gór dalekich zmierzchu,
Na tle zielonych łąk, dolin i borów,
Pod szafirową granitów opoką,
Pełne słonecznych świateł i kolorów,
Jak gwiazda Karpat, błysło Morskie-Oko.
Staliśmy niemi z podziwu, zachwytu,
Z bijącém sercem, z licem pałającém:
Nad nami niebo z słońcem wśród błękitu,
Pod nami błękit z témże samém słońcem.
Gdziebyś wrażliwą nie rzucił źrenicą,
Wszędzie cię nowy świat piękna otoczy:
Tu Tatrów turnie myśl w niebo pochwycą,
Tam ognie lodów olśnią twoje oczy,
Tu szumią bory, tam szeleszczą wody,
Wiosenną barwą świat się rozzielenia—
Widzisz na łąkach pasące się trzody,
Słyszysz srebrzyste dzwonków uderzenia.
I piersią chwytasz balsamiczne wonie
Z tatrzańskich dolin ku gwiazdom płynące—
Wszystko tchnie wiosną, rozkwita i płonie:
Ziemia, powietrze i niebo i słońce.

Pośpiesznie naprzód pomyka myśl skora,
Lecz chyżym krokom wbrew stają gór grzbiety.
Jeszcze chwil kilka i u fal jeziora
Na słodki legniem spoczynek;—niestety!
Znikło przed nami czarowne widziadło—
Zewsząd przepaście i dzikie urwiska,
W ogniach piorunów, skał porozpękanych...
Spadamy niżéj—znów widzim zwierciadło
Morskiego-Oka—przezrocze wód szklannych
Falistym nurtem u stóp naszych błyska.

W tém goral stanął i z twarzą pobladłą,
Nad stromą ścianą w głąb idącéj skały,
Zwrócił się do nas—„Zbłądziliśmy pono..."
Wyszeptał—usta trwogą mu zbielały,
Bo czuł, że przyjął na swoje sumienie
Życie dwóch ludzi; bo niedoświadczoną
Kierował nogą—a w górach zbłądzenie,
Kiedy przepaście ciemne mgły zachwycą,
Z królestwem śmierci jest bliską granicą.
O nieoględny!—pierwszy raz dopiéro
W tych miejscach, w owym gór olbrzymim gma-
Był przewodnikiem;—gdy mową strwożoną, [chu,
„Zbłądzili"—szepnął—powiem prawdę szczerą,
W sercu uczułem coś, coś na kształt strachu.
Dokąd się zwrócić?—gościniec przebyty,
Łomami śliskich kamieni okryty,
Pozwalał śmiałym stopom wędrownika
Zsunąć się na dół—lecz wrócić tą drogą,
Karpackie chyba dziwo-żony mogą.
Pod nami przepaść groźna, niema, dzika...
Co mamy czynić? złowieni tak w matnię,
Uczucie trwogi skrywaliśmy w sobie...
O Morskie-Oko! może to ostatnie
Spojrzenie nasze rzucamy ku tobie—
Przed chwilą jasne w błękitach i świetle,
Dla czegoś teraz piękne lecz posępne?
Czemu tak nagle jakaś smętność na tle
Fal twoich legła?—ciche, niedostępne,
Milczącym smutkiem toń okryłaś złotą,
Jakbyś nas niemą żegnało tęsknotą!

Czas nagli—słońce coraz niżéj spływa,
Szata wieczoru doliny okrywa—
Olbrzymie cienie gór jak grobów mary
Kładą się czarne na równin obszarach,
Lśnią jeszcze szczyty skał—ale mrok szary
Zaległ w przepaściach, rozdołach i jarach.
I co raz ciemniéj na ziemi, w lazurach
Coraz posępniéj... Za piersi granitów
Znużone słońce spływało z błękitów,
Zaszło—i światła zagasły na górach.

O! nie zapomnę nigdy tych postaci
Gór, co w twarz moją patrzyły zuchwale—
O! nigdy pamięć wrażenia nie straci
Dnia tego, kiedym zwieszony na skale,
W straszne oblicze śmierci patrzał z bliska,
Czekając chwili jéj przyjścia.—Przedemną
Jak widma, które wychodzą w noc ciemną
Z zapomnianego grobów uroczyska,
Sterczały ostrza skał—i zda się skały
Mówiły głosem groźb: „tak stój zuchwały,
W zaklęty wszedłeś świat, więc w głaz się za- [mień!"
Wiem, żem skamieniał i stałem jak kamień.

Widząc nasz góral serc naszych frasunek,
Zaczął się bacznie rozglądać w około,
Gryzł wargi, pięście ściskał, marszczył czoło,
Nakoniec krzyknął głośno:—„Jest ratunek,

Lecz śmiało naprzód! co będzie, to będzie—
Za mną a żwawo!"—i rzucił w się pędzie
W krzak jałowcowy, który przyczepiony
Do boku skały, chwiał się nad kotliną
Porosłą mchami i kosodrzewiną.
Spojrzeliśmy w dół .. Jak ptak zawieszony
Po nad otchłanią, cały w łuk wygięty,
Silném ramieniem wiotkie krzewu pręty
Chwytał—na dłoniach chwilę się kołysał,
Szukał podpory nogą—znów zawisał,
I tak bujając coraz niżéj, daléj,
Jak bystry potok spuszczał się po skale.
Precz więc bojaźni! śmierć albo zbawienie!..
Mimo niepewność, mimo serca drżenie,
Jak lotne sarny lub górskie jastrzębie,
W ślady górala runęliśmy w głębie.
Piekielna jazda!—na myśl owéj chwili
Krew staje lodem, każdy nerw się wzdryga—
Niech jedna krzewu skruszy się łodyga,
Niech się dłoń drżąca w ujęciu pomyli
Zginiesz w przepaściach i tylko nad tobą
Zapłaczą Tatry czarnych chmur żałobą.

Lotem błyskawic jak widma upiorne
Suniemy na dół, czasem tylko słysząc
Rwących się głazów grzmoty, które korne,
Ugiąwszy czoła pod naszemi stopy,
Runęły w otchłań głucha,—ledwie dysząc
Płyniemy niżéj, jako antylopy
W powietrza sinych falach się kołysząc.
Lecz głąb' przed nami wciąż daléj ucieka,
Bezdenne zewsząd ciemnieją otchłanie—
Ramiona mdleją... Jezu! Chryste Panie!
Czy tam kamienny grób swych ofiar czeka?
Na owo widmo myśli, co jak nagi
Miecz błysła w mózgu, poczuliśmy nagle
Jakąś potęgę rozpacznéj odwagi,
I żądza życia stworzyła nam żagle
Wichru, ramionom dała orle pióra,
I zgubnéj trwogi rozpierzchła się chmura!
Niepowstrzymani, rozjadli odwagą,
Niebezpieczeństwem do walki zagrzani,
Z krzewu do krzewu płynąc ścianą nagą,
Ruchome głazy trącając zuchwale,
Na dno ponuréj spadliśmy otchłani...
Przetarłem oczy znużone—gdzież jestem?...
Morskiego-Oka szmaragdowe fale
Koło stóp naszych zajękły z szelestem.
Okrzyk zachwytu wzruszył pierś niebogą,
Wśród bicia serca i rozkosznych dreszczów—
Czarowny obraz! promienne sny wieszczów
Piękniejszy tylko odmalować mogą.

Ciemno-zielone wód jeziora tonie,
Szemrzących lasów ujęte pierścieniem,
Wznoszą się lekko fal srebrzystych drżeniem,
Jak pierś dziewicza z miłości sném w łonie.
W okrąg łagodne rysując półkole,
Siadły kolumny szafirowych głazów,
A wieńce lodów na śnieżném ich czole
Świeciły, niby djademy z topazów.

W całéj potędze swego majestatu
Zbiegła noc cicha, przyniosła sen światu—
Zciemniało niebo, a jakby brzemienny
Natłokiem myśli, wybiegł księżyc senny,
Na toń jeziora kilka blasków cisnął,
Okrył się chmurą, pociemniał i błysnął.
I wzrok promienny ku górom obrócił,
Połamał cienie i w rzewnéj zadumie
Falami światła w gajach się rozrzucił,
Jakby chciał marzyć przy cichym ich szumie—
I słuchał jak las z falami wód gwarzył,
Oddychał wonią łąk—i stał i marzył.

Urocza ciszy chwila!... Drzew korony
Z tchnieniami wiatru miłośnie się pieszczą—
Czasem przeleci dźwięk fletni stłumiony,
Czasami silniéj wody zaszeleszczą,
I wyrzucając pian srebrzystych śniegi,
Fal pocałunkiem uderzą o brzegi.
Usypia ziemia—zadumane góry
Patrzą z błękitów w toń jeziora jasną—
Nad niemi niebios ciemnieją lazury,
W lazurach gwiazdy to błysną, to zgasną.
A my wśród cieniów lip wonnych i sosen
Wiosennym chłodem poim pierś radosną...
O wiosno! z wszystkich już przeżytych wiosen,
Ty jedna byłaś czarodziejką, wiosno!
Takiego nigdy nie czuliśmy bicia
Serc w głębi piersi, jako w owéj chwili,
Gdyśmy jak z grobu na ziemię wrócili,
Gdyśmy witali niby powrót życia.
O wiosno! pełna natchnień i zapałów,
Pragnień i wiary w mar serca spełnienie—
Na moje czoło twe ożywcze tchnienie
Nie padnie więcéj —minęły dni szałów,
I widmo dawnych żądz ducha nie wskrześnie—
Więc już o niczém nie marzę, nic nie śnię.
O wiosno! pełna świateł i kolorów
Błogosławioną bądź!... Wyciągam ręce
Do owych szumów i do owych borów,
Ku owéj tęsknéj jeziora piosence
I do mar własnych—posępną twarz łzawię,
Wyciągam ręce tak—i błogosławię!

Trzeci...

Przyjaciół moich szczupła gromada
Gdzieś po szerokim świecie rozbita.
Bratem mi każdy był do ostatka,
Potem w dwóch słowach: „Bądź zdrów"—i kwita.
Ot — zda się wszystko idzie jak z płatka,
Jednak żal dziwny za serce chwyta

I choć się w życiu niby to szczęści,
To któż wie czemu smutno najczęściej?

I wciąż tak tęskno jakoś za niemi,
Jakbym ich wczoraj żegnał dopiero,
Jakbym ja jeden był tu na ziemi,
Co w sercu miłość przechował szczerą,
Jakby to dla mnie wśród tego świata
Nigdzie już więcej nie było brata.

Gdy się bywało w smutku zagłębię,
Rozerwać myśli wychodzę czasem
W pole... Nad rzeką przy starym dębie,
Co tam samotny stoi pod lasem,
Przesiedzę nieraz długie godziny,
Słuchając gawęd szemrzących liści,
Słuchając baśni coraz to innej
Nie bez zajęcia, nie bez korzyści.

I tak ze starcem jakoś pomału
Coraz to ściślej zżyłem się potem.
W lecie on chronił mnie od upału
Bujnej zieleni gęstym namiotem
A zimą kiedym jechał tamtędy,
To zginął zawsze kark w moją stronę
I długo za mną wichrem zmącone
Biegły jak echa starca gawędy.

Och! próżno serce człowiek zamyka
Dla wszelkich uczuć, jak dla czczej mary —
Zostaje wiecznie w nim żądza dzika
Jakiejś miłości, nadziei, wiary...
Długo odludka i samotnika
Był przyjacielem ów dąb prastary.

Aż w lat — lecz mniejsza... Cóż data znaczy?
Z żalem żegnałem moje zacisze
I w świat na żywot szedłem tułaczy...
Lecz dawni młodych lat towarzysze
Poznać nie chcieli... nie mogli raczej.
A ten ostatni, co tam, daleko...
Jeszcze czas jakiś szumiał nad rzeką,
Potem go strzaskał piorun — jak słyszę.

I oto znowu po przerwie długiej
(Tak jak to zwykle bywa na świecie)
Nadarzył mi się przyjaciel drugi.
Raz wyczytałem anons w gazecie
Pod artykułem treści prawniczej,
Że sprzedać pudla ktoś sobie życzy.

Pudel był stary—lat dziesięć blisko.
W targu z właścicielem: —„cztery floreny!“
Niemcowi widać zbrzydło to psisko,
Bo zaraz spuścił z tonu i z ceny,
Lecz na trzech reńskich w końcu się zaciął.
Ha! dziś o tańszych trudno przyjaciół.

Więc od tej chwili wszędzie po świecie
Tłukło się za mną poczciwe zwierzę,
Gdy się w alpejskim znudzim szalecie
Do Włoch nad morskie jedziem wybrzeże;
Zwiedziwszy Londyn, Rzym i Wenecję,
Zaprzyjaźniliśmy się tak szczerze,
Że dziś gdy wspomnę o tej przyjaźni
Żal szczery serce boleśnie drażni.

Szczęśliwi ludzie, którzy z kolei
I raz i drugi pokochać mogą,
A nie kochając nic i nikogo
Żyją wspomnieniem w braku nadziei!
Lecz nie każdego, sami przyznacie,
Naturą taką Bóg obdziela...
W Madrycie skradli mi przyjaciela.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Dziś rzadko o tej wspominam stracie,
O druhów moich gromadce bratniej.
A jeśli kiedy myśl samotnika
Za niewrótnemi dniami pomyka,
Jeśli z letargu czasem się zbudzi
Serce stęsknione nagle do ludzi,
Szukając dłoni i duszy bratniej —
Wtedy gdy słońce jaśniej zaświeci
Zjawia się jeszcze przyjaciel trzeci:
Cień mój—towarzysz wierny—ostatni.

Czesław.

Milczący i smutni.

(Ze snów i z widzeń.)

Zda mi się, że to jakaś dusza bratnia
Znów odlatuje odemnie — ostatnia!
J. Słowacki.

Wśród ciszy—przy oknie siedzimy o zmroku,
Ty dumasz — ja brzękam na lutni;
Ja z burzą w umyśle, ty z skrytą łzą w oku,
Milczący oboje i — smutni...

Ty pijesz czar marzeń — ja gorycz tęsknoty,
Ja w cieniu — ty w blasku księżyca;
Ja szukam po niebie mej gwiazdki — sieroty,
A tobie — gwiazd tysiąc przyświeca!

Za oknem — gdzieś — powiew wiosenny się żali,
Patrz! — gwiazdka za chmury się chowa!
Zdaleka przyszedłem i — pójdę znów dalej...
Cóż — nie masz dziś dla mnie ni słowa?

Nie pytasz, dlaczego wróciłem w te strony,
Piosenek mych słuchasz ze śmiechem,
Samotny wróciłem — i bardzo stęskniony,
Tyś — dźwiękiem — melodją — ja echem!

Nie pytasz, czym stopy nie zranił w podróży?
Czym spotkał z gościnnym się progiem,
Gdziem głowę mą skłonił wśród wichru i burzy,
Kto rzekł mi przyjaźnie: „idź z Bogiem“.

Ty nie znasz goryczy tułaczej mej doli,
Wśród ciepła serc wielu rozkwitasz,

Jak ciężko samotnym być w tłumie — jak boli
Daleko być — nie wiesz — nie pytasz!

Ty nie wiesz, jak smutno w cudzej, wątłej łodzi
Wdal płynąć — wciąż — w obcej krainie;
Jak tęskno, gdy księżyc z wód toni wychodzi
W tej samej — co u nas godzinie...

Bo wtedy— mgła ciężka — tak myśli obleka,
Że nęci aż — fala niebieska.....
Ty w stronę spoglądasz... sucha twa powieka...
Wiem o tam! — nie dla mnie twa łezka!...

Więc powróć do ludzi — ja znów w świat — bez [celu
I zdala usłyszysz jęk lutni;
Znajdziemy się kiedyś — po latach—po wielu—
Milczący oboje i — smutni!

Bożymir.

Z SZEWCZENKI.

KALINA.

Panu Bazylemu Białozierskiemu poświęca autor).

„Czego ty chodzisz na tę mogiłę?“ —
Pytała matka ze łzami—
„Czego ty płaczesz, dzieciątko miłe?
Czego tak gruchasz nocami?
Powiedz, gołąbko ty moja biała!“
A donia na to:—„tak, mamo!“—
I znów chadzała co noc tak samo,
A matka, nie śpiąc, płakała.

Nie sen-trawa *) na mogile
W nocy się rozradza:
To dziewczyna zaręczona
Kalinę zasadza—
I polewa szczep swój łzami
I prosi cichutko:
„Zeszlij Boże deszczyk w nocy
I rosę drobniutką;

Niech kalina ta się przyjmie,
Gałązki rozplata,
Może ptaszkiem zleci do niej
Miły mój z za świata.
Zwiję mu tu ja gniazdeczko,
Sama się przytulę
I szczebiotać będziem sobie
Na kalinie czule.
Będziem płacz i szczebiotanie
Modlitwą przeplatać
I w objęciach ponad rankiem
Na tamten świat latać“.

I kalina się przyjęła,
W gałązki strzeliła,
I dziewczyna na mogiłę
Trzy lata chodziła.

Po trzech leciech nie sen-trawa
W nocy kwitnie sobie,
To dziewczyna tam z kaliną
Rozmawia na grobie:
„O szeroka, ta wysoka,
Kalino ty moja!
Ach! nie wodę o poranku
Pierś spijała twoja.
Ach! szerokie łez potoki
Wciąż cię oblewały,
Ludzi dobrych złe języki
Pęd ich poruszały.
I ośmiały towarzyszki
Smutną siostrę swoją.
Ach! ośmiały i czerwoną
Kalinę tę moją.
Przytul główkę moją biedną,
Umyj w kroplach rosy
I od słońca ją ochraniaj
Zielonemi kosy.
Znajdą mię tu, pochowają—
W śmiech im nieszczęśliwa...
A twe bujne latorośle
Dziatwa poobrywa“.

Nie sen-trawa o jutrzence
Odkwitła, omdlała:
To dziewczyna na mogile
Płakać już przestała.
Ach! przestała łzy wylewać
I kochać serdecznie—
Na mogile łzami zlana
Odpoczęła wiecznie—
Zmęczyła się—zadrzemała...

W gaju tymczasem dzionek lśni złoty,
A matka jeszcze nie spała,
Ludzie się biorą już do roboty...
Biedna! z wieczerzą doni czekała
I ciężko, ciężko płakała.

L. Sowiński.

*) Pulsatilla patens *Mill.*

Do ptaka marzeń!

Oj! płynie, płynie, bystra rzeczułka,
Płynie falami srebrnemi;
A myśli trwożnych czarna jaskółka
Krąży daleko od ziemi.

*

Leć! Leć wysoko, marzeń ptaszyno!
Nieś na skrzydełkach twych żale;
Rzuć je obłokom co ciche płyną
Po jasnym nieba krysztale.

*

A jeśli w górze wicher złowrogi
Pokruszy skrzydła twe lotne,
I strąci z białej aniołów drogi—
To wracaj w serce samotne.

*

O nie! Rzuć serce, zraniony ptaku,
Ani się zimnej skarż ziemi;
Gdy ci nie wolno po niebios szlaku,
To płyń... z falami srebrnemi!

Florentyna Niewiarowska.

OJCIEC ZADŻUMIONYCH.

W EL-ARISH.

Poemat

przez „JULJUSZA SŁOWACKIEGO."

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
Jak na tym piasku rozbiłem namioty.
Maleńkie dziecko karmiła mi żona —
Prócz tego dziecka, trzech synów, trzy córki,
Cała rodzina, dzisiaj pogrzebiona,
Przybyła ze mną. Dziewięć dromaderów
Chodziło co dnia na piasku pagórki,
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów;
A wieczór—wszystkie tu się kładły wiankiem
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,
Synowie moi ogień rozkładali,
Żona, z synaczkiem przy piersiach, warzyła.
Wszystko to dzisiaj tam — gdzie ta mogiła
Promienistemu słońcu się odśmiecha —
Wszystko tam leży pod kopułką Szecha.
A ja samotny wracam! — O! boleści!
Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści;
Odkąd do mego płóciennego dworu
W tej kwarantannie wszedł anioł pomoru.
O niewiadoma ta boleść nikomu,
Jaka się w sercu mojem dziś zamyka!
Wracam na Liban, do mojego domu —
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: starcze! gdzie są twoje dziatki? —
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
Spytają: starcze! gdzie są twoje córki?
Najprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać mię będą o synów, o żonę,
O dzieci moje — wszystkie pogrzebione
Tam, pod grobowcem tym okropnym Szecha—
I wszystkie będą mię pytały echa,
I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem
Pytać się będą. — Cóż ja im odpowiem?!

Przybyłem. Namiot rozbiłem na piasku.
Wielbłądy moje cicho się pokładły;
Dziecko jak mały aniołek w obrazku
Karmiło wróble, a ptaszęta jadły,
Aż do rąk prawie przychodząc dziecinie —
Widzisz tę małą rzeczułkę w dolinie?
Od niej wracała najmłodsza dziewczyna,
Z dzbankiem na głowie, prościutka jak trzcina.
Przyszła do ognia i wodą z potoku,
Śmiejąc się, lekko trysnęła na braci —
Najstarszy — z ogniem zapalonym w oku
Wstał, dzbanek wody chwycił w drżące dłonie,
I rzekł: sam Bóg ci za wodę zapłaci,
Bo chcę pić jak pies, bo ogień mam w łonie.
To mówiąc, wodę wypiwszy ze dzbana,
Powalił się tu, jak palma złamana.
Przybiegłem — nie czas już było ratować. —
Siostry go chciały martwego całować —
Krzyknąłem wściekły: niech się nikt nie waży!
Porwałem trupa i rzuciłem straży;
Aby go wzięła na żelazne zgrzebła
I tam gdzie grzebią zarażonych grzebła.
A od tej nocy tak pełnej boleści,
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Tej samej nocy Hafne i Amina
Umarły, leżąc na łożu przy sobie.
A patrz! — tak cicho umierały obie!
Że choć po śmierci najmłodszego syna
Oczy się moje do snu nie zawarły —
Ja nie słyszałem jak obie umarły!
I nawet matka własna nie słyszała
Choć wiem, że także tej nocy nie spała.
Rankiem, obiedwie sine jak żelazo,
Dwie moje córki, zabite zarazą,
Wywlec kazałem strażnikom z namiotu:
I porzuciły nas! — i bez powrotu! —
A jak dorosłym przystoi dziewicom,
Włosami ziemię zamiotły rodzicom.

Widzisz to słońce w niebie lazurowem?
Zawsze tam wschodzi za lasem palmowym,
Zawsze zachodzi za tą piasku górą;
Zawsze to niebo nie splamione chmurą:
A mnie się zdało wtenczas, nie wiem czemu,
Że słońce słońcu nierówne złotemu;
I już nie takie jakie było wczora.
Ale podobne do słońca upiora,
A niebo, które patrzało na zgubę
Mego rodzeństwa, moich trojga dzieci,
Tak mi się mgliste zdawało i grube
Ziemi wyziewem i słońca purpurą —
Że nie widziałem czy pacierz doleci,
Do Pana Boga co się zakrył chmurą.

I tak dni dziesięć przeszło, choć nie skoro
Reszta mych dzieci żyła — wszystko czworo.
Małżonka moja serce miała lżejsze,
I nawet moje dzieciątko najmniejsze
Żyło, i kwiatkiem nie chciało usychać —
Ja sam nareszcie zacząłem oddychać —
Bo nie wierzyłem żeby wziąwszy troje
Bóg mi chciał zabrać wszystkie dzieci moje!

O! była to więc piekielna godzina!
Gdy patrząc na twarz najmłodszego syna!
Śmierć zobaczyłem. Ach ja go tak strzegłem!—
Pierwszy na twarzy znak wystąpił drobny —
Nikt nie dostrzegł — ja, ojciec, spostrzegłem.
On do tamtego stawał się podobny;
Stawał się jak mój trup pierworodny:
Z jasnego blady, z bladego czerwony.
Patrzę! — na twarzy plam żelaznych krocie,
Więc zawołałem głośno: śmierć w namiocie!
I pochwyciwszy go z takiemi trądy,
Wyniosłem na step, pomiędzy wielbłądy;
Aby go tam śmierć zgryzła do ostatka;
I żeby na to nie patrzała — matka.

Przy konającym czuwaliśmy blizcy
Ja z wielblądami — na kolanach wszyscy.
Łamałem ręce i wołałem głośno:
Oby nie umarł! lub się był nie rodził! —
A tam nad palmy, z twarzą nielitośną
Gdy konał mój syn, blady miesiąc wschodził:
I patrzał: — tego z pamięci nie zatrzeć!
I nie wiem jak ten sam miesiąc mógł patrzeć?
Gdy skonał w moim ojcowskim uścisku,
Chciałem go spalić na popiół w ognisku:
Lecz ledwie ogień zaczął biedz po szacie,
Wyrwałem trupa i rzuciłem straży —
Poniosło mi go czarnych dwóch grabarzy —
I lepiej mu tam przy siostrach i bracie.
Od tego zgonu i od tej boleści,
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Pok kręgiem słońca jako krew czerwonym,
I pod namiotem tym zapowietrzonym,
Żyliśmy, słowa nie mówiąc do siebie,
I śmierć przed samą śmiercią udawali:
Myśląc, że Boga oszukamy w niebie —
Że się ten bałwan zarazy przewali. —
Powrócił! — Anioł powrócił morderca!
Ale mnie znalazł bez łez i bez serca,
Już omdlałego na boleści świeże,
Już mówiącego: niech Bóg wszystko bierze!
Miałem na syna trzeciego cierpienia,
Powieki bez łez, i serce z kamienia.
Boleść już była jako chleb powszedni.
I pod oczyma mi konał mój średni,
Najmniej kochany w mem rodzinnem gronie,
I najmniej z dzieci płakany po zgonie.
To też Bóg jemu wynagrodził za to,
Bo mu dał cichą śmierć i lodowatą,
Bez żadnych bolów, bez żadnych omamień.
Skonał i skościał, i stał się jak kamień.
A tak okropnie po śmierci wyglądał,
Jakby już próżnych naszych łez nie żądał,
Ale chciał tylko lice swoje wrazić
W serca nieczułe, oczy nam przerazić
I wiecznie zostać w rodziców pamięci,
Z twarzą co woła—jesteście przeklęci!

Skonał. Myślałem wtenczas—o, rozpaczy!—
Ze jeśli reszcie Pan Bóg nie przebaczy,
Jeśli Anioła śmierci przyszle po nie:
Dziecko mi weźmie — żonę — a po żonie
Mnie nieszczęsnego zawoła przed Stwórcę —
Córka! — Ja myśleć nie śmiałem o córce!
I trwoga o nią nie gryzła mię żadna.
Ach ona była młoda! taka ładna!
Taka wesoła, kiedy moją głowę
Do liliowych brała chłodzić rączek;
Kiedy zrobiwszy z jedwabiu osnowę,
Około cedru biegała po trawie,
Jak pracowity snując się pajączek!
Patrz! i ten pas mój błyszczący jaskrawie
Ona robiła — i te smutne oczy
Ona rąbkami złocistych warkoczy
Tak przesłaniała; że patrzałem na nią
Jako na róże, przez me łzy i słońce.
Ach, ona była domu mego panią!
Ona jak jaśni anieli obrońce,
Najmniejsze dziecko w kołyseczce strzegła—
I gdzie płacz jaki słyszała, tam biegła;
I wszystkie nasze opłakała ciosy,
I wszystkie nasze łzy — wzięła na włosy.
Dziesięć dni przeszło, i nocy tak długich,
Że śmierć już mogła na gwiazdy odlecieć.
Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy drugich
Przeszło — nadzieja zaczynała świecić —
Po dzieciach ustał wielki płacz niewieści.
I naliczyliśmy ranków już trzydzieści.
Nareszcie zbywszy pamięci i mocy,
Położyłem się i zasnąłem w nocy.
I we śnie, w lekkie owinięte chmury
Ujrzałem moje dwie umarłe córy.
Przyszły, za ręce trzymając się obie;
I pozdrowiwszy mię pokojem w grobie,
Poszły oczyma cichemi błyszczące
Nawiedzać inne, po namiocie śpiące.
Szły cicho, zwolna, schylały się nizko,
Nad matki łożem, nad dziecka kołyską:
Potem, na moją najmłodszą dziewczynę,
Obiedwie, ręce położyły sine,
Budzę się z krzykiem i umarłą dziatwę
Klnąc, wołam dziko: Hafte! moja Hafte!
Przyszła jak ptaszek, cicho po kobiercu,
Rzuciła mi się rączkami na szyję;
I przekonałem się, że Hafte żyje
Słysząc jej serce bijące na sercu.
Ale nazajutrz grom przyszedł uderzyć —
Córka!!!—Lecz na co z boleścią się szerzyć?
I to mi dziecko sroga śmierć wydarła!
I ta mi córka na rękach umarła!
A była jedna najstraszniejsza chwila:
Kiedy ją bole targały zabójcze,
Wołała: — ratuj mię! ratuj mój ojcze!
I miała wtenczas czerwone usteczka,
Jak młoda róża kiedy się rozchyla.
I tak umarła ta moja dzieweczka,
Że mi się serce rozdarło na ćwierci —
A piękna była jak Anioł — po śmierci!

Przyszli nademną płakać nieborakiem
Strażnicy, przyszli mi wydrzeć to ciało.
I, nieostrożni! zaczepili hakiem —
Hak padł na pierś jej twardą, krągłą, białą —
I tu — bogdajby jak ja nie umarli!
Tu ją przed memi oczyma rozdarli. —
Ty im to Boże niebieski spamiętasz!
Wziąłem ją — i sam zaniosłem na smętarz.

Z założonemi na piersiach rękoma
Siedziała trzy dni matka nieruchoma,
W kącie namiotu żółta jakby z drewna.
Dziecina stała się blada i rzewna,
Bo mleko matki zaczęło wysychać,
I co dnia było płacz w kołysce słychać.
A ta pustynia — nie masz dzieci, w grobie! —
Ona inaczej wydaje się tobie,
Może złocista, jasna i weselna?
Lecz dla mnie, jest to równina piekielna!
Przez tę równinę, przez te piasku kupy,
Ciągnięto śniade moich dzieci trupy.
A tam na wzgórzu, kędy morze bije —
Dla ciebie szumi morze — dla mnie wyje;
A kiedy z wichrem na brzegi nie skacze,
Dla ciebie szemrze tylko — dla mnie płacze.

Co dnia gdy przyszła wieczorna godzina
Śpiewającegom słyszał muzeina:
Jakby się nad mym ulitował losem,
Zaczął smutniejszym obwoływać głosem,
Krzycząc ze swego piaskowego stoga
Nieszczęśliwemu ojcu — wielkość Boga.
O! bądźże mi ty pochwalony Alla!
Szumem pożaru co miasta zapala,
Trzęsieniem ziemi co grody wywraca —
Zarazą, która dzieci me wytraca,
I bierze syny z łona rodzicielki.
A! Allah! Akbar Allah! jesteś wielki!

Wszystko co miało tylko twarz człowieka,
Zaczęło stronić odemnie zdaleka.
Namiotu mego — córki go uprzędły —
Płutna na rosie poczerniały, zwiędły,
I podarły się, i lekko napięte
Były jak próchna z ludzkich trumien zdjęte.
Zarazę było znać na tym namiocie —
I wiesz? że nawet tych wróbelków krocie,
Co zlatywały się tutaj o brzasku,
Jeść okruszyny i kąpać się w piasku:
Odkąd mi dzieci zaczęło ubywać,
Po żer przestały się wszystkie zlatywać.
Czy odstraszyło je podarte płótno
Namiotu mego? czy twarz moja biedna? —
Nie przyleciała z ptaszyn ani jedna,
I spotrzegłem to — i było mi smutno.

Po córce w pięć dni — o! Boże mój! Boże!
Z wieczora huczeć już zaczęło morze!
I słońca się krąg pochował ponury,
I niebo czarne zaciągnęły chmury.
Noc przyszła, dotąd w pamięci ohydna,
Ciemna, od gromów czerwoności widma.

Jeszcze dziś czuję i widzę i słyszę.
Słyszę, jak namiot gęste sieką deszcze;
Jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze,
Jak się nademną w ciemności kołysze
I od piorunów się cały czerwieni,
Podobny grobom szatańskim z płomieni.
Zdawało mi się za burzy łoskotem
Żem słyszał martwe dzieci, za namiotem,
Wszystkie jęczące przeraźliwie — głucho! —
Więc natężałem słuch, serce i ucho;
I z przerażeniem rozmyślałem w sobie,
Jak moim dzieciom takiej nocy w grobie?

I nagle — Czemuż ta śmierć tak zdradziecko!
Tak cicho weszła pod namiotu żagle?!
Grom spadał hucząc po gromie — i nagle
W kołysce z cicha zapłakało dziecko —
A płacz ten musiał być strasznym wyrazem —
Bo zaraz — matka — ja — oboje razem —
Rzuciliśmy się gdzie robaczek lichy —
A choć dziecięcia jęk był bardzo cichy:
To tak wydawał się obojgu głośny,
I tak rozdarty, i taki żałośny,
I tak z głębokich wnętrzności wyjęty!
I tak rozumny! i taki przeklęty!!!
Żeśmy oboje biegli gromem tknięci,
I bez nadziei już! i bez pamięci!

I nie zawiodło przeczucie żałoby:
Umarło — z takiej jak tamte choroby.
I poszło leżeć między trupy bratnie,
Moje najmilsze! i moje ostatnie!!!
Śmierć mi go czarna wzięła nielitośnie.
I już nie wróci! ani mi urośnie!
Ani go kiedy mój dom już obaczy! —
I już nie wróci nigdy! — o! rozpaczy!!!

Noc przyszła druga, błyszcząca gwiazdami.
Byliśmy z matką w namiocie — przed nami
Leżało dziecko na stole nieżywe,
Nieruchomością śmierci przeraźliwe.
Uczułem wtenczas patrząc na tę postać,
Że gdyby mogło choć tak z nami zostać,
Przez wszystkie lata — choć tak, nie inaczej —
Ubyłoby mi z serca pół rozpaczy.
I te już — ani zarazy strażnicy,
Ani ja, niosłem do Szecha kaplicy,
Gdzie się nam trupia otwierała brama:
Ale je matka tam zaniosła sama.

W namiocie pustym ja zostałem z żoną.
Ale czy pojmiesz? — zamiast nas połączyć
Boleść, obojgu nam rozdarłszy łono,
Zaczęła jakieś jady w serca sączyć,
I teraz chyba je sam Bóg oczyści.
Smutek podobny był do nienawiści,
I stanął czarny, wielki, między nami.
Więc rozłączeni byliśmy i sami.
I nie mówiliśmy do siebie słowa —
Bo powiedz, jakaż być mogła rozmowa?
W pustym namiocie między mną i żoną,
Pomiędzy ojcem i matką tych dzieci? —
Słońce wschodziło w upały czerwono,
Co dnia tonęło tam gdzie teraz świeci,
Jak jaka skrawa pożaru pochodnia. —
Więc tak bezdzietnym było — i tak co dnia —
Cisza ogromna namiot nasz zaległa.
Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła;
Zgoła innego jęku ni szelestu —
Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu,
I kwarantanny przybyli lekarze,
Głęboko patrząc w nasze smutne twarze.
Widziałem jak się każdy z nich zadziwiał;
Bo nachyliłem się był i posiwiał.
A żona moja od niespań i troski,
Była jak bursztyn, albo żółte woski:
Na głowie miała z włosów siwych wieniec,
Jakiś okropny ceglany rumieniec,
A oczy pełne takiej błyskawicy
Jak ci, co wyjdą na słońce z ciemnicy.
Lekarz nam kazał w sustawy uderzyć,
Tam gdzie zaraza pierwsze rzuca strupy —
Zdrów byłem. — Ludzie! czy będziecie wierzyć?
Ja, co me wszystkie całowałem trupy —
Z tej kwarantanny wychodziłem zdrowy! —
Żona, co nawet nie tknęła połowy
Nad piersiami się uderzywszy, zbladła,
I zachwiała się z jękiem — i upadła.
A ja na ręce wziąłem trup niewieści,
Zaniosłem w namiot i rzuciwszy brzemię
Upadłem przy niej, jak martwy na ziemię
I obudziłem się — na dni czterdzieści. —

Przed samą śmiercią wyznała mi matka,
Że chciała z grobu swojego dzieciątka

Jakiej pamiątki, kamienia, lub kwiatka,
Włoska w złocistych na głowie obrączkach,
I ta po dziecku umarłem pamiątka —
Patrzaj! obrazek ten co trzymał w rączkach,
Te włoski złote i tak dzisiaj święte,
W mogiłce z główki maleńkiemu zdjęte —
Bo biedna matka miała tyle mocy,
Że odkopała dziecko o północy —
Znalazła jeszcze niezepsutem wcale,
Pocałowała w usteczek korale
I znów włożyła do trupich obsłonek. —
Te upominki i ten pocałunek,
Zazdrośnej ziemi Szecha ukradzione,
Zabiły matkę i wzięły mi żonę.

I znów się łono piaskowe otwarło,
Gdzie pochowałem matkę martwych zmarłą
Potem wróciłem do płóciennej nory,
Schować się w cieniu jak nocne potwory.
Ani ja słońca na niebieskim sklepie,
Ani mię ludzie widzieli na stepie.
Stałem się jako zdzieciniali; starzy —
W pamięci mojej, żadnej żywej twarzy,
Tylko te sine i okropne lica,
Które mi wzięła zarazy martwica!
I w dzień błękitny i w noc każdą ciemną,
Oni tu byli w tym namiocie ze mną.
Gadałem z niemi, zmyślałem rozmowy
W których rozmawiał ze mną tłum grobowy;
I często dziwnym natrafiłem losem
Na głos, co moich był dzieciątek głosem.
Z obłąkanego budziły mię śnicia
Po nocy hyen przeraźliwe wycia,
Tam nad trumnami — i słuchałem blady
Jak nad trupami płaczą trupo-jady.
Stałem się wreszcie jak wąż gdy odchłonie —
I przechodziły mi dnie i tygodnie,
Bez żadnych bolów, pamiątek, omamień.
Stałem się twardy i zimny jak kamień.
I raz — ach bozka nademną opieka!
Patrzę, ktoś w namiot mój cicho zagląda —
I ach! — nie była to już twarz człowieka,
Lecz głowa mego starego wielbłąda.
Spojrzał — i spojrzał z twarzą tak litośną;
Że rozpłakałem się jak dziecko głośno.

I tak przeżyłem smutnych dni czterdzieście,
Przyszli mię ludzie uwolnić nareszcie.
O! gorzka wolność i chwila odlotu!
Jam do ciemnego już przywykł namiotu;
Z uczuciem smutku, boleści i zgrozy,
Będę wyrywał koły i powrozy,
Które — o, Boże wiekuisty świeć mi! —
Do tego piasku zatykałem z dziećmi.
Ach pomóż ty mi je zerwać — sam jestem!
A może tobie posępnym szelestem
Te płótna więcej boleści powiedzą?
One widziały wszystko! wszystko wiedzą!
Czyż nie są teraz jak męki obrazy?
Patrz na nie, dotknij! nie bój się zarazy,
Nie bój się śmierci, co dotknięciem sinem —
Wszak ty nie jesteś synu, moim synem.
Lecz nie — uciekaj! ja wiem że te płótna
Straszne się muszą obcym ludziom zdawać.
Śmierć od zarazy! ach! to śmierć okrutna!
Zaczynasz własnych braci nie poznawać,
Potem cię ogień pali, piersi gorą,
Ach! ja tak moich widziałem ośmioro!
I co dnia patrząc na tak konające,
Wysiedziałem tu całe trzy miesiące.
Dziś — oto dziewięć wielbłądów podróżnych.
A na nich — patrzaj, osiem juków próżnych
A nie zostało mi nic — oprócz Boga;
I tam mój smętarz — a tamtędy droga!

W SZWAJCARJI.

(Dalszy ciąg;) z poematu.

I.

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty.
I nie wiem czemu ta dusza, z popiołów
Nie wylatuje za nią do Aniołów?
Czemu nie leci za niebieskie szranki,
Do tej zbawionej i do tej kochanki.

II.

W szwajcarskich górach, jest jedna kaskada,
Gdzie Aar wody błękitnemi spada.
Pozwól tam spojrzeć zawróconej głowie. —
Widzisz tę tęczę na burzy w parowie?
Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza —
Nic jej nie zburzy, i nic jej nie zmięsza;
A czasem tylko jakie białe jagnię,
Przez tęczę idzie na skrajne doliny,
Szczypać kwitnące róże i leszczyny.
Lub jaki gołąb' co wody zapragnie,
Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,
Przez tęcze szybko przeleci i błyśnie —
Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca,
Tak jasną była od promieni słońca!
Tak pełna w sobie anielskiego świtu!
Tak rozwidniona źrenicą z błękitu! —
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niej moje oczy!
A za tym zmysłem co kochać przymusza
Poszło i serce, a za sercem dusza.
I tak się zaczął prędko romans klecić,
Że chciałem do niej przez kaskadę lecić;
Bo się lękałem, że jak widmo blade,
Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,
Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę,
I roztopi się i zgaśnie i zniknie!
I byłem jak ci co się we śnie boją,
Bo jużem kochał, bo już była moją! —
I tak raz pierwszy spotkałem ją samą,
Pod jasną tęczy różnofarbnej bramą!
Powiew miłości owiał mię uroczy —
Stanąłem przed nią i spuściłem oczy.

III.

Poszedłem za nią przez góry, doliny —
I szliśmy razem u stóp tej lawiny,

Gdzie śnieg przybiega aż do stóp człowieka
Spłaszczoną pletwą — jak delfin olbrzymi;
Para mu z nozdrza srebrzystego dymi,
A Rodan z paszczy błękitnej ucieka.
Pamiętam chwilę — poranek był skwarny,
Tameśmy szmerem spłoszyli dwie sarny;
Te jakby szczęścia ludzkiego świadome,
Stanęły blisko, złote, nieruchome —
I utopiły oczów błyskawice,
W kochanki mojej błękitne źrenice;
I długo patrząc, nieruchome obie,
Głowy płomienne pokładły na sobie!
Rzekłem: — one się zakochały w tobie!
Rzekłem — i za to z ust zamkniętych skromnie,
Najpierwszy uśmiech jej przeleciał do mnie —
Przyleciał szybko i wrócił z podróży,
Do swego gniazda, do pereł i róży;
A gdy zobaczył że oczów nie mrożę,
Całą jej białą twarz zamienił w różę.
A wiecie? ani tak za serce chwyta,
Rumieniec kwiatu co świeżo rozkwita;
Ani tak oko wędrowca zachwyca,
Gór nadalpejskich śnieżysta dziewica,
Kiedy od słońca różane ma lica:
Jak ten rumieniec bez wstydu i grzechu,
Co się na twarzy urodził z uśmiechu.

IV.

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami —
I nie wiem czy tam była łódź pod nami;
Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać.
A ona tak mię prowadziła wszędzie!
Ach ona była jak białe łabędzie,
Była jeziora błękitnego panią;
Płynęła lecąc — łódź leciała za nią,
Za łodzią jasność szafirowym szlakiem;
Za tą jasnością rybek korowody,
I wyrzucały się aż do niej z wody!
I z takimeśmy płynęli orszakiem,
Uśmiechając się w błękitu krainie.
Bo ona była jak wodne boginie:
Miała powozy z delfinów, z gołębi,
I kryształowe pałace na głębi,
I księżycowe korony w noc ciemną —
I mogła była wszystko robić ze mną.

V.

Raz — że nie była niebieskim aniołem
Myślałem całe długie pół godziny!—
Wyspowiadałem się potem z tej winy —
Słuchajcie! — Oto przed Tela kościołem
Pierwsza na kamień wyskoczyła płocha,
I powiedziała mi w głos że mię kocha —
I odesłała mię znów na jezioro;
Łódkę swą piersią odtrąciwszy białą —
A ja — ach nie wiem co się ze mną stało!
Czy mię anieli do nieba zabiorą,
Czy grzmiące fale jeziora pochłoną,
Czy uśmiechami rozerwie się łono —
Czy serce jak lód rozgrzany taje,
Czy dusza skrzydeł anielskich dostaje,
Czyli w nią wstąpił cały anioł złoty? —
Czyli uśmiechów pełna? czy tęsknoty?
Wszystkie uczucia gwałtownemi loty
Na serce spadły, jak gołębi chmura,
Pić łzy i białe w niem obmywać pióra,
Aby się czyste rozlecieć po niebie —
W tem zawołała łódź ze mną do siebie.
Usłyszała ją łódka i spostrzegła,
I sama do niej z błękitu przybiegła.

VI.

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów,
Stoi cichości pełna i kolorów
Tela kaplica. Jest próg tam na fali,
Gdzieśmy raz pierwszy przez usta zeznali,
Że się już dawno sercami kochamy;
A pod tym progiem są na wodzie plamy
Od sosen, co się kołyszą na niebie
I od skał cienia; gdzie mówiąc do siebie,
Wbite do wody trzymaliśmy oczy.
A pod tym progiem fala tak się toczy,
I tak swawolna i taka ruchoma,
Że wzięła w siebie dwa nasze obrazy,
I przybliżała, łącząc je rękoma,
Chociaż nas tylko łączyły wyrazy.
Ach! fala taka szalona i pusta!
Że połączyła nawet nasze usta,
Choć sercem tylko byliśmy złączeni.
Fala tak pełna ruchu i promieni,
Że jednem światłem objąwszy nas kołem,
Zmięszała niby anioła z aniołem.
Gdy myślę—boleść dręczy mię niezmierna.
Falo! niewierna falo! — a tak wierna!

VII.

Raz mię ów anioł zaprowadził złoty,
Przez jasne łąki do lodowej groty.
Tam ją obielił dzień alabastrowy;
I mróz na czole mej jasnej królowej,
Perłami okrył wszystkie polne róże.
I ze sklepienia łzy leciały duże;
A we łzach sylfy z jasnością ogromną,
Deszczem spadały, na białą i skromną.
Słysząc że ściany płaczą coraz głośniej,
Cała się szatą okryła zazdrośniej,
I wszystko oczom ciekawym ukradła,
I jeszcze ręce skrzyżowane kładła
Na alabastry widne, choć zakryte.
Tak nieruchomo stała — a koło niej
Igrały tęcze w blaski rozmaite.
I wtenczas modlić się zacząłem do niej:
Jak biała róża kiedy się rozwija,
Róż pokazuje z piersi odemkniętej;
Taki rumieniec wyszedł z lica świętej.
I zamyślona odwróciła głowę,
Palec na ściany kładąc kryształowe;
Jak ta co imię ukochane kreśli,
Lub o błękitnych jakich czuciach myśli. —
Wreszcie się do mnie obróciwszy rzekła:
Może za miłość ja pójdę do piekła,
I gdzieś w piekielne wprowadzona chłody,
Wszczepioną będę w kryształowe lody;
Jako ta bańka z powietrza i tęczy —
Lecz prawda rzekła: jeżeli się męczy
Ta jasność słońca stworzona promieniem,
Którą lud w sobie mrozi i zabija:

Można ją z lodu uwolnić westchnieniem —
Ave Maria! — — —

VIII.

Pójdziemy razem na śniegu korony!
Pójdziemy razem nad sosnowe bory,
Pójdziemy razem gdzie trzód jęczą dzwony!
Gdzie się w tęczowe ubiera kolory
Jungfrau i słońce ma pod sobą:
Gdzie we mgle jeleń przelatuje skory.
Gdzie orły, skrzydeł rozwianych żałobą
Rzucają cienie na lecące chmury!
O moja luba! tam pójdę za tobą.
A jeśli z takiej nie wrócimy góry.
Ludzie pomyślą że nas wzięły duchy,
I gdzieś w niebieskie uniosły lazury;
Żeśmy się za gwiazd chwycili łańcuchy,
I ulecieli z plejadów gromadą.
I tylko po nas potok spadnie głuchy,
I błyszczącą się łez rzuci kaskadą.

IX.

Ach! najszczęśliwsi na ziemi nie wiedzą,
Gdzie duchy skrzydła na ramionach kładną,
Gdzie jak łabędzie zadumane siedzą?
Ach! najciekawsi na świecie nie zgadną,
W jakim szalecie żyłem z moją miłą!
I wiele nam róż do okien świeciło,
I wiele wiszeń na około rosło,
Ile słowików na wiszniach się niosło;
Ile tam w każdą noc miesięczną, bladą.
Kłótni słowików płaczących z kaskadą;
Ile trzód naszych szło na łąkach dzwonić —
Ach! tego nawet śpiącym nie odsłonić,
Ani pokazać, ani zawrzeć w słowie! —
Łąka i szalet i wisznie w parowie,
W takim parowie, że stróż anioł biały
Rozwijał skrzydła od skały do skały,
I nakrywał ten cały parów dziki:
Szalet i róże, i nas i słowiki.
Lecz nadto było cyprysowej woni,
I nadto barwy co się w różach płoni;
I chciała nas już miłość ująć zdradą.
Było to rankiem — pomnę — pod kaskadą —
Byliśmy niczem niestrwożeni — sami —
Czytając książkę pełną łez, ze łzami.
W tem duch mi jakiś podszepnął do ucha,
Ażebym na nią z książki przeszedł okiem.—
Była jak anioł co myśli i słucha —
I nagle — takim przejrzystym obłokiem
Rumieniec smutny twarz jej umalował,
Że nie wiem dotąd jak się wszystko stało —
Alem ją w usta różane całował,
I czułem ją tu, na mych rękach, białą,
Sercem bijącą, brylantową w oczach.
W tem nagle — w jasnej kaskady warkoczach
Coś pomięszało się i coś urzekło;
Wiatr na nas rzucił całe wodne piekło,
I z kwiatów spłoszył wilgotnemi mgłami.
Odtąd jużeśmy nie czytali sami.

X.

Odtąd w uśmiechach była dla mnie rzadsza,
Smutniejsza, cichsza i bielsza i bladsza,
W głębszych się coraz zanurzała cieniach,
I obrywała róże na strumieniach;
Albo przy kaskad naciągniętej lutni
Stawała słuchać tak jak ludzie smutni,
Z twarzą spuszczoną — lub sama w ustroni,
Ręce na białą zakładała szyję;
Jak ta co boi się, albo się broni.
Lub jako gołąb co w strumieniu pije.
Do nieba jasnem wzlatywała okiem.
Już wolnym, sennym, błąkała się krokiem,
I jaskółeczek utraciła zwinność,
I zadumała ją całą — niewinność.

XII.

Widząc ją taką, chciałem bronić siebie,
I rzekłem: Luba! jak Bóg jest na niebie,
Z sercaś mi wszystko odpuścić powinna;
Lilija jedna wszystkiemu jest winna.
O toś ty wczoraj w tem źródle co bije
Na jasnej łące, myła twarz i szyję;
A tam za tobą prosta niedaleka,
Jak służebnica co z rąbkami czeka;
Lilija jedna, cała jasna, w bieli,
Oczekiwała aż wyjdziesz z kąpieli.
Widząc was obie takie białe, w parze,
Myślałem że spiąc, o aniołach marzę;
I drżeć zacząłem i zadrżałem wszystek,
I jeden tylko poruszyłem listek,
Ten listek, inne poruszył listeczki,
I szmer się zrobił — ty wybiegłaś z rzeczki;
I takeś prędko uciekała zlękła,
Żeś łonem, kwiatu potrąciła pręty;
I lilijowa wnet łodyga pękła,
I kwiat z niej upadł twoją piersią ścięty;
A jam rozważać zaczął z twarzą bladą,
Jak ten kwiat kruchy, jak ty jesteś zwinna.
I oto dzisiaj, rankiem — lecz lilija winna.
Nie jam był winien — lecz lilija winna.

XIII.

Płonęła wonna jak kadzidło mirry,
I widać było, że nie wiedząc, płonie.
Głębszemi oczu stały się szafiry,
I prędsza fala białości na łonie,
I dziwnym ogniem rozpalone skronie
Wczesne zwiędnienie dawały bławatkom —
Ona z tych była, co się skarżą matkom,
I skarżyła się gwiazd cichej gromadzie,
Gdy do snu księżyc niepełny się kładzie;
Gdy kwiaty szepcą miłośnie do ucha,
Co zamyślone, własnych myśli słucha.

XIV.

Czy ty gdzieś teraz, o miła z rozpaczą
Aniołom boskim mówisz rozżalona?
Jak ci, co mówią skarżąc się — i płaczą,
Że była burza gromami czerwona.
Że była grota posępna i ciemna,
I w grocie z kaskad kryształu zasłona;
Że była trwoga w ciemności tajemna,
Razem niepamięć jakaś boskiej kary,
I skarga smutna czystych nimf, podziemna?

Że nas tam samych dzień odstąpił szary,
I zastał z twarzą ognistą przy twarzy —
I ptasząt nas tak obudziły gwary —
Mówisz ty o tem? jak ta co się skarży?
O! nie mów ty tak aniołom! niebieska!
Bo każda twoja brylantowa łezka
Jednemu będzie z tych jasnych pożarem.
Bo ja, ach gdybym był także aniołem,
Z rozpromienionem na błękitach czołem —
I nieskończoność całą miał obszarem,
I mógł zarządzać gwiazdami wszystkiemi:
Nie chciałbym gwiazdy niebieskiemi świecić,
Lecz tylko rzucić błękity i lecić,
I taką jak ty mieć moją — na ziemi.

XV.

Z groty ta piękna wyjść nie śmiała sama.
Słońca się może bała na lazurze,
Że za promienne będzie i za duże,
Albo że będzie jako czarna plama.
Ale na niebie była z tęczy brama,
Na wypłakanej rozwieszona chmurze.
Wyszła — i najprzód ją zdziwiły róże,
Że takie były jak wczoraj różowe.
Zerwała jedną i podniosła głowę,
I zadziwiała ją ta tęcza ranna,
Niebios błękitnych przeźroczystość szklanna,
Krążek księżyca tonący w błękicie,
Zda się, że nowe ją zdziwiło życie —
Tak w ciszy czegoś słuchała, tak biegła;
Aż gdzieś w krysztale jeziora spostrzegła
Na licu swojem przeźroczystszą białość,
Żywszy ust koral, i większą omdlałość.
I uśmiech pełny tęsknoty, i żałość.
Więc osłoniła się cała w warkoczu,
I więcej na mnie nie podniosła oczu.

XVI.

Jest chwila gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
I ciszej źródła po murawach dyszą. —
Jakby ta gwiazda miała coś nakazać,
I o czem cichem pomówić ze światem,
Z każdym słowikiem, z listeczkiem i kwiatem.
Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą
Wychodzi biały pierścionek Dyanny:
Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą.
I wszystkie liście na drzewach zabrzęczą,
I wszystkie źródła jęk wydają szklanny —
O takiej chwili, ach dwa serca płaczą!
Jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą;
Jeżeli o czem zapomnieć — zapomną.
O takiej chwili z moją panią skromną,
Jużeśmy siedli w naszych progach sielskich
Już rozmawiali o rzeczach anielskich.

XVII.

Jak spiewający na niebie skowronek,
Z gór słychać było pustelnika dzwonek,
Rzekła raz: chodźmy do staruszka celi.
Może rozgrzeszy, może rozweseli,
Dłonie nam zwiąże i kochać ośmieli.
Tak mówiąc wbiegła do sosnowej chaty,
Szybko zamknęła wszystkie okiennice,
Ażeby na nią nie patrzały kwiaty;
I ustroiwszy się jak gór dziewice,
Wybiegła do mnie — myślałem że padnę! —
Ani jej oczy kiedy takie ładne,
Ani jej usta takie były świeże!
Motyla miała czarnego na głowie —
Ten alabastrów od smagłości strzeże;
I przeświecony od słońca w połowie,
Na czoło rzuca skrzydła cieniu duże,
A pod motylem pochowane róże,
Z pod czarnej gazy patrzały ciekawe,
Na pół zamknięte, świeże jeszcze, łzawe.
Wiedząc, że zawsze strzegę serca strony,
Złośliwy motyl usiadł przychylony.
Myślałem że mu to skrzydło połamię —
Siadł i na lewe przechylił się ramię.
I któżby wierzył w przeczucia co straszą,
Gdy wyobraźnia cała szczęściem dumna!
Gdym z góry spojrzał na dolinę naszą,
Szelest się oku wydawał jak trumna:
Maleńki, cichy — kiedym spojrzał z góry;
Nasz ogród z wiszeń jak smętarz ponury;
I niespokojne o nas gołębice,
I zadumane o nas w łąkach trzody! —
Ziemia smutniejsza błękitniejsze wody;
Zabite ćwiekiem śmierci okiennice;
Wszystko zaczęło mię straszyć i smucić,
Jakbyśmy nigdy nie mieli powrócić.
Szedłem posępny i drżący na góry —
Jeziora czarne, głazy, śniegi, chmury;
Girlandy z orłów na błękitnym lodzie,
Słońce czerwone jak krew o zachodzie,
Dom pustelnika śniegiem przysypany,
I dwa ogromne na straży brytany.
Krzyżyk na celi gdzie siadały gile,
Cela, pustelnik stary, księgi w pyle —
Wszystko to dzisiaj już podobne snowi. —
Pamiętam tylko, że promień zachodu
Cały się na twarz rzucał Chrystusowi,
Kiedy na palec jej zimny jak z lodu
Kładłem pierścionek. — — — —
— — — — — — — — — —

XVIII.

Gaje! doliny! łąki i strumienie!
O nie pytajcie wy mię smutnie o nią.
Są łzy, co mówić na zawsze zabronią —
A kiedy mówię, wpadam w zamyślenie:
I widzę jasne błękitne spojrzenie,
Co się zaczyna nademną litować —
I widzę usta, co mię chcą całować,
I drżę — i znów mię ogarną płomienie.
I nie wiem gdzie iść, i gdzie oczy schować?
I gdzie łzy ukryć? i gdzie być samotnym?
I staję blady i kreślę jej rysy;
Lub imię piszę na piasku wilgotnym;
Lub błądzę między róże i cyprysy,
Jak człowiek, który skarb drogi postrada,
Zmysły utracił, i płacząc usiada
Tam, kędy urny na grobowcach siedzą;
Myśląc, że groby o niej co powiedzą.

XIX.

Jest pod mojemi oknami fontanna,
Co wiecznie jęczy zapłakanym szumem;
Jest jedno drzewo, gdzie harfowym tłumem
Żyją słowiki; jedna szyba szklanna,
Gdzie co noc blada zaziera Dyanna,
I czoło moje smutnym blaskiem mami.
I tak mię budzą zalanego łzami:
To drzewo, księżyc ten i ta fontanna.
I wstaję blady, przez okno wyzieram,
Słuchając różnych płaczów na dolinie.
Słowiki jęczą i fontanna płynie —
Mówią mi o niej — ja serce otwieram
I o śmierć prędką modlę się z rozpaczą,
I schnę i więdnę — i ach! nie umieram —
I co dnia, budząc mię, fontanny płaczą.

XX.

Kiedy się myślą w przeszłości zagłębię
Nie wiem jak sobie jej postać malować?
Czy kiedy przyszła śpiącego całować,
Jak z roztwartemi skrzydłami gołębie?
Czy wtenczas, kiedy uciekała trwożna?
Czy, gdy na jedną ze mną księgi kartę
Wbijała oczy błękitne, otwarte,
Na każde moje spojrzenie ostrożna?
Czy, kiedy wiejskim otoczona dworem,
Chodziła gdyby zaklęta królowa?
Czy kiedy cicho uśnie pod jaworem?
Czy kiedy goni? czy kiedy się chowa
W księżyca blasku biała? — lub wieczorem
Od Alp, na śniegach różowych — różowa? —

XXI.

Zkąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą,
Tam pójdę! aż na ciemnych skał krawędzie.
Spojrzę w lecące po niebie łabędzie,
I tam polecę, gdzie one polecą.
Bo i tu — i tam — za morzem — i wszędzie
Gdzie tylko poszlę przed sobą myśl biedną,
Zawsze mi smutno, i wszędzie mi jedno:
I wszędzie mi źle — i wiem że źle będzie.
Więc już nie myślę teraz tylko o tem,
Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe —
Miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę,
Idąc po fali — zaszeleści złotem,
I załaskocze tak duszę tajemnie,
Że stęskni — ocknie się — i wyjdzie ze mnie.

Wiersz
wypowiedziany z powodu przybycia
do Warszawy
Juljusza Kossaka
znakomitego Malarza
przy uczcie wyprawionej dla niego
w Restauracji Kupieckiej
d. 13 Kwietnia 1880 r.

*

W pośród wielu pięknych iście przemówień w jędrnej wygłoszonych prozie zajaśniał blaskiem natchnienia toast wzniesiony w wykwintnej formie poetycznej przez p. Marjana Gawalewicza.

Oto jego słowa na cześć „sztuki polskiej".

Sztuka, jak płomień z świętego ogniska —
Ku niebu szlaki widomie rozświéca,
Czasem wśród nocy zwątpienia rozbłyska
Jak Prometeja jasna błyskawica —
I w duszy tłumów nieci iskry owe,
Co potem blaski sieją piorunowe...

Sztuka, to bogów ukochane dziécię, —
Gwiazdę natchnienia ma na swojem czole,
I smutnym chmurne opromienia życie —
I ma dla cierpień wielkich aureolę,
Ma ukojenia balsam, i swą mową
Gdy chce, wyraźniej przemawia, niż słowo...

Więc zapomnianych przypomina światu, —
I odsuniętych zaszczytem obdarza,
I wraca życie zdeptanemu kwiatu,
I z ruin gmachy zwalone odtwarza,
Jak czarodziejka; .. ma swoje zaklęcie
Na nieśmiertelność i na wniebowzięcie!

Często, gdzie siła w walce się zmitręża,
Gdzie już broń każda tępi się pomału —
Ona bez miecza idzie i... zwycięża,
Niosąc przed sobą sztandar ideału —
I zdobywając nieprzeparte szańce,
Laurem bezkrwawym wieńczy swe wybrańce.

Tryumfatorka w tej szczytnej krainie,
Gdzie duchów stają do walki regiony,
Gdzie wieczne źródło Boskich natchnień płynie,
Wiecznej harmonji zlewają się tony —
Aby jej czarów potęga nie gasła:
„Miłość i piękno!.." ma za swoje hasła.

Więc tej, co swemu wierna powołaniu
Dziejową kartę złoci tak wspaniale,
Blaskiem południa świeci o zaraniu,
I świat zdumiewa wciąż ku naszej chwale,
Tej, co ma kiedyś berło sławy nieść
Poświęćmy toast: sztuce polskiej cześć!..

*

W Wielki Piątek.

Z pośmiertnych papierów

FELIKSA SZOBERA.

Bóg — Człowiek skonał! —Ludzkości cała!
Choćbyś ocean łez wypłakała,
Choćby ci serca pękały z bólu, —
Choćbyś się żywcem zapadła w groby, —
To jeszcze mało — mało żałoby
Po królów Królu!

Bóg—Człowiek skonał! — Ludy słyszycie!
Ten Mocarz, który wszystkim dał życie,
Ten, który ziemię połączył z niebiem,
Ten, który czarta słowem pokonał,
Ten, który Sam jest żywota chlebem —
Na krzyżu skonał!

Któż Go umęczył? — Kto Mu śmierć zadał?
Kto tę potworną śmiałość posiadał!
Czy dzikich zwierząt krwiożercze stada,
Za których śladem śmierć dąży blada?
Kto?... zbrodnio!... zbrodnio ty nad zbrodniami!
My... ludzie sami!...

My to nędzarze świata mizerni
Daliśmy Panu koronę z cierni,
Za świętą miłość — poświęceń krocie,
Za prawdę, która szczęściem nam świeci,—
Myśmy Mu wznieśli krzyż na Golgocie,
My!... Jego dzieci!...

Przestrzenie drgnęły przestrachu siłą,
Niebo tą zbrodnią się przeraziło, —
Żywioły w wichru starły się fali,
Zmarli jęknęli na mogił progu,
Gdy nędzni ludzie śmierć zadawali
Swojemu Bogu!

On mógł, gdy uczuł, że śmierć się zbliża,
Święte ramiona odpiąć od krzyża;
On, — ten Monarcha nieba i światów,
Mógł skruszyć ziemię kary ogromem
I za skinieniem — niewdzięcznych katów
W proch zetrzeć gromem!

Lecz On krzyż przyjął, cierpiąc nie mało,
Bo nas ukochał Boskością całą,
Bo chciał nas zbawić od wiecznej kary
Za nasze niecne czyny i złości,
Bo trzeba było wielkiej Ofiary —
Sprawiedliwości!...

Tak!... Bóg od ludzi przyjąć krzyż raczył,
Gromu nie zesłał. — zbrodnię przebaczył,
Modląc się za nas ze skonu chwilką,
I wiedząc, żeśmy słabi i mali,
Za karę, — żądał byśmy Go tylko
Naśladowali.

SMUTNA ROZMOWA.

O czarnoskrzydła—szczytna—boskiej twarzy—*)
Z pochłaniającym dusze młode wzrokiem—
Poezjo! o której serce ludów marzy
Nad wzbierającym krwi i łez potokiem!

O pani moja! czemu twych ołtarzy,
Owianych głuchym lat już tyle mrokiem,
Lutniści tylko strzegą—ślepi—starzy?..
A gdzież kapłani?
—„Mogił snem głębokim
Zmożeni, spoczywają".
— I westalek
U ogni twych nie widać już na straży...
—„Na giełdzie... Spojrzyj na te tłumy lalek,
Wpatrzonych tak nabożnie w to, co waży
Bóg-Baal... Cóż im do mnie—do harfiarzy,
Nucących psalmy—nędznych, ciemnych kalek?!"

L. Sowiński.

Szukajcie, a znajdziecie.

Jak biedny nurek, co się w bezdnią rzuci,
Z myślą o skarbie, którego tam niéma,
Płynie pod wodą, oddech w piersi wstrzyma,
I zginie, albo z niczem znów powróci,
Idzie w świat człowiek! i w bezdni żywota,
Szukać śmie szczęścia, jako nurek złota,
I jeśli czasem zjiszczą się nadzieje,
Marzy o innem, i jak dziecko śmieje,
Że znalazł brylant w wielkim kale błota.

Goście to widmo! próżno cofnąć biegu,
W labirynt marzeń gdy się myśl obłąka,
Czyliż jesteście słabsi od pająka,
Co sieć rozkłada, na przepaści brzegu?
Życie to przepaść! nie jeden w niéj zginął,
Bez walki upadł, zginął tak bez wieści,
Jak lichy owad, co na morze wpłynął.
Świat—ojciec równo wszystkie dzieci pieści,
I równe siły między nich rozdzielił:
Żyjąc dopiero sam się człowiek uczy,
Znosić tę burzę, co wciąż nad nim huczy,
I kochać żywot, choć go nie weselił.

Lecz próżno szczęścia, szukać na tym świecie,
Niech każdy idzie, prosta przed nim droga,
Każdemu w duszy ręka Pana Boga,
Pisze te słowa: "Szukajcie — znajdziecie."

GRUNWALD.

Kto mistrzu w duchów zawiódł cię krainę
I przeminione dał oglądać wieki,
Gdzieś ojców naszych napotkał drużynę?..

Tyś już z wędrówki powrócił dalekiéj
I nas zebranych przed twoim obrazem
W ten świat zaklęty wiedziesz z sobą razem.

I oto widzim, jak naoczne świadki,
Jeden z tysiąca owych czynów świetnych,
Jedną z tych ofiar krwawych a szlachetnych,
Które z kart dziejów naszéj ziemi-matki
Świecą niestartym znakiem w pokolenia.

Za mało było Kiejstuta ramienia,
Za mało było Łokietka prawicy
Na przełamanie potęgi Krzyżaków.
Znów stają hufce u kresowych szlaków,
Zwołane z Litwy i lackiéj ziemicy.

Chwila stanowcza coraz bardziéj blizka,
Grzmi strój żelazny, stal w słońcu połyska
I tętni ziemia pod ciężkim kopytem.
Jak chyży potok szerokim korytem
Ciągną szeregi wspaniałym pochodem.

Jak zczerwieniały słońca blask zachodem,
Tak krwawy promień lśni w oczach Litwinów.
Boć nie po wieńce idą tam wawrzynów,
Ani po zdobycz, ni po łupy drogie—
Idą po zemstę za klęsk lata mnogie.

Godło przy godle, przy znamieniu znamię,
Lasze chorągwie z nimi ramię w ramię
Zbrojno i strojno ciągną od granicy.

Płynie szeroko pieśń Bogarodzicy,
Przoduje hufcom, wiedzie w krwawe boje,
Bije o mury Malborgskiéj dzielnicy...
Héj mnichu! piersi zakuj w twardą zbroję!..

Chwila stanowcza coraz bardziéj blizka,
Wstrzyma się wojsko wśród leśnéj omroczy,
Szerokim pasem całe się roztoczy.
I wre w około gwar obozowiska.

Witold z Zyndramem przebiega ulice—
Dobyte miecze—cięciwy napięte—
Ale wódz próżno wytęża źrenice:
Wokoło wzgórza milczą jak zaklęte—
Tchórzliwy Niemiec na bój nie pospiesza.

I pomrukuje wokrąg zbrojna rzesza:
„Po co nam czekać dłużéj?—Idźmy daléj..."

Tuman kurzawy nad wzgórzem się kłębi.
Białe kohorty stają na wyżynie
Jak wielkie stado ofiarnych gołębi.—
Okrzyk radośny zagrzmi po dolinie,
Do mieczów rwą się niecierpliwe dłonie.
W oczach rycerzy blask jaśniejszy płonie.

Król modły skończył. Pod namiotu płótnem
Zebrał starszyznę i z obliczem smutném
Im ostateczne wydaje rozkazy.
Zwarły się murem Litwa przy Koronie.
Wśród tłumu sterczą jakby drogoskazy
Chorągwie wiatrem szeroko rozpięte.

Bratnie narody!—nie przysięgi święte,
Nie sojusz panów, nie ludów zażyłość,
Nie wiara jedna, nie braterska miłość
Was skojarzyły—ale wspólne bole...
Ale Grunwaldzkie krwią ociekłe pole!...

Wali krzyżactwo z gór. Litewska ława,
Rozbita pierwszym uderzeniem gromu,
Łamie się—cofa pełna klęsk i sromu.

Do boju Zyndram z swym zastępem stawa
I poraz wtóry krwawą walkę wszczyna.
Szabla Tatarska i oszczep Litwina
Lechickim mieczom ustępują kroku.

Chwila stanowcza coraz bardziéj blizka...
Hufiec królewski na tyły zabiega,
W żelazny pierścień pułki wrogów ściska.
Grzmi róg zwycięzki, w echach się rozlega
I cios ostatni pada z ręki Litwy.

Zaigrał wicher w kurzawy obłoku,
Zachodnie słońce w okół opromienia
Trupem usłane pole wielkiéj bitwy.

* * *

O spojrzcie wnuki olbrzymów plemienia
W twarz ojcom waszym i czołem uderzcie,
A wy bardowie w ręce gęśli bierzcie
I opiewajcie sławę ich imienia!

O spójrzcie wnuki olbrzymów plemienia
W twarz ojcom waszym—a może rumieńcem
Spłoną wam lica, że do grobów cienia
Poszli ostatni oni z sławy wieńcem.

O gdyby częściéj wasza myśl was wiodła
Na błoń Grunwaldzką albo do Horodła
I przeminione nawiedzała wieki
Budząc głos wspomnień z przeszłości dalekiéj!

* * *

Przed twym obrazem, mistrzu, stały tłumy.
Skroń się niejedna podniosła schylona
I z oczu trysnął blask szlachetnéj dumy.

A tych serc tętna, to twoja korona
I najwspanialsze do sławy podnoże— —
Rękę artysty pobłogosław Boże
I ducha jego przeléj w bratnie łona!

Czesław.

KOPERNIK

POEMAT DRAMATYCZNY NA TLE HISTORYCZNÉM

przez

Józefa Szujskiego.

Przedstawiony po raz pierwszy na scenie Krakowskiéj
w czterech-setną rocznicę urodzin Mikołaja Kopernika
19 Lutego 1873 r.

OSOBY:

Mikołaj Kopernik, kanonik Warmiński i administrator dóbr dyecezyi.

Albrecht Brandeburski, W. Mistrz Krzyżacki.

Maurycy Ferber, kanonik Warmiński.

Tideman Gise, biskup Chełmiński.

Jan Reticus, uczeń i przyjaciel Kopernika.

Eliza Wacelrodówna, siostrzenica Kopernika.

Bärman, bakałarz.

Iskrzycki, poseł królewski i dowódzca chorągwi pancernej.

Żacy — Mieszczanie — Rycerstwo Albrechta i Iskrzyckiego.

Rzecz dzieje się roku 1523.

SCENA I.

Reticus — Eliza.

Reticus.

Wuj śpi?

Eliza.

W noc późno bawił się gwiazdami!
Strudzon spoczywa.

Reticus.

Dzisiaj swoją księgę
Wręczy mi, z księgą w świat jadę daleki,
Aby ją oddać pod drukarskie prasy.
Pojutrze pójdzie ze światem w zapasy
By zwalczyć obłęd, co tumanił wieki.
Papieru zwitek niestraszny z pozoru,
A jako żagiew cały świat zapali,
Ze starych posad bryłę ziemi zwali,
Zmieni stosunek stworzenia i tworu,
W odwieczny przesąd uderzy taranem,
Inny stwarzając świat, pod innym Panem!

Eliza.

Co mówisz? W koło odszczepieństwa tyle
W kościółby mierzyć miało wuja dzieło?
O nie! Z ócz jego wiara w całej sile
Tryska, z ust jego nigdy nie spłynęło
Słowo, pobożną zrażające duszę...
Że, gdy nań patrzę, Boga chwalić muszę...

Reticus.

Nie bój się... Boga badał mistrz mój dziwy
I Bóg przyodział go jaśnią swej chwały:
Ale Bóg wielki, ale Bóg prawdziwy,
Bóg z pod sklepienia niebios, nieskarlały,
By się mógł zmieścić w ciasne tumu ściany,
Nieokadzony Bóg, nieośpiewany!
Ku temu Bogu z stóleciów pieluchy
Rwą się dziś naprzód wielkie świata duchy,
Z kart go biblijnych Marcin Luter bada,
Kopernik z wielkiej niebios księgi czyta:
Prometeusze! Za nimi gromada
Śmiałków, jak bystrych strumieni koryta,
Jak niewstrzymany pęd rycerskiej jazdy
Pójdzie rozwalać świat, zdobywać gwiazdy.

Eliza.

Luter i wuj mój! O ranisz mnie srodze...
Oddawna widzę na wujowskiej drodze
Przyjaciół naszych przestraszone twarze:
Sędziwy biskup z bólem nań pogląda,
Dantyszek często z nim osobnej żąda
Rozmowy. Pomnę, że świętej pamięci
Ciotka, cnotliwa wuja matka, biała
Gołąbka nieraz dziwne trwogi miała,
Nieraz w jej oku drżąca łza się kręci,
A gdy zstępował z frauenburskiej wieży,
Jęk cichy łączył się z szeptem pacierzy...
Lecz nie! o rękę oparta dostojną
Wuja... o pomnę! śmierć miała spokojną,
W gasnących oczach jej była otucha,
Anielskie blaski wyszły na jej czoło...
I biskup zawsze spogląda wesoło,
Kiedy powraca z długiej z nim rozmowy:
Widać, że sterząc nad spółczesnych głowy
Niepojętego razi blaskiem ducha,
Lecz kiedy serca otworzy głębiny
Duch ten jaśnieje, przeczysty, jak czyny!

Reticus.

Dobra Elizo, przebacz mojej mowie.
Nie wierzę, jako wierzyli ojcowie.
Ojczyzna moja niebotyczna, śmiała,
Co Austryi jarzma znosić nie umiała
Dziś potargała jarzmo Rzymu twarde.
Duch mój, na loty puściwszy się harde,
Góry Szwajcaryi przeniosłszy skrzydłami,
Wie, jaka otchłań zionie między nami
A starym światem katolickiej wiary...
Gotów na męki, gotów na ofiary,
Lecz pewny przyszłych zwycięztwa wawrzynów
Po całym świecie szuka światła synów.
Moc jedna dziwna rozproszonych wiąże
Mnicha zuchwalca, mędrca z cichej celi
W jedną harmonię niebieskiej kapeli.
Z daleka'm przybył, gdzie niebiosów książe,
Gwiazd nowy rządzca, wódz przed planet szy-
(kiem,
Przybyłem mówić, myśleć z Kopernikiem.
Najśmielsze moje przewyższył nadzieje

Mistrz! głowa płonie, serce mi truchleje,
Od wielkiej zgrozy, co z niebiosów toni
Wyniósł ten człowiek, niebotycznej dłoni!
I nigdy, nigdy nawet wśród mej ziemi
Na łonie matki nie było tak błogo
Duchowi memu, jak dziś, kiedy drogą
Mleczną Kopernik w nieba mnie prowadzi:
Jak, gdy spadłemu skrzydły strudzonemi
Na padół ziemski, ku ziemskiej czeladzi
Dwie gwiazdy jeszcze na ziemi mnie płoną
W tej oczach, która będzie moją żoną!

Eliza.

Czy będzie? przyszłość to jeszcze pokaże...
Wuj mój cię kocha, na obojga twarze
Patrzy przyjaźnie, jak słońce wiosniane,
Łzy ma w źrenicach, gdy dzieci kochane
Przy lutni nucą wieczorną godziną.
Lecz czy nie widzisz, jak chmurą opłyną
Mu skronie, kiedy nierozważną mową
Ty na stolicę rzucasz się Piotrową?
Cóż mogło znaczyć, co wyrzekł niedawno:
— Serce ma złote, głowę niepoprawną!...
O tak! twa dzikość tylko niechęć budzi
W najspokojniejszym i najgłębszym z ludzi.
Nie! Luter w wuja umyśle nie żyje...
Lecz żyjąc w tobie, może nas przykryje
Żałobą wieczną...

Reticus.

Próżne twe obawy!
Dzisiaj on milczy, walczy, człowiek prawy
Myśl chowa w łonie, póki nie dojrzeje;
Jutro wystrzeli a myśl ta odzieje
Go w płomieniste Dejaniry szaty,
Że kanoniczne spadną zeń ornaty!
Wstanie na niego hydra błędu wściekła,
Promienny zdepce ją—pogromca piekła!

Eliza.

Wtedy się modlić będą gorącemi
Usty—ja słaba na tej smętnej ziemi,
A matka jego w niebie. I Bóg zdarzy,
Że walczącemu wróci spokój twarzy
A wielka wiedza, którą w duchu przędzie,
Z miłością matki kłócić się nie będzie!...

Reticus.

Dźwięk twego słowa serce mi ucisza...
Elizo moja, czy za towarzysza
Twojej młodości pacierza ci stanie?

Eliza.

O ty wiesz przecie, że cię kocham Janie,
Choć mnie o ciebie strach czasami zbiera.
O! Janie, myśl ty czasem o tém niebie,
Które się w duszy człowieka zawiera;
Tam także prawdy są, a kto świat zmierzył,
Często w tym świecie nie mógł znaleźć siebie
Póki o niebo duszy nie uderzył...

(*odchodzi*).

SCENA II.

Reticus (*sam*).

Niewieście trwogi wstrząsają jej duszą,
Póki ich tchnienie zapału nie zmiecie.
Chcemy odmiany, chcemy ruchu w świecie
Aż człowiek lepszy, cnotliwszy, poczczony,
Z światem i Bóstwem wróci pogodzony.
Gdzie stąpisz wielki duch ten wieje nowy:
Nawet w tym kącie oddalonym ziemi!
I duch ten wielki nie miałby orlemi
Skrzydły porywać najsilniejszej głowy,
Która potęgą niebotycznej myśli
Ziemi i słońcu inne drogi kryśli?
Nie! z tego kąta, gdzie ta myśl błysnęła
Musi wyjść hasło potężnego dzieła:
Czyn, w wielkim czynów stólecia łańcuchu,
Że biblię trzeba brać po biblii duchu,
Że śmiercią słowo a duch jest żywotem!
Luter szedł naprzód—a Kopernik potem!

SCENA III.

Albrecht.—Bärman.—Retyk.

Bärman.

Scielę się do stóp Wielkiemu Mistrzowi
To tutaj.

Albrecht.

Bärman, dogrzewaj ludowi
Aby był gotów, gdy będzie potrzeba...

Bärman.

Cały do usług. (*odchodzi*).

Albrecht (*n. s.*)

Młody badacz nieba
W sam czas. (*gł.*) Serdecznie witam cię doktorze!
W Królewcu studium zamierzam założyć:
Uczoność twoja pomoc dać mi może.
Człowiek, któremu Kopernik otworzyć
Chciał swojej wiedzy skarby nieprzebrane,
Będzie tej szkoły chlubą i ozdobą...

Reticus.

Nie tak mi łatwo opuszczać kochane
Góry Szwajcaryi...

Albrecht.

Pomyśl. Można z tobą
Pomówić szczerze?

Reticus.

Niema we mnie zdrady.

Albrecht.

Tyś nowej wiary?

Reticus.

Nie tej co pradziady.

Albrecht.

Tyś Niemiec?

Reticus.

Wolny od książęcej pięści
Niemiec chłop, wolny od rycerskiej buty!

Albrecht.

Nie patrz na zbroję, co na piersiach chrzęści,
Na krzyż, zakonnej emblemat pokuty.

I mnie oświeca Ewangelia nowa
I ja z tej szaty rwę się na świat ciasnej,
Aby potężny stać o sile własnej,
Gdzie wiedzie serce, gdzie wskazuje głowa.
Znam Lutra, rady szukałem u męża,
Co świeci w Niemczech jak żagiew ognista,
A oto rzekł mi, bym tę łuskę węża
Zrzucił, bym stanął, jako płomienista
Kolumna wschodnim narodom świecąca
Wiodąc do nowej ewangelii słońca.
Dziś, jutro, światła uprosiwszy z góry,
Biały płaszcz zrzucę z starym krzyża znakiem
A za mną długim zrzucą go orszakiem
Biskupy, mistrze, marszałki, komtury.
Wiara, co ludu zyskała rozumy,
Zwycięzko weźmie grody, ballie, tumy,
Łańcuchem kary obłudników zwiąże,
Z Wielkiego Mistrza wstanie Pruski Książę...

Reticus.

Co mówisz?

Albrecht.

Wtedy dawna właść zakonu
Od ogniów naszych Bożych się zapali,
Gdańsk i Brunsberga, Elbląg, Toruń w dali,
Co Rzymu nie chce, co nowego Syonu
Pragną codziennem psalmów zawodzeniem
Jednem, Chrystusa złączą się pierścieniem.
Co zakon stracił w boju z Sarmatami
Wróci do Niemiec, za Lutrem, za nami!

Reticus.

Do Niemiec wolnych od książąt i Rzymu,
Do Niemiec wolnych jak szwajcarskie góry,
Bóg daj!

Albrecht.

Lecz czynu potrzeba, nie dymu
Słów marnych, aby postawić te mury
Nowego gmachu, trzeba aby dzielni
Wszyscy przy wapnie stanęli i kielni.
Rzecz ważna dzisiaj tutaj mnie sprowadza:
Umarł przewodnik Warmińskiej stolicy,
Twojego Mistrza poważnej prawicy
Biskupstwa Warmii powierzona władza.
Forteczne grody Heilsberga, Tolkmitu,
Brunsbergi w jego spoczywają ręce,
Ludność mi sprzyja, u wież grodów szczytu,
Z radością zatknie sztandary książące,
Gdy nie przeszkodzę, sroga jak gniew Boży
Odarte z ozdób kościoły otworzy
Nowym ministrom! Co Kopernik na to?
Co mistrz twój, żyjesz z tą duszą bogatą
W skarby nauki, znasz go, mów doktorze!
Prusak, mieszczanin czuć, myśleć nie może
Inaczej, buta go sarmacka gniecie:
Człek wielki burzę tę rozumie w świecie
Co starym gmachom zagraża zagładą.
Mędrzec on poszedł dalej niż ministry,
A gdzie pokornie oni głowy kładą,
On jeszcze orli wzrok wytęża bystry,
I jak my, z burzy, co huczy na niebie,
Wyniósł brak wiary w wszystko, wiarę w siebie!

Reticus.

Tak i ja myślę. Tak jest! Tak być musi!
Milczy, duchowna pierś mu szata dusi,
Lecz dziś, dziś właśnie, dziś wielka godzina
W której swe dzieło w ręce ucznia, syna,
W me odda ręce, kiedy go te dłonie
W świat rzucą! W dziele większe światło płonie
Niż w dziełach Lutra, myśli ludzkiej fala
Niepowstrzymana, potężna, huczącą
W Lutrze kościoła powagę roztrąca,
W nim księgi wieków twierdzenia obala!
Ziemię, co w środku zawisła stworzenia,
Której Bóg gwiazdy zaświecił i słońce,
Kopernik popchnął w drogi wirujące,
W gwiazd niezliczone wepchnął pokolenia;
Z tylowiecznego piedestału chwały
Zepchnął, że teraz, niby proszek mały,
Pani przed chwilą w ciasnym Boga domie
Anielskich chórów i Bóstwa tak bliska,
Dziś, jako atom w stworzenia ogromie
Szukać nowego musi stanowiska!
Luter namiętną wojuje wymową,
Lecz na namiętne jest namiętne słowo:
On — Boga z niebios do rozprawy woła
Spokojnie kreśląc jego myśli koła,
Na to, co okiem badawczem wyśledzi
W niebie, na ziemi niema odpowiedzi!

Albrecht.

Znajdzie ją w Rzymie: klątwa mu odpowie!
Toż rękawicę rzucając Rzymowi
Niech na czas mędrzec przyjaciół poszuka!
Mów z nim: dziś jeszcze ministrów nauka,
Lud, który rzymskie opuścił ołtarze,
Stanie z nim, miłość i cześć mu okaże.
Dziś jeszcze z gruzów rzymskiego śmieciska
Podejmie jego, jak dyament, co błyska,
Między patrony i mistrze umieści.
A niema tego zaszczytu i czesci,
Której-bym skąpił wielkiemu mężowi,
Gdy stanie przeciw Polsce i Rzymowi!
Bądź zdrów doktorze, powierzam się sile
Twych argumentów, wrócę tu za chwilę,
By mówić z mistrzem. My w sojusz braterski!

(*odchodzi*).

SCENA IV.

Reticus (*sam*).

Huttenus pruski! Człek ręki rycerskiej
A ducha, który w głowie ludu świta!
Ha! w jeden orszak stają bohaterski
Mnich, cichy mędrzec, chłop, szumiąca kita
Hełmu, mieszczana pięść berdyszem zbrojna,
I będzie wojna duchów i ciał wojna
Między mrówkami tej bryły stworzenia,
Która się ziemią zowie. Pokolenia
Zginą, lecz naprzód pójdzie bryła ziemi!
Cyt! mistrz krokami nadchodzi cichemi.

SCENA V.

(*wchodzi Kopernik z księgą*).

Kopernik.

Dzień dobry Janie. Księga ma gotowa,

Właśnie ostatnie dopisałem słowa
Listu do Rzymu. Jutro jedziesz Janie?

Reticus.

Niech na kolanach przyjmę dzieło twoje!

Kopernik.

Daj pokój. Boże to myśli, nie moje!
Toż je pod Boże oddaję władanie.
Patrz, kopii nie mam—droga twa daleka,
W ręce opatrznej jest żywot człowieka;
Gdybyśmy obaj z bożej padli mocy,
Myśl Kopernika poszłaby w kraj nocy
Może na zawsze, może na wiek długi
Póki Kopernik nie powstałby drugi!

Reticus.

Zkąd takie myśli w dniu pełnym wesela?

Kopernik.

Z smutkiem się człowiek z swą pracą rozdziela,
Z smutkiem! bo siebie dać z dziełem nie może,
Z smutkiem! bo niby dziecię na rozdroże
Rzuca je, szepcąc rozpaczliwe słowa,
Nie wiedząc kto je podejmie, wychowa,
Czém się na przyszłość w pokoleniach stanie.
Bo to, co w księdze pisanej zostanie,
Jest tylko cząstką tych myśli bez końca,
Co nie znalazły słów, co blasku słońca
Nie zniosły jeszcze, a przecież się zlały
W całość z tą częścią, życie jej dawały,
Piers podnosiły, duszę zapalały!!
Tych myśli śladów pełna moja dusza,
Tych myśli śladów niema w mojém dziele.

Reticus.

Znajdzie je przyszłość.

Kopernik.

Kto Ptolomeusza,
Hipparcha duchy z ich nauk wybada,
Kto wiarę ducha ich poznał i cele?
Świat mędrca w grobie niepamięci składa
O serce jego i ducha nie pyta,
Ziarno nauki dobędzie z łupiny
I rzuci w stuleć szumiące koryta..
Pod inną dłonią, pośród strefy innej
Ziarno rozpęka, podrasta, rozkwita,
A duch wydarty z tej czasu przestrzeni
Woni nie zazna, nie zazna zieleni.

Reticus.

Tak! ziarno wiedzy, twór jednostki dzielnej
Bierze duch świata, ten duch nieśmiertelny
Co grzebie mędrce, a w następcach budzi
Z człowieka mędrca coraz mędrszych ludzi;
Co daje dzieciom puściznę bogatą
Ojców, złocistą odziewając szatą
Nędzę pokoleń! co przyszłość przenika
Swadą Erazma, wiedzą Kopernika...

Kopernik.

Marzenia głowy szlachetnej i serca:
Wiesz, jakim bywa często spadkobierca,
Jak skarby, które dziad pracą wysłuży,
Często garściami rzuca do kałuży!

Reticus.

Nie! w piersi mojej pełno duszy krzyku
Przeciw obawom twoim, mistrzu drogi
Dzieło twe światu niesie pokój błogi,
Podnosi duszę!..

Kopernik.

Bóg ciebie, Retyku,
Na moją drogę zesłał, duszę białą,
Szlachetną, pełną ognia i miłości!
W tę duszę złożę, co we mnie zostało!
Nie spiesz się w drogę, poświęcim w cichości
Dni kilka miłej o świecie gawędzie,
Aż mistrz na jasno stać przed tobą będzie.
Mnie trzeba tego. Siędziem wieczorami
W cieniach ogrodu, wina dzban przed nami,
Nad nami gwiazdy, przyjdzie może Gize,
Dantyszek—z lutnią wezwiemy Elizę
Symposion złożym, jak za dni Platona!
Czego świat cząstkę w mém dziele dostanie,
Przed wami stanie—czara napełniona,
Płynem ognistym po brzegi błyszcząca
Całą mą duszę i serce mieszcząca!
Potém niech idzie w świat płód mego łona
A mnie niech reszta dni w spokoju spłynie.

Reticus.

Mistrzu! niepomnisz, o której godzinie
Myśl twa na świat się ziemski wydobywa:
Dziś ludzkość słowo nauki porywa
Jak robotników tłum czerwone cegły,
Z ręki do ręki, z poziomu do góry,
Aby co prędzej pod niebo wybiegły
W nowych przybytków sklepienia i mury.
Prusak i Niemiec na twe słowo czeka,
Rzym słucha, rychło piorunem uderzy:
Jak bryła śniegu, co lawiną ścieka
W cichą dolinę szwajcarskich pasterzy.
To co się w jasnej nocy urodziło
Będzie wstrząsało świat, będzie tętniło
Jak serce dzwonu o płaszcza krawędzie,
I mistrz spokoju odtąd mieć nie będzie.

Kopernik.

Masz słuszność... wyszedł świat z swojej kolei,
Mędrca roztropność stracił i pogodę...
Węzeł, co siły razem ducha klei,
Serce i rozum, żar ognia i wodę—
Rozpękł i w głębiach dusz, w sumień bezdeni
Walka żywiołów wre, szumi i pieni.
Sprawa to złego czy dopusty Boże
Jedno świat zbawić, jedno dźwigać może—
Prawda i praca!

Reticus.

Mistrzu! I—czyn śmiały!
O przyjmij, mistrzu, do serca czyn trzeci:
Gdzie pękła zgoda, tam nic nie zespoli
Świata, prócz czynu i żelaznej woli.
W samotność gwiazd twych, daj rzucić młodemu
Radę zdobytą w żywota szermierce:
Gdy syny nocy, gdy podli oszczerce
Staną do oczu mistrzowi mojemu,
Jasność źrenicy ciemnych nie rozbroi:
Padną od czynu, od prawicy twojej!
Wielki mistrz Albrecht dziś przed tobą stanie,
Człek wielki, rączy, potężnego ducha,
Przyrzecz, że chętne dasz mu posłuchanie
A w pierś strwożoną mą wstąpi otucha.

Kopernik.

Albrecht? Powiedzieć Mistrzowi mam wiele...
I groźnych rzeczy.

Reticus.

On wie o twém dziele,
Ceni twą mądrość, wielkie ma zamiary.
Ktoś idzie?.. On to...

Kopernik.

Nie! to Ferber stary
Sędzia herezyi.

Reticus.

Wspomnij moją radę! (*odchodzi*).

SCENA VI.

Ferber (*wchodzi*) Kopernik.

Astronomiczną przerywam biesiadę
Bracie w Chrystusie?

Kopernik.

Nie. Witaj Ferberze
Co cię sprowadza?

Ferber.

Kapituły słowo.

Kopernik.

Mów.

Ferber.

Człek ten młody niósł pergaminową
Księgę, mój bracie?

Kopernik.

Tak, dzieło me bierze,
Aby je oddać pod drukarskie prasy.

Ferber.

Dzieło o niebie, o słońcu i ziemi?

Kopernik.

Tak. O gwiazd ruchu.

Ferber.

Wiem, żeś długie czasy
Pracował nad niem, nocami długiemi
Na frauenburskiej wystawając wieży,
A wieść posępna między ludzi bieży
O dzieła tego twierdzeniach i treści.
Mówią, że w dziele, ku wielkiej boleści
Matki kościoła, są tezy fałszywe
Pismu świętemu przeciwne, draźliwe,
Błędne, rozumów tchnące ludzkich pychą,
Pole dające herezyom i grzechom.
Człek też wątpliwej, ba bluźnierczej wiary
Ma powieźć światu te szkodliwe dary,
Nie opatrzone kościoła uznaniem,
Tchnące zgorszeniem, tém większém, że na niem
Na dziele zgubnej i przewrotnej treści
Sługi kościoła nazwisko się mieści.

Kopernik.

Prawda zgorszeniem być świata nie może,
Ja w dziele mojém śledzę prawdy Boże.
Sumienię moje przed błędem je strzeże:
Księga Świętemu Ojcu poświęcona
W nim szuka mistrza, obrońcy, patrona,
Uczonych rzymskich grono ją rozbierze.
Tu pod rozsądek dawać jej nie mogę,
Bo nikt nie wchodził z was na moją drogę,
Nikt gwiazd nie badał.

Ferber.

Lecz każdy z nas bada
Pismo i każdy na tyle posiada
Teologicznej wiedzy, miły bracie,
By wskazać, żeście z pismami w rozbracie
Świętemi: każdy z Jozuego księgi
Powie, że Pan Bóg ognistemi kręgi
Słońce ze wschodu na zachód prowadzi
Ażeby ziemskiej świeciło czeladzi;
Że ruszać ziemię a słońce wstrzymywać
Jest bluźnić, Boży cud kłamem nazywać!

Kopernik.

Kiedym ja *dowiódł* w oskarżoném dziele,
Że ziemia koło słońca się obraca.

Ferber.

Czartowski obłęd, Archaniołów praca
Spadłych, pysznego szatana wesele,
Pokusa, którą w raju zgubił ludzi!

Kopernik.

Nie! Bóg nie szatan badawczego budzi
Ducha w stworzeniu, Bóg, co rozum daje,
Jego użytku zakazać nie może;
Gdybyś w gwieździste poszedł ze mną kraje,
Gdybyś tam ze mną badał dzieła Boże,
Widziałbyś jasno, jak ten dzień co świeci,
Że mówię prawdę.

Ferber.

A pismo? raz trzeci
Pytam o pismo?

Kopernik.

Chcesz by Pismo święte
Co wielkie drogi wskazuje zbawienia,
Co rozumowi głosi niepojęte
Prawdy, ratując słabość pokolenia
Ludzkiego, z ziemią prawa niebios wiąże,
Było zarazem ducha wyręczeniem,
Wiedzą o wszystkiem, nauką, natchnieniem;
Chcesz aby było nieustannym cudem,
Prawd skarbcem, które myśli zdobyć trudem
Człek może, skazan przez Boga na trudy?
Chcesz aby człowiek, patrząc na te cudy
Nie miał zasługi wiary, walk zasługi?
Nie! Nie! Wbrew tobie stanie szereg długi
Ojców kościoła, mędrców i badaczy
Spory uczone i walki kościoła:
Ten szereg z księgą gdy mnie mą zobaczy
Ecce haeresis! na nią nie zawoła!

Ferber (*ponuro*).

A jednak kościół, matka nasza święta
Umiał być groźnym dla tych co wzruszali
Pismo! Na stosie doktór Huss się pali,
Doktora Lutra płoną argumenta,
Sawonaroli nawet habit biały
Chronić nie zdoła. Świat dzisiaj zuchwały
Zgorszenia pełen i szatańskiej pychy,
Do niebios piętrzy się śmiertelnik lichy
I w chmury stawia babilońskie wieże,
Aż Bóg pomiesza i rozum odbierze.

Kopernik.

O i mnie bolą te głosy niestrojne
Świata, bunt ducha, co wstrząsa narody,

Mnie, com zapatrzon w niebiosa spokojne,
W odwieczny przykład harmonii przyrody!
Com się pokory pod niebios sklepieniem
Uczył, proch marny w stworzenia bezdeni,
O i mnie boli, żeśmy w tej przestrzeni
Odwieczném ładu i rządu przeczeniem.
Ale pociechą, gdym spojrzał po ziemi
Zdala mi Piotra kopuła jaśniała,
Jako sklep niebios okrągła, wspaniała,
Nad wątpiącemi i nad wierzącemi
Błogosławieństwa krzyżami sterczącа
Forteca prawdy, miłośniczka słońca!
Ty gromy liczysz z wysokich jej szczytów,
Promieni łaski zliczyć ja nie mogę,
Które sypały na nauki drogę
Od tego krzyża wśród włoskich błękitów!
Tę, której bramy piekła nie przemogą,
Rozumy ludzkie przestraszać nie mogą,
Pod jej też cieniem przyjaznej otuchy
Stóleci wiedza szukała opieki:
Wstały z grobowisk starożytnych duchy,
Wstały Rzymiany uczone i Greki,
Dzięki opiece Juliusza, Leona
Wstał duch Homera, Hipparcha, Platona!

Ferber.

Nieszczęsne czasy! Obłęd opłakany!
Który herezyi staje się przyczyną;
Naprzód Platony, Greki i Rzymiany,
Potem Erazmy i Lutry nam płyną!

Kopernik.

Nauka Chrysta, jasne światło Boże
Przed żadnym duchem w przestrzeni stóleci
Cofać się, lękać żadnego nie może.
Jak probierz prawdy dla każdego świeci!
Ona każdemu sądem lub zbawieniem!
Krzyż, odkąd stanął nad ludzkiem plemieniem,
Ludy i duchy do walki wyzywa,
Mierzy się z każdym, wnętrze mu rozkrywa;
Każdy boleścią co mu serce kraje,
Walką, tęsknotą, natchnienia podrywem
Wielbi go, niby Dawidowym śpiewem
Życiem i śmiercią świadectwo mu daje!
Co ludzkie rwie się ku krzyża ramionom
Modlitwą, żądzą wiedzy, szczęścia żądzą,
Cnotą cnotliwi, przeczeniem co błądzą,
Piekło pokusą ludzkości stawioną
Rwie się pod Chrysta ramiona olbrzymie—
Bo wzruszył wszystko... bo mu Bóg na imie!

Ferber.

Mistycznem ze mną słowem wojujecie
A rwiecie w światy, gdzie zawrót porywa,
Dumnych to duchów mania nieszczęśliwa,
By wedle woli gospodarzyć w świecie.
Nad niemi Chrystus w Ewangelii płacze
Mówiąc, jak trudną do niebios bogacze
Miewają drogę!

Kopernik.

Toż ja w kornej skrusze
Bogu polecam skołataną duszę.
Kapłan, nie proszę łaski, którą dano
Świętym, tej proszę, którą łotr na krzyżu
Otrzymał w Chrysta wiszący pobliżu
Że wierzył, kochał duszą skołataną!

Ferber.

Jest pycha w takiej mój bracie pokorze.

Kopernik *(zniecierpliwiony).*

Jest! Duch mój wszędzie wietrzyć zła nie może
Jak twój! do srogich wyroków nieskory,
Ostry dla siebie i pełen pokory,
Nad nędzą świata, nad walki chrześciańskie,
Nad to łez morze, co jęczy na ziemi:
Stawia Chrystusa z słowy błagalnemi,
Stawia odwieczne Miłosierdzie Pańskie!

Ferber.

Wielka nas przestrzeń od siebie oddziela,
Może posłuchasz chętniej przyjaciela?
Tideman Gize do ciebie przybywa
W tej samej sprawie.

Kopernik.

Gize? Głowa siwa
Mego Tidmana miałaż-by te trwogi
Mieć, co ty bracie? O zawsze mi drogi
Gize pożądan, dziś pragnę go szczerze
Bardziej niż kiedy! O proś go Ferberze,
Pomówim razem—przyjdź i ty za chwilę...
Przebacz mą szorstkość. Jeźli w czem się mylę,
Gize sprostuje, ja odwołam chętnie...
(*Ferber odchodzi.*)

SCENA VII.

Kopernik *(sam).*

Gniew mnie unosił—mówiłem namiętnie,
Wzgardę rzuciłem w twarz mojemu bratu.
Alboż on winien, że ku memu światu
Wstręt czuje, w martwych księgach pogrążony?
Że trwożny o mnie, czy będę zbawiony?
Alboż jednakiéj byli ducha miary,
Apostół pogan i Piotr, człowiek wiary?
Skromny Mateusz i prorok z Patmosu?
Boże! Tyś dobry, że mi po Ferberze
Nie poskąpiłeś Tidemana głosu!
(*Tideman Gize wchodzi*).

SCENA VIII.

Kopernik.

Ojcze mój! Mistrzu!

Gize.

Synu ukochany!

Kopernik.

Przybywasz z Chełmna.

Gize.

Tęsknota mnie bierze
Za twoim duchem, za twoją rozmową.
Zdało mi się też, żem dziś pożądany
Usłyszyć słowo lub powiedzieć słowo...
Pisano do mnie, wzywano na radę.
Przytém rad jestem, że grobu już bliski
Błogosławiące na cię ręce kładę
I ostatniemi pożegnam uściski.

Kopernik.

Ojcze!

Gize.

Rzecz gorzką niósł ci Ferber stary.
Nieprawda? W szczerość wątpił twojéj wiary,
Pracę żywota potępił surowo?

Kopernik.

Lecz zapowiedział mi Gizego słowo.

Gize.

Możeć nie będzie i to pożądaném:
Długom za ciebie modlił się przed Panem,
O sprawach Bożych w wstrząśnionym Kościele,
O twoim duchu rozmyślał i dziele.
Długo trapiły mnie złowrogie wieści,
Jak się pobożni twą nauką trwożą,
Jak w niej obrazę upatrują Bożą!
Syn mój! przyjaciel! miałbyż, o! boleści!
Przyczyniać trudu Matce skołatanéj?
Stawać się światu obrazy kamieniem?!
Wtedy z ołtarza Chrystusowe rany
Świętem na starca spłynęły natchnieniem,
Wtedy mi rzekły: Co Chrysta miłował
Tak bardzo, syn twój, czyżby go krzyżował!
Jedź doń, wypowiedz, co ci duszę gniecie,
Wszak tylko jeden Kopernik na świecie!

Kopernik.

Ojcze! mów wszystko, słucham cię spokojnie.

Gize.

Synu! do ciebie nie przybyłem zbrojnie
W Pisma Świętego teksty lub kanony,
Alem ja przybył duchem przelękniony
Co wieje z świata, co raptowny zmienia
Umysły ludzkie, wstrząsa pokolenia,
I po szalonéj gdzieś pędzi kolei,
Duchem bez wiary, miłości, nadziei.
Patrzaj, jak duch ten na zgorszenie czycha,
Jak go wywleka zewsząd, jak niém żyje!
Z iskry, z jednego żebrzącego mnicha
Luterskiéj pożar apostazyi bije,
Jak nienawiścią między ludźmi wzrasta,
Jak burzy cichą wieś, rozbija miasta.
Synu! gdzie pomoc w téj srogiéj rozterce
Jeżli nie w naszém tylko odrodzeniu?
Winniśmy! powód daliśmy zgorszeniu!
Ludu naszego zepsuło się serce!

Kopernik.

W czém-że zgorszyłem?

Gize.

Nie! nie! tyś niewinny
Ale świat dzisiaj zgorszeniem zepsuty!
Napój dla niego wczoraj dobroczynny
Dziś mu się stanie puharem cykuty?
Z Pisma Świętego truciznę on snuje
Czyż dziw, że twojem dziełem się otruje?

Kopernik.

Mów dalej ojcze!

Gize.

Słuchaj: długie wieki
Ziemia ta była ogniskiem stworzenia
I w tém mniemaniu rosły pokolenia.
Gwiazdy i księżyc, słońca blask daleki
Dla niéj i dla niéj jedynie błyszczały,
A Bóg Stworzyciel w błękit sterząc nieba
O ziemię oparł stóp swoich sandały.
Z ramion, opatrznie ku ziemi schylonych,
Krzyż z ciałem Chrysta spływał na Golgotę,
A Matka Boża w rąbku gwiazd złoconych
Na ziemię słała łask swych pęki złote.
Z ziemi, z ogniska, ku Aniołów rzeszy
Orędowników orszak świętych spieszy,
Ród ludzki pełen miłości i wiary,
Tak blizki źródła nagrody i kary,
Tak blizki źródła łask i natchnień źródła,
Jakby dłoń Boża ojcowska go wiodła.
O! Mikołaju! czy nie bierzeć trwoga
Dziś, gdy pogrążon w upadku bezdeni:
Topić go w wielkiéj niebiosów przestrzeni
I w nieskończoność odsuwać mu Boga?

Kopernik.

Trwoga? powiadasz. Zwalczyłem tę trwogę.
Powiem ci wszystko, zataić nie mogę.
Słuchaj! gwiaździsta była noc, świetlana,
Na frauenburskiéj klęczałem wieżycy,
Szukając wielkiéj niebios tajemnicy.
I ku ramionom wzniesionym w zachwycie
Spłynęła ku mnie tajemnica Pana,
Spłynęło ku mnie wielkie świata życie!
To, co się w cyfrach i piśmie łamało
Jedna mi chwila podała natchnienia,
Natchnienie szatę pewności przybrało,
W dowód urosły moje przypuszczenia.
Z ziemią, co niosła myśl moję skrzydlatą,
Czułem ruch w przestrzeń, ku słońcu, ku światom
Krążącym wedle praw znanych jedynie
Mnie na téj wieży, Bogu na wyżynie!
Lecz była chwila straszna między nami
Kiedyśmy z Bogiem pozostali sami —
Bo grzech Aniołów, co z nieba strąceni,
Nagle w źrenicy twego syna świeci,
Toż on—przeczenia duch, wśród wieżyc cieni
Nad moją głową stanąć musiał trzeci,
Przesłonić oczy mnie, schylić ku ziemi
I szeptać do mnie słowami twojemi!...

Gize.

Mojemi? jak to?

Kopernik.

Tak! ręką zuchwałą
Zaczął mi strącać gdzieś w duszy bezdenie
Jasnego Chrysta i Maryę białą,
Moją modlitwę i moje zbawienie!
„Nowegoś Boga znalazł w gwiazd bezliku,
Bądź dumnym, wielkim jesteś Koperniku!
Jak łódź do brzegu łańcuchem skowaną
W ocean niebios pchnąłeś glob zielony,
Że czém był wieczór, nie będzie już rano!
Z tysiącoletniéj drzemki przebudzony!
Tyś wielki! dumny! ty coś go z odmętu
Wyrwał, idź naprzód! ty weź ster okrętu!"

Gize.

Ten sam on zawsze! duch co wiecznie przeczy,
Wieczny szyderca najwznioślejszych rzeczy...
Śmierci syn, ludzkie burzący budowy,
Pierwszych rodziców zdradzający słowy:
Eritis sicut Deus!

Kopernik.

Padłem, marny
Wzrok mi zasłonił jakiś obłok czarny,
W chaos się gwiazdy płatały wśród krzyku
Sfer nieba: Wielkiś, wielki Koperniku!...
Ale Bóg nie chciał tryumfu nademną.
On, co mnie niebios otworzył wrzeciądze,
On dał mi *więcej* niźli chwały żądzę,

On dał mi żądzę, by zwalczyć moc ciemną!

Gize.

O mów!

Kopernik.

Czyś widział, jak z stali sprężyna
Ugięta dłonią potężną człowieka,
Zrazu się w skrętach ku ziemi ugina,
Potém jak woda w dawną formę wcieka—
Tak ja, przybity przeczeniem ku ziemi,
Wzniosłem się, skrzydłym zerwał omdlałemi.
W dumę szlachetną pychę moję zmienia
Bóg, i z tą dumą duchowi przeczenia
Stanąłem w oczy!—To co miało służyć
Bogu na chwałę, maż zbawienie burzyć
Duszy człowieczéj? To, co z ziemi proga
Ma wieść w wspaniałą stworzenia świątynię,
Żywego od niéj oddalać ma Boga?
Światła nowego rozbijać naczynie?!
Nie! nie! zasłony przyrody rozdarcie
Tryumfem ducha jest na dziejów karcie,
Bo nieskończoność duchową odsłania
Mocy u Stwórcy—u stworzeń—poznania!

Gize.

Tak! I jam myślał w niebo zapatrzony
O światach, które dzieło twe odkrywa!
Duch, na téj ziemi już z ciałem złączony,
Tam w nieskończonych postaciach przebywa,
Gubi się dusza, dech w piersiach zamiera,
Strach zimném mrowiem przenika szpik kości,
Trudno materyę objąć w jéj straszności,
Dopieroż ducha, który nie umiera!

Kopernik.

Strach? mój Tidmanie! Nie! błoga otucha
Z tego ogromu materyi i ducha
Gdym się raz dźwignął, gdy się pierś podniosła
W górę i w górę mnie nad poziom niosła,
I zrozumiałem więcéj jak ruch świata
Bo jak się niebo z drobną ziemią splata!
Patrzaj! materya nie byłaby niczém,
Gdyby duch swojém nie świecił obliczem;
Patrzaj, duch ludzki nie wzlatałby w górę,
Gdyby go niebios nie rwała tęsknota,
Gdyby duchowi, co bada naturę,
Otwartą była księga ducha złota
Siedmiu pieczęćmi tajemnic błyszcząca,
O jego bycie i celu mówiąca!
Więc téż od człeka, co w drużynę mgławą
Gwiazd patrzy, inne zaczyna się prawo,
Z góry doń spada łańcuch prawdy święty:
On musi *zbawion* być i *wniebowzięty!*
Ztamtąd mu spłynąć musi łódź zbawienia,
A człek, co ziemię i niebiosa zmierzy,
Nie znajdzie *siebie* w przestrzeni stworzenia
Póki nie kocha, nie ufa, nie wierzy!

Gize.

Tyś znalazł siebie, boś dusza wybrana
Ale czy trafią tak inni do Pana?
Czyli ta pycha, cnotą twą zwalczona,
Innych nie schwyci, innych nie pokona?

Reticus *(wchodząc).*

Wielki Mistrz Albrecht posłuchania czeka.

Gize.

Pomyśl—wieczorem dokończym rozmowę.

Kopernik.

Ojcze! wstrząsnąłeś mi serce i głowę...
Że mi strach prawie tego złego człeka.
(Gize odchodzi).

SCENA IX.

Reticus—Kopernik.

Reticus.

Mistrzu! tyś drżący, bladość ci powleka
Czoło... Nie tobie z Ferbery rozmowa,
Nie tobie starość Tidemana drżąca:
Dusza do ciebie męzka i gorąca
Zbliża się, przyjmij, o! przyjmij jéj słowa
Przyjaźnie! Za nią lud, głos Boży czeka
By wznieść pod niebo wielkiego człowieka!

Kopernik.

Co to ma znaczyć!

Reticus.

Wielki Mistrz nadchodzi! *(odchodzi).*

SCENA X.

Kopernik—Albrecht.

Kopernik, *do wchodzącego* **Albrechta.**

Wielebność jego co do mnie przywodzi?

Albrecht.

Młody ten Szwajcar, uczeń ulubiony
Nie rzekł, co Mistrza sprowadza w te strony?

Kopernik.

Nie rozumiałem, mówił zagadkowo,
Odrzekłem, że mam powiedzieć wam słowo
Groźne, w biskupstwa warmińskiego sprawie.

Albrecht.

Aby groźb słuchać w Fraunburgu nie bawię
Ani téż wzajem przyjeżdżam z groźbami:
Węzła przybyłem szukać między nami!

Kopernik.

Węzła?

Albrecht.

Po myślach wiążą się w przymierze
Stany i ludzie, mieszczany, rycerze,
Księża i mnichy, pany i książęta,
By walczyć wspólnie, wspólnie kruszyć pęta.
By wznieść do góry, co do życia dąży,
Przyszedłem do was, myśli méj chorąży
I poświęcenia szukam waszéj dłoni.

Kopernik.

Do wojen Krzyża myśl nareszcie kłoni
Rycerski Albrecht! Szczęśliwe natchnienie!
Gorąco sprawę polecę Królowi.
Czekają Rusi szerokie przestrzenie
Oddane na łup Turcyi i Chanowi,
Tam wedle rady Laskiego dojrzałéj
Zakon znalazłszy cel, niech szuka chwały!

Albrecht.

Uczony mężu, czy w zakon wierzycie,
Czyli szyderstwem rzucacie mi w oczy?

Kopernik.

Wy człowiek młody, w téj piersi jest życie,
To życie może krzyż zakonny tłoczy,
Ztąd wasze walki, szarpania, podróże,
Niewdzięcznie w kraju podżegnięte burze!
Jeżliście z krzyżem pogodzili oczy,
Jeźli wam duszy spokoju udzielił,
Czemużby zakon z téj piersi nie strzelił
Odrodzon, gotów do świętéj posługi?
Czemu w was nie wstał założyciel drugi?

Albrecht.

Takiéj mi Pan Bóg łaski nie użycza,
Młode ramiona szata zakonnicza
Przygniotła, teraz kiedy pomężniały
Agrafa płaszcza spękała w kawały.

Kopernik.

Jeźli zbyt młodo składaliście śluby,
Jeżeli krzyża unieść nie możecie:
Papież od wiecznéj ratując was zguby
Może pozwoli, że krzyż ten zdejmiecie.

Albrecht.

Inaczéj ludzie, niewierni swym wotom,
Dzisiaj habity i ornaty miotą.

Kopernik.

Tak—jeźli wiary nie pomną i cześci.

Albrecht.

Nie—oni pomną, co wiek światu wieści,
Co duch ludzkości w głębiach swoich chowa...

Kopernik.

Starsze od wieku są sumienia słowa!

Albrecht.

Kto nie szedł z wiekiem, biada temu! biada!

Kopernik.

W każdym bywała cnota, w każdym zdrada.

Albrecht.

Odwaga czynu zdradą się nie zowie.
Niepodległymi bywali mistrzowie,
Cesarstwu tylko korni i Papieżom,
Dziś z woli Rzymu, z cesarstwa słabości
Do Sarmackiego królestwa należą!
Jeźli do dawnéj przywrócę wielkości
Niemieckie imię, wbrew sarmackiej pięści,
Jeźli mym myślom zmienny los poszczęści:
Zdrada dzisiejsza, jutro w laur wyrośnie,
By moje czoło otoczyć radośnie.

Kopernik.

Czy mnie ostrzegasz, czy pomocy mojéj
Wzywasz? Przed tobą ksiądz, kanonik stoi,
Króla naszego posłuszny poddany...

Albrecht.

Nie! w kanonicze szaty przyodziany
Człek wielki, chluba uczonego świata.
Człek wielkiéj miary, co się duchem brata
Z najwspanialszemi stólecia duchami,
Człek, który siłą będzie między nami!
Wiesz, jaka otchłań pod stopy waszemi
W stalach katedry śpiący kanonicy!
Katedra pusta, głuchy gwar ulicy
Mięsza się tylko z psalmy szeptanemi
Z starych brewiarzów, dzwon wielki kościoła
Woła na modły, lecz napróżno woła.
W ustronne domy biskupiego miasta
Spieszy mieszczanin, dziecię i niewiasta,
A psalm z nowemi mistrzami nucony
Przynęca silniéj, niżli wasze dzwony!
Jeźli tym mistrzom hasło będzie daném:
Rozpęknie Kościół, uderzon taranem
Psalmu, co z piersi ludu tego wzlata,
Spadnie z mych ramion zakonnicza szata,
Pożar, co Prusy, Pomorze zapali,
Kościół i władzę Polski tu obali.
Człowiek, co myślą potężną swą sięga
Daléj niż Luter, niżli biblii księga,
Feniks z popiołów téj staréj budowy
Jeden wstrzymuje cios—dawno gotowy!
Dłoń, co się porwie na takiego męża,
Jest zwyciężoną—nawet gdy zwycięża.
Więc ją podaję! niech pracę mą dzieli
Duch, starą ciemność co światłem przenika;
Między imiony oswobodzicieli
Przy mnie niech stanie imie Kopernika.

Kopernik *(w najwyższém oburzeniu).*

Kto ci dał prawo, ty! bez czci i wiary!
Przychodzić do mnie z takiemi ofiary?
Kto ci dał prawo myśleć, że to ramie
Nie stanie złemu wbrew aż zło się złamie,
Ale w układy pójdzie z niem i targi
By słowa—myślom, by kłamały wargi.
Nie miałem przysiąg za wygodne środki
I święceń nie mam za wielkości drogę;
Wierny królowi jak były me przodki,
Boga i władzy podeptać nie mogę!

Albrecht.

Kto mi dał prawo? mędrcze hipokryto!
Ty sam!—nauką twoją i żywotem,
Ty sam, twą głową nad współczesnych wzbitą,
Częstszą pod niebios gwiaździstym namiotem
Niż pod ponurém kościoła sklepieniem;
Ty sam myślami, co płyną strumieniem
Z twego odkrycia, wiatry Boreasza,
Aż się oburza mistrz, aż się przestrasza!
Mędrce pogańscy w duchownéj sukience
Obalający wiarę w cichéj celi,
Wy chcecie, aby podnoszącym ręce
W kłamanéj modle, w augurskiej postawie,
Ludzie do głębi sumień nie zajrzeli?
By nie wywlekli, co bije jaskrawie
Z ócz powleczonych obłudy zasłoną:
Nie! w ucznia twego szczerych oczach płoną
Te myśli, ludu wzruszają sumienie.
Nie wstrzyma burzy, co huczy straszliwa,
Roztropność żadna, żadne zastrzeżenie;
Jak proch strzelniczy, co Szwarca rozrywa,
Myśl, ukrywana w głębi twego łona,
Zwróci się na cię, sztuki twe pokona!

Kopernik.

Jaka myśl? Cóżeś wywiódł z méj nauki?

Albrecht.

Zasady mojéj panowania sztuki,
Ambicyi mojéj bezpieczne schronienie!
Patrzaj! przed tobą nie brakło obroży...
Z niebios na ziemię zstępował rząd Boży,
Chrystus biskupom powierzał go Rzymu
Wśród śpiewu psalmów i kadzielnic dymu,

Rzym na cesarzy i królów go zdaje,
W pierścień Chrześciaństwa wiążąc świata kraje.
Ty mistrzu, lotne przypiąłeś mi skrzydła:
Wolnym od przysiąg i ślubów wędzidła.
Bóg wielki, słowy cofnięty twojemi,
Dojrzy zaledwie, co czynię na ziemi,
Jak mieczem śmiałym, co chrześci o zbroję,
Z ciała Chrześciaństwa kęs sobie odkroję!
Zuchwałym bywał, kto śmiał; w jego duszy
Własnéj, paliło się piekło katuszy.
Dziś Luter cnoty nie żąda, lecz wiary,
Ty w głębie niebios odsuwasz grom kary.
Za Lutrem z biblią pójdzie ludzi rzesza,
Za tobą, każdy rozumny pospiesza
W bój o pierwszeństwo, o władzę na świecie:
Aż najsilniejszy mniéj silnych rozmiecie,
Aż na szalbierczych dawnych praw rydwanie
Rozumnéj *siły* twarde berło stanie.

Kopernik.

Krzyż, co od bluźnierstw na piersi się zgina
Dzieje mi twego zakonu wspomina.
Jak ty, on kłamał przez mnogość stóleci
Hasłu zbawienia, co na piersi świeci:
Obrońca wiary, żył świata rozbojem,
I pychę w czynach miał, co w słowie twojém!
O! jeźli w duchu tych dziejów zakonu
Przyszłość ma wypaść bezbożna i krwawa:
Toć na czas niebios jam obwieścił prawa
I w przepaść cofnął blask Bożego tronu!
Niech w głębiach światów wznosi się nad wami
Dłoń, pychy waszéj słoniona cieniami!

Albrecht.

Pierw, nim się wieków tych wysnuje wątek,
Ty dzieła mego zobaczysz początek!

(*odchodzi*).

SCENA XI.

Kopernik (*sam*).

O! myśli moja! pracą wymodlona,
Coś miała światłem być méj ziemskiéj braci,
W jakiéj-że do mnie powracasz postaci!
Jakimż potworem wstajesz z ludzi łona!
Czyżby miał słuszność ten Ferber ponury,
Słuszność pobożne Gizego obawy,
Słuszność ci wszyscy, którzy wiedzy sprawy
W klasztornéj ciszy zamykali mury,
I ducha swego niebotyczne słowo
Samotną z Bogiem czynili rozmową?!
Tak! z pełni ducha idzie duchów praca,
Z walk, okupionych krwią serca gorącą,
Strumień kryniczny, co skały przecina:
Tłumy, jak trzoda spragniona go zmącą,
Brudną kałużą do mistrza powraca,
Że dłoń podnosi i siebie przeklina!
W uczniu, co badań twych owoce chwyta,
W potworne kształty myśl się twoja paczy,
Harmonia twoja dysharmonią zgrzyta!
Na pieniądz wiedzy rzuci się siepaczy
Tłum, rzesza chciwców i łakomców głucha,
Podejmą wszystko—*prócz twojego ducha*,
Wszystko, prócz twego ku niebiosom lotu,
Oni zwróceni—ku ziemi—ku błotu!!
Tak! bezden niebios przezemnie otwarta,
Inne w nich myśli niż we mnie poruszy,
I dziejów ludzkich odwróci się karta:
Gdzie pycha wiedzy stłumi życie duszy,
Gdzie zamiast dążyć do niebiosów proga
Uczynią wszystko, by oddalić Boga!

SCENA XII.

Eliza—Reticus—Kopernik.

(*Z drzwi na prawo* **Eliza** *zbliża się do Kopernika*).

Eliza.

Wuju, co tobie? słyszałam gwar mowy,
A potém słowa twe pełne boleści...
Boże! czy wszystko to nieszczęście wieści?
Dziś rano Retyk dziwnemi mnie słowy
Przeraził... Wuju!

Kopernik.

Retyk! Czyliż duszę
I tobie śmiał on truć?

Eliza.

Bądź bez obawy...
On mnie przeraził tylko, on z twéj sławy
Takie widoki snuł... On nie zna ciebie,
On cię nie pojął, bo do gwiazd na niebie
Rozumu trzeba, by ciebie rozumieć
Trzeba mniéj może... trzeba wierzyć umieć.
O! nie bądź gniewny!...

Reticus (*wchodzi*).

Mistrzu!

Kopernik.

Nieszczęśliwy!
Niebiosów mistrza zrozumiałeś dziwy,
Lecz nie zrozumiał serca jego bicia,
Nie zrozumiałeś, że prawda zdobyta,
Wydarta struna z wielkiej harfy życia,
Martwą, dopóki duch pracą żywota
O ściany harfy struny nie namota
I utraconéj harmonii nie schwyta.
Tyś myśl uchwycił i nie pytał o to,
Z buntem na ziemi złożył nieba zgodę,
Z dojrzałym trudem szaleństwa twe młode,
Uczciwe imie—z dumnego niecnotą.
Tys nie zrozumiał, co *ona* pojęła,
Że mistrz najlepszą częścią swego dzieła.

(*Odchodzi oparty na Elizie*).

SCENA XIII.

Reticus (*sam*).

Gniewem Jowisza płonęło mu oko,
Spozierał na mnie tak stojąc wysoko
Jak nigdy... odszedł miażdżąc mnie spojrzeniem!
Duch jego nie ma związku z pokoleniem,
Potępia jego walki i szarpania.
Mistyczna wiara, spokojna, bezdenna,
Świeci mu w duszy, jak gwiazda promienna,
Co nieobjęte rozumem—pochłania!
Z słów, które rzucał, winienem był zbadać
Rzecz tę i ducha własnego nie wkładać
W pierś mego mistrza. Krzywdem mu wyrządzał
Jam o obłudę go, o fałsz posądzał,

Ja mogłem myśleć, że serce bogate
W cnotę, znieść mogło tę duchowną szatę,
Gdyby pod szatą na chwilę to serce
Z jego kościołem mogło być w rozterce!
Olbrzym—w większego teraz mi urasta,
Że go zrozumieć i pojąć nie mogę...

(*gwar i wołania za sceną*)

Ha! słyszę hałas i gwary od miasta...
Tysiące ludzi zalewają drogę...
Oddawna wieść się między ludem szerzy
Że z Kopernikiem Albrecht się przymierzy,
Że wierze Lutra mistrz sprzyja tajemnie.
Jam ją podsycał, ja żywił nikczemnie...

Głosy (*za sceną*).

Niech żyje Albrecht! Precz z królem i Rzymem!

Reticus.

Idą go wzywać by zerwał z papieżem!
Posród ulicy zakopconéj dymem
Pochodni, mieszczan tłum się wielki tłoczy....
Maszkary w środku! Ha! będę puklerzem
Temu domowi... bo spojrzeć mu w oczy
Nie śmiałbym więcéj...

SCENA XIV.

(*Wśród tłoczących się mieszczan wchodzi* Bärman *w kanonicznym stroju—z głową osła. Obok niego dwóch żaków przebranych za Ziemię i Słońce. W głębi widać świecące oszczepy i broń palną.*)

Reticus.

Precz z tąd!

Bärman.

Sta viator!

Tłum.

Ha! ha!

Reticus.

Co znaczy ta głupia maszkara?

Bärman.

Sum doctor Kopernik,
Astrorum powiernik,
Dioeceseos administrator!

Tłum.

Ha! ha!

Reticus (*wydobywając miecza*).

Krok naprzód, a trupem położę!
Ha! podły gminie! powiedz, jak ten może
Pośmiewisk celem być wieczór, co rano
Był chwałą waszą?...

Mieszczanin (*spostrzegając Retyka*).

Retyk! Oszukano
Nas i książęcia! Polak! syn Beliala!
Papista! zdrajca!

Tłum.

Precz z synami Baala!
Precz z papistami!

Mieszczanin.

Pisma przeniewierca!

Bärman.

Voco Doctorem!

Tłum.

Gdzie jest ten bluźnierca?

SCENA XV.

Ciż sami—Kopernik—Eliza—Ferber—Gize.

Kopernik.

Czego żądacie?

Bärman.

Plenus reverentiae,
Dysputy wzywam, ogłaszam sentencye!

Tłum.

Ha! ha!

Kopernik (*wskazując na zbrojnych mieszczan*).

Z daleka błyszczą argumenta.
Mów swoje, słucham!

Bärman (*do ziemi*).

Globe, quid sis, tenta
Dicere nobis illo foramine!

Ziemia.

Terra cum mari, bestiis et homine.

Bärman (*do słońca*).

Tu autem, powiedz, coś ty za poczwara?

Słońce.

Słońce, co ziemi przyświecać się stara.

Bärman.

Quomodo facis, że się każda dziura
Ziemi oświeca, że nasi mieszczanie
Wiedzą jak obiad jeść a jak śniadanie?

Słońce.

Docuit tego mnie *Sacra scriptura.*
Rano uczciwe ze snu budzę stadło,
Wieczór pilnuję, by się spać układło.

Tłum.

Ha! ha!

Bärman.

Silentium! Quid tu facis terra?

Ziemia.

Ja... ja... ja... czekam... czekam...

Bärman.

Et caetera!

Bärman.

Nuże! pokażcie, jak się to odbywa.

(*Ziemia staje w środku—Słońce je obchodzi. Bärman zatrzymuje je w drodze*).

Sta viator!

Słońce.

Quis est? Czy Jozue mnie z Jerycha wzywa?

Bärman.

Ego sum Kopernik,
Astrorum powiernik
Dioeceseos Adminstrator.
Z papieża rozkazu
Stań mi od razu!

Reticus *(zrywając się z mieczem)*.

Dosyć tych łotrostw...

Kopernik.

Stój, Retyku! każę...

Bärman.

Stój! bo cię bullą papiezką usmażę!
Będziesz stał odtąd—ziemia się obraca!...
(Postawił słońce — pędzi ziemię około niego).

Ziemia.

Kiedy ja czuję... że mi się przewraca
Wszystko na grzbiecie...

Bärman.

Co? co? co?

Ziemia.

Świat cały:
Papież na tronie, księża, kardynały,
A frauenburskie mieszczany nie mogą
Trafić do gęby z piwem...

Bärman.

Daléj drogą!
Brrr! Lecz mnie także coś chwieją się uszy...

Tłum.

Ha! ha!

Bärman.

Stój ziemio!
(przewraca się)
Biada oślej duszy!...

SCENA XVI.

Ciż sami i Albrecht.

Albrecht *(z rycerstwem wchodząc)*.

Dość tego dzieci!

Bärman.

Niech żyje nasz książę!
Pokłoń się ziemio! — plackiem padnij słońce!

Albrecht.

Na czas z pomocą kapitule dążę!
Zbyt rozigrały się duchy gorące.
Posłuchaj przestróg ktorem niósł przed chwilą,
Ustąp ludowi a czoła się schylą.
Niech me załogi zajmą Warmii grody!
Inaczéj zapał tego ludu młody,
Pomimo chęci, niełatwo utłumię.

Kopernik.

Daj znak. Oddal tych starców. Umrzeć umię.

Reticus.

Chłopskiego syna doznasz pierwéj pięści
Pięści rozpacznéj! *(Szczęk broni za sceną)*.

Mieszczanie.

Broń zdaleka chrzęści,
Króla chorągiew przybywa...

Bärman *(zdejmując oślą głowę)*.

Wynoś się ziemio! prędzéj, nieszczęśliwa!
Słońce, manatki zabieraj co prędzéj!
Miejsca! tu, miejsca!

SCENA XVII.

Ciż sami — Iskrzycki.

Iskrzycki *(wchodzi)*.

Wielkiej świadkiem nędzy
Staję się: boju z starcami bez broni.
Czyliż się lice Albrechta nie płoni?
(do rycerzy.)
Cofnijcie tłumy! Do łóżek mieszczanie!
Już późno! W Warmii załoga zostanie.

Albrecht.

Rzecz pożądana bardzo dla spokoju.
Mogę ja w domu odpocząć bez znoju.
(odchodzi.)

Iskrzycki.

Odpoczywajcie! Mistrzu Mikołaju!
Wam pozdrowienie oświadczam i wielką
Radość królewską, że szkole, co w kraju
Jest matką nauk, która karmicielką
I waszą była—chluba taka wzrasta
Z was na dalekie krainy i miasta!
Niedawno witał Kraków Nuncyusza,
A Nuncyusz pełen włoskiéj waszéj chwały,
Wiedząc, że hufiec nasz do Warmii rusza,
List mi powierzył do was. Kardynały
I Ojciec święty pełni dla was cześci...

Kopernik.

List z Rzymu! Rozkosz po wielkiéj boleści!....
Od kardynała Szomberga!

Gize.

Cóż pisze?

Kopernik *(czyta list)*.

„Przebaczcie, nauk wam przerywam ciszę
Słowem, gdzie miłość z cześcią się kojarzy:
Duch wasz rzecz wielką w głębiach swoich waży,
Która odsłoni Boże cuda nieba.
Swiatła pod korcem ukrywać nie trzeba,
W świat, wielką burzą umysłów wstrząśniony,
Niech idzie prawda badaniem dobyta,
Prawdą Bóg wielki będzie pochwalony!
Głoście ją! Rzym ją z radością powita!"
(Przeczytawszy z wielkiem wzruszeniem list —Kopernik podtrzymywany przez Elizę i Retyka słania się na krzesło).

Eliza.

Boże! jak blednie!

Kopernik.

Oddycham... Nie! bardzo mi błogo.
Młodość przypomniałem drogą,
Wieże Wszechnicy—siedmiu wzgórz stolicę,
Mistrzów łagodne i przyjaciół lice,
Majestat ducha, co światła nie chowa,
I kraj, gdzie pierwsze usłyszałem słowa
Nauki, ludzkim sięgającéj umem
W stworzenie, Bożym rządzone rozumem!
Pomnę przyjaciół, którym jasność złota
Z czół biła, światło czystego żywota,
Ludzi, co złego nie wietrzą łakomie
Ale po świata patrzą się ogromie
Jasną źrenicą, z miłością i wiarą
By spłonąć Bogu serdeczną ofiarą!

(*wstaje*)

Nie! prawdy chować pod korcem nie trzeba:
Bo chociaż ludzka pierś ją zawieruszy,
Nie w prawdzie było złe—lecz w ludzkiej duszy
I zło się złamie prawdą, córką nieba,
Jak się złamało raz, gdy prawda wstała,
Ubrana w szatę człowieczego ciała!...

Gize.

Amen, mój synu!

Reticus.

Amen!

Ferber.

Amen, bracie!

Kopernik.

Minęło wszystko! i widzę postacie
Samych przyjaciół; widzę pochylone
Głowy poczciwych, co tylko błądzili...

Reticus.

Mistrzu! pojąłem... pojąłem nareszcie!...

Kopernik

Więc synem moim od téj będziesz chwili.
Podaj mu rękę, córko!... Cicho w mieście.

(*do Iskrzyckiego*)

Rycerzu! dzięki wam, nasi mieszczanie
Biedni na senne wrócili posłanie,
Nie będą trapić nas... Roiłem rano,
Że z tobą Gize, z Lizą ukochaną,
Z bratem Ferberem, z Retykiem w ogrodzie
Złożym sympozyon o wieczornym chłodzie.
Gwiazd moich hufiec na błękit wyrusza,
Przez okno widzę Oryona, Syryusza!
Gość jeden miły przybył w nasze strony,
Chodźmy a skromnéj używszy wieczerzy
Nie zapomnijmy, że pierwszy wzniesiony
Puhar naszemu panu się należy!

(*Zasłona spada*).

Żmudź, i Żmudzini.

Wincentego Pola.

Jak za morzem Litwa spławna
Z puszcz odwiecznych w świecie sławna;
Tak o miedzę ziemia chlebna
Głodnym ludom jest potrzebna.
Żmudź to święta! Ziemia boża!
Na pól leśne jéj obszary,
A na poły strojne w zboża;
Wolny oddech ma do morza,
I wszystkiego ma do pary:
Bo lud wierny w ziemi żyznéj
I nie skąpo téj ojczyzny!

Od tych prądów świętéj rzeki,
Aż po morza brzeg daleki
I Złotyczów płone ziemie
Siadło twarde żmudzkie plemie.

Tam nie błyszczą pyszne gmachy,
Ale za to duże chaty,
I wysokie dobre dachy,
Lud dorodny i bogaty.
Po nad drogą krzyżów pełno,
I kapliczek tuż przy domu:
Lud odziany szarą wełną,
Pełen serca, pełen sromu,
I zażywny, i nie marny,
Pracowity, gospodarny,
I poważny i nabożny;
Jednéj krwi z tym swoim panem,
Jednéj wiary z tym kapłanem.

Pan nie bywa tam wielmożny,
Nie rozrzutny, ani butny:
A ksiądz biskup Boga sławi,
Do dobrego wiedzie ludzi,
I jak ojciec błogosławi
Na odpuście „*świętéj Żmudzi*“!

Lud tam żyje po zakonie,
A więc zda się zimny z razu;
Lecz gdy serce zawre w łonie,
Nie usłyszysz z ust wyrazu;
Lecz łza tryśnie na wpół rzewna,
Na wpół krwawa, na wpół gniewna,
Piersi jękną z tajnéj głębi,
Zamiar padnie niby w studnie,
Lecz czas krwi téj nie wyziębi,
Dusza jego nie wychłodnie,
I wypłynie na jaw w czynie!

MAŁY ŚWIATEK.

Pod okienkiem mojem
Wonne bzu gęstwiny
Zaludnione rojem
Świergocących ptasząt.

Gdy poranna zorza
Niebo zarumieni,
Wnet gromadka boża
Już mój bez oblega.

Zdala już trzepoczą
Raźnie skrzydełkami,
Ciągnąc tam ochoczo
Niby na bulwary.

A jak schludny przytem
Ten gwarliwy świątek!
Każdy ptaszek z świtem
W rosie wymuskany.

I tam wśród gałązek,
Zdala tak od ludzi,
Tworzą niby związek
Zjednoczonych stanów.

Tam się one wdzięczą
Gwarząc coś do siebie
I skrzydełek tęczą
Pysznią się wzajemnie.

Tam się one schodzą
Ważne snuć dysputy,
Kłócą się i godzą,
Skarżąc się na plotki.

Tam się one liczą,
W *hausse* i *baisse* grywając
Może się i ćwiczą
W polityce nawet!

Widzę ja tam często
Tuczonego wróbla;
Skacze z miną gęsta
Niby jaki bankier.

Gil się tam uwija
Z czerwonym wyłogiem:
Istny zawadyja—
Rotmistrz od ułanów.

Czyżyk w żółtym fraku
Zerka coś z ukosa...
Ponoś nieboraku
Policji komisarz!

A ptaszyna szara,
Słowik skromnie nucł,
Wciąż się ukryć stara...
Biedny pan poeta!

Widzę też terkotkę
Zwinną jaskółeczkę;
Rzuci jakąś plotkę
I ucieka szybko...

A od tego świata
Zdala na kasztanie,
Jak arystokrata
Dudek głową kiwa;

Pod nim zaś nadęty
Kos w kapuzie czarnej
Śpiewa jak najęty —
Niby sam ksiądz proboszcz!

*

A ja badam ściśle
Dziwy te z okienka,
I tak sobie myślę:
Po co szukać ludzi?...

Aureli Urbański.

Oracz do skowronka.

Już ty śpiewasz skowroneczku, już też i ja orzę,
I my ludzie, i wy ptaszki, wszystko dzieci boże, —
Człowiek w polu gospodarno pracować się sili,
Ptaszek bierze swoje ziarno z zimowych badyli,
Tyś skowronku mój towarzysz choć w nierównéj doli,
O kochaniu jeno marzysz twemu sercu gwoli —
Tyś szczęśliwy i wesoły gdy jutrznia poranna,
Lecisz w górę by z anioły zaśpiewać hozanna!
Z twéj piosenki rade nieba i Pan Bóg się cieszy,
Że ptaszkowi mało trzeba i dziękować spieszy —
Że różnemi gwarząc tony głosisz w kraj daleki:
„Niechże będzie pochwalony, na wieki! na wieki!“

Już ty śpiewasz skowroneczku, już też i ja orzę,
Lecisz w niebo, za oraczem pomódl się nieboże!
Mów, żeś krążąc wedle sioła widział biedy nasze,
W głodzie wiosna nie wesoła jako wiosny ptasze,
Człowiek świtem ze snu wskrześnie, ale rąk nie dźwiga,
Chciałby śpiewać świętą pieśnię, głodna pierś zastyga,
Za nic wiosny widok rzewny i krasna jutrzenka,
Gdy co ranka dzwon kościelny po umarłym stęka;
Dziatwa jęczy, człek się błąka, z łez świata nie baczy —
Wiosną życie dla skowronka, a śmierć dla oraczy —
Módl się ptaszku! Bóg wzruszony doda nam opieki,
I niech będzie pochwalony, na wieki! na wieki!

(L. Kondratowicz.)

PRAWDA POŚRODKU.

Motto. Sidi Abdallach studnia mądrości
Mówi: „Czem jesteś masz zostać.
„Jeżlis psem nędznym co gryzie kości,
„Na co ci człeka brać postać."

W tem mądrość wiernych leży jedynie
I to ma prorok na względzie
Mówiąc: „Pasm nie bądź o Muszleminie
Bo czemże żona twa będzie?"
(Książka zdań Szejka Szechabeddyna
dział III zdanie XV.)

Prawda najczęściej pośrodku się mieści,
Gdy jeden twierdzi: „to warte trzydzieści!"
Drugi: „zkąd znowu, toż dziesięć zaledwie..."
Należy zbliżyć oceny obiedwie,
Przedmiot wart będzie mniej—więcej dwadzieścia!

W odcinku sprawa toczy się niewieścia;
Jeden kobietę wynosi pod nieba
I w mgle ją hymnem pochwalnym koleba,
Drugi niezmiękczon obliczem jej hożem,
Rzuca się na nią z papierowym nożem,
„Bo z modnych cacek jedyna jej chluba,
„W serduszku pustka! a w główce rachuba!"

Tak jeden *contra* a drugi *pro* gwarzy
Ta zaś poswarka panów odcinkarzy,
Gorzkie zarzuty—gorąca obrona,
Świadczą wymownie, że sprawa wniesiona,
Obu zarówno obchodzi serdecznie;
I że z nich każden pragnąłby koniecznie,
Widzieć dziewoję w przymiotów zenicie,
Na ideałów jaśniejącą szczycie!
By mógł ją kochać i modlić się do niej,
Dać i wziąść szczęście z tej pieszczonej dłoni....

Co o tem sądzi pięknych dziewcząt grono?

Że podrażnione—więc oczęta płoną,
I jedna mówi: „To już napaść szczera,
„Co on chce od nas—ten nieznośny gdera?"
Druga: „Że dostał od kosza to ręczę."
Trzecia: „Napróżno ciągle pamięć męczę,
„Nie wiem kto była ta Maintenon." Czwarta:
„Widać nie kochał!" a piąta oparta
Główką na dłoni: „Ma on słuszność w części!"

Może „obrońcy" lepiej się poszczęści!
Biorą, czytają. „Szczególna obrona!"
—„Ależ darujcie dobrze zakończona—
—Tak koniec dobry—tylko tej „sieroty"
Co siedzi cicha w obłoku tęsknoty"
„Z objęć kołyski ledwie wyzwolona"
„I tych" tajemnych prądów co do łona
„Wątłej istotki wnikają i nęcą
„Mrożąc serdeczną ucieszność dziecięcą"—
Wcale nie widzę; i ten brat „jedyny
„Opiekun siostry" także nie bez winy;
Ta „ośmio-letnia" a już śmiało pyta:
„Co się z nią stanie gdy wszystko przeczyta?"
Czemu brat starszy jej nie odpowiada:
„Oj ty dzieciaku, a któż przyszłość zbada!
„Czyliż mnie nie masz?"
Dobrze powiedziane,
Że nam „od życia będzie tylko dane,
„Co samodzielną zdobędziemy pracą."

Ale kobiety czy przez to nie stracą,
Gdy pójdą same i o własnej sile?
A pogrążone w ciężkim pracy pyle,
Może zdobędą w samodzielnym bycie,
To co zwą życiem—lecz cóż to za życie?

Nam tak jak kwiatom, choć troszeczkę trzeba
Słońca i ciepła—błysku tego nieba
Zwanego szczęściem! Czy byt zapewniony
Stanowi wszystko? czy pokój kupiony
Daje już szczęście?
Tak jak piękną różę
Wiążą do pala, by ją srogie burze
Nie pokrzywiły i nie połamały,
Kobietę — wyższe cele nakazały,
Jak kwiat otaczać podpory ramieniem.

By się nie zminąć ze swem przeznaczeniem,
Kobieta musi, po życia kobiercu,
Iść dłonią w dłoni i sercem przy sercu
Z tym, co wybrany jej przekonań wolą;
A ile siły kobiece pozwolą,
Być mu pomocą w dobrej i złej doli.

Wspólnie odczuty—ból prędzej przeboli,
I każda radość zdwaja się, gdy wspólna!

Tak kochająca, śmiała a potulna,
Rozumna, cicha—stanowcza w potrzebie.
W stworzonym wspólnie odnajdzie się niebie...
Szczęśliwa, dumna! Na tem stanowisku,
Kobieta—matka w domowem ognisku.
Staje się w małym tym światku—królową!

Lecz jeśli pójdzie sama—drogą nową,
Dziś nazywaną drogą „wyzwolenia"
To zanim zwalczy ciężkie uprzedzenia,
Dzikie przesądy—zanim chleb zdobędzie,
Musi wpierw stanąć w męczenniczek rzędzie....
Wreszcie nanka wolność dla niej wieści...
Lecz... już straciła—swój urok niewieści!
A czem kobieta bez tego uroku?

To piękny posąg o bezdusznym wzroku;
To kwiat bez woni i wiosna bez słońca!

Zwiedźcie świat cały od końca do końca,
A nie znajdziecie tego co szukacie,
Doskonałości w nieskażonej szacie,
Cnoty bezwzględnej i prawdy rzetelnej...
Nawet śnieg biały i nieskazitelny.
Na kryształową szybę w lot chwytany
Gdy stopniał, w kroplach przezroczych rozlany,
Tak czystą przed tem jej powierzchnię brudzi...
A czy kto bez wad znajdzie się wśród ludzi?
Tak wy panowie jak i my niestety
Mamy przywary—mamy i zalety.
Niepobłażliwi lecz wyrozumieli
Bądźcie—jak słuszność przeważa na szali,
Ani nas chwalcie—ani zbytnio gańcie.

Nie chcemy pytać: „modny elegancie"
„Co też ty robisz?"

Pióra pracownicy
Dzięki wam! Niechaj z waszych zdań różnicy,
Wytryśnie prawda jako skra ze stali
Byśmy wzajemnie na tem skorzystali.

F. S.

POEZYE.

PIEŚŃ WIECZORNA

PRZEZ DEOTYMĘ.

Kiedy starsi mi na życie
Dali rady i przestrogi,
W świat puściłem się o świcie,
Zamyślony, lecz bez trwogi.

Przeczuwałem, że mię czeka
Więcéj burz niżeli słońca,
Ale droga tak daleka
Wydawała się bez końca.

Byle, rzekłem, mieć wytrwanie,
A w niezmiernéj téj podróży,
Czasu mi na wszystko stanie,
Pracą wszystko się odsłuży.

Ci co wiedli kroki moje,
Nie zostaną omyleni;
Zimę życia ich ustroję
W słodki owoc méj jesieni.

A co pieśni, a co czynów,
Po drodze nazbieram sobie!
Wiązkę kwiatów i wawrzynów,
Pozostawię na mym grobie.

Dzisiaj widzę... czas się liczy
Na godziny nie na wieki.
Ledwiem zaczął dzień zwodniczy,
Już mój wieczór niedaleki.

Nazbierałem dużo wiązek,
Lecz się zbliska pokazało
Więcéj zielska niż gałązek;
Dużo ciernia, kwiecia mało.

Nie utrzymać już ich w ręku.
Więc wyrzucam je po drodze,
I z tak ogromnego pęku,
Już do kilku kwiatków scho dzę.

W kwiatach, czasem zamigoce
Owoc który z pracy rośnie.
Bujne, słodkie to owoce,
Lecz spożywam je żałośnie.

Bo nie dzielę już ich z temi
Co wiedli me dnie majowe.
Już pół serca mego w ziemi,
I o drugą drżę połowę...

I to jednak co zostało,
Ozłaca mi zachód słońca.
A wiązka? Niech będzie małą,
Byle donieść ją do końca.

DUMKA

ALEKSANDRA hr. FREDRY.

„Turkaweczko królująca,
Królująca w dębów szczycie,
Nóżka twoja chmurki trąca,
Główkę spierasz na błękicie...
Czemuż siedzisz tak wysoko,
Że cię ledwie sięgnie oko?
Czemuż patrzysz tak z wysoka,
Turkaweczko modrooka?
Ja tu nizko, ja w żałobie,
Pieśni serca śpiewam tobie,
Ja tu z dołu patrzę w ciebie,
Jak w gwiazdeczkę gdzie na niebie.

Ale tobie w twéj koronie,
Ani słyszno co w mym głosie,
Ani widno co w mém łonie,
Ani śni się o mym losie...
Czemuż patrzysz tak z wysoka,
Turkaweczko modrooka?....
Gdybym lekkim był wietrzykiem,
Piórecczka głaskałbym twoje,
Gdybym ciepłym był deszczykiem,
Skrzydełka kąpałbym twoje,
Gdybym słońca był promykiem,
Zgiąłbym w pierścień światło moje,
By twa główka w pierścień wzięta,
Zaświeciła jakby święta,
Zaświeciła w dal z wysoka
Turkaweczko modrooka!..
Gdybym miał skrzydła sokole,
Wzniósłbym cię jeszcze do góry...
Wyżéj... wyżéj ponad chmury...
Ponad gwiazdy... ponad słońca,
Tam w przestrzeni wieczném kole,
Bez krawędzi i bez końca,
Niktby niebył tam nad nami
A my tylko z sobą sami...
Ja tak nizko, ty na szczycie!..
Może kiedyś wietrzyk skrycie
Piosnkę moją ci zaszumi...
Twoje serce ją zrozumie...
Ach zleć do mnie, zleć z wysoka,
Turkaweczko modrooka...
Ja cię skryję przy mém łonie...
Razem z tobą w dal pogonię...
Wonne stepów zbiorę zielę,
Gniazdeczko tobie uścielę...
Kwiateczkami cię osłonię ..
Przy nóżkach twoich usiądę,
Pieśni serca śpiewać będę.
Będziem, będziem, zawsze sami,
Jeden tylko Bóg nad nami.
Ach zleć do mnie, zleć z wysoka
Turkaweczko modrooka!..“

ALLELUJA!

PRZEZ A. E. ODYŃCA.

Alleluja! wiosna błyska.
Słońce grzeje, trawka buja:
Ziemia z trumny znów kołyska
Zbóż i kwiatów—Alleluja!
I z tych kwiatów wnet się wonność,
Jak kadzidło w niebo wzniesie;
Świat zaściele łąk zieloność,
Chóry ptasząt zabrzmią w lesie,
Aż znów mroczna i ponura,
Cała ziemia i natura
Jak świątynia strojna stanie,
Na sił swoich zmartwychwstanie.

O! Młodości! wiosno życia!
Wiosno pokoleń ludzkości!
Gdybyś i ty w dniach rozwicia
Sił zapału i miłości,
Wzorem ziemi i natury,
Wszystko, co ci dane z góry,
Zamiast rozwiać wichrów tchnieniem,
Zamiast spalić żądz płomieniem,
Bożém ziarném siała światu!
Jakby ono twemu latu,
Samo rosnąc w nieskończoność,
Dało plenność, barwność, wonność!
Jakby ogień w ciebie tchniony,
Blaskiem tęczy, a nie łony,
Z ziemi odbijał na niebie,
I na ziemi w okrąg siebie,
Po nad starych zasług groby,
Rozpromieniał kir żałoby,
Nowéj pracy budząc życie!...

O! i jakby przy tym świecie,
Ziemia z Niebem, zawsze społem
Brzmiały zgodném a wesołém
Alleluja!

BIAŁA RÓŻA.

MAZUREK przez DEOTYMĘ.

Snieżnolica pól dziewica,
Mistycznym szelestem,
Róża biała mnie pytała:
„Powiedz, czém ja jestem?
„Czy miłością? czy przyjaźnią?
„Gdy motyle, ku mnie
„Garnąc się, z wietrzykiem drażnią,
„Drżę—i milczę dumnie.
„Gdy się bluszcz do nóg mych ściele,
„Jestem posmutniałą....
„Dla mnie miłość — to za wiele:
„A przyjaźń za mało!“

* * *

Różo! ja ci powiem wszystko,
By cię pojąć — trzeba
Być kobietą i lutnistką.
Chcesz na ziemi nieba!
Przyjaźń twoja, różą pała,
Jak przyjaźń kobiety.
Miłość twoja, wiecznie biała,
Jak miłość poety!
Czy ze sprzecznych tych żywiołów,
Szczęście ci się zbudzi?
Chcesz miłości u aniołów,
Przyjaźni u ludzi.
Tymczasem się ludzie boją
Twéj surowéj bieli,
A przed różanością twoją
Pierzchają anieli!

* * *

„Cóż chcesz? może wiara ludzi?“
Róża mi odpowie,
„Lecz ja wierzyć chcę, że z ludzi
„Będą aniołowie!“

PROROK.

z Puszkina

(PRZEKŁAD Z ROSSYJSKIEGO. A. E. ODYŃCA.)

Duchowém pragnieniem palony,
Błądziłem po stepów przestworzu;
Wtém sześcią skrzydły osłoniony,
Seraf spotkał mię na rozdrożu.

I lekko, jak same widziadło,
Tknął mych oczu ręką bez ciała.
„Przejrzyj“ rzekł—i bielmo z nich spadło.
I raz pierwszy wieszcza źrenica,
Jako przestraszona orlica,
W otwarty świat ducha spojrzała.

Duch końce powietrznych swych palców
Ścisnął, i do uszu mych włożył.
I dziwny w nich słuch się otworzył.
Poczułem dźwięk planet obrotu,
I w chmurach świst ptaków przelotu,
I szum morskich fal, i pod niemi
Ruch ryb, i pełzanie padalców,
I rośnienie trawy na ziemi,

Duch do ust mych sięgnął—i z gardła
Dłoń mi jego język wydarła,
Pustosłowy, chytry, kłamliwy;
I dał mi zań żądło wężowe,
Ostrz za słowo, jad za wymowę,
I głos prawdy—jak syk przeraźliwy.

I w pierś mą swe palce, jak miecze,
Duch wraził—i serce człowiecze,
Samolubne, płoche i trwożne
Wyrwał z niéj—i w miejsce to próżne
Rzucił węgiel żywych płomieni,
Co mi duszę przetlił do rdzeni.

I jak trup leżałem w pustyni,
Aż głos Pański zabrzmiał z wysoka:
„Proroku! wstań! idź i prorokuj!
„Znasz mą wolę:—patrz! co świat czyni.
„Głoś prawdę—pokutę, nie pokój!
„Świat przeklnie—Ja sławię Proroka.“

ZWĄTPIENIE.

(Z włoskiego)

PRZEZ EMILIĄ LEJĘ.

Samotny w życia boleści,
Kroczę drogą mych kolei,
Przeszłość mało szczęścia mieści,
A przyszłość jest bez nadziei!

W jakież uleciałaś strony,
Życia mego luba wiosno?
Jak liść burzą pomieciony,
Pierzchłaś wraz z myślą radośną.

Samotny wśród świata progów,
Nietłumione szerze żale,
O! życie, ty uczto bogów,
Ja dziś nie pragnę cię wcale.

Nie wierzę matce złudzenia,
Nadziei nęcącéj mile,
A celem mego marzenia,
Cichy spoczynek w mogile.

ZA PÓŹNO!

GAWĘDA

PRZEZ LUDWIKA NIEMOJOWSKIEGO.

„Dobry wieczór Aspanu!“—„Pod stópki się ścielę,
Jakże szczęśliwy jestem witać pannę Klarę,
Kopę lat nie widziałem.“—„No znowu tak wiele
Nie przeszło... no, przypuszczam jakie wiosen [parę...“
„Piękna parka, dalipan, coś trzydzieści z górą:
Mieszkałem wtedy w Rząśni z moją ciotką Martą,
A asińdźka przy matce w Pomianach nad Bzurą,
Było to ile pomnę millesimo quarto...“
„Nie rachuj Aspan daty; byłeśmi sąsiadem,
I często odwiedzałeś nasz w Pomianach dworek,
Nadrabiając raz po raz dwie mile z okładem,
By ominąć oczeret, jezioro i borek,
I chyżéj w odwiedziny stanąć przed próg dworca...“
„Oj pamiętam Asińdźko—mogę się pochlubić
Drugiego ja, jak szukać pośród maku korca;
Kiedy uczta to wypić, gdy burda to czubić,
Na wojnie karku stawić, na sejmie gardłować,
W domu bożym pokornie, w tańcu posuwiście.
A kiedy przyszło afekt serca submitować,
To już w człeku sam djabeł siedział oczywiście,
Takim był zapalczywy!“ „Eh, próżne gadanie,
Nie dworuj Aspan, zasie, gdyż to rzecz bezbożna,
W innych sprawach być może zyskałeś uznanie.
W afektach oddać Aści pochwały nie można.
Pięć lat jeździć do panny z intencyą szlachetną,
Wzdychać, kwięczyć i szlochać, niby żak w infimie,
A potem z jakąś wdową ożenić się szpetną,
Która za wory złota: cne chce kupić imie.
Herezyja jako żywo!“—„Ciepła była wdówka,
A gdy zmarła, Bóg widzi, jęczałem na grobie,
I spadły na mnie wioski, ba, nawet gotówka
Aby otrzeć łzy żalu po godnéj osobie.
Lecz zawsze dla Asińdźki afekt miałem szczery
I gdybym mógł się szczęścia w tym związku spo- [dziewać...“
„To się nazywa prawdę mówić bez kozery:
Dalipan sama nie wiem, czy śmiać się czy gniewać!..
„Już lepiéj niech się panna Klara ze mną śmieje,
Gdyż gniew zawżdy do gniewu stanowi przyczynek;
A zresztą na sumienie, to są stare dzieje;
Na cóż nam ten ubiegłych lat wznawiać wspomi-
„Na to, aby naprawić złe co się zrobiło: [nek?“
Ja dotąd głowę wiankiem dziewiczym wciąż zdobię,
Aspanu też nie wiele krzyżyków przybyło,
Możemy rzecz tę w chlubnym zakończyć sposobie,
I czułe sentymenta stwierdzić przed ołtarzem...“
„Ale...“ — „Nie ma tam ale, gdzie jest obo- [wiązek:
Gdy stałość serc w afektach niezmiennych okazem,
Wiekuiste nam szczęście zapewni ten związek...“
„Cna sąsiadko i wielce mościwa mi panno:
I słońce na zachodzie traci blask promieni,
Krewkość cną jest u młodych, u starców naganną,
Co dobre w życia wiośnie, zdrożném jest w jesieni.
Gdyby człowiek leciwy, dając folgę sercu
Stanął u stóp ołtarza, młodź do drwin chętliwa,
Widząc parę turkawek siwych na kobiercu,
Wyśmiałaby z kretesem himenu ogniwa.“
„Ażaliż na podrostków zważać dworowanie,
Czyż Aspan chorągiewką co się z wiatrem kręci,
By cenić więcéj cudze, niźli własne zdanie,
I zacne sentymenta rugować z pamięci?...
Koniec końców chcąc czasu nie łudzić się stratą,
Wszystko składnie na dobrą wyforytować drogę
Powiedz Aspan otwarcie, krótko, węzłowato,
Czy pragniesz być mym mężem?“—„Dalibóg nie [mogę...“

HOZANNA.

Z gór od Betanii, przez skalne drogi,
Do Jeruzalem otwartych bram,
Stokiem Kalwaryi zdążał bez trwogi
Ten, co na ziemię zejść raczył Sam.

Aż oto nagle, z przeciwnéj strony,
Z palmami mnogi zbiega się lud!
„Hozanna! woła, błogosławiony!
Cześć! chwała Temu, co niesie cud!..

„Który z mogiły budzi Łazarze
Samą potęgą zaklętych słów,
Czystą prawicą grzech ojców zmaże,
I raj stracony odzyska znów!

„Pękły zakonu zbutwiałe karty,
Ciskajcież palmy do Jego stóp!
Zwój szat, jak śmierci całun rozdarty,
Ścielcie... już szatan puszcza swój łup!

„Hozanna!“
Cicho.... obraz się mieni...
Z szumem brzmi mieczów daleki szczęk,
Wąż błyskawicy miga wśród cieni,
W chmurach się głuchy rozlega jęk.

Skonał!.. noc straszna!.. drgnęły otchłanie,
Wstrząsły się łomy pryśniętych brył.
Boże! tłum dał Ci... ten sam, o Panie!
Urągowisko za krew Twych żył.

Ty, śniąc, promienną skłoniłeś głowę...
Cóż Cię obchodzi tryumf lub zgon?
W proch się gałęzie zetrą palmowe,
Lecz w gwiazdach wieczny boleści tron.

Hozanna! zalśnij na wysokości,
Z wyżyn Golgoty dąż w niebios szczyt,
Z Twéj krwi zdrój czystéj spływa miłości,
Z ran Twoich błyska żywota świt.

Znikłeś... z tęsknotą patrzym ku Tobie...
I Ty ku ziemi spojrzenie zniż;
Niech cierń na chwały zakwita grobie,
Bo tronem ducha trwałym—jest krzyż!

Marta.

TĘCZA I RZEKA.

PRZEZ A. E. ODYŃCA.

Z krynicy ukrytéj w cieniach,
Niewidny z brzegów swych węzi,
Jęcząc po ostrych kamieniach,
Szemrząc przez sploty gałęzi,
Ponik, zdrój, strumyk się sączył.
I na piaszczystéj równinie
Umilkł.—Czy zawód swój skończył?
Wsiąkł, zginął w piasku? czy zginie?
Sądzili różnie—on płynął.
Aż jako sztandar w dzień sądu,
Anioł burz, kir swój rozwinął,
I gromem wstrząsnął głąb' lądu.

Wstrząsł się i strumyk:—i z boków,
I ze dna jego, i z góry,
Wezbrane fale potoków,
Gęste łzy deszczu i chmury,
Wzmogły go—lecz i zaćmiły.
A gdy jął rosnąć w nurt rzeki,
Cień ponadbrzeżnéj mogiły,
Wzdłuż nad nim zaległ na wieki.
I odtąd w wód swych przezroczu,
Sam jak przepaska żałoby,
Odbija tylko dla oczu,
Pochmurne niebo i groby.

* * *

O! jakże różny los tęczy,
Co na tle burzy u końca,
Razem zwiastuje i wieńczy
Tryumf pogody i słońca!
I z wszystkich jego barw razem,
Snując tkań niebios przepaski,
Od razu błyszczy obrazem
Przymierza, cudu i łaski,
I świeci ziemi, jak droga,
Którą duch na świat zszedł z nieba,
By ludzi wołać do Boga,
I wskazać kędy iść trzeba!

O! i nad rzeki korytem
Pas jéj uroków rozwisnął,
I w świetle od niéj odbitem,
Nurt barwą życia zabłysnął!
I dwóch sił—ziemskiéj, natchnionéj,
W ich spójni figura żywa:
Tęcza—łuk z nieba zwieszony;
Rzeka—to ziemska cięciwa,
Tęcza—to jakby widomy
Ark tryumfu, portyk nieba;
Rzeka—to jego poziomy
Próg—który przecież przejść trzeba.
U kresów tylko je zbliża
Źródło i cel przeznaczenia:
Jak się myśl grobu i krzyża
Łączy z nadzieją zbawienia.

* * *

A więc, o! tęczo! o! rzeko!
Krzepcie się jedna przez drugą
Jak bądź, ty płynąc daleko,
Jak bądź, ty świecić masz długo!

Lecz rzeko! choćbyś ty wzrosła
W potęgę Niemna czy Wisły,
Choćby nad tobą i wiosła,
I białe żagle zabłysły;

Lecz tęczo! choćbyś ty w czarnéj
Pomroce, która świat ciemi,
Przeszła w blask zorzy polarnéj,
W blask aureoli swéj ziemi;

Biada i tęczy i rzece,
Gdyby w tryumfu godzinę,
Tęcza rzec śmiała: ja świecę!
Rzeka rzec śmiała: ja płynę!

Z jednych—choć z góry i z dołu,
Płynie rąk światło i woda,
Źródłu hołd nieście pospołu,
Ono wam wzajem sił doda.

I gdy się rzeka w swém morzu,
Bez śladu zmięsza i zginie;
I gdy się w niebios przestworzu
Tęcza w mgłę kiedyś rozplynie.

To wam u świata na wieki,
Niech wspólna pamięć zaręczy:
Że kto się wpatrzył w głąb' rzeki,
Ku niebu wzniósł się po tęczy.

OBIÓR STANU.

GAWĘDA

PRZEZ LUDWIKA NIEMOJOWSKIEGO.

Mocimdzieju, słuchaj Wasze
Czas okrutnie chyżo leci,
Zawżdy jeno *dzisiaj* nasze,
Z jutra sam bies nic nie skleci.
U pijarów trud mozolny,
Wysortował zwykłą koléj,
Bo ojce na ławie szkolnéj,
Wleli aści w głowę oléj.
Expedite czytasz z księgi
I łacina ci nie obca,
Tandem tedy dość mitręgi,
Czas byś w męża wyrósł z chłopca,
Wylazł na świat z izby ciasnéj;
O kondycyi myślał własnéj.
—„Panie Ojcze..."—„Jam nie srogi,
Śmiało chłopcze, wal z kopyta:
Chcę postawić cię na nogi,
Zrobić człekiem ot i kwita!"
—„Panie Ojcze, źle gdy dziecię
Szuka szczęścia za górami,
Mnie nie szarzać się po świecie,
Mnie tu żyć i umrzeć z wami!"
—„Tere, fere,"—otóż próbki
Babskich maksym. Chceszże Wasze
Do niewieściéj przyrość jubki,
Całe życie dmuchać w kaszę,
Siedzieć wciąż, nie przymierzając
Niby on szczur pod podłogą,
Lub w kotlinie zmokły zając,
Nie pójść śmiało życia drogą?
Cóż u licha! tęga mina,
Wzrost Heroda, postać draba,
Wąs pod nosem jak szczecina:
Toż chłop panie, a nie baba!
Więc wybieraj jaki stanik:
Chcesz w palestrze swiecić bakę
Kauzyperdom—dam żupanik
I dwa tynfy na tabakę.
Sejm to forum, w puch porasta
Kto gardłuje tubim głosem:
Zbierz manatki, jedź do miasta,
Tam się z świetnym spotkasz losem.
Albo może łapa swędzi
Do wojaczki? W to graj synku,
Rodzic grosza nie poszczędzi:
Da ci konia w upominku,
Damascenkę z tęgim hartem,
Zwinną a ostrą okrutnie,
Bo jak chlaśnie, to nie żartem
Ciach! odrazu głowę utnie.
Cóżto milczysz? ja w téj sprawie
Nie żałuje słów ni trudu,
Niby z księgi chłopcu prawię,
A on na to ani dudu!
Niech usłyszę od Waszeci
Jakie słowo, bym raz wiedział
Żeś nie przyrósł do tych śmieci,
Zrobił czynem życia przedział.
Hej Basieczko ma jedyna!
Córo druha i kamrata,
Chodź tu i przemów do syna,
Niech się otrze pośród świata,
Pozna ludzi... Oj do licha!
Co ja widzę!—lica zbladły,
Dziewka stoi, milczy, wzdycha,
Z oczek dwie łezki upadły;
I chłop patrzy wzrokiem sowim
Wąs mu opadł, mars skroń zoral—
Co to znaczy? Co?—niepowiem
Boć niewczesny pono moral;
Kiedy serce afekt zdradzi,
Jest ksiądz proboszcz—on poradzi.

DWIE CHWILE.

PRZEZ EMILIĄ LEJĘ.

Kiedy mi w głowie błyśnie myśl pusta,
Co radość budzi;
Gdy śmiech wesela ożywi usta,
Ja szukam ludzi.

Bo mi tak słodko, och! i tak błogo,
Z braćmi się dzielić.
Mówić do kogo, śmiać się do kogo,
Z kim się weselić.

Bo wtedy lekka, szczęsna jak dziecię,
Nie znam tęsknoty,
Więc siaćbym chciała po całym świecie,
Blask szczęścia złoty.

Lecz gdy w zbyt częstéj znowu kolei,
Posępną chmurą,
Smutek napędzi w miejsce nadziei,
Rozpacz ponurą.

Unikam ludzi, nie lubię świata,
Gdy w duszy ciemno;
Nie chcę ja wcale siostry, lub brata,
By cierpiał ze mną.

Osamotniona w chwili cierpienia,
Chronię się w kątku;
Aż gdy wysnuję pieśń przebaczenia,
Na myśli wątku,

A gdy się rana we łzach wykąpie,
Z bólów zkorzysta;
Znów w walce życia śmiało wystąpię,
Silna i czysta.

Gorycz zwątpienia gdy w łzach wypłaczę,
Już jéj nie czuję;
Wszystko zrozumię, wszystko przebaczę,
Wszystko przyjmuję.

Bo smutku chwila i szczęścia chwila,
Co mkną po sobie
Każda odmiennie duszę zasila,
W żywota dobie.

I ztąd też chętnie mimo łez rosę,
Wśród ludzi żyję,
Wszystko co miłe na podział niosę,
Co gorżkie kryję.

I radość błogą i ból, tęsknotę,
Wśród serca bicia;
Ochotną dłonią, jak kwiaty plotę,
Na wieniec życia.

MIŁOSIERDZIE I SŁAWA.

Wielki, kto się rozumem ponad tłumy wznosi,
Wielki, kto świat zdobywa orężem zwycięzkim,
Wielki, kto szczytném słowem światu prawdę głosi,
Wielki, kto walcząc, kona z hartem duszy męzkim,
Lecz czy nie większy w Bogu, kto pod skrzydły swemi
Do serca tuli, biedne sieroty téj ziemi?

Promienna postać matki, gdy dziecinę pieści,
Święte są jéj zasługi za cierpienia, znoje,
Za noce niedospane, i za łzy boleści,
I za trwogi śmiertelne, i za niepokoje.
Ale świętsza zasługa, gdy dla obcych dzieci
Obca w swém sercu miłość macierzyńską wznieci.

Kto rozumem panuje, prawd wielkich docieka,
Temu zdobycie prawdy nagrodą za trudy;
On wie; że go w przyszłości pomnik sławy czeka,
Że pamięć jego przejdzie na potomne ludy.
Dla czynów bez rozgłosu, z miłością spełnionych.
Pomnikiem wdzięczność w sercach do życia zbudzonych.

Kto walczy i zdobywa, dzierży berło świata,
Temu potęga, wielkość, sława się uśmiecha,
Zewsząd go szmer uwielbień i pochlebstw dolata,
Jak tryumfalnych hymnów powtarzane echa.
Dla czynów bez rozgłosu, z miłością spełnionych,
Tryumfem miłość w sercach do czucia zbudzonych.

A prawdy głosiciele i wieszcze natchnieni,
Potęgą swego słowa nad sercami władną;
Króle w dziedzinie ducha, duchem zjednoczeni,
Przed nimi z uwielbieniem tłumy na twarz padną,
Dla czynów bez rozgłosu, z miłością spełnionych.
Uwielbieniem modlitwa serc czcią przepełnionych.

Wanda.

NAD KOLEBKĄ.

PRZEZ EMILIĘ LEJĄ.

Śpij dziecino śpij,
Słodko sobie śnij!
Uleć w niebo mój sokole,
Gdy na ziemi, na padole,
Pomrok szerzy noc!
Niech sen rozkosz ci wywoła,
Bo dla dziecka, dla anioła,
Czem-że smutku moc?

Zmruż oczęta, zmruż,
Cicho! nie kwil już.

Matka obok ciebie czuwa,
Złotych piosnek nić wysnuwa,
O przyszłości śni.
Wzrokiem tonie w twojej twarzy,
Z własnych rojeń marą gwarzy,
Szczęście wróżąc ci.

Na twych ustach śmiech,
W piersi wolny dech,
W liczku czerstwość świeżéj róży,
Rośnij synku, duży, duży,
Ciałem duszą twą.
Rośnij wolą na olbrzyma,
Co się zawsze górą trzyma,
Nad dobą, nad złą.

Całe życie wciąż,
Słowo z czynem wiąż.
Och! a wtedy w pośród ludzi,
Żadna praca cię nie strudzi,
Nie przygnębi los.
I jak rycerz moje dziecię,
W walce cierpień na tym świecie,
Każdy zmożesz cios.

Śpij o dziecię śpij,
O niebiosach śnij,
Oby dusza twoja cała,
W świetle boskiem się skąpała,
Na życiowy znój.
Abyś później stopą śmiałą,
Zdeptał każdą myśl nie białą,
O! aniele mój.

Gdy łza zaćmi wzrok,
Zachwieje się krok,
I gdzieś padniesz na Golgocie,
Cały we łzach, krwawym pocie,
Bólów przyjmij chrzest.
I sam w niebo spojrzyj śmiało,
Niech myśl trzeźwa wzmocni ciało,
Boć to próba jest.

Rośnij, rośnij zdrów,
A z dzieciństwa snów,
Ocal synu tylko tyle,
Byś mógł wyznać w każdą chwilę,
Spowiedź życia twą.
Kochaj Boga, pracę, ludzi,
Niech ci piersi świat nie zbrudzi,
Żadną myślą złą.

MIŁOŚĆ MATCZYNA

PRZEZ L. NIEMOJOWSKIEGO.

Byłeś malutkiem jeszcze dziecięciem,
Bez żądzy czynów, bez woli własnéj
Z nierozwiniętem myśli pojęciem,
A już dzień życia błysnął ci jasny;
Nad twą kolebką opieka błoga
Tuliła płacze, suszyła łezki
I wymadlała przyszłość u Boga
I w szlak cię z sobą wiodła niebieski;
Krok w krok za śladem chodziła syna
Zawsze urocza, wielka, niezmienna
Miłość matczyna.

A kiedyś z dziecka wyrósł młodzieńcem,
Złudne marzenia, jak wonne kwiaty,
Oplotły skroń twą ułudy wieńcem,
Zmieniając cienie w barwne pryzmaty;
Życiowa prawda w blasku omamień,
Znikła wśród czaru przed okiem twojem,
I niedostrzegłeś że ostry kamień
Rzeczywistości, tkwi pod róż zwojem.
Wtedy jak anioł-stróż dobroczynny,
Stała poważna przy boku syna,
Wskazując drogę cnoty rodzinnéj,
Miłość matczyna

Staleś się mężem. Torem utartym
Przez dzieje przodków, z domowych progów
Wyszedłszy, silnym okryłeś hartem
Chrześciańskiéj cnoty, prąd złych nałogów,
Lecz walka z życiem, walka wiekowa
Zrodziła zawód, zwątpienia hasło:
W ustach twych święte zamarły słowa,
W sercu zarzewie nadziei zgasło,
I ległbyś własnem struty cierpieniem,
Gdyby słabnącą moc twego syna;
Nie umocniła uczucia tchnieniem,
Miłość matczyna.

Minęła pora szału, uniesień,
Minął wiek walki z żywotnem tętnem
Nastała smutna, ponura jesień,
Znacząc twarz twoję starości piętnem;
Wszystko pod zimną legło mogiłą,
Zakryte krepą tęsknoty czarną,
Marzenie w cichy jęk się zmieniło,
Huczny gwar świata w ciszę cmentarną;
Matka już w grobów wstąpiła cienie,
Tylko została w pamięci syna,
Jako jedyne szczęścia wspomnienie,
Miłość matczyna.

CHADŻY-ABREK.

POWIEŚĆ KAUKAZKA

Z

LERMONTOWA

PRZEŁOŻYŁ

STANISŁAW GRUDZIŃSKI.

Dźemacki auł w pośród gór
Swobody, bogactw to ognisko!
Orężna ręka — jego mur,
Meczetem dlań — pobojowisko.
Swobodne syny jego już
Z wojennych nieraz wyszli burz,
Ich sława głośna wśród Kaukazu.
I nieśmiertelni z czynów swych,
A serca wroga ani razu
Nie ominęła kula ich!

Południa słońce na lazurze,
Obłoki pary płyną w górze
I gdzieś wysoko, w pośród chmur,
Zawisnął orzeł, król tych gór.
Wąwozy senny owiał duch,
W aule tylko widać ruch.

Gwar jakiś słychać, a w dolinie,
Gdzie szumny, górski potok płynie
Tłum wojowników się gromadzi.
Lecz o czémże tak gwarnie radzi
I cóż wyniknie z walnéj rady?
Dla czego wszyscy spieszą tak?
Czy na grabieże i napady
Krwiożerczy znów wyleci ptak?
Czyli czekając ruskich gości,
Chcą powitania zrobić krok?
— Prócz oburzenia i litości
Nie zdradza nic zebranych wzrok.

Okryty szaty im obcemi
Lezgińczyk siedzi między niemi,
A wiek mu długi bieli włos,
Z ust słowa płyną mu potokiem
I patrzy w koło lśniącym wzrokiem,
A serce rani starca głos...

Słuchają wszyscy, twarz ta blada
Okropne dzieje zapowiada.

„Sierota, własnéj nie mam strzechy,
Lecz i jam kiedyś szczęście miał!
Bóg mi w starości dla pociechy
Trzech synów i trzy córki dał.
Lecz straszna burza się zerwała,
Gałęzie dębu połamała
I oto stoję w pośród was,
Jak pień samotny!... srogi czas!
Siwizna ma — to jego dar!
Ten włos mój bielszy od laviny,
Lecz i pod śniegiem, wśród doliny,
Potoku nieraz szumi war.
Hej, tu! rycerze cni Dźemata!
Pokażcie męztwo, dzielność swą!
Kto z was zna księcia Bej-Bulata?
Kto mi powróci córkę mą?

Dwie córki zwiędły mi w niewoli...
W nierównym boju synów dwóch
Na obcéj ziemi... — to mnie boli!
A, gdy w ojczyźnie powstał ruch,
Najmłodszy w serce piką pchnięty
W mych oczach skonał uśmiechnięty,
Może on widział, jak przy zgonie
Stanęła tuż u jego głowy
Dziewica raju i tęczowy
Złożyła wieniec mu na skronie.

I zagrzebałem się na puszczy,
Strzegąc ostatniéj córki swéj,
Zdala od gwarnéj ludzkiéj tłuszczy...
Wszystko, com kochał, było w niéj!
Więc wziąłem z sobą tylko ją
I wierną, starą strzelbę swą...
W podziemnym lochu zamieszkałem,
Bom własnéj chaty nie miał już!
I godził mnie z tem życiem całem
I z nędzą mą mój anioł stróż.

Lecz... znów wybiła zła godzina
I opuściła mnie ptaszyna!...
Posępna noc zaległa w koło,
Spałem... gałązką zieloną
Leila moje spiekłe czoło
I skroń chłodziła rozpaloną.
Wtém... budzę się .. szept jakiś głuchy
I lekki jęk .. i tętent konia...
I widzę.. przebóg! — jak dwa duchy,
Tak polecieli już przez błonia.
I on ją porwał w swe objęcia!...
Nie! to nad wasze już pojęcia!...
Przekleństwo im posłałem w ślad —
Lecz gdzież już koniec ciężkich zdrad?
Strzeliłem... Boże! w straszny czas,
Chybiłem w życiu pierwszy raz!
Z pragnieniem zemsty w piersi skrytém,
Nie mogąc pomścić hańby swéj,
**Błądzę od strasznéj chwili téj,
Jakby zgnieciony wąż kopytem!
Hej, tu! rycerze cni Dźemata!
Pokażcie męztwo, dzielność swą!
Kto z was zna księcia Bej-Bulata,
Kto mi powróci córkę mą?!“**

„Ja!“ wyrzekł rycerz czarnooki,
A w dłoni błysnął nóż szeroki —
I wzniósł ponure swoje czoło,
Aż tłum rozstąpił się w około.
„Ja księcia znam, jam gotów już!
Dwie noce czekać ci wypada.
Chadży odważny wśród walk, burz,
Daremnie konia nie dosiada.
Lecz... jeślibym nie przybył w czas,
Oczekiwaniem nie trudź oka
I opuszczając, starcze, nas,
Chciéj za mną westchnąć do Proroka.

* * *

Już dnieje... wciąż czystsze błękity,
Wiatr nocny tuman zwolna zwiał,
I granitowe wstają szczyty,
Zwieńczone lodem szczyty skał.
I w rozpadlinie obudzony
Różowy obłok ocknął się,
Jak żagiel wzdyma się wzruszony
I gdzieś w błękitnéj ginie mgle...

Wciąż jaśniéj. — Drogą nad urwiska
Powoli stąpa bystry koń,
Zwilżona rosą trawa śliska,
Lecz rumak czuje pana dłoń.
Ze skał wysokich lśniących jeszcze
Dziki winograd zwiesza liść,
Gdy tam koniowi trzeba iść,
Spadają rosy chłodne deszcze.

Niedbale jeździec cugle rzucił
I starą ojców pieśń zanucił,
A jéj wtórzyły w jeden chór
Rozgłośne echa dalszych gór.

Lecz oto zwrot — i ślak przeryty
Skrzypiącéj arby wielkiém kołem,
Kędy wspaniałe skał granity
Wszystkie się w wieniec łączą społem.
Tam jeździec już, jak pod stopami
Spokojny aul dostrzedz mógł
I widzieć pył za tabunami
I myśliwego słyszeć róg,
A gdzie się granit z ziemią splata
Zobaczyć saklę Bej-Bułata.

I orli wzrok rumaką pan
Do białych sakli przybił ścian.

A w cieniu tam, u sakli proga,
Młoda Lezginka zadumana
Z tęsknotą patrzy, gdzie się droga
Ciągnie wśród skały przekopana.

Na kogo czekasz, gwiazdo Wschodu?
Dla czego serce skrycie drży?
Czy wrócić luby ma z pochodu?
Czy téż do brata tęsknisz ty?

Znużona główka na ramiona
Schyliła się — i pierś wzburzona,
Zemdlała ręka — i powoli
Chce cudne ramię wyjść z niewoli
I wzrok omdlenia kryje mgła,
A biała twarz spłonęła twa
Płomieniem wrzącéj wschodniéj krwi,
Na ustach pocałunek drży...
I z dziwną żądzą upojenia
Ramiona kogoś objąć chcą
I piersi twe już ze wzruszenia
Odrzucić pragną szatę swą.

O! przybądź już, oczekiwany!
Lecz... cóż to... jakiś słychać ton?...
To tętent konia... to kochany...
To on! szepnęły usta... on!...

Jak łudzi nas nadzieja chyża!
Jak łatwo oko zwodzi nas...
Już oto jeździec doń się zbliża,
Lecz obca twarz, nieznana postać,
— Ona go widzi pierwszy raz.
Może podróżny, chce tu zostać
Na odpoczynek... koń spocony
Z dalekiéj widać przybył strony...

Zejdź gościu z konia! — cóż to... czemu
Tak dziko patrzy?... cichy jęk
Nieznacznie z ust się wyrwał jemu,
Jakby pękniętéj struny dźwięk...

„Dla czegóż wahasz się u proga?
Odpocznie koń twój, spoczniesz sam.
Gość nieczekany — to dar Boga —
Ja ci kumysu, miodu dam.

Tyś znać ubogi — ja bogata
Zechciej w dom wstąpić Bej-Bułata,
A kiedy w świat pojedziesz znów,
Ty za nas gościu pacierz zmów.“

Chadży-Abrek.

Niech Allach zawsze błogosławi
Tych, co dla gościa tak łaskawi,
Lecz dość już łask, Leilo, dość!
Pokłon ci ojca przywiózł gość.

Leila.

Jakto? mój ojciec ukochany?
Więc o mnie nie zapomniał jeszcze?
Gdzież on?

Chadży-Abrek.

Gdzie wiatry i tumany.
Białą mu głowę myją deszcze,
Jeśli starcowi w ciężkim trudzie
Odmówią dachu swego ludzie.

Leila.

Lecz powiedz, czy spokojny bywa?
Czy nie narzeka?

Chadży-Abrek.

Ha! być może
W niedoli! — no, a tyś szczęśliwa?

Leila.

O! jam szczęśliwa!

Chadży-Abrek (cicho).

Tém ci gorzéj.

Leila.

Co powiedziałeś? —

Chadży-Abrek.

Ja? — nic zgoła!

I z jakąś czarną chmurą czoła
Siadł obcy gość, ale się wzbrania
Dotknąć strawy, nie chce jeść...
I nic mu myśli nie rozgania,
A jakaś straszna myśli treść...
Więc chcąc rozjaśnić chmurne czoło,
Leila wdzięcznie i wesoło
Mały bębenek w ręce wzięła
I nucąc, tańczyć z nim zaczęła.

Jak gwiazdy świecą się jéj oczy,
Na wpół dziecinny szał uroczy
Jéj wzdętą, białą pierś porusza...
Jak dziecka jéj niewinna dusza!
Jak motylek o zachodzie
Kręci się w promieniach słońca,
Tak Leila w swéj gospodzie
Tańczy lekka, wiotka, lśniąca.
Bęben swój w górę podjęła
Białemi swemi rączkami,
Sama się lekko wygięła,
Nęci cudnemi oczami,
I zdają się cudne usta
Szeptać gościowi smutnemu:
Żal, cierpienie — to rzecz pusta,
Pozwól spocząć sercu swemu!

Chadży-Abrek.

Dość Leilo! choć na chwilę
Porzuć pustą radość swą.
Mów, czy myśl ci o mogile
Nie trwożyła główkę twą?

Leila.

Nie! i na cóż mnie mogiła?
Ja znalazłam raj na ziemi!

Chadży-Abrek.

Lecz, czyś nigdy nie tęskniła
Za stronami rodzinnemi,
Jasném niebem Dagestanu?

Leila.

Nie! jam tu już tak przywykła
Do gór tutejszych tumanu —
I tęsknota dawno znikła!
Wszędzie piękne twory Boże!
Dla serc kraju być nie może —
Ono więzów się nie boi,
Jak ptak wolne, buja, roi
I znajduje szczęście tam,
Gdzie kochają, wierzą nam!

Chadży-Abrek.

Gdzie kochają... Czy wiesz, dziecię,
Że jest inne szczęście w świecie,
Temu, co wszystko pochował,
W co chciał wierzyć, co miłował?
Większa rozkosz wierzaj mi,
Chociaż pragnie, żąda krwi!...
W niéj nadzieja dla tych świeci,
Od których szczęście odleci.
W niéj to rozkosz zbrodni gości,
Ogień mojéj namiętności!
W niéj me piekło i raj mój —
To przyjaciel wierny, brat,
I takiego szczęścia zdrój
Większym skarbem, niźli świat!

Leila.

Zbladłeś!

Chadży-Abrek.

Milcz! lat kilka temu
Nie byłem sam, miałem brata
I sądzono było jemu
Zginąć z ręki Bej-Bulata...

Zamordowano go, jak dzika!
Nie widział nawet przeciwnika!
Lecz krzywdę swą i zemstę swą
On umierając na mnie zlał —
I raz... ten kindżał ręką mą
W zabójcy serce wpić się miał,
Alem pomyślał — kara mała!
Cóż śmierć! — męka jednéj chwili!
Niechaj się zemsta ma wysili.
Bo czyżby śmierć mnie spłacić miała
Lat tyle zgryzot, krwawych łez?
O! nie tu mojéj zemsty kres!
On coś w świecie kochać musi —
Znajdę przedmiot téj miłości
I żar mojéj namiętności
Zamordować je mnie zmusi.
I nadszedł czas, do czynu czas —
Ja ciebie wyrwę z objęć świata!
Już słyszę głos mojego brata,
Więc będę zimny, jakby głaz!
Gdym ujrzał cię nieznane dreszcze
Wstrząsnęły mną, lecz pora jeszcze!
Uczucie to już odleciało...
Allachu! spełnię zemstę śmiało!

Jak w górach śnieg bezwładna, blada
Leila do nóg mu upada.
I z piersi wyszedł modłów jęk,
Jakby łabędziéj pieśni dźwięk.

„Ach, tyś okrutny! słowa te,
Jakby trucizna, trują mnie!
Czyliż cię błagam nadaremnie?
Lecz... może ty żartujesz ze mnie?
Odpowiedz, mów! Czyliż na łzy
Jak kamień obojętnyś ty?
Litości!... czyliż tak nie płaczą
W rodzinnéj twojéj stronie tam?
Co twe spojrzenia dzikie znaczą?...
Czyliż mam umrzeć!!... powiedz sam!

O! daruj życie, młodość, raj!
Daj mi nadzieję, żyć mi daj!!
O! jeśliś ty kochanym był,
Mów, jakżeś ty o szczęściu śnił?

Chadży w milczeniu stał złowrogiém,
Jak potępiony duch przed Bogiem.

Czyliż nie czujesz serca bicia?
Czy ci przestało w łonie bić? —
O! Boże! pozwól!... chwilkę życia!...
Choć chwilkę jedną... pozwól żyć!...

Błysło żelazo, spadła głowa —
W około cisza już grobowa.
Skrwawioną ręką podjął z ziemi
Chadży Leili piękną głowę
I ostrze szabli swéj stalowe
Otarł włosami jéj bujnemi
Potem ją w burkę skrył troskliwie,

Piorunem skoczył z nią na siodło.
A koń, jakby go co ubodło,
Parsknął i chrapnął przeraźliwie,
Najeżył grzywę i za chwilę
Wraz z jeźdzcem swoim zniknął w pyle.

* * *

Zorza wciąż bledsza... noc ponura
Rozciąga już całuny swoje.
Z kaukazkich gór się czołga chmura,
Jak olbrzymiego węża zwoje.
Fantastycznemi postaciami
Zapełnia szczyty skał śniegowe
I trąca krzewy tam cierniowe,
Rzucając rosy nań perłami.
Złowrogo strumień szumi, pryska,
Z pod trawy mętną wodę toczy
I przez zasłonę mgły wciąż błyska,
Jak nieboszczyka martwe oczy...

Spiesz się wędrowcze, ściągnij wodze!
Szeroką burką okryj się!
Niech koń unosi cię po drodze,
Po nad przepaście wichrem mknie!
Za tobą jeszcze w ślad nie goni
Zły górski duch, lub dziki zwierz,
Lecz niech modlitwa ciebie broni,
Jeśli się modlić umiesz, chcesz.

„Hej! daléj koniu! trwożném okiem
Dla czego rzucasz tak w około?
— To kamień zmyty tym potokiem,
To błyszczy węża lśniące czoło.
Jam ci zawdzięczył nieraz życie!
Kiedy staniemy dziś u celu,
Ja twe wędzidło, przyjacielu,
Ozdobię srebrem ci sowicie —
I puszczę cię w zielone pole,
Mój szybkonogi ty sokole!

Lecz... czemuż dziś się odmieniłeś?
Tak prędko pianą się okryłeś?
Za chwilę księżyc z po za chmury
Oświeci dobrze znane góry
I wkrótce światło znane zbliska
Uderzy w oczy od ogniska
I tę dolinę ujrzym my,
Gdzie nasz spokojny auł śpi."

Doliny jeszcze noc okrywa.
Dżemacki auł w śnie spoczywa
I tylko biedny starzec sam
Wśród nocnéj ciszy czuwa tam.
On jeden nie chciał złożyć głowy —
I tam przy drodze, na kamieniu,
Wpatrzony w przestrzeń siedzi w cieniu
Jak gdyby jaki głaz grobowy.

Lecz oto tam, ze skał urwiska
Powoli zchodzi koń zmęczony,
A jeździec burką otulony
Do piersi swojéj coś przyciska.
I starzec zadrżał: „w zwojach burki —
To pewnie dar od mojéj córki!"

Już jeździec blisko... z konia skoczył —
I coś mu z drżących rąk wypada...
Po miękkiéj trawie dar się stoczył...
— To córki starca głowa blada!

I on z wyrazem uniesienia
Jéj pocałunek długi dał,
Jakby ostatni ból cierpienia,
Ostatni jęk w nią przelać chciał!
I życie całe w jeden ton
I w jeden uścisk przelał on.

Dość długo świat i los niedoli
Wbijały w serce cierpień nóż...
Jak nić słabnąca wciąż powoli
W téj jednéj chwili pękło już.
I twarz, co starość poorała
Bladością śmierci zbladła cała.
Tak szybko zgasła iskra życia,
Że choć ustały serca bicia,
Lecz myśli ślad, dla któréj żył
Po śmierci jeszcze w rysach tkwił.

Chadży w milczeniu stał głębokiém
I obojętném patrzał okiem,
Aż dosiadł konia znów ponury,
I pędem wichru leciał w góry.

* * *

I minął rok — i w rozpadlinie
Dwa zgniłe trupy znaleziono
I tam, zkąd potok wrzący płynie
Na szczycie góry pogrzebiono.
Przekleństwo piętnowało twarze
I obaj byli krwią zbryzgani,
Uściskiem dzikim powiązani
Dwaj przyjaciele, czy zbrodniarze!
Być może, było to złudzeniem,
Ale podróżnym się zdawało,
Że oko zemstą wciąż pałało,
A usta drgały potępieniem.
Ich odzież była dość bogata —
Ponure czoła baszłyk krył.
Poznano w jednym Bej-Bułata,
Lecz nie wie nikt, kto drugi był...

* * *

Wytłomaczenie niektórych wyrazów:
„Auł = wioska na Kaukazie. —
Sakla = chata. —
Arba = wóz tatarski na wysokich kołach.
Kumys = Kobyle mleko. —

GWIAZDY.

Niekiedy nazbyt ciężkiem bywa cierpień brzemię...
Serce kraje się w skazy, jak spękany djament,
I najsilniejszy czuje, patrząc dziko w ziemię,
Że porywa go czarny, niewstrzymany zamęt...

W gwiazdach wówczas, człowieku, pokładaj nadzieję!
Zważaj jako jest piękną i wielką ich praca!
Odejdziesz od nich silny, bo z gwiazd spokój wieje,
Który zwichrzonym myślom równowagę wraca.

Wiktor Gomulicki.

Jgnacy Krasicki.

SATYRY.

Do Króla.

Im wyżej, tym widoczniej, chwale lub naganie
Podpadają królowie, najjaśniejszy panie.
Satyra prawdę mówi, względów się wyrzeka;
Wielbi urząd, czci króla, lecz sądzi człowieka.
Gdy więc ganię zdrożności i zdania mniej baczne,
Pozwolisz, mości królu! że od ciebie zacznę.
Jesteś królem, a czemu nie królewskim synem?
To nie dobrze: krew pańska jest zaszczyt przed gminem.
Kto się w zamku urodził, niech ten w zamku siedzi,
Z tegoć powodu nasi szczęśliwi sąsiedzi,
Bo natura na rządczych pokoleniach zna się;
Inszem powietrzem żywi, inszą strawą pasie.
Ztąd rozum bez nauki, ztąd biegłość bez pracy,
Mądrzy, rządni, wspaniali, mocarze, junacy;
Wszystko im łatwo idzie: a chociażby który,
Odstrychnął się na moment od swojej natury;
Znowu się do niej wróci, a dobrym koniecznie
Być musi, i szanownym w potomności wiecznie.
Bo od czegóż poeci? skarb królestwa drogi,
Rodzaj możny w aplauzy, w słowa nie ubogi:
Rodzaj, co umie znaleźć, czego i nie było:
A co jest, a nie dobre, żeby się przyćmiło.
I w to oni potrafią; ztąd też jak na smyczy,
Szedł chwalca za chwalonym, zysk niosąc w zdobyczy:
A choć który fałsz postrzegł, kompana nie zdradził,
Ten gardził, ale płacił; ów śmiał się, lecz kadził.
Tyś królem, czemu nie ja? mówiąc między nami,
Ja się nie będę chwalił, ale przymiotami
Nie złemi się zaszczycam. Jestem Polak rodem,
A do tego i szlachcic: a choćbym i miodem
Szynkował, tak jak niegdyś ów bartnik w Kruszwicy,
Czemużbym nie mógł osieść na twojej stolicy?
Jesteś królem; a byłeś przedtem mości panem,
To grzech nieodpuszczony. Każdy, który stanem
Przedtem się z tobą równał, a teraz czcić musi,
Nim powie: najjaśniejszy, pierwej się zakrztusi.
I choć się przyzwyczaił, przecież go to łechce;
Usty cię czci, a sercem szanować cię nie chce.
I ma słuszne przyczyny; wszak w Lacedemonie
Zawżdy siedział Tessalczyk na Likurga tronie.
Greki Archontów swoich od Rzymianów brali,
Rzymianie dyktatorów od Greków przyzwali:
Zgoła, byleby nie swój, choćby i pobłądził,
Zawżdy to lepiej było, kiedy cudzy rządził.
Czyń, co możesz, i dzielmi sąsiadów zadziwiaj.
Szczep nauki, wznoś handel, i kraj uszczęśliwiaj;
Choć wiedzą, chociaż czują, żeś jest tronu godny,
Niemasz chrztu, coby zmazał twój grzech pierworodny.
Zkąd powstał na Michała ów spisek zdradziecki?
Ztąd tylko, że król Michał zwał się Wiśniowiecki.
Do Jana, że Sobieski, naród nie przywyka,
Król Stanisław dług płaci za pana stolnika.
Czujesz to, i ja czuję; więc się już nie troszczę,
Pozwalam ci być królem, tronu nie zazdroszczę.
Źle to więc, żeś jest Polak; źle, żeś nie przychodzień:
To gorsza (lubo prawda, poprawiasz się codzień)
Przecież muszę wymówić, wybacz, że nie pieszczę,
Powiem więc bez ogródki: oto młodyś jeszcze.
Pięknieżto! gdy na tronie sędziwość się mieści;
Tyś nań wstąpił, mający lat tylko trzydzieści,
Bez siwizny, bez zmarszczków: zakał to nie lada.
Wszak siwizna zwyczajnie talenta posiada?
Wszak w zmarszczkach rozum mieszka? a gdzie broda siwa,
Tam wszelka doskonałość zwyczajnie przebywa.
Nie byłeś prawda winien temu, żeś nie stary,
Młodość, czerstwość i rzeźkość pięknież to przywary,
Przecież są przywarami. Aleś się poprawił;
Już cię tron z naszej łaski siwizny nabawił.
Poczekaj tylko, jeźli starzeć ci się damy,
Jak cię tylko w zgrzybiałym wieku oglądamy,
Będziem krzyczeć na starych, dlatego, żeś stary.
To już trzy, com ci w oczy wyrzucił, przywary.
A czwarta jaka będzie, miłościwy panie?
O sposobie rządzenia nie dobre masz zdanie:
Król, nie człowiek. To prawda, a ty nie wiesz o tym,
Wszystko ci się coś marzy o tym wieku złotym:
Nie wierz bajkom: bądź takim, jacy byli drudzy.
Po co tobie przyjaciół? niech cię wielbią słudzy.
Chcesz, aby cię kochali? niech się raczej boją,
Cóżeś zyskał dobrocią, łagodnością twoją?
Zdzieraj, a będziesz możnym: gnęb, a będziesz wielkim,
Tak się wsławisz, a przeciw nawałnościom wszelkim
Trwale się ubezpieczysz. Nie chcesz? tymci gorzej;
Przypadać będą na cię niefortuny sporzej:
Zniesiesz mężnie; cierpże z tym myślenia sposobem,
Wolę ja być Krezusem, aniżeli Jobem.
Świadczysz, a na złe idą dobrodziejstwa twoje,
Czemuż świadczysz, z dobroci gdy masz niepokoje?
Bolejesz na niewdzięczność? albo ci rzecz tajna,
Że to w płacy za łaski moneta zwyczajna?
Po co nie brać szafunku starostw, gdy dawano?
Po tem ci tylko w Polsce króle poznawano;
A zagrzane wspaniałą miłością ojczyzny,
Kochały patryoty dawcę królewszczyzny.
Księgi lubisz, i w ludziach kochasz się uczonych;
I to źle. Porzuć mędrków zabałamuconych.
Żaden się naród księgą w moc nie przysposobił,
Mądry przedysputował, ale głupi pobił.
Ten co niegdyś potrafił floty duńskie chwytać,
Król Wizimierz nie umiał pisać, ani czytać.
Waszej królewskiej mości nie przeprę, jak widzę,
W tem się popraw przynajmniej, o co ja się wstydzę;
Dobroć serca monarchom wcale nie przystoi;
To mi to król, co go się każdy człowiek boi:
To mi król, co jak spojrzy, do serca przeniknie.
Kiedy lud do dobroci rządzących przywyknie,
Bryka, mościwy królu, wzgląd wspacznie obróci:
Zły gdy kontent; powolny, kiedy się zasmuci.

Nie moje to iest zdanie, lecz przez rozum bystry,
Dawno tak osądziły przezorne ministry:
Wiedzą oni, (a czegoż ministry nie wiedzą?)
Przy styrze ustawicznie, gdy pracują, siedzą,
Dociekli na czem sekret zawisł panujących.
Z tych więc powodów, umysł wskróś przenikających,
Nie trzeba, mości królu, mieć łagodne serce:
Zwycięż się, zgaś ten ogień, zatłum go w iskierce.
Żeś dobry, gorszysz wszystkich, jak o tobie słyszę,
I ja się z ciebie gorszę, i satyry piszę:
Bądź złym, a zaraz kładąc twe cnoty na szalę,
Za to, żeś się poprawił, i ja cię pochwalę.

SATYRA I.

Świat Zepsuty.

Wolno szaleć młodzieży, wolno starym zwodzić,
Wolno się na czas żenić, wolno i rozwodzić.
Godzi się kraść ojczyznę, łatwą i powolną,
A mnie sarkać na takie bezprawia nie wolno?
Niech się miota złość na cię i chytrość bezczelna,
Ty mów prawdę, mów śmiało, satyro rzetelna.
Gdzieżeś cnoto? gdzieś prawdo? gdzieście się podziały?
Tuście niegdyś najmilsze przytulenie miały.
Czciły was dobre nasze ojce i pradziady:
A synowie, co w bite stąpać mieli ślady,
Szydząc z świętej poczciwych swych przodków prostoty,
Za blask czczego poloru zamienili cnoty.
Słów aż nadto, a same matactwa i łgarstwa,
Wstręt ustał, a jawnego sprosność niedowiarstwa
Smie się targać na święte wiary tajemnice:
Jad się szerzy, a źródło biorąc od stolice
Grozi dalszą zarazą. Pełno ksiąg bezbożnych,
Pełno mistrzów zuchwałych, pełno uczniów zdrożnych,
A jeźli gdzie się cnota i pobożność mieści,
Wyśmiewa ją zuchwałość, nawet w płci niewieściej.
Wszędzie nierząd, rozpusta, występki szkaradne:
Gdzieżeście, o matrony święte i przykładne?
Gdzieżeście ludzie prawi? przystojna młodzieży?
Oślep tłuszcza bezbożna w otchłań zbytków bieży.
Co zysk podły skojarzył, to płochość rozprzęże,
Wzgardziły jarzmem cnoty i żony i męże.
Zapamiętałe dzieci, rodziców się wstydzą,
Wadzą się przyjaciele, bracia nienawidzą,
Rwą krewni łup sierocy, łzy wdów piją zdrajce,
Oczyszcza wzgląd nieprawy, jawne winowajce;
Zdobycz wieków, zysk cnoty, posiadają zdzierce;
Zwierzchność bez poważenia, prawo w poniewierce.
Zysk serca opanował, a co niegdyś tajna,
Teraz złość na widoku, a cnota przedajna.
Duchy przodków! nagrody cnót co używacie
Na wasze gniazdo okiem jeżeli rzucacie,
Jeźli odgłos dzieł naszych was kiedy doleci;
Czyż możecie z nas poznać, żeśmy wasze dzieci?
Jesteśmy, ale z gruntu skażeni, wyrodni,
Jesteśmy, ale tego nazwiska niegodni.
To, co oni honorem, poczciwością zwali,
My prostotą ochrzcili; więc co szacowali,
My tem gardzim, a grzeczność przenosząc nad cnotę,
Dzieci złe, psujem ojców poczciwych robotę.
Dobra była uprawa, lecz złe ziarno padło.
Stądci teraz Feniksem prawie, zgodne stadło;
Zysk małżeństwa kojarzy, żartem jest przysięga,
Lubieżność spaja węzły, niestatek rozprzęga.
Młodzież próżna nauki, a rozpusty chciwa,
Skora do rozwiązłości, do cnoty leniwa.
Zapamiętałe starcy, zhańbione przymioty,
Śmieje się zbrodnia syta z pognębionej cnoty,
Wstyd ustał, wstyd ostatnia niecnoty zapora:
Złość zaraźna w swem zródle, a w skutkach zbyt spora,
Przeistoczyła dawny grunt ustaw poczciwych.
Chlubi się jawna kradzież z korzyści zelżywych,
Nie masz jarzma, a jeźli jest taki, co dźwiga,
Nie włożyła go cnota: fałsz, podłość, intryga.
Płodzie szacownych ojców noszący nazwiska!
Zewsząd cię zasłużona dolegliwość ściska,
Sameś sprawcą twych losów. Zdrożne obyczaje,
Krnąbrność, nierząd, rozpusta, zbytki, gubią kraje.
Próżno się stan mniemaną potęgą nasrożył,
Który na gruncie cnoty rządów nie założył;
Próżno sobie pochlebia. Ten, co niegdyś słynął,
Rzym cnotliwy zwyciężał, Rzym występny zginął.
Nie Goty i Alany do szczętu go zniosły:
Zbrodnie, klęsk poprzedniki i upadków posły,
Te go w jarzmo wprawiły; skoro w cnocie stygnął,
Upadł, i już się więcej odtąd nie podźwignął.
Był czas, kiedy błąd ślepy nierządem się chlubił,
Ten nas nierząd, o bracia! pokonał i zgubił;
Ten nas cudzym w łup oddał: z nas się złe zaczęło;
Dzień jeden nieszczęśliwy zniszczył wieków dzieło.
Padnie słaby, i leże — wzmoże się wspaniały:
Rozpacz podział nikczemnych. Wzmagają się wały,
Grozi burza, grzmi niebo; okręt nie zatonie,
Majtki zgodne z żeglarzem gdy staną w obronie:
A choć bezpieczniej okręt opuścić i płynąć,
Poczciwiej być w okręcie; ocalić, lub zginąć.

SATYRA II.

Złość ukryta i jawna.

Łatwiej nie łgać poetom, minisrtom nie zwodzić,
Łatwiej głupiego przeprzeć, wodę z ogniem zgodzić,
Niż zrachować filuty. Ciżba, wojsko spore:
Skąd zacząć? z pośród tłumu na hazard wybiorę.
Wojciech jadem zaprawny, co go wewnątrz mieści,
Zdradnie wita, pozdrawia, całuje i pieści,
W oczy ściska, w bok patrzy, a gdy ludzi wdzięcznie,
Cieszy się wewnątrz zdrajca, że oszukał zręcznie.
Czyni źle, bo gust w samej upatruje złości,
Zdradza, byleby zdradził: a ten zysk chytrości
Stawia mu z cudzych trosków wdzięczne widowiska:
Najmilszy jego napój łza, którą wyciska.
Co słowo, sztuka zdradna: co krok, podstęp nowy;
Zdrajca czynami, giestem, milczeniem i słowy:
Na kogo tylko spojrzy, stawia zaraz sidła,
A gdy się coraz wzmaga złość jego obrzydła,
Jak pająk, co snuł z siebie, rozpostarłszy sieci,
Czuwa wśród pasm rozwitych, rychło w nie kto wleci.
Uśmiech jego nieprawy zmyka się po twarzy,
W oczach skra zajadłości błyszczy się i żarzy:
Spuszcza je na blask cnoty, a zjadle pokorny,
Sili się swej niecnocie kształt nadać pozorny.
Próżna praca. Sama się złość z czasem odkrywa.
Spada maska, a zdrajca, co pod nią przebywa,
Tem jeszcze wszeteczniejszy, im dłużej był tajny.
Ten co ma umysł zwrotny, a język przedajny,
Idzie za nim Konstanty, szczęśliwy że wygrał:
A co w pierwszych początkach żartował i igrał,
Czyniąc jak od niechcenia, gdy sztucznie się czaił,

Tak kunszt zdradnych podstępów dowcipnie utaił,
Iż ten, co oszukany, nie wie, jak wpadł w pęta.
Wpadł jednak, a fortelnie sztuka przedsięwzięta
Tego, co ją dokazał, uczyniła sławnym.
A poczciwość? — ten przymiot służył czasom dawnym,
A kto wie, czy i służył? Każdy wiek miał łotrów:
A co my teraz mamy i Pawłów i Piotrów,
Miał Rzym swoje Werresy, swoje Katyliny.
Był ten czas, kiedy Kato z poczciwych jedyny,
Silił się przeciw zdrajcom sam, i padł w odporze,
Nie w tak dzikim już teraz jest cnota humorze;
Umie ona, gdy trzeba, zyskowi dogadzać;
Człowiek grzeczno-poczciwy, kiedy kraść i zdradzać
Nakaże okoliczność, zdradzi i okradnie:
Ale zdradzi przystojnie, i zedrze przykładnie,
Ale wdzięcznie oszuka, kształtnie przysposobi;
Ochrzci cnotą szkaradę, i złość przyozdobi;
A choć zraża sumienie, niebo straszy gromem,
Śmieje się, zdradza, kradnie — i jest galantomem.
Więc poczciwych aż nadto. Paweł trzech mszy słuchał,
Zmówił cztery różańce, na gromnicę dmuchał,
Wpisał się w bractwa wszystkie, dwie godziny klęczał,
Krzywił się, szeptał, mrugał, i wzdychał i jęczał,
A pieniądze dał w lichwę. Święte są pacierze.
Zdatne bractwa; lecz temu, co daje, nie bierze.
Syp fundusze, a kradnij; Bóg ofiarą wzgardzi.
Tacy byli, mniemaną pobożnością hardzi,
Owi Faryzeusze i wyschli i smutni,
A w łakomstwie niesyci, w dumie absolutni,
Mściwi, krnąbrni, łakomi, nieludzcy, oszczerce.
Próżne, Pawle ofiary, gdzie skażone serce:
Krzyw się, mrugaj, bij czołem, klęcz, szeptaj i dmuchaj,
Zmów różańców bez liku, bez liku mszy słuchaj;
Jeźliś zdrajca, obłudnik, darmo kunsztu szukasz,
Możesz ludzi omamić, Boga nie oszukasz.
Brzydzi się niecnotliwym Jędrzej hipokrytą
A natychmiast zbyt szczery, nie już złością skrytą,
Ale jawnem zgorszeniem zaraża i truje.
Pyszny mnóstwem szkarady, hańbą tryumfuje.
Zrzucił szanowną cnoty i wstydu zaporę,
A widząc skutki jadu i łatwe i spore,
Stał się mistrzem bezbożnych. Ma uczniów bez liku,
Leżą grzesznych bluźnierców dzieła na stoliku;
Gotowalniane mędrcy, tajemnic badacze,
Przewodniki złudzonych, wieków poprawiacze,
Co w zuchwałych zapędach, chcąc rzeczy dociekać
Śmieją prawdzie uwłoczyć, i na jawność szczekać:
Czcze światła, dymy znikłe. Lecz z widoków sprośnych
Zwróćmy oczy; już nadto tych scen zbyt żałosnych.
Dumny Jan pokrewieństwem i Litwy i Polski,
Że go uczcił Niesiecki, Paprocki, Okolski,
Rozumie, iż za zmową ugodną i spolną,
Wszystkim cierpić należy, jemu szaleć wolno.
Rozumie, iż gdy tytuł zaczyna od jaśnie,
Przy tym blasku i cnota i rozum przygaśnie;
Nadstawia się i gardzi. Mikołaj bogaty,
Choć go jaśnie wielmożne nie czczą antenaty,
Śmieje się z oświeconych, co złotem nie świecą;
To u niego zacności i szczęścia skarbnicą,
To rozum, to nauka, w tem się wszystko mieści;
Szostak groszy dwanaście, a złoty trzydzieści.
Jakże zebrał? dość że ma: czy ukradł, czy zdradził.
Mikołaj pan, choć filut, bo skarby zgromadził,
Bo posiada po panach folwarki i włości,
Jak zechce, przyjdzie i do jaśnie wielmożności.
Woli być mościpanem, a z sum pożyczonych
Brać lichwę od dłużników jaśnie oświeconych.
Dumą wewnątrz nadęci, zbytkiem podupadli,
Nie wstydzą się ci żebrać u tych, co je skradli;
Oszukani klną zdala, a łaszą się zbliska:
Śmieje się pan Mikołaj: a majętność zyska.
Za jedną, która poszła, w rok idzie i druga,
Aż ów lichwiarz pokorny, uniżony sługa,
Większy pan, niż jegomość, którego wielmożni:
Tak lecą w zdradne sidła młodzi nieostrożni.
Omamiony nieprawym polorem i gustem,
Piotr, co zaczął być stratnym, jest teraz oszustem,
Gdy nie ma wsi na zastaw, dopieroż pieniędzy.
Chcąc uniknąć i głodu i zimna i nędzy;
Istotną dolegliwość, gdy jak może, tai,
Wiąże się z towarzyszmi, pochlebia i rai.
Czatuje, jakby ze wsi domatora dostać,
A uprzejmego biorąc przyjaciela postać,
Zaczyna rządy w domu, częstuje i sprasza,
Dobry gust gospodarza, wielbi i ogłasza;
W spółce jest do wszystkiego, choć pieniędzy nie ma.
I póty w więzach tego, co usidlił, trzyma,
Aż go sobie we wszystkiem uczyni podobnym.
Więc ten, co niegdyś oczy pasł gustem ozdobnym,
Wraca do domu zdarty, smutny, pokryjomu,
Albo i nie powraca nie miawszy już domu.
Próżno więc, jak to mówią, po szkodzie korzysta.

Franciszek przedtem pieniacz, teraz alchimista,
Dmucha coraz na węgli, przy piecyku siedzi,
Zagęszcza i rozwilża, przerzedza i cedzi.
Pełne proszków chemicznych szafy i stoliki,
Wszędzie torty, retorty, banie, alembiki.
Już postrzegł w ogniu gwiazdę, a kto gwiazdę zoczy,
Albo głowę Meduzy, albo ogon smoczy,
Już ten wygrał. Winszuję, ale nie zazdroszczę.
To mniejsza, że Franciszek o złoto się troszczy;
Niech dmucha, a nie kradnie. Choćby złoto zrobił,
Swoje stracił; na swojem niechby i zarobił.

Nie złoto szczęście czyni, o bracia! nie złoto,
Grunt wszystkiego poczciwość, pobożność i z cnotą.
Padnie taka budowla, gdzie grunt nie jest stały.
Chcemy nasz stan, stan kraju ustanowić trwały,
Odmieńmy obyczaje, a jąwszy się pracy,
Niech będą dobrzy, będą szczęśliwi Polacy.

SATYRA III.

Szczęśliwość Filutów.

Rok się skończył, winszować tej pory należy:
Komu? wszystkim: niech Jędrzej z winszowaniem bieży;
Jędrzej, co to zmyśloną wziąwszy na się postać,
Szuka, gdzieby się wkręcić, lub zysk jaki dostać;
A przedajnym językiem, drogi, albo tani,
Jak zgodzą, jak zapłacą, tak chwali, lub gani.
Albo Szymon, miłośnik ludzkiego rodzaju,
Co złych i dobrych wspołem chwaląc dla zwyczaju,
Gdy cnotę i występki równą szalą mierzy,
Tyle zyskał w rzemiośle, że mu nikt nie wierzy.
Niechaj tacy winszują, ja milczę: — źle czynisz;
Alboż wszystkich zarówno potępiasz i winisz?
Alboż wszystkim źle życzysz? — Owszem dobrze życzę.

Są cnotliwi: a chociaż nie wiele ich liczę,
Chociaż ledwo ten rodzaj w złych się tłoku zmieści,
Są dobrzy i w płci męzkiej, są i w płci niewieściej, —
Więc mi winszuj: — A jakaż winszować przyczyna?
— Stary się rok zakończył, a nowy zaczyna, —
Cóż mam dobrym powiedzieć? w starym ucierpieli,
I w przyszłym cierpieć będą zapewne musieli.
Niekończy się poczciwych niefortuna z rokiem.
Rzadko się cnota szczęsnym ucieszy wyrokiem.
Do was więc mowę zwracam, sztuczni a ostrożni,
Filuci oświeceni i jaśnie wielmożni,
Wielmożni i szlachetni z zgrają waszą całą;
Winszuję, że w tym roku dobrze się udało.
Coście tylko pragnęli, wszystko wam los zdarzył,
Wyście się tam ogrzali, gdzie się drugi sparzył.
Fortuna, której koło ustawnie się toczy,
Była ślepą dla innych, dla was miała oczy,
Więc winszuję wszem w obec, każdemu z osobna.
Tobie naprzód, którego dziś postać ozdobna,
Którego oko śmiałe, a czoło jak z miedzi;
W twoich progach los spoczął i fortuna siedzi.
Płyną ci dni pomyślne, a przędziarka Kloto,
Pasmo życia nawija na jedwab i złoto.
Gdzie stąpisz wszystko w kwiecie; gdzie spojrzysz w owocach,
A gdy bierzesz spoczynek w twych rozkosznych nocach
Ty śpisz, a szczęście czuje. Brzęczą złota trzosy,
Wrzask cię chwały otacza, a pochlebne głosy,
Im bardziej natężone, im ogromniej wrzeszczą,
Tem wdzięczniej słuch twój mamią, uszy twoje pieszczą.
Umiesz słyszeć co miło, na przemówkę głuchy:
A gdy czasem mniej wdzięczne zalecą podsłuchy,
Umiesz i niedosłyszeć. Talent dziwny, rzadki!
Takie więc szczęścia twego gdy widzę zadatki,
Winszuję ci. A najwrzód, żeś ocalał zdrowo;
Wieluż za mniej, los srogi ukarał surowo!
A bardziej sprawiedliwość, której wiek zepsuty
Nie zna teraz; a przeto szczęśliwe filuty.
Winszuję: jak ty inszym, że tobie nie mierzą;
Winszuję: żeś choć zdradził, przecież jeszcześ wierzą;
Winszuję: żeś choć okradł, nie każą ci wracać;
Możesz łupu zdartego, na co chcesz, obracać.
Jest więc czego winszować. A tobie, Konstanty.
Coś się zgrał na wsie, weksle, pieniądze i fanty;
Przecież grasz: czego srogi los niegdyś pozbawił,
Przemysł sztuczny to zleczył, fortunę poprawił:
Odzyskałeś coś przegrał, już brzękasz wygraną,
Winszuję, że cię na złem dziele nie złapano.
A tobie, Panie Pawle, jest czego winszować,
Przed rokiem musiałeś się o szeląg turbować,
Teraz krocmi rachujesz Jak to przyszło? — sztuka!
Zyskałeś: cóżeś zyskał? Nowa to nauka!
Nie powiem. I satyra nie ma być zbyt jasną,
Takto nowe światełka wschodzą, stare gasną.
Panie Piotrze, a waszeć, coś wskórał w tym roku?
Utyłeś, więc winszuję dobrego obroku.
A jak? mamże powiedzieć? czyli mam zasłaniać?
Zasłonię: proszę jednak Jejmości się kłaniać.
A waść, Panie Wincenty, coś majętność kupił
Nie dawszy i szeląga? Czyś okradł, czyś złupił.
Dość, że wioska już twoja. Niechaj płacze głupi
Poco nie był ostrożnym: już jej nie odkupi.
Zły teżto był gospodarz, grunt leżał odłogiem,
Pola były zarosły chwastem, łąki głogiem;
Ty przemysłem naprawisz, coś zyskał fortelem,
I tak się wysłużonym już obywatelem
Staniesz twojej ojczyźnie. Tak pięknej przysługi
Winszuję, a choćby się zgorszył może drugi,
Że gardzisz skrupułami, winszuję i tego;
Znak to jest mocnej duszy, umysłu wielkiego.
Gmin podły, wnętrzna trwoga i sumienie straszy.
Mędrcy! wam dziękujemy, nauki to waszej
Jest dzieło, że z nas każdy pozbył się wędzidła;
Stawia dowcip przemyślny śmiało teraz sidła:
Kto w nie w padnie, tem gorzej, że był nieostrożny:
Śmieje się, co oszukał, a umysł nietrwożny,
Wsparty kunsztem dowcipnym wygodnej nauki,
Na dalsze się natęża i sidła i sztuki.
Winszuję więc wam ucznie młodzi i podeszli,
Winszuję żeście nawet mistrzów waszych przeszli.
A wam, co mam powiedzieć, cnotliwa hołoto?
Dobrzy! cierpieć wasz podział, ale cierpieć z cnotą.
Modnej maksym nauki że się nie trzymacie,
Trzódko mała wśród łotrów, nie wiele zyskacie.
Nie rozpaczajcie jednak. Patrzajcie, jak dalej
Los tych, których rozpieścił, wesprze i ocali.
Rzadko się niepoczciwość, tak jak zacznie kończy,
A cnota, co się nigdy z chytrością nie łączy,
Choć jej często dokuczą troski, niepokoje,
Później, prawda, lecz lepiej wychodzi na swoje.

SATYRA IV.

Marnotrawstwo.

Znałeś dawniej Wojciecha? — któż nie znał! co teraz
Bez sług, ledwo w opończy brnie po błocie nie raz;
Niegdyś w karecie, z której dął się i umizgał,
Takich, jakim jest dzisiaj, roztrącał i bryzgał.
Ustępowali z drogi wielmożnemu panu
Lepsi i urodzeniem i powagą stanu:
Nie raz ten, który przedtem od filuta stronił,
Westchnął skrycie natenczas, gdy mu się ukłonił.
Musiał czcić; czegoż złoto nie potrafi dzielne?
Nie długo przecież trwały te czasy weselne,
Na złe wyszła wspaniałość. Przyjaciele kuchni,
Junacy heroiczni, wzdychacze miluchni,
Filozofy nakoniec, jak pustki spostrzegli,
Z maksymami, z wdziękami, z junactwem odbiegli.
Został się niedostatek, z nim wstyd dawnej pychy;
A co niedyś wytrząsał kufle i kielichy,
Co szampańskiem, węgierskiem pyszne stoły krasił,
Wiadrem potem u studni pragnienie ugasił.
Jak to przyszło? — nieznacznie. Łakome są żądze,
Pełen jest świat oszustów, toczą się pieniądze:
Zyskał Wojciech szalbierstwem, stracił wszystko zbytkiem,
A nie długo się ciesząc niecnoty pożytkiem,
Nawet tego nie doznał, gdy nic nie dochował,
Żeby zdrajcę, bankruta, ktożkolwiek żałował,
To gorsza, kiedy młody dziedzic wielkiej włości.
Zysk zasług swoich, cnoty, poczciwości,
Niszczy podły odrodek. Znałeś Konstantyna?
— Alboż widzieć odrodków u nas jest nowina?
Znałem, go ale w nędzy. — Jam znał w dobrym stanie;
Młodo zaczął wspaniale swoje panowanie,
Młodo skończył. Rodzice dzieckiem odumarli,
Opiekunowie naprzód, jak zazwyczaj, zdarli,
Dorwał się panicz rządów. Natychmiast od razu

Jedni z sławy, ci z zysku, a tamci z rozkazu,
Dworzanie, pokojowi, krewni, asystenci,
Przyjaciele, sąsiedzi i plenipotenci,
I ta wszystka niesyta stołowników zgraja,
Co się zyskiem obłudy karmi i opaja,
Natarli wstępnym bojem. Rad pan wszystkim w domu,
Wrota jego nie były zamknięte nikomu.
Niech zna świat jak pan możny, dzielny i bogaty.
Grzmią bębny na dziedzińcu, na wałach armaty,
Żaki prawią perory: ksiądz prefekt za niemi
Drukiem to wypróbował, że dzieły wielkiemi
Przeszedł pan przodków swoich, godzien krzeseł, tronów,
Prawnuk Piastów po matce, z ojca Jagiellonów,
Wiwat pan! brzmią ogromnem hasłem okolice,
Dymy z kuchni, jak z Etny: a sławne, piwnice,
Co dziad, pradziad, szacownym napełniał likworem,
Pełne zgrai ochoczej stanęły otworem.
Wiwat pan! niech wiekuje szczęśliwy i zdrowy.
Objął sienie, przysionki, zapach dryakwowy:
Wala się, wadzi, wrzeszczy rozpojona tłuszcza,
Pan rad, w domu każdego do siebie przypuszcza.
Ten wziął konia z siedzeniem, tamten za przysługę,
Nieboszczyka pradziada z lamusu czeczugę:
Ów wlecze złoty dywan, co w skarbcu spoczywał,
Dywan, co stół naddziada ministra okrywał,
Gdy w usłudze publicznej pracował, lub sądził.
Śmieją się z starych gratów, a jakby pobłądził,
Wyszydzają wiek dawny, nowy rzesza chwali.
Liczne przodków portrety wyrzucono z sali.
Natychmiast że zbyt wielka, ścieśniają gmach stary,
Cztery z niej gabinety, i dwa buduary.
Że w nich były starego dzieje testamentu,
Nie cierpiano szpalerów jednego momentu,
Wziął je sąsiad za wyżła, a za dwie papugi
Zyskał zbroję złocistą wzamian sąsiad drugi.
Od czasów nieboszczyka jeszcze Jegomości,
Płaczą w kącie z szafarzem stary podstarości,
Pan kontent. Skoro w rannej porze słońce błyśnie,
Już się przez przedpokoje ledwo kto przeciśnie;
Ten ustawia pagody chińskie na kominie,
Ten perskie gierydony, ów japońskie skrzynie:
Pełno muszli zamorskich, afrykańskich ptaków,
Wrzeszczą w klatkach papugi, krzyk szczyglów, świst szpaków:
Bije zegar kuranty, a misterne flety,
Co kwandrans, co godzina, dudlą menuety.
Wchodzi pan, pasie oczy nowemi widoki,
Zewsząd gładkie pochlebstwa i ukłon głęboki,
Znają się na wielkości i pan na niej zna się.
A chociaż do mówienia z gminem uniża się,
Zna czem jest. Wszyscy wiwat! skoro tylko kichnie,
Na kogo okiem rzuci, każdy się uśmiechnie,
Kontent z pańskich faworów. Wtem nowe kredense,
Dwa mniemane Wandyki i cztery Rubense,
Niosą w pakach hajduki: wyjmują, gmin cały
Złoto ważne uwielbia, czci oryginały.
A pan wszystkich naucza, jak Rubens w marmurze
Jeszcze lepiej rznął twarze; a w architekturze
Co to wszystkich patrzących dziwi i przenika,
Nie było celniejszego mistrza nad Wandyka.
To to pan! krzyczy zgraja, to wiadomość rzeczy!
Wtem, gdy wszyscy w aplauzach, a żaden nie przeczy,
Wpośród ciżby wielbiącej rejestrzyk podaje
Snycerz, malarz, tapicer: których cudze kraje
Na to do nas zesłały, aby według stanu,
Dogadzali wytwornie wspaniałemu panu.
Nie czytał pan rejestrów. Kto rejestra czyta?
Podpisał: niech zna Niemiec, jak Polska obfita.
Tak ów, co po jałmużnę niegdyś do Włoch śpieszył,
Złoto rzucał, nic nie wziął, a dumą rozśmieszył.
Lecą dnie w towarzystwie dobranych współbraci:
A że wojaż nowemi talenty zbogaci,
Jadą do cudzych krajów. Z projektu kontenci,
Wysłani na kontrakty już plenipotenci.
Ten przedaje wpół darmo, a wdzięczen ochocie,
Dał ułomek kradzieży kupiec w dożywocie;
Ten zastawia za bezcen, ów fałszuje akty:
Takto robią szczęśliwych zyskowne kontrakty!
Wraca się przecież cząstka do tego, co zdarli:
Wdzięczen, że go w potrzebie nieuchronnej wsparli,
Wyjeżdża, niesie haracz niszczącej nas modzie:
A weksel lichwą płatny mając na powodzie,
Dziwi kraje sąsiedzkie nierozumnym zbytkiem:
I z tym swojej podróży powraca użytkiem;
Że co panem wyjechał przystojnym i godnym,
Wraca grzecznym filutem i żebrakiem modnym.
Nie ganię ja podróży, ale niech nie niszczą.
Co po guście? dłużnicy gdy płaczą i piszczą;
Co po fantach? za które poszły wsie dziedziczne.
Bogacimy ubodzy kraje okoliczne;
A zbytek, co się tylko czczym pozorem chlubił,
Okrasił nas powierzchnie, a w istocie zgubił.

SATYRA V.

Oszczędność.

Naucz, panie Aleksy, jak to zostać panem?
Nie o takim ja mówię, co wysokim stanem
I wspaniałym tytułem dumnie najeżony,
Albo jaśnie wielmożny, albo oświecony:
Co tydzień daje koncert, codzień bal w zapusty,
A woreczek w kieszeni maleńki i pusty:
Ale o takim mówię, co w czarnym żupanie,
I w bekiesie wytartej, rano na śniadanie,
Skosztowawszy z garnuszka piwa z serem ciepło,
Lub wczorajszą pieczonkę przypaloną skrzepłą,
Na saneczkach łubianych do Lwowa się wlecze,
Trwożny, czy z prowizyjką panicz nie uciecze:
A tymczasem w szkatule dębowej, okuty
Nowy więzień pospiesza na pańskie reduty.
Jam mniemał, że to wielkich włości dziedzic będzie,
Ma wieś jednę w zastawie, a dwie na arędzie.
Skądże on ma te zbiory? czy jadących złupił?
Czy skarb znalazł, że tyle pożyczył i kupił?
— Nie. — Może jakim szczęśliwym przypadkiem,
Po nieboszczce małżoncę wziął majętność spadkiem?
— I to nie. — To zapewne pieniając zuchwale.
Wygrał w ziemstwie fortunę albo w trybunale?
— I to nie. — Może, żeby zbiorów przysposobił,
Wynalazł alchimistę, co mu złoto zrobił?
—Nie. - Skądże ta szkatuła, co niosą na drągach?
— Zgadnij. — Nie wiem. — Skąd przecie? znał się na szelągach.
— Cóż stąd? — Oto stąd wszystko. — Pewnie bił w mennicy?
— Ale nie, wszak jej nie masz w całej okolicy.
— To, nie to. — Bądź cierpliwy, albo nic nie powiem;
— Słucham, już będę milczał, niech się tylko dowiem.

— Wszak w groszu trzy szelągi? — Cóż stąd. —
Ale proszę,
Wszak w groszu trzy szelągi? — W trojaku trzy grosze,
— Ale nie, nie to mówię: zamilknę albowiem,
Kto mi nie da dokończyć, ja mu nic nie powiem.
— Już milczę. — Więc zaczynam. Nie każdy bogatym
Urodził się, lecz szczęście nie zawisło na tym:
Owszem, według mnie, zawżdy szczęśliwsi są tacy,
Których nie los zbogacił, ale skutek pracy.
Ten co jechał do Lwowa na saniach łubianych,
Ażeby dostał zysku bogactw pożądanych,
Zbyt je drogo zapłacił Na co sobie szkodzić?
Na co zbiory, jeżeli nie mają dogodzić?
Dla nas są, nie my dla nich. Niech dogodzą miernie.
Ten co żądze w zapędach rozpuszcza niezmiernie,
Światem się nie nasyci: jak ów, który stękał,
Że nie stało narodów, któreby ponękał.
Mówmy więc, o czem pierwsze mówienie się wszczęło,
Zostać panem, największe, prawda, to jest dzieło.
— Cnota teraz za złotem. — Tak i przedtem było!
Ale nie, nie tak złoto, jak teraz mamiło.
Cokolwiek bądź, powtarzam, com mówił; a zatym
Poznaj się na szelągach, a będziesz bogatym.
Z małych się rzeczy wielkie sklejają i wznoszą,
Z szelągów się, nie złota, ubodzy panoszą.
Nim się skleci z odrobin małych pieniądz złoty,
Nad miedzią zastanowić trzeba nam się póty;
Póki ten lichy kruszec srebru nie wyrówna,
Od srebra aż do złota praca niewymówna,
Pierwsze kroki najcięższe. Skoro złoto błyśnie,
Do kruszca wybornego podlejszy się ciśnie:
Łatwo juz reszta idzie. Tak początek mały
Z pracą, czuciem, staraniem, rośnie w kapitały.
Trzeba więc czcić szelągi; nieznaczne wydatki,
Potoczne ujścia, te są utraty zadatki.
Zbierał Piotr, z aręd Żydów przenosił i zsadzał,
Ten ciemiężył poddanych, ten w percepcie zdradzał.
Niedbały na rozkazy ścisłe jegomości,
Wziął pięćdziesiąt gumienny, sto plag podstarości.
Nieustannie powtarzał, co rano przykazał,
Codzień nowe rozkazy i pisał i mazał.
Do gumien, obór, stodół, porozsyłał sługi,
Chodził rano i w wieczór, gdzie orały pługi.
Jedne zyski wyprosił, a drugie wyfukał;
Zwiózł wcześnie, przedał dobrze, i kupca oszukał.
Rok się skończył: perceptę gdy z ekspensą liczył,
Poszedł handel z intratą i jeszcze pożyczył.
— To pewnie były zbytki? — Źle jadł, źle się nosił:
— Pewnie w święta? — I to nie: w dom gości nie prosił?
— Może jejmość? — Ta zawżdy siedziała nad przędzą,
Przy niej kapłony tuczą i pieczenie wędzą.
— Cóż tę stratę przyniosło? — Szelągi i grosze
Nie znał się na nich, dawał, upuszczał potrosze,
Zrobiły się z nich złote, tynfy i talary:
I tak za małe fraszki, za drobne towary
Wyszła summa: a ten co poddanych uciskał,
Pracując, stracił jeszcze, zamiast coby zyskał.
Nie tak czynił pan Michał. — Jakże? — Ale proszę,
Proszę mi nie przeszkadzać. Znał pan Michał grosze,
Znał szelągi. — Któż nie zna? — Ale nie, nie znacie,
Nie jest to znać, kto małej nie zabiega stracie.
Pan Michał nim dał szeląg, pierwej się zatrzymał,
Obejrzał go dwa razy, a chociaż się zżymał,
Choć już rękę wyciągnął, nazad w kieszeń schował,
Został szeląg z drugiemi, w grosz się porachował:
Przyszło więcej, woreczek coraz się dął spory,
Aż nakoniec z woreczka zrobiły się wory.
Pierwszy szeląg schowany, co się w grosz pomnożył,
Ten grunt milionowej fortuny założył.
Złoto się samo strzeże, miedź wstrzymać należy,
Czerwony złoty siedzi, ale szeląg bieży:
Trzeba go mieć na oku, a gdy zbieg uciecze,
Zwracać nazad; bo drugich za sobą wywlecze.
Tak mówił nasz pan Michał co krocie rachował.
— Nic też nie jadł. — Jadł dobrze, sobie nie żałował.
Żył uczciwie, wygodnie, chociaż nie wspaniale;
Lepsze miał wino w kubku, niż drugi w krysztale:
Tuczniejszy jego kapłon, niż pańskie bażanty.
Wydawał on, gdzie trzeba ale nie na fanty,
Nie na fraszki, co z wierzchu śklnią się wewnątrz puste,
Nie na zbytki kosztowne, lub modną rozpustę.
Brał rzeczy, jak brać trzeba, i cenił istotą;
Znał on, co jest pozłota, znał co szczere złoto.
Tym sposobem zgromadził, wspomógł się i użył;
Godzien szczęścia, bo na nie gruntownie zasłużył.
Nad nasz polor, prostotę ja dawną przenoszę.
Niegdyś za naszych ojców rachowano grosze.
Trzymały się też lepiej. Szły w liczbie na kopy;
Bogatsze były pany, majętniejsze chłopy.
Teraz modniejszą jakąś przywdzieliśmy cnotę,
Rachujem na talary, na czerwone złote,
Nie masz ich też, a jeźli niekiedy zabrzęczą,
Napłaczą się poddani pierwej i najęczą.
Wstydzimy się szelągów, złota trzosy nosim,
Cóż potem, kiedy z lichwą ledwo je uprosim.
Albo czyniąc bezwstydną zyskowi ofiarę,
Przedajemy za złoto ojczyznę i wiarę.
Zły to handel, o bracia! nikt na nim nie zyska:
Choć ostatnia potrzeba gnębi i przyciska,
Lepiej być i żebrakiem, ale żebrać z cnotą,
Niż siebie i kraj wieczną okrywać sromotą.
Zbytek nas w to wprowadził, z nim duma urosła?
Ta z kraju krwawą pracę poddanych wyniosła;
Ta panów ogołaca, ta poddanych gnębi,
Ta naród w przepaścistej klęsk zanurza głębi.
Chcieć być, czem być nie można, duma to jest podła;
Chcemy bogactw, wróćmy się do dawnego źródła;
Niechaj się każdy zbytków niepotrzebnych strzeże,
Nie szpeci wstrzemięźliwość i proste odzieże.
Lepszy szeląg z intraty, chociaż jest miedziany,
Niż pieniądz złotostemplny, ale pożyczany.
Takiemi się ojcowie nie obciążywali:
Po szelągu, po groszu oni rachowali,
I mieli co rachować. My z pozoru drodzy,
Choć tysiące rachujem, przecieśmy ubodzy.

SATYRA VI.

Pijaństwo.

Skąd idziesz? — Ledwo chodzę, — Słabyś? — I jak jeszcze:
Wszak wiesz, że ja się nigdy zbytecznie nie pieszczę;
Ale mi zbyt dokucza ból głowy okrutny.
— Pewnieś wczoraj był wesół? — Dlategoć dziś smutny.

— Przejdzie ból: powiedzże mi: proszę, jak to było?
Po smacznym, mówią, kąsku, i wodę pić miło.
— Oj nie miło mój bracie! bogdaj z tem przysłowiem
Przepadł co go wymyślił! jak było, opowiem.
Upiłem się onegdaj dla imienin żony,
Nie żal mi tego było. Dzień ten obchodzony
Musiał być uroczyście. Dobrego sąsiada
Nie źle czasem podpoić, jejmość była rada,
Wina mieliśmy dosyć, a że dobre było,
Cieszyliśmy się pięknie, i nie źle się piło:
Trwała uczta do świtu. W południe się budzę,
Cięży głowa, jak ołów; krztuszę się i nudzę;
Jejmość radzi herbatę, lecz to trunek mdlący.
Jakoś koło apteczki przeszedłem niechcący,
Anyżek mię zaleciał: trochę nie zawadzi:
Napiłem się więc trochę, może mi poradzi.
Nudno przecie: ja znowu: już mi raźniej było.
Wtem dwóch z uczty wczorajszej kompanów przybyło:
Jakże nie poczęstować gdy kto w dom przychodzi?
Jak częstować, a nie pić? i to się nie godzi;
Więc ja znowu do wódki, wypiłem niechcący
Omne trinum perfectum, bo trunek gorący
Dobry jest na żołądek. Jakoż w punkcie zdrowy,
Ustały i nudności, ustał i ból głowy.
Zdrów i wesół wychodzę z mojemi kompany,
W tem obiad zastaliśmy już przygotowany.
Siadamy. Chwali trzeźwość pan Jędrzej, my za nim:
Bogdaj to wstrzemięźliwość! pijatykę ganim,
A tymczasem butelka nietykana stoi,
Pan Wojciech, co się bardzo niestrawności boi,
Po szynce, cośmy jedli, trochę wina radzi,
Kieliszek jeden, drugi, zdrowiu nie zawadzi,
A zwłaszcza kiedy wino wytrawione, czyste.
Przystajem na takowe prawdy oczywiste.
Idą zatem dyskursa tonem statystycznym,
O miłości ojczyzny, o dobru publicznem,
O wspaniałych projektach, mężnym animiuszu:
Kopiem góry dla srebra i złota w Olkuszu.
Odbieramy inflanty, i państwa Multańskie,
Liczymy owe summy neapolitańskie,
Reformujemy państwo, wojny nowe zwodzim,
Tych bijem wstępnym bojem, z tamtymi się godzim:
A butelka nieznacznie, jakoś się wysusza.
Przyszła druga; a gdy nas żarliwość porusza,
Pełni pociech, że wszyscy przeciwnicy legli,
Trzeciej, czwartej i piątej, aniśmy postrzegli.
Poszła szósta i siódma, za niemi dziesiąta.
Naówczas, gdy nas miłość ojczyzny zaprząta,
Pan Jędrzej przypomniawszy żorawińskie klęski,
Nuż w płacz nad królem Janem. — Król Jan był zwycięzki,
Krzyczy Wojciech. Nie prawda! — a pan Jędrzej płacze.
Ja, gdy ich chcę pogodzić, i rzeczy tłumaczę,
Pan Wojciech mi przymówił, — Słyszysz waść mi rzecze:
— Jakto waść! nauczę cię rozumu, człowiecze.
On do mnie, ja do niego: rwiemy się zajadli,
Trzyma Jędrzej: na wrzaski służący przypadli,
Nie wiem jak tam skończyli zwadę naszą wielką,
Ale to wiem i czuję, żem wziął w łeb butelką,
Bogdaj w piekło przepadło obrzydłe pijaństwo!
Cóż w niem? tylko niezdrowie, zwady, grubijaństwo,
Oto profit: nudności, i guzy, i plastry.
— Dobrze mówisz, podlejto zabawa hałastry:
Brzydzi się niem człek prawy, jako rzeczą sprosną:
Z niego zwady, obmowy nieprzystojne rosną;
Pamięć się przez nie traci, rozumu użycie,
Zdrowie się nadwereża i ukraca życie,
Patrz na człeka, którego ujęła moc trunku,
Człowiekiem jest z pozoru, lecz w zwierząt gatunku
Godzien się mieścić, kiedy rozsądek zaleje,
I w kontr naturze postać bydlęcą przywdzieje.
Jeżli niebios zdarzenie wino ludziom dało,
Na to, aby użyciem swojem orzeźwiało,
Użycie darów bożych powinno być w mierze,
Zawstydza pijanice nierozumne zwierze:
Potępiają bydlęta niewstrzymałość naszą,
Trunkiem, według potrzeby, gdy pragnienie gaszą,
Nie biorą nad potrzebę. Człek, co niemi gardzi,
Gorzej od nich gdy działa, podlejszy tym bardziej.
Mniejsza guzy i plastry, to zapłata zbrodni.
Większej kary, obelgi takowi są godni,
Co w dzikiem zaślepieniu występni i zdrożni,
Rozum, który człowieka od bydlęcia różni,
Śmią, za lada przyczyną, przytępiać lub tracić,
Jakiż zysk taką szkodę potrafi zapłacić?
Jaka korzyść, tak wielką utratę nagrodzi?
Zła to radość, mój bracie! po której żal chodzi.
Ci, co się na takowe nie udają zbytki,
Patrz, jakie swej trzeźwości odnoszą pożytki;
Zdrowie czerstwe, myśl u nich wesoła i wolna,
Moc i raźność niezwykła i do pracy zdolna:
Majętność w dobrym stanie, gospodarstwo rządne,
Dostatek na wydatki potrzebne, rozsądne.
Te są wstrzemięźliwości zaszczyty, pobudki,
Te są: Bądź zdrów. Gdzie idziesz? — Napiję się wódki.

SATYRA VII.

Przestroga Młodemu.

Wychodzisz na świat, Janie! przy zaczęciu drogi,
Żądasz zdania mojego i wiernej przestrogi:
Dam, na jaką się może zdobyć moja możność,
W krótkich ją słowach zamknę, miej Janie, ostrożność!
Wchodzisz na świat, krok pierwszy stawić nie jest snadno,
Zewsząd cię zbójcy, zdrajcy, fiiluty opadną;
Zewsząd łowcy przebiegli, kształtną biorąc postać,
Będą czuwać, jakby cię w sidła swoje dostać.
Wpadniesz jeżli się pierwej dobrze nie uzbroisz.
Słusznie się więc twych kroków pierwiastkowych boisz.
Rzadki na świat przychodzień, któryby obfito
Nie zapłacił na wstępie oszukania myto.
Strzeż się, nie żebyś grzeszył zbytniem nieufaniem,
Roztropna jest ostrożność: Piotr szedł za jej zdaniem,
Średniej się drogi trzymał, i tak kroki zmierzał,
Że ani zbytnie ufał, ani nie dowierzał:
Piotr ocalał, i chociaż podejścia nie szukał,
Choć szedł drogą poczciwych, filutów oszukał.
—A to jak?—Tak, jak ślepy: ten, gdzie się obraca,
Nim stąpi, kijem pierwej bezpieczeństwa maca.
Miej się na ostrożności, nikt cię nie oszuka.
Znajdziesz Pawła na wstępie, co przychodniów szuka;
Staryto mistrz i profes w filutów zakonie,
Zna on nie tylko panów, ale psy i konie.
Układa się i łasi, powierzchownie grzeczny,
Z miny, z giestów poczciwy, uprzejmy, stateczny;
Temu rady dodaje, z tym się towarzyszy,
Tamtemu niby zwierza, co od drugich słyszy.

Trwożny, czy kto nie patrzy, czy kto nie podsłucha,
Zawsze ma coś w rezerwie, i szepcze do ucha,
Rai, strzeże, poznaje, i godzi i różni;
Przeszli przez jego ręce szlachetni, wielmożni,
Przeszli; a z tych, co zdradnie całował i ściskał,
Żadnego nie wypuścił, żeby co nie zyskał.

Znajdziesz po nim Macieja, co już resztą goni;
Przechodzi dotąd wszystkich wytwornością koni,
Ekwipaż po angielsku, z francuzka lokaje:
A choć do dalszych zbytków sposobu nie staje,
Choć nikt borgować nie chce, przykrzą się dłużnicy,
Przecież Maciej paradnie jedzie po ulicy,
Przecież laufry przed końmi, murzyn za karytą.
Chcesz wiedzieć tajemnicę przed światem ukrytą?
Nauczysz się bylebyś tym szedł, co on, torem,
Bylebyś się pożegnał z cnotą i honorem,
Bylebyś czoło stracił; dojdziesz przedsięwzięcia,
Zbądź się wstydu, a język trzymaj od najęcia:
Czołgaj się, a gdy podłość rozpostrzesz najdalej,
Dokażesz że przed tobą będą się czołgali.
Zyskasz korzyść niecnotą; ale to zysk podły;
Nie temi prawe szczęście obwieszcza się źródły:
Strzeż się więc takich zdobycz? co czynią zelżywym.

Jesteś w wiośnie młodości, w tym wieku szczęśliwym,
Co do wszystkiego zdatny. Do użycia wzywa
Rozkosz miła z pozoru, w istocie zdradliwa,
Uwdzięcza bite ślady; lecz choć mile pieści,
Kładzie żółć przy słodyczy, ciernie z kwiaty mieści:
Omamia nieostrożnych zdradnemi kompany.
Będziesz na pierwszym wstępie uprzejmie wezwany,
Od rzeszy grzecznomodnej, rozpustnie wytwornej.
Tam się nauczysz w szkole przebiegłej, wybornej,
Jak grzecznie rozposażyć zbiory przodków skrzętne,
A ślady wspaniałości stawiając pamiętne,
Niesłychanemi zbytki i treścią rozpusty
Zawstydzać marnotrawców i dziwić oszusty.
Nauczysz się, jak prawom można się nie poddać,
Jak dostać, kiedy nie masz; dostawszy, nie oddać,
Jak zwodzić zaufanych, a śmiać się z zwiedzionych,
Jak w błędzie utrzymywać sztucznie omamionych,
Jak się udać, gdy trzeba, za dobrych i skromnych,
Jak pochlebiać przytomnym, śmiać się z nieprzytomnych;
Jak cnocie, gdzie ją znajdziesz, dać zelżywą postać,
Jak deptać wszystkie względy, byle swego dostać;
Jak wziąwszy grzeczną tonu modnego postawę,
Dla żartu dowcipnego szarpać cudzą sławę;
Jak się chlubić z niecnoty, a w wyrazach sprośnych,
Mięszać fałsz z zuchwałością w tryumfach miłośnych;
Takato nasza młodzież! po skarzonej wiośnie,
Jaki plon, jaki owoc w jesieni urośnie?

Rzuć okiem na Tomasza; słaby wynędzniały,
Dwudziestoletni starzec; poszły kapituły,
Poszły wioski, miasteczka, pałace, ogrody,
Jęczy nędzarz a pamięć niepowrotnej szkody
Truje resztę dni smutnych, co je wlecze z pracą;
Taka korzyść rozpusty, tak się zbytki płacą.

Uszedłeś marnotrawców, wpadniesz w otchłań nową,
Ci to są, co z romansów zawróconą głową,
Bohatyry miłosne, żaki teatralni,
Trawią wiek u nóg bogiń przy ich gotowalni.
Westchnienia ich kunsztowne do Filidów modnych,
Koloandry w affektach wiernych, a dowodnych,
Jęczą nad srogim losem: a boginie cudne
Raz uprzejme, drugi raz dzikie i obłudne,
Czy się zechcą nasrożyć, czy wdzięcznie uśmiechać,
Dają im tylko wolność rozpoczać i wzdychać.

Strzeż się matni zdradliwych, w które płochych mieści
Zbyt czuły na podstępy zawsze kunszt niewieści;
Strzeż się sideł powabnych, w które młodzież wabią,
Choć sztuką zdradę skryją, pęta ujedwabią,
Przecież w nich wolność ginie, czas się drogi traci,
Zysk wdzięcznych sentymentów w cnoty nie bogaci:
A Filida tymczasem, gdy ją statek smuci,
Dla nowego Tyrsysa, dawnego porzuci.

Skacz ze skały w miłosnych pętach niewolniku,
Albo siadłszy w zamysłach przy krętym strumyku,
Gadaj z echem płaczącem na płonne nadzieje,
Twoja Fillis tymczasem z głupiego się śmieje.
— Nie masz tego w romansach: — ale jest na jawie;
Ktokolwiek się tej płochej poświęcił zabawie,
Nie inszą korzyść żądań zniewieściałych zyska.
Czyli politowania wart, czy pośmiewiska,
Niech boginie osądzą. Ty zważ, co cię czeka:
Boginie są; mój Janie, czcij je: lecz zdaleka.
Nie żebyś był odludkiem: znajdziesz nawet w mieście,
Co umysł mając męzki, powaby niewieście,
Szacowne bardziej cnotą, niż blaskiem urody,
Mimo zwyczaj powszechny, mimo przepis mody,
Śmią pełnić obowiązki, a proste Sarmatki,
Są i żony poczciwe, i starowne matki.
Romans je w obowiązkach nigdy nie rozgrzesza.
Z takich gniazd, jeźli znajdziesz szukaj towarzysza;
I znajdziesz. Niech odszczeka, co je trzy rachował.
Nie będę ja zbyt ostrą satyrą brakował.
Są, a często, choć pozór przeciwnie obwieszcza,
W uściech płochość, a cnota w sercu się umieszcza.

Wojciech mędrzec ponury łapie młodzież żywą,
A najeżony miną poważnie żarliwą,
Nową rzeczy postawą gdy dziwi i cieszy,
Same wyroki głosi zgromadzonej rzeszy.
Za nic dawni pisarze, stare księgi fraszki,
Dzieła wieków, to płonne u niego igraszki;
Filozof, jednem słowem, i miną i cerą,
Unosi się nad podłą gminu atmosferą:
Depce miałkość uprzedzeń, a dając, co nie ma,
Stwarza nowy rząd rzeczy, i wiary systema.
Zdaleka od tej szkoły, zdaleka mój Janie,
Powabne tam jest wejście, wdzięczne przywitanie,
Ale powrót fatalny. Zły to rozum, bracie.
Co się na cnoty, wiary zasadza utracie.
Okiełznaj dumne zdania pokory munsztukiem:
Wierz, nie szperaj, bądź raczej cnotliwym nieukiem,
Niż mądrym a bezbożnym Tacy byli dawni,
Równie, a może więcej naukami sławni,
Przodki twoi poczciwi, co Boga się bali:
Co mogli, co powinni, oni roztrząsali.
Umieli dzielić w zdaniu, o czem sądzić można,
Od tego, w czem nauka próżna i bezbożna.
Na co rozum, dar boży, jeźli bluźni dawcę?
Mijaj, Janie, bezbożnych maksym prawodawcę,
Mijaj mądrość nieprawą. Ta niech tobą rządzi,
Co do cnoty zaprawia, w nauce nie błądzi;
Co prawe obowiązki bezwzględnie kryśla,
Co zna ludzką ułomność, w zdaniach nie wymyśla,
Co się łącząc z poczciwym staropolskim gminem,
Nie każe ci się wstydzić, żeś chrześcijaninem.

SATYRA VIII.

Żona modna.

A ponieważ dostałeś coś tak drogo cenił,
Winszuję, panie Pietrze, żeś się już ożenił.
— Bóg zapłać — Cóż to znaczy? oziębłe dziękujesz,
Alboż to szczęścia twego jeszcze nie pojmujesz?
Czylić się już sprzykrzyły małżeńskie ogniwa?
— Nie ze wszystkiem: luboć to zazwyczaj tak bywa,
Pierwsze czasy cukrowe. — Toś pewnie w goryczy?
— Jeszcześć — Bracie trzymaj więc, coś dostał w zdobyczy,
Trzymaj skromnie, cierpliwie: a milcz tak jak drudzy:
Coto swoich małżonek uniżeni słudzy,
Z tytułu ichmościowie, dla oka dobrani,
A jejmość tylko w domu rządczynia i pani.
Pewnie może i twoja? — Ma talenta śliczne,
Wziąłem po niej w posagu cztery wsie dziedziczne.
Piękna, grzeczna, rozumna — Tym lepiej: — Tym gorzej,
Wszystko to na złe wyszło, i zgubi mnie sporzej.
Piękność, talent, wielkie są zaszczyty niewieście;
Cóż potem, kiedy była wychowana w mieście;
— Alboż, to miasto psuje? — A któż wątpić może!
Bodaj, to żonka ze wsi! — A z miasta — Broń Boże!
Źlem tuszył, skorom moją pierwszy raz obaczył;
Alem, żem to, com postrzegł, na dobre tłumaczył,
Wdawszy się już, a nie chcąc dla damy ohydy....
Wiejski Tyrsys wzdychałem do mojej Fillidy.
Dziwne były jej giesta i misterne wdzięki:
A nim przyszło do ślubu i dania mi ręki,
Szliśmy drogą romansów, a czym się uśmiechał,
Czym się skarżył, czy milczał, czy mówił, czy wzdychał:
Widziałem, żem nie dobrze udawał aktora:
Modna Fillis gardziła sercem domatora
I ja byłbym nią wzgardził; ale punkt honoru,
A czego mi najbardziej żal, ponęta zbioru;
Owe wioski, co z memi graniczą, dziedziczne,
Te mnie zwiodły, wprawiły w te okowy śliczne.
Przyszło do intercyzy. Punkt pierwszy: że w mieście
Jejmość przy doskonałej francuzkiej niewieście,
Co lepiej, bo Francuzka, potrafi ratować,
Będzie mieszkać, ilekroć trafi się chorować.
Punkt drugi: chociaż zdrowa czas na wsi przesiedzi,
Co zima jednak miasto stołeczne odwiedzi.
Punkt trzeci: będzie miała swój ekwipaż własny.
Punkt czwarty: dom się najmie wygodny, nie ciasny:
To jest, apartamenta paradne dla gości,
Jeden z tyłu dla męża, z przodu dla jejmości.
Punkt piąty: a broń Boże! Zląkłem się. — A czego?
— Trafia się rzekli krewni, że z zdania wspólnego,
Albo się węzeł przerwie, albo się rozłączy;
— Jaki węzeł? — Małżeński, — Rzekłem, ten śmierć kończy.
Rozśmieli się z wieśniackiej przytomni prostoty.
I tak płacąc wolnością niewczesne zaloty,
Po zwyczajnych obrządkach, rzecz poprzedzających,
Jestem wpisany w bractwo braci żałujących.
Wyjeżdżamy do domu. Jejmość w złych humorach:
— Czem pojedziem? — Karetą — A nie na ressorach?
Daliż ja po ressory. Szczęściem kasztelanic,
Co karetę angielską sprowadził z zagranic,
Zgrał się co do szeląga Kupiłem. Czas siadać.
Jejmość słaba. Więc podróż musimy odkładać.
Zdrowsza jejmość, zajeżdża angielska karyta,
Siada jejmość, a przy niej suczka faworyta;
Kładą skrzynki, skryneczki, woreczki i paczki,
Te od wódek pachnących, tamte od tabaczki,
Niosą pudło kornetów, jakiś kosz na fanty;
W jednej klatce kanarek, co śpiewa kuranty,
W drugiej sroka; dla ptaków jedzenie w garnuszku,
Dalej kotka z kocięty, i mysz na łańcuszku.
Chcę siadać, nie masz miejsca; żeby nie zwlec drogi,
Wziąłem klatkę, pod pachę, a suczkę na nogi.
Wyjeżdżamy szczęśliwie, jejmość siedzi smutna,
Ja milczę, sroka tylko wrzeszczy rezolutna.
Przerwała jejmość myśli: — Masz waćpan kucharza?
Mam moje serce — A pfe! koncept z kalendarza;
Moje serce! proszę się tych prostactw oduczyć.
Zamilkłem, trudno mówić, a dopieroż mruczyć.
Więc milczę. Jejmość znowu o kucharza pyta:
— Mam mościa dobrodziko — Masz waćpać stangryta?
Wszak nas wiezie. — To furman. Trzeba od parady
Mieć inszego. Kucharza dla jakiej sąsiady
Możesz waćpan ustąpić — Dobry — Skąd? — Poddany,
— To musi być zapewne nieoszacowany
Musi dobrze przypiekać recuszki, łazanki,
Do gustu pani wojskiej, panny podstolanki,
Ustąp go waćpan, przyjmą pana Matyasza,
Może go i ksiądz pleban użyć do kiermasza.
A pasztetnik? — Umiałci i pasztety robić
— Wierz mi waćpan, jeżeli mamy się sposobić
Do uczciwego życia, weźże ludzi zgodnych,
Kucharzy cudzoziemców, pasztetników modnych:
Trzeba i cukiernika. Serwis zwierciadlany,
Masz waćpan i figurki piękne z porcelany?
— Nie mam — Jak to być może? ale już rozumiem,
I luboż jeszcze trybu wiejskiego nie umiem,
Domyślam się. Na wety zastawiają pułki,
Tam w pięknych piramidach krajanki, gomułki,
Tatarskie ziele w cukrze, imbier chiński w miodzie:
Zaś ku większej pociesze razem i wygodzie,
W ładunkach bibułowych kmin kandyzowany,
A na wierzchu toruński piernik pozłacany.
Szkoda mówić, to pięknie, wybornie i grzecznie,
Ale wybacz mi waćpan, że się stawię sprzecznie:
Jam niegodna tych parad, takiej wspaniałości. —
Zmilczałem, wolno było żartować jejmości.
Wjeżdżamy już we wrota, spojrzała z karety:
— A pfe mospanie! parkan czemu nie sztachety?
Wysiadła: a z nią suczka, i kotka i myszka.
Odepchnęła starego szafarza Franciszka.
Lzy mu w oczach stanęły, jam westchnął. W drzwi wchodzi:
— To nasz ksiądz pleban — Kłaniam — Zmarszczył się dobrodziej,
— Gdzie sala? — Tu jadamy — Kto widział tak jadać!
Mała izba, czterdziestu nie może tu siadać:
Aż się wzdrygnął Franciszek, skoro to wyrzekła,
A klucznica natychmiast ze strachu uciekła.
Jam został: idziem dalej; tu pokój sypialny.
— A pokój do bawienia? Tam gdzie i jadalny;
— To być nigdy nie może; — A gabinet? — Dalej,
Ten będzie dla waćpani, a tu będziem spali.
— Spali? proszę, mospanie, do swoich pokojów.
Ja muszę mieć osobne od spania, od strojów,
Od książek, od muzyki, od zabaw prywatnych,
Dla panien pokojowych, dla służebnic płatnych,
A ogród? — Są kwatery z bukszpanu, ligustru:
— Wyrzucić; nie potrzeba przydatniego lustru.

To niemczyzna. Niech będą z cyprysów gaiki,
Mruczące po kamykach, gdzieniegdzie strumyki,
Tu kjosk, a tu meczecik, holenderskie wanny,
Tu domek pustelnika, tam kościół Dyanny;
Wszystko jak od niechcenia, jakby od igraszki,
Belwederek maleńki, klateczki na ptaszki.
A tu słowik miłośnie szczebioce do ucha,
Synogarlica jęczy, a gołąbek grucha:
A ja sobie rozmyślam pomiędzy cyprysy,
Nad nieszczęściem Pameli albo Heloisy...
Uciekłem, jak się jejmość rozpoczęła zżymać,
Już też więcej nie mogłem tych bajek wytrzymać,
Uciekłem. Jejmość w rządy: pełno w domu wrzawy,
Trzy sztafety w tygodniu poszło do Warszawy;
W dwa tygodnie już domu i poznać nie można.
Jejmość w planty obfita a w dziełach przemożna,
Z stołowej izby balki wyrzuciwszy stare,
Dała sufit, a na nim Wenery ofiarę.
Już alkowa złocona w sypialnym pokoju,
Gipsem wymarmurzony gabinet od stroju.
Szły słoiki z apteczki, poszły konfitury,
A nowem dziełem kunsztu i architektury,
Z półek szafy mahoni, w nich książek bez liku,
A wszystkie po francuzku, globus na stoliku.
Buduar śklni się złotem, pełno porcelany,
Stoliki marmurowe, zwierciadlane ściany.
Zgoła przeszedł mój domek warszawskie pałace,
A ja w kącie nieborak, jak płaczę, tak płaczę.
To mniejsza, lecz gdy hurmem zjechali się goście,
Wykwintne kawalery, i modne jejmoście,
Bal, maski, trąby, kotły, gromadna muzyka:
Pan szambelan za zdrowie jejmości wykrzyka,
Pan adjutant wypija moje stare wino.
A jejmość w kącie siedząc z panią starościną,
Kiedy się ja uwijam, jako jaki sługa,
Coraz na mnie pogląda, śmieje się i mruga,
Po wieczerzy fajerwerk, goście patrzą z sali,
W padł szmermel między gumna, stodoła się pali:
Ja wybiegam, ja gaszę, ratuję i płaczę,
A tu brzmią coraz głośniej na wiwat trębacze,
Powracam zmordowany od pogorzeliska:
Nowe żarty, przymówki, nowe pośmiewiska.
Siedzą goście, a coraz więcej ich przybywa,
Przekładam zbytni ekspens: jejmość zapalczywa,
Z swojemi czterma wsiami odzywa się dwornie:
— I osiem nie wystarczy, przekładam pokornie.
— To się wróćmy do miasta. - Zezwoliłem jedziem,
Już tu od kilku niedziel zbytkujem i siedzim.
Już... ale dobrze mi tak, choć frasunek bodzie:
Cóż mam czynić? próżny żal, jak mówią, po szkodzie.

SATYRA IX.

Życie dworskie.

Joachimie! już młodość poryweza uciekła,
I wieku dojrzałego już pora dociekła;
Ta pora, w której żądze słabieć zaczynają,
Strawiłeś lata twoje między dworską zgrają;
Zrazu młodzian, dojrzalszy potem, profes teraz,
Zyskujący, zdradzony, oszukany nie raz,
Zgoła dworak. Więc naucz, świadom znamienicie,
Na czem zawisło, jakie u dworu jest życie?
Milczysz, znać żeś jest dworak, ja wieśniak opowiem:
Naprzód, (trzeba te rzeczy brać z lekka), albowiem
Obraziłbym i wielu, gdybym prawdę szczerą
Objawiał, a niezwykłą dworom manijerą
Grzeczność talent nie lada, ten rad w dworach gości,
Ten kształci oświecone jaśnie wielmożności,
Ten jest cechą każdego, co się dworu ima,
Co pozoru ma nazbyt, a istoty nie ma.
Zgoła co jest dworakiem. Panie Joachimie,
Powiedz, co tam w ohydzie, a co tam w estymie?
— Cnota — Waszmość żartujesz: kunsztem wielorakiem,
Umiałeś żyć u dworu, i jesteś dworakiem.
A ja prostak, a przecież chciałbym z tego toru,
Coś pojąć i okryślić, jak żyją u dworu.
Źlem się udał, daremniem staranie postradał,
A któż się u dworaków o prawdzie wybadał?
Więc coś nie opowiedział, choć wiesz, a wiesz ściśle,
Ja co nie wiem, na domysł powiem i okryślę,
Dwór, jest to wybór ludzi, tak mówi świat grzeczny:
Ale świat pospolity zdaniu temu sprzeczny.
Kto z nich lepiej osądził? Grzeczny mówi wdzięcznie:
Cnotę, dowcip, talenta, umieszczone zręcznie,
Dwór najlepiej obwieszcza. Świat prosty, a szczery,
Jak z łupin, człeka łuszcząc z dobrej manijery;
Gdy nie patrzy, kto czyni, lecz o co rzecz chodzi,
Wszystko zwie po imieniu: Piotr kradł, więc Piotr złodziej.
—To prawda, lecz nie grzeczna, wyraz zbyt dosadnie:
— Jakże to pięknie nazwać, kiedy Piotr okradnie?
—Można prawdę powiedzieć, ale tonem grzecznym,
Piotr się wprawił w rzemieśle trochę niebezpiecznym,
Piotr zażył, a nie swoje, kunsztownie pożyczył:
Zgoła tyle sposobów grzecznych będziesz liczył,
Tak fałsz będziesz uwieńczał, do prawdy sposobił,
Że na to wreszcie wyjdzie: Piotr kradł, dobrze zrobił.
Fałsz grzeczny, to styl dworu, i moneta w kursie:
Wszędzie on się tam mieści, w dziełach i dyskursie,
I choć nakształt liczmanów z siebie nic nie waży,
Nadali mu panowie walor do przedaży.
Więc ten fant wielce zdatny, i każdy go chowa,
Stąd grzeczne oświadczenia, stąd pieszczone słowa,
Stąd ostrożna nienawiść, i podejścia sztuczne,
Stąd łaski oświadczenia, łaknącym nietuczne:
Stąd zgoła wszystko pozór a mało istoty,
Fałszywe słowa, dzieła, dobrodziejstwa, cnoty,
Stąd... ale dość już tego. Chciwy o puściznę,
Wlecze się Piotr z poranku, na dzienną pańszczyznę:
Uprzedził go Mikołaj. Ściskają się oba,
Jak się masz przyjacielu? jak ci się podoba
Dzień dzisiejszy?—Pogodny—Cieszę się - Ja wzajem,
Idzie dyskurs uprzejmy zwykłym obyczajem.
Już się sobie zwierzyli, o czem i nie myślą,
Więc obcych wizerunki malują i kryślą,
Jan? — to oszust,—Bartłomiej?—to szuler wierutny;
Jędrzej? — Mędrek. — Wincenty? — Dziwak bałamutny.
Franciszek? — On ma rozum tylko przy kieliszku.
Wchodzi, aż ci do niego. — Witajże braciszku!
A Franciszek co właśnie z nich czynił igrzyska,
— Witajcież kochankowie! całuje i ściska.
Już ciżba, ci w dyskursach, ci szepcą do ucha.
Ten niby z drugim gada, a trzeciego słucha;
Tamten łże, a co słucha, łżącemu nie wierzy.
Tomasz stoi, a z boku układa i mierzy:
Jędrzej mu nie do kroju, więc Jędrzej ladaco.
Stawia sidła, a dzienną niezwątlony pracą,
Patrzy w ciżbę, gdzie natrzeć: jakoż się już wtłoczył,

Już świeżego wśród zgrai domatora zoczył.
Już przyjaciel serdeczny, sekretów się zwierza,
A na znak poufałych afektów przymierza,
Zmyślił piękną nowinę szeptając do ucha:
Ten już przedał, co kupił, wieść nie lada grucha,
Dopiero w politykę, — Nim pan wszedł do sali,
Już jedne państwa znieśli, drugie rozebrali:
Jędrzej zyskał Neapol za królową Bonę,
Marek ojcu świętemu darował Lizbonę,
Nie masz Turków, rwą Persy, strach koło Japonów.
Drzwi się znagła otwarły. Aż tysiąc ukłonów,
Wchodzi pan, już umilkła świegotliwa zgraja,
Każden się innym kształtem łasi i przyczaja.
Każdy patrzy na pana, a z wzroku docieka,
Czego albo się chroni, albo na co czeka.
Wszystkie usta się śmieją, ciągną wszystkie szyje,
Ten się pcha, ten potrąca, ten się jak wąż wije,
Wszyscy na to, kogoby pan giestem oznaczył;
Spojrzał pan na Szymona, dniem dobrym uraczył:
Ażci Szymon w promieniach śmieje się i mruga.
Jan go kocha serdecznie, Piotr najniższy sługa,
Bartłomiej go uwielbia, a Krzysztof go ściska.
Wszyscy hurmem do niego zdaleka i zbliska:
A Szymon pełen wdzięków i niby pokorny,
Mając zaraz na sprzedaż uśmiech i giest, dworny,
Tym go daje w dwójnasób, a tym przez połowę:
Łapią w lot, a już szczęścia stąd biorąc osnowę,
Ten, który trzema słowy Szymona się szczycił,
Gardzi tym, który tylko półtora uchwycił.
Piotr dostał pół uśmiechu, Jędrzej ćwierć spojrzenia.
Szczęśliwy, kto z przyjaznej fortuny zdarzenia
Tyle zyskał, czekając przez nie jeden tydzień,
Że wypadł z ust Szymona dla niego dobrydzień.
I nie próżno, bo mniejszych choć fawor nie szczyci,
Są z łaski faworytów, wicefaworyci.
Urząd to nie wysoki, lecz przecie wygodny,
A przemysł dworów zawsze w kunszta nowe płodny,
Dzieląc fawor, jak wilgoć w drzewie przez zawiązki,
Z pnia w konary, z konarów przesącza w gałązki.
O barwie faworytów niech się nikt nie pyta,
Poznać z miny zuchwałej sługę faworyta.
Choć nierówne teatrum, gdzie są umieszczeni,
Co pan w izbie, to słudzy dokazują w sieni.
Paweł, co w dworskiej służbie strawił lat trzydzieści;
Śwista z szpakiem ministra, psem się jego pieści,
Pochlebuje lokajom, z lauframi się wita,
Dobrze mu się też każda nadaje wizyta.
Jemu szwajcar otwiera drzwi z wdzięcznym uśmiechem:
Jemu lokaje służyć gotowi z pośpiechem:
A co większa, ów pański strzelec poufały,
Raczy słuchać te, co mu opiewa, pochwały.
Nawet jejmość (nie jejmość, jak to pierwej zwali,
Ci co z prosta tak pańskie żony mianowali),
Ale jejmość afektów, jejmość wdzięcznej chęci,
Jejmość miłosno władna, na dowód pamięci,
Uszczypnęła go w ramie. Kontent, głodny czeka,
Już ujrzał perspektywę szczęścia choć z daleka.
Wkrótce bowiem skutecznej łaskę uprzejmości
Zyskał, przez garderobę wchód do jegomości.
W pierwiastkach nieświadomy Rzym praktyk faworu,
Stawiał cnoty przysionek przed domem honoru.
Przyszły pany, upadłe szanowne świątnice:
A przybytków fortuny dumne okolice,
Objął przysionek pochlebstw, matactwa i datków.
Otóż dwór, Joachimie, z skutków i zadatków:
Temi ścieszki iść musi, kto dworu się trzyma.
Wsi swobodna! szczęśliwy kto ciebie się ima,
Niekształtne twoje zyski, prawda, ale trwałe;
Niech dwór stawia złudzonym widoki wspaniałe,
Niechaj cieszy nadzieją niźli się ta ziści,
Lepsze małe, lecz pewne, wieśniackie korzyści.

SATYRA X.

Pan niewart sługi.

I wziął tylko pięćdziesiąt. — Wieleż miał wziąć? — Trzysta:
Tak to z dobrego pana zły sługa korzysta.
A za cóż te pięćdziesiąt? — Psa trącił. — Cóż z tego?
— Ale psa faworyta jegomościnego.
— Prawda, wielki kryminał, ale i plag wiele.
— To łaska, że pięćdziesiąt. — I nieprzyjaciele
Taką łaskę wyświadczą. — On najlepszy z panów,
On sto plag nigdy nie dał. — Mów lepiej z tyranów,
Co dom czynią katownią, a na płacz nie czuli,
Z wnętrzności się człowieczych ku sługom wyzuli.
Ten, co gdy był sam sługą, dobre miewał pany,
Porzuciwszy niedawno podłe pasamany,
Co się niegdyś pokornie nazywał Maciejem,
Dziś jest jaśnie wielmożnym mości dobrodziejem.
Z za karety, gdzie stawał, przesiadł się w karetę,
W mundur barwę zamienił, a nader obfite,
Mając zacności swojej próby oczywiste,
I herb znalazł, i przodków i panegirystę.
Niech ziółko w krzaczek idzie, choćby w dąb urosło.
Wolno igrać fortunie, jej to jest rzemiosło;
Cudotworna, na krzesła przerabia warsztaty.
— Maciej chłop, — I cóż z tego? ale że bogaty,
Maciej szlachcic. — Niech będzie, ja nie chcę kaduka.
Ale Maciej łakomy i złych zysków szuka;
Nie pracą, lecz podejściem majętność pomnożył:
Ale nie kładł, gdzie trzeba; wziął gdzie niepołożył:
Ale Maciej niewdzięczny tym, u których służył,
Ale Maciej bogactwa na złe tylko użył,
Ale Maciej nieludzki; to satyra karze.
Nie dba na to, kto w jakiej zostaje maszkarze,
Odrzuca czczą wielmożność: a gdy z chłostą czeka,
Nie szlachcica, nie chłopa ściga, lecz człowieka.
Śpi jegomość w południe, choć pracy nie użył,
Nie śpi Marcin, noc całą i oka nie zmrużył:
Wolno panom, i nadto zbytek im nie wadzi:
Choć mało, nie godzi się ubogiej czeladzi.
Obudził się jegomość: Marcin, co czuł pilnie,
Krząta się, chce jak może, dogodzić usilnie,
Nadaremne starania! któż panom dogodzi?
Jak legł, tak wstał niekontent jegomość dobrodziej:
Wszystko mu nie do gustu; noc na kartach strawił,
Wszystko źle, zgrał się, wczoraj klejnoty zastawił,
Przyszedł kupiec z rejestrem, termin przypomina,
Trzeba oddać, a nie masz; sto plag dla Marcina,
Płacze w kącie: więc krnąbrny: po plagach się schował.
Dali drugie w dwójnasób, za co nie dziękował?
Więc dziękuje, a płacze, ochłonął pan przecie:
I Marcin, że po drugich nie przyszły i trzecie.
Katów waszych, nie panów zjadłości igrzyska,
Nędzni! bydlęta z pracy, a sługi z nazwiska,
I płakać wam nie wolno, mówić jeszcze gorzej!
Przyjdzie kara za słowem okrutna tem sporzej.
Paweł skąpy na czeladź, na zbytki utratny,

Za to, że od pół roku służący nie płatny,
Prosił go o posiłek, łaknący czas długi;
Dał plag dwieście za strawne, a sto za zasługi,
Hojny pan! stami karze, a płaci dziesiątkiem,
Nie źle zapomożony sługa takim wziątkiem,
Milczy: a widząc, że nie doprosi snadnie,
Co widocznie nie zyskał, po cichu ukradnie.
Zasmakuje rzemiosło, ażci złodziej w domu,
Zaprawił się na małej kwocie pokryjomu:
Pójdzie dalej, z początku trwożny i przelękły,
Ośmieli się; już kłódki, już zawiasy pękły;
Skradł skarbiec, zniknął z oczu, a odmienny stanem,
Przez kradzież, jakto teraz, zostanie i panem.
— A któż teraz okradł? — Nie odpowiem snadnie:
Raczej pytaj, mój bracie, kto teraz nie kradnie?
Stracił ten kunszt odrazę, przemyślnych oświeca,
Dla głupich, dla ubogich tylko szubienica;
Inaczej o tych rzeczach świat mądry rozumie,
Nie karzą, że ktoś okradł; lecz, że kraść nie umie.
Ale to nie o sługach. Zwyczajne u dworu
Są stopnie: jedne zysku, a drugie honoru.
Jaśnie wielmożny tyran, bożek okoliczny,
Dla większej wspaniałości, raczy mieć dwór liczny.
Stąd wyższe urzędniki, niższe posługacze;
Pan koniuszy, co bije; masztalerz, co płacze;
Pan podskarbi, co kradnie; piwniczny, co zmyka;
Sługa pieszy, dworzanin, co ma pacholika;
Pokojowiec przez zaszczyt wspaniałemu sercu,
A dla tego, że szlachcic, bierze na kobiercu
Pan architekt, co planty bez skutku wymyśla;
Pan doktor, co zabija; sekretarz, co zmyśla;
Pan rachmistrz, co łże w liczbie: gumienny, co w mierze;
Plenipotent, co w sądzie; komisarz, co bierze
Więcej jeszcze, jak daje; a złodziejów mniejszych
Kradnąc, sam jest użyty do usług ważniejszych,
Łowczy, co je zwierzynę, a w polu nie bywa;
Stary szafarz, co zawsze panu potakiwa;
Pan kapitan, co Żydów drze, kiedy się proszą;
Żołnierze, co potrawy na stół w galę noszą;
Kapral, co więcej jeszcze kradnie, niż dragani;
I dobosz, co pod okna capstryk tarabani;
A kiedy do kościoła jedzie z gronem gości,
Bije w dziurawy bęben werbel jegomości.
Mają króle marszałków: co być królem może,
Jak ma być bez marszałka? gale i podróże,
Szlachci dumny urzędnik, namiestnik powagi,
Wice-tyran; bez niego i chłosty i plagi
Nie miałyby zaszczytu. On kary rozdawca,
On rozrządziciel męczeństw, on katowni sprawca.
A jak niegdyś przed rzymskim konsulem topory,
Niosły kar wykonacze, bezwzględne liktory;
Tak przed srogim marszałkiem sążniste pajuki,
Niosą skórom pamiętne, boćkowskie kańczuki.
Wchodzi; zewsząd jęczenia i płacze się wznoszą,
Oprawcy, gdy rozkazy srogie nędznym głoszą,
Dom się wrzaskiem napełnia; płacz sług pana cieszy,
Wspaniały jękiem nędznych, płaczem służnej rzeszy,
Rzuca groźnem spojrzeniem nieszczęśliwe losy,
Karmią słuch Neronowy płaczliwe odgłosy.
A w powszechnym nieszczęsnej czeladzi ucisku,
Gdy przekleństw, narzekania, dań odnosi w zysku,
Czuje, że pan, bo gnębi. Jestże usłużony?
Bynajmniej; szczęścia tego nie znały Nerony.
Służy wiernie, kto kocha; nie ma sług, kto dręczy;
Niewolnik, co pod jarzmem obelżywem jęczy,
Dźwiga ciężar w przekleństwie na tego, co włożył:
Klnie los, co się tym zjadlej dla niego nasrożył,
Tym dotkliwszym, odjąwszy wolność, skarał stanem,
Gdy kazał służyć temu; co nie wart być panem.

SATYRA XI.

Gracz.

Słusznie niżnik czerwienny, a kinal z nazwiska,
Uczczony matedorstwem. Jemu kart igrzyska
Winniśmy: a walecznym dumne bohatyrem,
Wyszłe na świat szulery pod wodzem Lahirem.
Tak się zwał ten, co pierwszy dla zabawnej spółki,
Pod różnemi barwami zebrał cztery pułki:
I każąc się bić lalkom, głupiego gdy bawił,
Wszystkim jego następcom kunszt zacny objawił.
Weszły karty w potrzebę, tak jak innych wiela,
Których dziwacki wymysł gdy ludziom udziela,
Płacimy haracz modzie. Stąd tyrany nowe,
Króle winne, czerwienne, żołędne, dzwonkowe,
Bez względu na poddanych majątku ostatki,
Coraz cięższe wkładają jarzma i podatki.
Łask pańskich (jak zazwyczaj), rywale, rywalki,
Dworzany niżnikowie, faworytki kralki,
Zawsze w wojnie, a z nimi i ich adherenci,
Biją wszyskich, skoro się ich kolor wyświęci.
Król najstarszy u innych; nasz jarzmu niezdolny,
Pod tuzem, jak pod prawem, sadza go lud wolny:
Bije więc wstępnym bojem i króle i kralki,
A my głupi, co gramy: płacimy za lalki.
I lalki nam też płacą Co ziemi i piędzi
Nie miał przedtem, dziś Marek hrabia na żołędzi,
Z łaski malowanego króla jegomości
Posiada summy, weksle, fanty, majętności.
Jako strumyk, co zlekka po kamyczkach ścieka,
Nim się z niego tak znaczna ustanowi rzeka,
Iż ją majtek w żegludze żartkiem porze wiosłem;
Tak szedł Marek do zbiorów szulerskiem rzemiosłem.
Podłe są gier wspaniałych pierwsze towarzyszki:
Chcesz przyjść do Faraona, trzeba zacząć w pliszki,
Trzeba skrzętnem staraniem, gdy pora użycza,
Próbować różnych losów, i w rusa, i w bicza;
A zacząwszy w ciskankę z chołpcy po miesiącu,
Kończyć z pany wśród luster, grając po tysiącu;
Najśmielej wódz takowy do zwycięztwa zmierza,
Który się od prostego dosłużył żołnierza.
O wy! dusze wyborne, i większe nad prawo!
Wspaniały punkt honoru, co trzymając żwawo,
Zaufani że na was cios kary, nie natrze,
Na bankowym fortunę stawiacie teatrze:
A szacownej wolności chcący zostać wzorem;
Domy wasze stawiacie szulerstwu otworem.
Pozwólcie dusze wielkie! dusze uwielbione!
Niechaj igrzysk fortuny uchylę zasłonę.
Assamble: Niosą karty, i sztony i marki,
A jako bankierowie na walne jarmarki;
Zasiadają szulery, w wielkie dzieła wprawne,
Koło nich, jak na smyczy, pacyenty sławne.
Ten nowy kabalista zaczyna kwerendy,
Stawił na piątkę z asem połowę arendy:
Tamten zazdrośnem okiem patrząc na kolegę,
Sypie na kralkę pełną pszenicy komiegę.

Przegrał niżnik, ów niżnik, co się był tak wsławił,
Zgniótł Antoni złoczyńcę, i w komin wyprawił.
Marcin damie łeb urwał za dwa łaszty żyta,
Klnie Jędrzej nieszczęśliwy i zębami zgrzyta;
A że sąsiad na takąż, jak on, kartę stawia,
Dąsa się na sąsiada, mruczy i przymawia.
I ów przegrał i westchnął, a Jędrzej się cieszy,
Coraz więcej zgromadza zysk szulerskiej rzeszy:
Złoto brzęczy, ten daje, a tamtem odbiera:
Ów, że przegrał, za siebie coraz się obziera.
Ktoś mu przyniósł nieszczęście. Piotr przegrał na kralkę
Byłby i więcej przegrał: szczęściem postrzegł balkę,
Posunął się a miejsca gdy lepszego siąga,
Już nietrwożny, jak siedzi, zgrał się do szeląga.
Zgrał się, a nowy Tytan zjadłością rozżarty,
Jak Ossę i Pelion, rzucił w górę karty;
Wyzywa, a w perorach żwawo rozpoczętych,
Bluźni żywych, umarłych, i grzesznych i świętych.
Piotr więcej jeszcze przegrał, przecież się uśmiecha,
Śmiech w uściech, a łzy w oczach, więc tajemnie wzdycha,
Żal dokucza, wstyd broni: trójka nieszczęśliwa,
Trójka niegdyś pomyślna, a teraz zdradliwa,
Poczwórnem złem padnieniem zgubiła go marnie,
Osierocone złoto, chciwy bankier garnie;
Nie masz czasu i żegnać miłe towarzysze,
Poszedł smutny: siadł w kącie, i satyry pisze
Pisz bracie! dobre będą, piękne i zbawienne.
W drugim kącie na losy płaczący odmienne,
Co największa pociecha strapionego gracza,
Znalazł Łukasz nieszczęsnych awantur słuchacza;
Za nic Rzymu i Aten sławne oratory,
Naówczas, kiedy szuler płaczliwe perory
Rozpoczyna wybornym sposobem i kształtem;
Jakim los rozjuszony niesłychanym gwałtem
Srożył się, jak tylekroć szczęsne i wygrane,
Owe karty z kabały, karty doznawane,
Odmieniły się wszystkie, odmieniły nagle.
A gdy dął wiatr pomyślny w rozpuszczone żagle,
Gdy już okręt ku mecie dążył w bystrym biegu,
Gdy już portu dotykał, rozbił się na brzegu.
Rozbił się, umilkł mówca... westchnął! głową kiwnął:
Rozbił!... powtórzył słuchacz, i żałośnie ziwnął.
Wrzask - o co?—Jak nie wrzeszczeć! zyski oczywiste
Stracił Jan: wielkim głosem wotum uroczyste,
Co w zaklęciu wskróś serca słyszących przenika,
Czyni, że grać nie będzie... i stawia niżnika.
Stawia zdrajcę, co tyle złota na bank wegnał,
Stawia na pożegnanie: przegrał... nie pożegnał,
A losów nieszczęśliwych dopełniając miarki,
Pozbywszy gotowizny, gra teraz na marki.
Źle rzecz sądzić z pozoru. O marki! o sztony!
Któżby zgadł, żeście czasem warte miliony!
Spytaj Jana, opowie, kościanemi znaki,
Jak z sług pany, a z panów stały się żebraki.
Piotr kontent, Piotr, co wczoraj trzysta nie żałował:
Dziś wziął rewanż, trzy wygrał, do kieszeni schował:
Oszukał, bo grać przestał, tych, co wczoraj zgrali,
Jęczą nad srogą zemstą, więc się ich użali:
Niech wygrane odbiorą: stawił, przegrał: drugą,
I ta poszła; nie bawiąc z odgrywaniem długo,
Co chciał pocieszyć, niby zawstydzone franty,
Dał pięćset w gotowiźnie, a tysiąc na fanty.
Przegrał, lecz pięknie przegrał, nie oszczędza zbioru,
Ale przegrał na słowo, a to dług honoru.
Niech głód mrą, niech klną pana służący niepłatni,
Żebrak on na potrzeby, na zbytki dostatni.
Pierwszy dług kart u niego, niż zasług, niż cnoty,
Woli płacić za kralkę, niż wspomódz sieroty.
Nie kazał tak król polski, lecz kazał czerwienny:
A zbytek coraz w głupich zapędach odmienny,
Wtem tylko jest stateczny, że niecnotę wdzięczy.
To nie honor zapłacić, gdy sierota jęczy;
Kiedy płacze rzemieślnik, sługa strawion pracą.
A honor, gdy się zbytki i niecnoty płacą!
Jan objął po rodzicach majętność dostatnią,
Wjechał w miasto, a wpadłszy w filutowską matnią,
W takie go facyendy wprawił kunszt łotrowski,
Że w rok poszły intraty, i summy i wioski.
Cóż teraz czyni? oto widząc w worku pustki,
Z szóstek roti siódemki, a z siódemek szóstki.
Żyje więc jeszcze lepiej: niż kiedy był panem:
A teraźniejszym dobrze dyrygując stanem,
Kto wie, jeźli co przegrał, nazad nie odkupi.
A jak zdradę postrzegą? Albo to Piotr głupi?
Wyćwiczył się on nie źle. Są mistrze uczeni,
Co kiedy zechcą żołądź uczynią z czerwieni,
Co panfila z kinała; a gdy karta zmyka,
Z króla krałkę uczynią, a z tuza niżnika.
Świat się przepolerował. Bogdajby był dziki,
Bodaj wiecznie przepadły tuzy i niżniki!
Dla głupich się zaczęły, mądrzy je przejęli;
I coby się kartami tylko bawić mieli,
Tracą na nich czas drogi, majątek i cnotę;
A zbrodni filuterskich przejmując ochotę,
Oszukani, utratni, zdrajcy, i oszusty.
Płacą głupstwu dań zdzierstwa, zbytków i rozpusty.

SATYRA XII.

Pochwała milczenia.

Co nie jest do istności, co brak w liczby rzędzie,
Tem mniemamy milczenie, i jesteśmy w błędzie.
Pozor je tak osądził ale pozor zdradny.
Jest w niem przymiot istotny, jest przymiot dokładny;
Zgoła jest rzeczą dobrą, zdatną, pożyteczną.
Pisarze i gadacze! znam waszą myśl sprzeczną,
Przecież na was powstanę. Ty, co ci się marzy,
Ty, co bredzisz, co zmyślasz; czasem ci się zdarzy,
Że utrudzony krzykiem, którym drugich nudzisz,
Umilkniesz, a że płochą powieścią nie trudzisz;
Żeś dał uszom spoczynek; wielbią cię słuchacze:
Oddawaj hołd milczeniu. Wy sławni matacze!
Wy szalbierze z rzemiosła, wy zdrajcy z urzędu,
Professy dzieł nieprawych, wy niegodni względu:
Wy co słowem, co piórem, umiecie kaleczyć;
Wy, których dziełem, trudem, łgać, zdradzać, złorzeczyć,
Zbyt poznani, milczycie, a głupi wam wierzy.
Hipokryty! wśród waszych wzdychań i pacierzy,
Zdradne milczenie, wtenczas, gdy cnota nie milczy:
Pod jagnięcym pozorem ukrywa jad wilczy.
Szarpacze cudzej sławy, dzielni błąd dociekać,
Wiecie, jak zdradniej milczeć, niżli jawnie szczekać:
Wiecie, a cnota jęczy: stąd zasługi tajne,
Stąd talenta w pogardzie, stąd dusze przedajne;
Stąd nieszczęście poczciwych; a przeciw naturze,
Cnota w podłej siermiędze, występek w purpurze.
Dworaki! w nieprawości wyćwiczeni szkole,
Wy, co w sztucznym, a zdradnym, podstępów mozole
Kładziecie cały polor; strzeżcie się widoku.

Maska coście przywdzieli, patrzających wzroku
Nie osłabi: odkryją zdradę omamienia.
Dusze podłe! nurzcie się w otchłaniach milczenia.
Trwożliwa jest poczciwość: nie jest jej kunszt głuszyć,
Jakże ją z zaniedbanych kryjówek wyruszyć?
Mógłbyś, Pawle, bo czujesz choć pełen szkarady,
Mógłbyś, bo masz czołgaczów, coś wysłał na zwiady.
Mógłbyś bo w twoich ręku los prawego człeka.
Czegoz się cnota, Pawle, od ciebie doczeka?
Milczeniem ją przytłumisz, więc skromna i cicha,
Nieznajoma u dworów narzeka i wzdycha
Wzdycha nie tak o siebie, bo sobie wystarczy:
Ale gdy na nię podstęp niegodziwy warczy;
Gdy wydziera sposobność, aby zdatną była,
Jęczy, iż chcąc nie może, by uszczęśliwiła.
Niegdyś służyć ojczyźnie hasłem było człeka.
Święte hasło! gdzieżeś jest? zmilczane od wieka,
Odgłosie serc poczciwych, niezmazanej duszy,
Już się o nasze płoche nie obijasz uszy.
Dobrze milczeć, bo płacą: szukaj wpośród wiela,
Jest gmin, ale kto znajdzie w nim obywatela?
O wy! których powinność prawdę mówić jawnie,
Mówić słowo, przykładem potwierdzać ustawnie,
Milczenie was potępia, gdy myśl świecka trwoży:
Świętą śmiałość, bezwzględną, niesie zakon boży.
Zbyt trwożliwą roztropność jak zgodzicie z stanem?
Znać, czuć, mówić, dać przykład, to jest być kapłanem.
Milczenie! w skutkach byważ złe, lecz nie w istocie.
Zrzuć barwę, co cię podli, a towarzysz cnocie;
W świetnym się blasku wydasz.—O święto wymowne,
Wtenczas, gdy uszy pochlebstw wdziękom niewarowne,
Uszy pieszczone panów, do pochwał przywykłe,
Za korzyść biorąc brzęki łudzące i znikłe,
Słyszą pochwałę zbrodni, jakby cnotą była:
Wieleż dzielność milczenia zbrodni poprawiła!
Zdało się być przestępne: lecz umysł, co błądził,
Swiętą niemotę z czasem, czem była, osądził.
Serc niewinnych okraso, skromności i wstydzie,
Nie daj się szerzyć słowom ku twojej ohydzie:
Wznoś żądze ku milczeniu, ażeby cię strzegło.
Mniej od miecza rażonych na placu poległo,
Niż tych, co dzielne w jadzie, w złych skutkach zamożne,
Zgubiło jedno słowo, wolne, nieostrożne,
Niegdyś zbrodnią to było, co dziś żartem mienią.
Płochość z głupstwem nie znają, co wielbią i cenią:
Nieszczęśliwie uwolnion od cnotliwej dziczy,
Przywykł sprosnym wyrazom słuch czujny dziewiczy;
Stąd młodsze gdy w ubite starszych wchodzą tropy,
Pełno widzim Messalin, rzadkie Penelopy.
Święta niemoto! gdybyś opanować chciała
Te usta których zbrodnia szkaradna, zuchwała,
Jak z źródła, gdy obficie w zarazie wytryska,
Śmie z świętości żart czynić, a z cnoty igrzyska.
Wznieś porę pożądaną, i wiekom pamiętną,
Niech zdrajcy: co mądrości znieważyli piętno,
Piętno właściwe cnocie, którą nienawidzą,
Niech poznają, co szpecą, i niechaj się wstydzą;
A jeźli głos wznieść śmieją, daj tego doczekać,
Niech mają dar mówienia, ażeby odszczekać.
Milczenie, sprawco myśli! w twojem łonie żywa
Wznosi się, działa, krzewi, poznaje, odkrywa.
Z twych łożysk buja, wolna od zmyślnej katuszy,
Wywyższona poznaje jaka dzielność duszy:
Szuka celu, choć widzi wyższy nad jej silność,
Nieobjęty żądaniem, tłumiący usilność,
Przecież się lotem wzmaga, a w zapędy płodna;
Poznaje przyszłą istność; czuje, czego godna.

SATYRA XIII

Pochwała wieku.

Lepiej teraz niż przedtem—Dlaczego?—bo lepiej,
—To dowód oczywisty.—Świat się coraz krzepi.
Nabrał z laty rozumu, a im bardziej stary,
Tym dzielniej zeszły, co go szpeciły, przywary.
—Ale dlaczego lepiej—Dla tego, że byli
Lepsze syny od ojców, co nas poprawili.—
—Więc zmyślał ów Horacy?—zmyślał—toć i wierzę.
—Człowiek przedtem był prosty i dziki, jak zwierze,
Dziś jest istność rozumna, ale jak rozumna!
Z szkół, z obozu, z warsztatu, nawet i od gumna,
Wszystko tchnie wytwornością, wszystko się zwiększyło,
Zgoła zawsze dziś lepiej niźli wczoraj było.
— Ale przecież o świecie zła się wieść roznosi,
Powiadają że się coś popsuło u osi,
Stąd już lato, nie lato, a zima, nie zima.
— Bajki, powieści, godne mamek lub pielgrzyma,
Nawet i kalendarza, ale to ogólnie.
Chcesz abym lepszość naszę dowodził szczególnie?
—Zgoda—Więc... ale skądże wywodzić pochwały?
— Naprzykład pisma nasze — to oryginały,
I choć czasem zdaje się iż dawnych skradamy,
Gdy im czynim ten honor, wtenczas poprawiamy.
Drzymał Homer niekiedy: fraszka zadrzymanie:
My nie drzymiem, ale śpim: lecz to nasze spanie
Roi sny, których różność, wdzięki i wspaniałość,
W samej treści zawiera wszystkę doskonałość.
Żółwim krokiem szły przedtem nauki kłopotne.
My orły wybujałe orły bystrolotne.
Wzbiwszy pod same nieba rozpostarte skrzydła,
Z góry patrząc widzimy treści i prawidła.
Darmo się matka rzeczy z swem działaniem kryła;
Bystrość nasza zakąty ciemne wyśledziła.
Darmo wyrok najwyższy granice oznaczył,
Przeszedł człek, zdarł zasłonę, i jawnie obaczył,
Co było wiekom tajno. Więc sędzie dobrani,
Każdy, co jest, wychwala; a co było, gani.
Przewraca dawnych mozół działania na nice.
A rozpostarłszy bystre pojęcia granice,
W taki się lot zapuszcza, iz możnaby myślić,
Jak co lepiej wynaleźć, alboli okryślić.
Ten jest odgłos zbyt częsty, ale czyli bacznych,
Czy prawdy głosicielów, czy błędów dziwacznych?
Niech ci sądzą, co myślą, a myślą jak trzeba.
Pamięć, bystrość, pojęcie, są to dary nieba,
Ale ten skarb dzierżących nie zawsze bogaci,
Użycie go powiększa, użycie go traci.
Czytał Szymon, wie co, jak i kiedy się działo,
Lecz na tem zasadzony zbyt dumnie, zbyt śmiało,
Czyli się w piśmie uda do prozy, czy wierszy,
Za siebie tylko patrzy, i mniema że pierszy.
Stąd wyroki i w stylu, i w zdaniach opacznych,
Stąd nowe wynalazki systemów dziwacznych;
Stąd staremi pogardza, innych mało ceni:
Nie tak czynili, czynią prawdziwie uczeni.
Wiek mało dla nauki: powoli przychodzi,
Długo trzeba pracować, nim prace nagrodzi:
Ale też choć niespieszna, obfita nagroda.
Co powie prawy mędrzec, wiek wiekowi poda,
A te nasze światełka, co błyszczą dość jasno,
Jak się w punkcie rozświecą, tak w punkcie i zgasną.
Tłum mędrców: przedtem ledwo znaleźć było w tłumie,

Czyż się nowe przymioty odkryły w rozumie?
Czyli wspacznym obrotem wrócił się wiek złoty?
Czy świat dzielniejszą zyskał istność i obroty?
Też same, co i pierwej: jest tak, jak i było,
Lecz co się wszerz zyskało, wgłąb się utraciło.
Poszła w handel nauka, kramnicą drukarnie,
Głód kładzie pióro w rękę, zysk do pisma garnie.
Mają dowcip na zbyciu w ten jarmark otwarty,
Jak kramarze na łokcie, autory na karty.
A że w rzemiosło handlu, wkrada się łotrowstwo,
Stąd owo, co nas gnębi, ksiąg rozlicznych mnóstwo,
W których rozum, naukę, dowcip, wynalazki,
Zastępuje druk, papier, pozłota, obrazki.
Stąd, niby gazy kryte, wyrazy wszeteczne,
Stąd fałsze modnym tonem, stąd bluźnierstwa grzeczne,
Stąd owe nudne Muzy, a niezmiernie płodne:
Stąd zbiory anegdotów, czytania niegodne:
Stąd, pod nazwiskiem żartów dowcipnych, potwarze,
Bajki w rzęd abecadła; stąd dykcyonarze:
Zgoła pisma, niewarte nawet ksiąg nazwiska.
O Fauście! z twojej łaski druk głupstwa wyciska,
Dałeś łatwość naukom, dowcipowi cechę,
Ma świat, prawda, z przemysłu twojego pociechę:
Lecz z tych skarbnic mądrości nieprzerachowanych.
Za jedno dobre pismo sto głupstw drukowanych
Bajkami się lud bawi, drukarnia bogaci,
Nim diabła Bohomolec dał w swojej postaci,
Wiele książek, powieści, o strasznych poczwarach,
O wróżkach, zabobonach, upiorach i czarach,
Trwożyły naszych ojców! Ująwszy gromnicę,
Pobił ławnik z burmistrzem w rynku czarownicę:
Chcąc jednak pierwej dociec zupełnej pewności,
Pławił ją na powrozie w stawie podstarości.
Zdejmowały uroki stare baby dziecku,
Skakał na pustej baszcie diabeł po niemiecku:
Krzewiły się kołtuny, czarami nadane,
Gadały po francuzku baby opętane:
A czekając po kruczgankach na miejscach cudownych,
Nabawiały patrzących strachów niewymownych.
Co zbytniem dowierzaniem upłodził wiek przeszły,
W teraźniejszym podłące te przywary zeszły;
Ale też zbyt porywczym zaciekłszy się pędem,
Często, gdy błąd poprawia, śmie prawdę zwać błędem.
Roztropne zdania nasze szalą trzeba mierzyć,
Źle jest nadto dowierzać, gorzej nic nie wierzyć,
Że się obrzask pokaże w źle chowanem winie,
Nie likwor temu winien, ale złe naczynie.
Trafia się płód odrodny choć cnotliwej matki.
A dzikich latorośli poziome ostatki
Gdy ucina ogrodnik, drzewu to nie szkodzi,
Owszem piękniej wybuja, lepszy owoc rodzi.
Jest granica, za którą przechodzić nie wolno.
Mając porę, ochotę, i sposobność zdolną,
Dociekajmy, co możem, co dociec się godzi:
Wiek nasz w wielu odkryciach dawniejsze przechodzi.
Dzień dniu prawdę obwieszcza, godzinom godziny:
Z pracy ojców szczęśliwie korzystają syny.
A do zdatnego rzeczy stosując użycia,
Nowe wiekom późniejszym gotują odkrycia,
— Więc lepiej rzeczy idą; bo żywiej, bo sporzej.
— Sądź, jak chcesz: może lepiej, może też i gorzej.

SATYRA XIV.

Pochwała głupstwa.

A ja mówię, że głupstwo nie złym jest podziałem.
— Mądrość przecież zaszczytem, nierozum zakałem.
— Nie wchodzę ja w dysputę: rzecz jest niby jawna,
Maksyma teraźniejsza tak jako i dawna,
Każe szukać mądrości, a głupstwa się chronić.
Umieli zawsze ludzie od dobrego stronić,
A że głupstwo jest dobrem, stronili od niego.
Patrz na mędrca tetryka, głupca wesołego;
Tu pryska z twarzy zdrowie, tam zapadłe oczy,
Wlecze się chuda mądrość, spasłe głupstwo toczy,
A co lepsza, kto głupi, mądrością jest dumny,
A co gorsza, kto mądry, zna, że mniej rozumny.
Nasz pan Paweł, choć w głupstwie dni swoje postradał,
Skoro wszedł, wszystkich zgłuszył, Michała przegadał,
Michała co wiek z księgą trawi w gabinecie.
Prawda, Paweł razporaz nic do rzeczy plecie,
Ale żwawo i głośno, więc go zgraja słucha.
Zmiłuje się nakoniec przecie udobrucha,
Da mówić Michałowi, który w kącie wzdycha.
Zaczyna, dobrze mówi, ale mówi z cicha:
Aż w śmiech, co go słuchali: więc milczy zlękniony.
Dopieroż tym tryumfem głupiec uwielbiony,
Łże, bredzi, decyduje, a w zgrai nacisku,
Odbiera plauz mądrości i ma sławę w zysku.
Ale rzeczesz, pan Paweł nie probuje rzeczy.
Że czasem przykład jeden doświadczeniu przeczy,
Nie idzie, żeby zawsze podobne bywały.
— Prawda, ale w tej mierze dowód okazały,
Pawłów jest tysiącami, a rzadki w złym stanie:
Każdy w podobnym sobie ma upodobanie.
Więc głupi prędko znajdzie komu się podoba.
Mędrzec wieku okrasa, i kraju ozdoba,
Laur ma prawda, ale ten ni grzeje, ni tuczy,
Głupstwo go jawnie nęka, zazdrość w kącie mruczy.
Półmędrków rodzaj zjadły zbliska i zdaleka,
Gdy nie może ukąsić, jak szczeka, tak szczeka.
Sroga bitwa: a o co? o liść, lub kadzidła,
Bogdaj to w bractwie głupich, tam szczęścia prawidła:
Tam korzyści, tam rozkosz coraz żywsza z wiekiem,
Każdy kontent, bo czuje, że jest wielkim człekiem.
Fraszka sława na potem: co teraz, to moje.
O Pawle! niech ogłoszę uwielbienie twoje!
Pozwól....śmieje się....wielkiś... śmieje się i wierzy.
A że szczodrym wydziałem łaski swoje mierzy,
Za to, żem winny jemu szacunek oznaczył,
Lekkiem głowy skinieniem obdarzyć mnie raczył.
Tak Jowisz u Homera utwierdzał wyroki.
Choć stopień uwielbienia posiada wysoki,
Zniża się czasem Paweł, kiedy tego godni
Jurgieltowie chwalacze, autorowie głodni,
Ci, których niezmazana w sądzeniu rzetelność,
Gotowa za grosz patent dać na nieśmiertelność,
A przypisując dzieło temu, co druk płaci,
Pieniężnym bohatyrem kronikę bogaci.
Indy, Persy i Medy, Party, Baktryany
Zwyciężył Aleksander; więcej zawołany
Nasz mecenas bohatyr zdziałał i dokazał,
Zapłacił szczodrobliwie, dawne dzieje zmazał.
On sam sławy posiadacz, a prawem dziedzicznem,
Bo się przodków szeregiem zaszczycając licznym,
Pomimo Niesieckiego, sławne antenaty,
Stryjeczne i cioteczne licząc majestaty,

Tam gdzie słońce zapada, gdzie powstają zorza,
Sławny z dzieł, z krwi, z talentów, od morza do morza.
Co druk głosi, to prawda: od czegożby służył?
Płaci on, wielkim mężom w czem się świat zadłużył:
Płaci sławą, że się wszystko w świecie płaci,
Głupi możny, głodnego gdy mędrca bogaci,
Staje się jeszcze większym i mędrszym nad niego.
Po sławie, cóż nad zdrowie jest pożądańszego?
A może i przed sławą. To dobro jedyne:
Cóż potem, w życiu niezdrów, że po śmierci słynę?
Co mi po dobrem mieniu, gdy użyć nie mogę?
Co po wszystkiem, gdy słabość wznieca śmierci trwogę?
Tam kędy zdrowia nie masz jakiż zysk powabi?
Rycerstwo króci życie, mądrość zmysły słabi:
Praca siły wywnętrza, skrzętność zbyt zaprząta,
Wszędzie gorycz w pośrodku korzyści się pląta:
Zgoła w zysku bez zdrowia musimy szkodować:
Jakże siły utrzymać? Jak czerstwość zachować?
Próżno krzyczy Hypokrat, próżno Galen szepta:
Głupstwo, głupstwo, o bracia! jedyna recepta.
Skarbie nie dość wielbiony: choć wielu bogacisz,
Nie przebierzesz się nigdy, ceny nie utracisz
Obdarzasz, lecz niewdzięcznych; choć miła spuścizna,
Głupców tłumy niezmierne, a nikt się nie przyzna.
Wszyscy mądrzy. Nikt siebie prawdziwie nie widzi:
Czem nie jest, tem być pragnie: czem jest tem się brzydzi.
Pełno w świecie obłudy, wkrada się i w fraszki,
Wewnątrz skryta osoba, z wierzchu same maszki:
Rzućmy je, niech odkrycie głupstwo światem włada,
Sławę, honor, bogactwa, rozkoszy posiada
Czemuż się szczęścia wstydzić? Dzień po nocy wschodzi,
Zrzucił świat uprzedzenia, wiek złoty się rodzi.
Niechaj mądrość, jakie chce przepisy stanowi,
Próżne są. Mądrzy sławni, ale głupi zdrowi.

SATYRA XV.

Wziętość.

Był niejakiś pan Łukasz, co chciał wiele dostać.
Cóż on czynił? nasamprzód zmyślił sobie postać:
Chciał oszukać, oszukał, bo to nie są cuda,
I niezgrabne szalbierstwo częstokroć się uda.
A dopieroż, gdy sztuczne. Patrzał Łukasz pilnie,
Jak to się drudzy wznoszą, i zgadł nieomylnie:
Zgadł sekret. — A ten jaki? — Do możniejszych przystać.
Strzedz się słabych, śmiać z cnoty, a z głupstwa korzystać.
Przykład wszystkim widoczny rzecz wyłuszczy z prosta,
Gdy widzisz, senatorem że został starosta:
Patrz, jak się z senatorzył? Był filut, jest możny,
Wczoraj ledwo mości pan, dziś jaśnie wielmożny:
To gra: los działa szczęście, lecz mu dopomaga,
Czoło bezwstydne, podłość, w niecnocie odwaga.
Mały złodziej wart chłosty: lecz ten co kraj zdradza,
Lubo tyle za sobą hańb, sromot, sprowadza,
Iż owe sławne sosny z nadbrzeża Pilicy,
Jeszcze małe do składu jego szubienicy;
Przecież filut, wisielec, na co patrzyć zgroza,
Wstęgi nosi na szyi, co warta powroza,
Nie dopiero występek z cnotą walkę wszczyna;
Z Cyceronem w senacie siedział Katylina.
Wzdrygał się świat na sprosność, była sprosność — przecie;
Alboż to w jednym zbrodnie rodzaju na świecie?
Ów celnik, co wytartym odziany kontuszem,
Zaczął sławne rzemiosło z świętym Mateuszem,
Przeszedł i Apostoła. Ten wrócił, co zyskał,
Nasz wziął, schował, zarobił i jeszcze uciskał:
Zgoła stał się najpierwszym w rachmistrzowskiej sztuce,
A coraz postępując w tak wielkiej nauce,
Doszedł tego, iż dziesięć od sta, znaczna strata!
Kradzieżą oczywistą wzniosła się intrata.
Kraj zdarł, kradł go bez wstrętu, a wyszedł, jak święty.
O kunszcie krasomowski, w skutkach niepojęty!
Kunszcie! co możesz bielić to, co było czarnym,
Nieprzepłacony w twoim zapędzie niemarnym,
Sprawiłeś (a kunszt lepszy jeszcze dopomagał),
Iż ten, co niegdyś chlebem żebraczym się wzmagał,
A w usłudze krajowej zyskał milijona:
Samem tylko nazwiskiem różny od Katona,
Dobry folwark na zyski, skarb publicznej rzeczy.
Obroną się wojsk swoich kraj każdy bezpieczy:
Sili się na obrońce, drodzy są rycerze,
Ten najdroższy, co nie wart być płatnym, a bierze;
Co pierśmi kraju swego mający być murem,
Że żołnierz, samym tylko wydatny mundurem.
Sławny wiekom Czarniecki, w baranim kożuchu,
Gromił Szwedy, Duńczyki wśród klęsk i rozruchu:
Gromił, bo dusza wielka, co się nad gmin wzniosła,
Sławę, cnotę, stawiała za zyski, rzemiosła.
Był wielkim, bo czuł czem był; a co czuł, to czynił.
Nie czuł nasz pan Mikołaj; i chociaż przewinił,
Grzech mały według niego: on ledwo nie świętym.
Nowy przeto teolog, kunsztem niepojętym,
Bezpłatny kraju sędzia przestawając na tym,
Sądził, karał, doradzał, i stał się bogatym.
Ślepa, mówią, jest Temis: bajka; Temis widzi.
Nasz pan sędzia co z dawnych błędów mądrze szydzi,
Znając, jak przeświadczenie mądrości uwłoczy,
Wypróbował dowodnie, iż ma bystre oczy.
Fraszka sądem bezzwględnym trybunał ozdobić,
Mógł to i Czartoryski; lecz sądząc zarobić,
Więcej wygrać, niż strona, co zyskała dekret;
To treść bystrych dowcipów, to sędziowski sekret.
Mają go i patrony, nazwisko poważne,
Ale pod niem fortele w zyskach wieloważne,
Czyniąc wykręt dowodem, a prawność matactwem,
Panoszą stron obrońce, bronionych żebractwem.
Świat się wypolerował, i my też za światem.
Ja, co jestem dotychczas mości panem bratem,
Patrzę z kąta na drugich, widzę drogi snadne,
Chciałbym i ja też urość! cóż? kiedy nie kradnę.
Straszy mnie szubienica, jak spojrzę na sosnę.
Więc Piotr rośnie, Jan urosł, a ja nie urosnę.

SATYRA XVI.

Człowiek i Zwierze.

Koń głupi: — Nie koń. — Osieł. — Nie osieł, mój bracie:
— Któreż więc zwierze od nich głupsze jeszcze znacie?
— Człowiek. — A! już to nadto. — Nie nadto, lecz mało
Gdyby się razem głupstwo człowiecze zebrało,
Poszedłby w rodzaj muszlów, albo na ślimaki;

Słuchaj tylko cierpliwie: któryż zwierz jest taki,
Iżby, wiedząc, co czynić, nie czynił, co trzeba?
Zwierzom instynkt, nam ludziom: rozum dały nieba,
Przecież patrząc, co czynim, my rozumem dumni,
Zda się, że ludzie głupi, zwierzęta rozumni.
Sroży się lew nad sarną, więc nagany godny:
Ale dla czego sroży? dla tego że głodny.
Skoro głód uspokoił, rzuca polowanie.
Wilk żarłoczny, lis zdradny, ustawne czuwanie
Jeżeli czynią, muszą: tym sposobem żyją.
Zgoła: weź ptaka, rybę, zwierze, albo żmiją,
Każde ma swoję miarę, i według niej działa.
Jeśli im przymiot zdatny natura przydała,
Idą do tego celu, do którego zmierza.
Zgoła czem są z potrzeby, są z natury zwierza.
Pan ich człowiek, lecz głupszy, lecz gorszy nad sługi.
Nie nowina to w panach. Z ich zdatnej usługi
Korzysta, a niewdzięczny, pędzi wolne w pęta.
Dla niego siłą zdatność jarzmowe zwierzęta,
Dla niego wół pracuje, chlebem go uracza:
Więc, że nibyto mędrszy nad swego oracza,
Wywnętrza go i pasie, żeby się spasł na nim.
Mędrcy! chwalimy wierność, niewdzięczności ganim.
Któż nad nas niewdzięczniejszy? Lecz i to przebaczę,
Tak chciało przyrodzenie: ścierwa pożeracze,
Pasiem się łupem zwierząt przynajmniej, by w mierze.
Insze niech porównanie człek z zwierzęty bierze.
Gdzież takie? co rozmyślnie samo się niewoli,
A sposobiąc swe barki ku jarzmu powoli,
W poddaństwie sławy szuka? Orzeł pan nad ptaki:
Lecz czy go ptaków innych rodzaj wieloraki,
Podłem czci uniżeniem? Wspaniały, ochotny,
Wyżej jeszcze nad niego buja sokoł lotny,
Ani się wraca z pędu na straszne odgłosy.
Nie powaga, lecz dzielność wzbija pod niebiosy.
Człowiek wybór natury, świata prawodawca,
Człowiek praw stanowiciel, a przestępstwa sprawca,
Sam łamie obowiązki, co wznawia i kleci:
Któraż lwica jęczała na niewdzięczne dzieci?
Któryż żubr żubra zdradził? w przychylnej postaci,
Zmówiliż się na wilka, wilcy koligaci?
Trułże doktor lis lisa? gdy sprzeczka zmówiona,
Brałże jastrząb jastrzębia w sprawie za patrona?
I żeby z nieprawego korzystał narzędzia,
Dla zysku kruk krukowi, stałże się zły sędzia?
Towarzystwa przykładzie, pracowite pszczoły!
Wpośród waszych zabiegów i skrzętnej mozoły,
Któraż, chociaż ma porę dokazania snadnie,
Miód z pracą od sąsiadki zbierany ukradnie?
Nasz to tylko przywilej; więc bądźmy nim dumni:
Zwierzęta złe i głupie, my dobrzy, rozumni.
O! gdyby mogły mówić tak, jak myśleć mogą;
Wstydem, hańbą, okryci, sromotą i trwogą,
Cóżbyśmy usłyszeli? wzgardę i nauki:
Koń od nas zniewolony tęgiemi munsztuki,
Koń, co nam nóg pożycza, jakbyśmy nie mieli,
Koń, na którego grzbiecie zuchwali i śmieli,
Ścigamy inne zwierze, albo nam podobnych;
Ten koń, lubo nie w słowach wdzięcznych i ozdobnych,
Jakich zwykliśmy zażyć, gdy omamić chcemy,
Rzekłby zprosta: wy mocni, a my was nosiemy:
Rzekłby wół: ja chleb daję wprzężony do pługa:
Cóż zyska? śmierć okrutną, istotna przysługa.
Któż z was ma na nas względy? kto o nas pamięta?
Rzekłyby na rzeź dane owce i bydlęta.
Ów pies znędzniały wiekiem, leżący u płota:
Ów stróż, sługa, przyjaciel, którego ochota
Tyle ci zysków niosła, wierny, a niepłatny,
Wiekiem, pracą, bliznami, do usług niezdatny,
Niewdzięczności ofiara w okropnej zaciszy,
Wpół martwy, jeszcze czuje, gdy głos pana słyszy;
Słyszy nędzny i czuje: nie czuje, co woła,
Jak ma czuć taki, który bez serca, bez czoła,
Sam siebie czyniąc celem wyuzdanych chęci,
Statek, wierność, usługę, wyrzucił z pamięci?
Nie na to tyle darów natura nam dała:
Duma w próżnych zapędach, nieczuła, zuchwała,
Kryje błąd pod postacią, którą jej dajemy,
Na cóż przymiot czułości, jeźli nie czujemy?
Na co światłość rozumu, jeźli ciemność miła?
Czyż się dzielność natury w darach wysiliła?
Nie bluźnimy, zbyt zuchwali, tego, co ją nadał;
Nasz występek przedmioty szacowne postradał,
Te zniżył nad bydlęta. Nie bajką wiek złoty,
Był on, będzie, jest może, gdzie siedlisko cnoty.
W naszej mocy świat równym uszczęśliwić wiekiem.
Niechaj człowiek pamięta na to, iż człowiekiem,
Wzniesie się nad zwierzęta lotem siebie godnym.
Niegdyś mędrzec ponury piórem zbyt swobodnym,
W złej sprawie sam patronem zostawszy i sędzią;
Zapędzał człeka w lasy, i chciał paść żołędzią.
Znalazł uczniów, któryż błąd nie znachodził ucznie?
Omamiał wdziękiem pisma dość dzielnie i sztucznie,
Nowość była ponętą, a wdziękiem zuchwałość.
Nie na tem się zasadza człecza doskonałość.
Towarzystwo cel jego, do niego stworzony.
Rodzice, dzieci, bracia, i męże i żony,
Święte węzły natury, które nasz błąd targa,
Błąd zuchwały, płód jego bluźnierstwo i skarga;
Odgłos ślepoty, głupstwa, dumy, niewdzięczności,
Człowiek w ścisłym obrębie nadanej istności,
W ścisłym, lecz przyzwoitym przez zrządzenie boże.
Chcąc mieć więcej, niż zdoła, mniej ma, niż mieć może,
Stąd rozpacz, a w uporze rządza zbyt zacięta,
Chcąc wznieść człeka nad człeka, zniża pod bydlęta,
Stwórca rzeczy cel dziełu swojemu położył,
I choć go w niezliczonych rodzajach pomnożył,
Każdemu nadał istność, dał istnościom dary,
Darom dzielność, dzielnościom przymioty i miary.
Tych się trzymać, nasz podział: brak korzyść staranie,
Powinność znak szacunek, i być wdzięcznym za nie.

SATYRA XVII.

Klatki.

Zgodzić przeciwne rzeczy, cud, mówią, w naturze,
Wierzę, ale nie u nas. W każdej konjunkturze
My mamy coś nad innych. Rzadkim przywilejem
Obdarzeni, gdzie inni płaczą, my się śmiejem:
Więc gdzie się drudzy śmieją, my płakać gotowi.
Ten przywilej, czy sławę, czy hańbę, stanowi,
Nie moja rzecz objawiać: a choćbym objawił,
Któżby wierzył? więc nad tem nie będę się bawił,
Lecz coraz nowe czyniąc do satyr zaciągi,
Na widok, dla ciekawych, stawię dziwolągi.
Cóżto są za straszydła? cóżto za ród przęcie?
Rzadki, i prócz naszych, cud prawie na świecie,
Panie Pawle! wchodź waszeć: patrzcie, jak się dąsa,
Grozi, ręce zaciera, tylko co nie kąsa:

Rwie się. — Trzymać go. Puścić. — Aż nasz Paweł luby:
A cośmy się od niego spodziewali zguby,
Bądźmy teraz bezbieczni, pan Paweł nasz kocha.
Skądże takowa dobroć? odmiana tak płocha;
Skryjmy się. Patrzcież teraz, jakie miny stroi,
Niechże się kto z nas wyda, że się śmiałka boi,
Zaraz męztwa przypadnie, jakby na powodzie.
Lubią sławę takowi, ale nie o szkodzie,
Wróć waszeć, panie Pawle, a strasz, gdzie się uda,
Cóżto za nowy widok? i jakieżto cuda?
Idzie Piotr, albo raczej wspaniale się toczy;
Do nóg, do nóg, na pana nie podnoście oczy,
To pan jaśnie wielmożny, jaśnie oświecony,
To pan z panów; u niego mitry i korony,
Berła, laski, infuły, klucze i pieczęci,
Inwentarskie narzędzia. Przesławnej pamięci
Dziady jego, pradziady, siedzieli w senacie.
— Upadam do nóg pana. — Kłaniam panie bracie.
Pójdźmy stąd: Lecz ktoś, widzę, do pana przychodzi,
A to co? pada do nóg jegomość dobrodziej,
Pokorny. Któżto sprawił ten cud zbyt widoczny?
Jest to jaśnie wielmożny sędzia tegoroczny.
Pan ma sprawę: Rozumiem. — A w tym gabinecie,
Kto to pisze?—To rachmistrz największy na świecie:
On wszystko skalkulował, gospodarz nie lada,
Nowe planty wymyśla, rachuje, układa.
Więc bogacz?—Więc ubogi.—Jakto? Patrz, co pisze,
Milion —To skarb.—To dług. On i towarzysze,
Nie chcą na miernym zysku przestawać dość sytnie.
Nic nie mają.—Dla czego?—Bo pragną mieć zbytnie.
Ten święty pacierz szepcze, i w dół spuścił oczy.
Połóżno tylko worek, wnet on tu przyskoczy.
Fundusz zrobił.—To dzieło bliźniemu usłużne.
—Ale ukradł trzy części, czwartą dał w jałmużnę.
Zamknijmy go na haczyk, bo i nas okradnie.
Jużci ten siedzi, widzę, spokojnie, przykładnie:
Cóżto jest za jegomość?—To sławny jurysta
—Czy nie z tych, co to z pewnych wybiegów korzysta?
Co to kradną z Pandektów.—On z nich nic nie kradnie.
Dlaczego?—Bo ich nie zna: bierze, co napadnie,
Ale bierze po prostu. Krzyczy po za kraty,
Najsławniejszy on w sądzie na prejudykaty,
Na biało sto, na czarno gotów tyle dwoje.
—Schowajże go do klatki, bo ja się go boję,
A tego jeszcze bardziej; cóż to za wspaniałość?
Jest to mędrzec, co posiadł wszystkę doskonałość;
On poprawia w czem dawne pobłądziły wieki.
Skądże jemu ta biegłość?—Od gminu daleki,
Nie będzie z nami gadał. — Niechże i nie gada.
Ale któż z niego mądrość tak wielką wybada?
Nikt. — Pewnie skryty. — Jawny. — Jakże to? — Opowiem:
Naprzód trzeba o mędrcach to wiedzieć, albowiem
Nie tacy oni prości, jacy dawni byli,
Co skarbnice nauki wszystkim otworzyli,
Nasi kryją, a w ścisłym rzecz trzymając karbie,
Nic nie dają.—Dlaczegoż? bo nie masz nic w skarbie.
A to kto?—To człek wielki.—Pewnie bitwy zwodził?
—Nie—Pewnie wielu zawziętych pogodził?
Nie. — Pewnie nędznym w przygodzie usłużył?
Nie. — Pewnie w pismach wiele pracy użył?
Nie. — Pewnie skarby dla kraju wydostał?
—Dał na druk, i w przemowie wielkim człekiem został.
A ten zaś?—To jest autor.—O czem pisał?—O tem,
Jakto się trzeba rządzić.—Cóż się stało potem?
—Oto, aby się swemu krajowi przysłużył,
Pisał o gospodarstwie, a sam się zadłużył:
Dobrze mu tak, trzeba tych ichmościów oduczyć.
Ten nic prawa nie umiał, a chciał się go uczyć.
Więc aby skarb nauki dla siebie wydostał,
Znalazł sposób.—A jaki?—Oto sędzią został.
Ten nic nie miał a dobra za milion kupił.
Pewnie znalazł pieniądze?—Nie znalazł.—Więc złupił.
—Nie złupił.—Pewnie okradł.—Nie okradł.—zfrymarczył?
— I to nie.—Jakże kupnu takiemu wystarczył?
— Ugodził się z dziedzicem, co już prawie żebrał.
— A to jak?—Ten nic nie dał, tamten nie odebrał.
Ten zbyt kochał ojczyznę.—Statuę wystawić:
Godzienby, gdyby zbytek w dobrem można sławić.
Służył ojczyźnie prawie całem swojem życiem;
A chcąc się plennych darów podsycić użyciem,
Wiedząc, że pani dobra ale mniej ostrożna,
Kradł ją, a kradł tak dobrze, jak tylko kraść można.
—Alboż kocha kto kradnie?—Pytaj jegomości;
Insi kradli dla zysku, on ją kradł z miłości.
Brał, bo szacowne dary: gdy kochamy dawcę;
Brał, bo wiedział, że względy ma na prawodawcę;
Brał dlatego, ażeby mniej godni nie brali;
Brał, aby się do usług drudzy zachęcali;
Brał, bo to honor pana, gdy sługa bogaty:
Brał, bo daje—Wiedziałże jakie jej intraty?
— Jużci wiedział, kiedy kradł.—Mało klatka za to.
Ci dalsi słuszną teraz cieszą się zapłatą.
Którzyż to?—Słyszysz dalej, jak pełno hałasu?
Bądź zdrów; Klatek aż nadto, a ja nie mam czasu.

SATYRA XVIII.

Mędrek.

A to co za jegomość?—Jegomość dobrodziej,
On nie tak, jak to drudzy, i gada i chodzi.
Jakże mówi, jak stąpa?—Oto, jak człek wielki.
Skoro wyszedł z opieki jejmość rodzicielki,
Zaraz znać było, jaki człowiek z niego będzie.
Jakoż nigdy się w takich nie chciał mieścić rzędzie,
Co tak czynią, jak drudzy: szedł zawsze nawiasem,
Zgoła z pracą, pilnością, i kunsztem i czasem
Do tego stopnia przyszedł, iż człek zawołany.
— Skądże to zawołanie? - Stąd: panie i pany,
Zgodzili się powszechnie, że to człowiek wielki.
Więc za niemi powtarzać musi człowiek wszelki:
A ktoby nie powtarzał, ten zysk sobie kupi,
Iż będzie osądzonym, że dziwak i głupi.
Ciężka, mówią, rzecz człeku na sławę zarobić:
A ja mówię, że lekka, byle rzecz sposobić,
Byle umieć ulegać tym, co sławić mogą
Alboż inszą Konstantyn uwielbiony drogą?
Wszedł na świat, kto go zoczył, przestraszył się zdumiał.
Dlaczego? Bo zgadł wszystko. Więc wiedział. Nie umiał.
Jakże zgadł?—Tak jak teraz.—A jakże to teraz?
—Mój bracie! widzęś prostak: ja com bywał nie raz
Tam, gdzie to jest świat wielki. - I jamci na świecie.
— Nie na wielkim, on inszy: wy tego nie wiecie,
Co to jest ten świat wielki, więc go wam opiszę.
Świat wielki, gdzie są mędrcy i ich towarzysze,
Gdzie są umysły rażne, a pojęcia żywsze,
Gdzie uczucia dzielniejsze, wyrazy prawdziwsze:
Zgoła gdzie lepiej, piękniej, niźli między wami.
—Któż tak osądził?—Zgadnij.—Nie wiem —Oni sami.

—Któż w swojej sprawie sędzią?—Bałamuctwo stare;
Inszą wiek polerowny ma cechę i miarę,
Insze czucia, rozmysły, sposoby, narzędzia,
W swojej sprawie i patron i strona i sędzia
Więc wyroki pomyślne, a pospólstwo wierzy:
Nie pospólstwo, co kupczy, co płaci, co mierzy,
Lecz gmin, co moda szlachci, a umysł poniża.
Skąd rozum? od Szwajcarów: skąd dowcip? z Paryża.
Więc po rozum, po dowcip trzeba za granicę:
Niegdyś bywał on wszędy, dziś ma dwie stolice.
Nie uwłaczam ja cudzym, ale zbytek ganię:
Talent granic nie cierpi, jego panowanie
Nie od kraju zawisło. Przemysł znamienity
Zdobił Greki, lecz mieli mędrce nawet Scyty.
Natura wszystkim matką, nikomu macochą.
Ci więc, co się uwodzą częścią sławy płochą,
Przeświadczenia poddani, choć go w inszych ganią,
Chcieliby drogi towar kupić, ale tanio!
Doskonałość nie łatwa, trzeba pracy przecie,
Za jednego mądrego sto głupich na świecie
A kto wie, czy nie tysiąc? wiele to, czy mało?
Niechaj, kto chce, doświadcza: mnie gdy się tak zdało,
Nie upieram się w zdaniu, a wracam do rzeczy.
Szczególne i powszechne doświadczenie przeczy,
Iżby można być wielkim i prędko i łatwo.
Rzemieślnik lata trawi nad dłótem, nad dratwą,
A przecie rzadki dobry, choć proste rzemiosło.
Drzewo nim w pień, w konary, gałęzie urosło,
Nim kwiat zszedł, owoc dojrzał, długie pory przeszły,
Doświadczenia nabywa wiek w lata podeszły.
A to mistrz najpewniejszy, więc mędrce bezbrodni,
Albo cudem natury, lub wiary niegodni.
—Lecz się to jednak trafia.—Bywa i śnieg w maju.
Rzecz bolesna, korzyści modnego zwyczaju,
Algiebra od kólebek, żaki prawią cuda.
Dźwięk mami, lecz na przyszłość szkodliwa obłuda.
Dawnych praca, nam korzyść; lecz korzyść, co szpeci
Zbierających rodziców marnotrawne dzieci:
Cytując bez rozsądku maksymy i strofy,
Śmiałość głupstwa dumnego czyni filozofy.
Dawni myślami, trudem, nauką wybledli,
Albo żywot odludny, albo ostry wiedli;
Nasze mędrki rubaszne, i pulchne i hoże:
Przemieniły się w sofy Cyników rogoże.
Pełno Dyogenesów nie w beczce, lecz z beczką:
Sławni wielbieniem własnem, i krzykliwą sprzeczką,
Czytają, a nie myślą, sądzą ślepem zdaniem,
A gmin czci dumne głupstwo owczem powtarzaniem.
Stąd wziętość, a jak niegdyś płaszcz i gęsta broda,
Tak i teraz, gdy śmiałość wspaniałości doda,
Lada osieł w lwiej skórze przestrasza bydlęta.
Konstantyn o tej bajce wcale nie pamięta,
Zamyśla się ustawnie, wznosi oczy w górę,
Niechaj spojrzy na siebie, postrzeże lwią skórę.
Jakoż chcieć być uczonym, a mało się uczyć;
Siebie tylko wysławiać, a na innych mruczyć;
Dawać pismom stąd wybor, iż je każą palić,
Ganić to, co chwalono, co ganiono chwalić;
Nowość tylko uwielbiać, zniżać czasy dawne,
Czynić łotry sławnemi, podlić męże sławne;
Rozsądnych gminem nazwać, na błędy narzekać,
Czego dociec nie można, na pozor dociekać:
Za dowody żart dawać, gdy prawda dokucza;
Tem dzielna nowa mądrość, tych kunsztów naucza.
Czyż ją wielbić? Niech wielbi, któremu błąd miły,
Nie są światłem błyszczenia, co ledwo się śklniły:
I owszem, gdy zagasną, większa po nich ciemność.
Miła w kunsztownym żarcie wyrazów przyjemność,
Ale żart, ale wdzięki po co zwać nauką?
Czy błąd idzie podstępem czyli inną sztuką,
Zawsze tem jest, tem będzie, czem z natury, błędem.
Więc nasz panie Konstanty, co tak żwawym pędem
Doszedłeś celu rzeczy; jak ci się to zdaje:
Nie rozumiej, że ja ci przymawiam, że łaję;
Malarz musi malować takie, jak są twarze.
Chcesz, aby te ustały, (jak zowiesz) potwarze,
Nie dmij gdy mało umiesz: mędrszym nie dokuczaj.
Jeźli masz dar bawienia, baw, a nie nauczaj.

SATYRA XIX.

Małżeństwo.

Chcesz się żenić, winszuję, ale nie zazdroszczę,
To więc, co potem poznasz, o co cię dziś troszczę,
Ja opowiem. Ów Adam, ów najpierwszy człowiek,
Zasnął: gdy się obudził, za otwarciem powiek,
Postrzegł. — Co? — Oto Ewę, dobro nieskończone,
Bóg wyjął mu kość z boku, i zrobił z niej żonę.
Gdybyć to tak i teraz: próżne korowodów
Byłyby nasze stadła, a stąd mniej rozwodów.
Ale się świat zestarzał: Adamowe wnuki
Porzuciwszy dziadowskie poczciwe nauki,
Niby to rozumniejsi, źli męże, złe żony.
A nasz wiek ośmnasty, niby oświecony,
A w samej rzeczy głupi, cóż zrobił? złe stadła:
Jegomość nadto dobry, jejmość zbyt rozjadła.
A kiedy jejmość dobra, jegomość jak jędza.
Jak ma być dobre pasmo, gdy zepsuta przędza!
Cóż więc jest stan małżeński? rzecz w opisie trudna,
Rzecz z jednej strony wdzięczna, z drugiej strony nudna,
Konieczna jednak, muszą być żony i męże:
Jarzmo jest: tych zysk, miłość tamtych kiedy sprzęże,
Muszą dźwigać. Chcesz i ty, odwaga nie lada:
Ale że dosyć liczna kompanów gromada,
Idziesz śmiało. Poczekaj: nie będę ja bawił,
Kto wie, może dla ciebie los się ułaskawił,
Może za nader szczęsną wyroków spuścizną,
Będzie tobie lekarstwem, co drugim trucizną.
Możeś jeden z tysiąca, ale liczbę zmniejszę.
Choćby też i fałszywe, niech będą grzeczniejsze
Wyrazy mojej rady; szanujmy płeć piękną.
Jakaż jest twoja Filis? — Niech wszystkie uklękną.
— Toś amant: siądź więc na koń, a ująwszy pikę,
Nowy Roland głoś światu twoję Angielikę.
Scinaj karły, olbrzymy, smoki, czarownice,
Niech zna każdy, nad twoję iż oblubienicę
Piękniejszej w świecie nie masz. Tak romanse każą,
Ale nie rozum zdrowy: ten pod swoją strażą,
Jeźli chcesz, by cię trzymał, posłuchaj co radzi:
Uwaga w każdem dziele nigdy nie zawadzi.
Więc zdatna i w miłości: namyśl się, mój bracie,
Lepsza przykrość przed stratą niźli żal po stracie.
Piękne twojej powaby, lecz to zwierzchne wdzięki,
To, co wewnątrz, istotne: więc dobrej poręki
Trzeba na to, co wewnątrz. Wdzięczna, hoża, ładna,
Ale mylą pozory, a piękna płeć zdradna.
Przejdzie rozkosz, nastąpi sytość po użyciu.
Znikną wdzięki: a w dalszem natenczas pożyciu,

Jeźli węzły wzajemne nie wzmocni szacunek,
Nastąpi umartwienie, nudność i frasunek.
Dopieroż, kiedy jejmość, coć się w serce wkradła,
Stanie się podejrzliwa, i przykra i zjadła;
Kiedy się codzień z nowym humorem popisze,
I coraz inne w domu ujrzysz towarzysze;
Kiedy w zwięzłych przymówkach do serca przygryzie,
A to, co ci przyniosła w swojej intercyzie,
Stokroć na dzień wymówi, odpowiedzieć trudno:
Bić, niegrzecznie; zamilczeć, i przykro i nudno.
O święty Sokratesie! tak cię Erazm mienił,
Nie byłbyś nigdy świętym, gdybyś się nie żenił:
Zyskałeś uwielbienie, zyskał świętobliwość;
Któż cię świętym uczynił? małżeńska cierpliwość.
Dajmy jednak; iż twoja nie w Ksantypów rzędzie,
Dobra, cicha, powolna, wstrzemięźliwa będzie:
Pokorna jak dewotka; wstydliwa, jak mniszka,
Jednem słowem jak owa w teatrach Agnieszka.
A wiesz, co się z Agnieszki oblubieńcem stało?
Wielu się na pozorach płonnych oszukało:
O Arnolfy nie trudno. Aleś ty szczęśliwy,
Wierzę że twojej pozór szczery i prawdziwy.
Dobry towar, a ja go choćbym mógł, nie kupię.
Wiesz dlaczego? Agnieszki kiedy nie złe, głupie.
Tym lepiej. — Owszem gorzej: grubo taki błądzi:
Który głupstwo przymiotem dla żony być sądzi:
Najlepiej środek obrać: dumne animuszem,
Umieją mądre kornet czynić kapeluszem.
Niech będzie oświecona, rozum nie zawadzi,
Ale rozum powolny, co powinność radzi;
Rozum, co zna podległość: może to niegrzecznie,
Przecież żony podległe muszą być koniecznie.
—To się lepiej nie żenić.—Czyż kupiec frymarczyć
Nie powinien dla tego, gdy zysk wydostarczyć
W jednym handlu nie może: w innym zysku szuka:
Zła małżonka, treść nędzy: lecz kiedy poczciwa,
W dwójnasób szczęścia, pociech, natenczas przybywa.
Jedno słowo, los życia; nieznośny po stracie,
Najszczęśliwszy gdy z zyskiem. Żeńże się mój bracie.

SATYRA XX.

Podróż.

Miał rozum, w domu siedząc, kto się śmiał z podróży.
Jeźli więc ten mu zaszczyt sprawiedliwie służy;
Jak zwać tych, co się razwraz ustawicznie włóczą?
Oto: ale zaczekam; a czy się oduczą.
Jeszcze można wybaczyć: gdy ostatnia nędza
Z domów, jeźli je mają, ubogie wypędza:
Ale kiedy bogaty puszcza się w podróże,
Ja o jego rozumie, iżby miał, nie wróżę:
Zdrowie, życie, nieść na szwank po przykrej przeprawie,
Głód znosić, snu nie użyć, spoczywać na ławie,
Albo się dusić w dymie lub marznąć na dworze;
Słuchać świerki, wrzask dziecek, w spróchniałej komorze,
Robactwu się opędzać. — Może kto zaprzeczy,
Iż gdzieindziej tak nie jest — I tam nic do rzeczy.
Albo żeby treść myśli objawić wytrwornie,
Jeźli u nas nie dobrze, indziej nie wybornie,
Droga zawsze jest drogą, pomimo wygody,
Rzadka obejść się cale, znaleść się bez szkody:
A choćby innej w ciągłych podróżach nie było,
Gdy się czas marnie strawił, wiele się straciło.

Przepłynąwszy przez morza i zwiedziwszy ziemie,
Dajmy to, iż kto poznał wszystkie ludzkie plemie.
Cóż poznał?—To, co w domu miał na pogotowiu;
Może jazdą, płynieniem, mógł usłużyć zdrowiu,
Bo lekarze tak mówią; ale syty z wzorku,
Zapytajmy pielgrzyma, co mówi o worku.
Pewnie mu nie usłużył. — A źle, gdy nie służy.
To nic jeszcze: gdy mówim ściśle o podróży,
Że się zlepszenia zdrowia w niej znajdzie przyczyna,
Większa, ważniejsza jeszcze potrzeba się wszczyna,
Trzeba jechać koniecznie.—Gdzie?—Jechać do wody.
Służyła ona przedtem tylko do ochłody.
Teraz większa usługa.—Jaka?—Żyć nie można,
Jeźli pilność o zdrowie czuła a ostrożna,
Nie zapędzi tam, gdzie jest saletra i siarka.
—A nam co po saletrze?—Jeźli onej miarka,
I z częściami hałunu, a najbardziej z rana,
Dobrze trafiona; zdrowie! lecz ze źródła brana,
Gdzie ją chwytać należy, żeby moc nie zgasła,
Jeżeli więc na takie ozdrowienia hasła,
Nie wzbudzi się chęć jechać, pożegnaj się z życiem.
Jużci, ale i z workiem. Za takiem użyciem.
Droższe widzę, niż przedtem było teraz zdrowie,
Żyli dłużej, niżli my, nasi pradziadowie:
Za krzepkość z ojców wziętą nie płacąc nikomu,
Od zdrowych wzięte zdrowie, zachowali w domu:
Cnotliwej roztropności urządzeni miarką,
Nie znali się z hałunem, saletrą i siarką.
Czerstwa starość poważne ich zmarszczki wdzięczyła,
Było zdrowie, bo święta wstrzemięźliwość była.
Lepsza ona od siarki i skuteczniej zdrowi,
Niż co kreślą lekarze i starsi i nowi:
Którym (bo mają rozum). frymarczących bolem,
Wody siarką przyprawne stały się Paktolem.
Pitagoras i Tales, i Platon i inni,
Za których wielkiem zdaniem poszli ludzie gminni,
Niżeli swej nauki cuda rozpostarli;
W kraju się właściwego cieśni nie zawarli:
Lecz chcąc ludzi oświecić w błędach w których trwali,
Do inych się najdalszych w pielgrzymstwo udali.
Tam czerpając u źródła, w wiadomość bogaci,
Z niezmiernym nauk trzosem wrócili do braci.
Pitagoras powiedział: nie trzeba jeść bobu.
A nie kontent z greckiego rządzenia sposobu,
Nową rzeczpospolitę mądry Plato sklecił,
I tak dowodnie onej pożytek zalecił:
Iż się dotąd na jawie jeszcze nie skleciła.
Woda, według Talesa, wszystko sporządziła
Wzmogli się niewiadomi wynalazki temi,
A szczęśliwi, zostali jeszcze szczęśliwszemi.
Nie mogę ja tak wielkiej oprzeć się powadze,
Jednak się zbyt daleko zapędzać nie radzę.
Ostatniato po rozum za granicę jeździć.
Jeźli się on pod własnym dachem nie chciał gnieździć,
Darmo go indziej szukać. Mimo górne wzory,
Wzory sławne Talesa albo Pitagory,
Wzory zbyt uwielbione przez swoje wzniesienia,
Trzymajmy się poprostu skutków doświadczenia.
Dobry rozum, ale źle rozumem przesadzać:
Czuje to świat: ja światu nie będę doradzać,
Ale gdybym był takim, iżbym mógł dać radę,
Rzekłbym: świecie! miej baczność na każdą przesadę,
Nie wierz łbom zagorzałym, które robią księgi,
Ani książek działaczom: ich umysł nie tęgi,
Zabawnie bałamucąc, nabawił cię nędzą:
Nieszczęśliwe się chwile w światłym wieku pędzą,

I pisarz i czytelnik za naukę płacą:
Dobrze im tak: a kiedy zwodziciele tracą,
Rozsądny, co się ustrzegł takiego pogromu,
Niech się strzeże podejścia i zasklepi w domu.
Ale w nim razwraz siedzieć, rzecz jest niepodobna:
Choćby rzecz najwdzięczniejsza, ciągła, a osobna,
Sprawi sytość, a tej jest skutkiem unudzenie.
Zarzut nowy. Więc innych okolic zwiedzenie,
A z niem odmiana rzeczy, lekarstwem nudności.
Nie nudzi się, kto kontent lecz w tej szczęśliwości
Rozum tylko i cnota są sprawicielami:
Z temi choćby wśród stepów, nie będziemy sami:
Cóż dopiero! gdy dzieci i poczciwa żona,
I uprzejmość sąsiedzka, prawa, doświadczona;
Słodycz losu poddanych, którymy sprawili;
I myśl lat przeszłych, cośmy poczciwie przebyli!
Piękne to towarzystwo, i nigdy nie znudzi.
Swoich znając po co nam nowych szukać ludzi?
Miłe to przeświadczenie do tego nas wiedzie,
Iż dobrze w domu siedzieć.—Kto nie chce niech jedzie.

SATYRA XXI.

Odwołanie.

Na co pisać satyry? choć się złe zbyt wzniosło,
Przestańmy. Świat poprawiać, zuchwałe rzemiosło,
Na złe szczerość wychodzi, prawda w oczy kole:
Więc już łajać przestanę, a pochlebiać wolę.
Których więc grzbiet niekiedy, mnie rozum nawrócił,
Przystępujcież filuty, nie będę was smucił;
Ciesz się, Piotrze zamożny, ozdobny i sławny,
Dobrym kunsztem urosłeś; nie złodziej, lecz sprawny,
Nie szalbierzu, lecz dzielny umysłów badaczu:
Nie zdrajco, ale z dobrej pory korzystaczu:
Nie rozpusty, lecz w grzeczne krotofile płodny,
Przystąp, Piotrze, bezpiecznie, boś pochwały godny.
Ciesz się Pawle. Oszukać, to kunszt doskonały,
Tyś mistrz w kunszcie, więc winne odbieraj pochwały.
Fraszka Machiawelów wykręty i sztuki,
Przeniosłeś głębokością tak zacnej nauki
Wytworność przeszłych wieków. Uczniów ci przybywa:
Winszuję ci, ojczyzno moja, bądź szczęśliwa!
Janie zacny, coś ojców majętność utracił,
Fraszka złoto, masz sławę, masz tych, coś zbogacił.
Brzmi wdzięczność, miło słuchać, choćby i o głodzie.
O szczęśliwa ojczyzno! szczęśliwy narodzie!
Masz umysły wyborne, dusze heroiczne,
Zewsząd wielkie przykłady, wspaniałe i liczne.
Zewsząd... pocóż te śmiechy? niech Zoil uwłacza,
Niechaj zjadliwe pióro w żółci coraz macza,
Nie przeprze. Ci, co satyr udali się drogą,
Mszczą się na wielkich, że być wielkimi nie mogą.
Ta pobudka, co bardziej, niż żarliwość wzrusza,
Wzbudziła Juwenala i Horacyusza,
Kiedy pod pretekstami obyczajów zdrożnych,
Targali się wśród Rzymu na jaśnie wielmożnych:
Gdy szydzili z konsulów mimo ich topory.
A co skarb (jak zazwyczaj) okradły kwestory,
Choć nie kradli otwarcie, byli połajani.
Augury, z charakteru chociaż poważani,
Chociaż w mocy, w kredycie bywali ustawnie,
Choć ostrożnie grzeszyli, łajano ich jawnie.
Nie wiedzieli prostacy, że co lud obchodzi,
Że co małym nie wolno, to wielkim się godzi.
Nie chcieli raczej wiedzieć, a zajadłość wściekła,
Skoro się w pierwsze stopnie zuchwale zaciekła,
Nie patrząc na osoby, lecz ścigając zdrajcę,
Z śród kościoła, senatu, brała winowajcę.
Ale też z mody wyszli, mało je kto czyta:
A co komu do tego, kto był hypokryta,
Kiedy żył Juwenalis, na przymówki skory?
Co stąd Persyuszowi, że kradły kwestory?
Źle czynił, że się na nie z satyrą ośmielił:
Kto wie, milcząc, czyby się z nimi nie podzielił.
Jak naówczas, tak teraz mało kogo wzrusza,
Że Augury gorszyły za Horacyusza.
To przywilej urzędu. Dumny a bogaty,
Nie dla wróżki żył Augur, ale dla intraty.
Pretor, że w trybunale niekiedy pobłądził,
Tym gorzej przegranemu; kto wygrał, osądził,
Że Protor sprawiedliwy. A Poeta, za co
Głos podniósł? Nie źle milczeć, czasem za to płacą.
Takby nam czynić; ale łatwiej z paszczy wilczej
Łup wyrwać, niż dokazać, że Poeta, zmilczy
Więc gdy milczyć nie mogę, tak jak przedsięwziąłem.
Każdego w szczególności, wszystkich chwalę społem.
Jak Piotr, Paweł z osobna; mnogiemi orszaki
Przystępujcie szulery, oszusty, pijaki,
Hypokryty, pieniacze; niech każdy przychodzi;
Stratni, skąpcy, filuci, i starzy i młodzi,
Zgoła, kogom ukrzywdził, ile tylko zdołam,
Przychodźcie, com niebacznie powiedział, odwołam,
Do czegoś w polerownym tym wieku przywykła,
Płci piękna! czyń krok pierwszy. Cóż wstyd? marność znikła,
Co honor? Mistrz dziwaczny, i tyran ponury;
Oswoiłyście cnotę: już innej natury,
Zgodziła się z wdziękami, a co niegdyś dzika,
Już pieszczotom nie sprzeczna, i modzie przywyka.
Bodaj ów czas szczęśliwy nigdy był nie mijał!
Kiedy się król ze trzema stanami upijał!
Nie byłoć prawda rządów, lecz było wesoło.
Wróćcie się dobre wieki, niech pogodne czoło
Oznacza wnętrzną radość. Trunek troski goi,
Trunek serca orzeźwia, trwogę uspokoi,
I będziemy szczęśliwi. Dobrej chwili dawce,
Bierzcie, co wam należy, chwałę marnotrawce:
Dobroć serca w was mieszka, czynicie szczęśliwych.
Na cóż ranę rozjątrzać w pismach uszczypliwych?
Dusze słodkie! dość kary; śmiech krótki, płacz trwały,
Nie satyr, lecz pociechy godniście i chwały.
Stracił Tomasz majętność; lecz kraj przyozdobił,
Pałac został, tapisser na meblach zarobił;
Przeniosł pysznym ogrodem Francuzy i Włochy,
Nie miał prawda pszenicy, ale miał karczochy,
Zgoła pięknie z nim było. Źle z skąpymi wszędzie.
Przecież i tych nie gańmy: a choć w zdrożnych rzędzie
Górne miejsce trzymają, choć dzicy, nie czuli,
Z wstydu, względów i cnoty, chociaż się wyzuli,
Przecież się czasem zdadzą. Płużne te bydlęta
Orzą, kto inny zbiera; stąd hojne panięta,
Co spasłe głodem ojców, na dowód wdzięczności,
Śmieją się z fundatorów swojej wspaniałości.
Niech się smieją do woli: równie to los dzieli:
Przyjdzie czas, gdy się i z nich drudzy będą śmieli.
Ja chwalę. W czem złe karty? kto przegrał, ten gani,
Ci, co do tego stanu nie są powołani,

Próżno bluźnią. Że dobre, wyprobuję snadnie;
Wojciech ów sławny Wojciech, kiedy gra, nie kradnie.
Niechby grał, niechby grali oszusty, matacze,
Hypokryty, złodzieje, rozpustni, pieniacze,
Mniejby było szkarady. Dwór! to źródła cnoty,
Dwór cecha, gdzie się wielkie probują przymioty,
Dwór szkoła uczciwości, skarbnica poloru;
Zgoła, cokolwiek dobrze, to wszystko u dworu,
Więc grzeczne filozofy, Platony dorodne,
Pełne wdzięków Seneki, Sokratesy modne,
Solony manijerne,, Epiktety sprawne,
Tacyty żartobliwe, Katony zabawne,
U dworów się wylęgły; a nas prostych rzesza,
Na hołd tym wielkim duszom zdziwiona pospiesza:
I ja biegnę za gminem, ile mogę zdołać.
Lecz nie dosyć przeprosić, nie dosyć odwołać;
Niechaj pozna świat cały, zdaleka i zbliska.
Kiedym ganił, taiłem ganionych nazwiska:
Chwalę, niech będą jawni... rumieniec... nie chcecie.
Zacny wstydzie! osiadłeś na tych czołach przecie.
Cóż czynić? nieznajomych czy w dwójnasób sławić?
Mówić? czy umilknąć? taić czy objawić?
Milczą. Szacowna skromność zdobi wielkie dusze:
Niechże sądzi potomność a ja pióro kruszę.

KONIEC.

Stokfisz.

Gdy na morzu była cisza
I poławiano Stokfisza,
Anglika, co go chwytał,
Stokfisz się zapytał:
Co mi za dolę zwiastuiesz smutną?
— Głowę ci nayprzód, odpowiedział, utną;
Poczém na drugi koniec przeiedziesz się świata.
— Co u kata!
Bez głowy?
Woiaż nowy.
— Mnie się on, rzecze Anglik, takim być nie zdaie,
Bardzo wielu podobnie cudze zwiedza kraie.

Wróbel i Żórawie.

Pewnego razu wróbel ciekawie
Badał lecące żorawie,
Przez powietrzne szlaki
Dokąd dążycie wyniosłe ptaki?
Czyliż nie mogę
Razem z wami lecić w drogę?
Potrzeba nas (rzekli) w te kraie pędzi,
Kto może niechay swych trudów o-
Myśmy do tego zrodzeni, (szczędzi.
Zyć tu z wami podczas lata;
A w pośrod głuchéy iesieni,
Lecieć w inne strony swiata.
Wróbel pomyślał skrycie:
„ Czarna zazdrość niemi miota.
„ Wszystko zwalczy siłużycie,
„ I stałości swięta cnota!
„ Wzgardziwszy Oyczyste strzechy,
„ Pod obcém niebem
„ Doznam pociechy,
„ I żyć będę lepszym chlebem.“
Tak mimo żórawiów rady,
Czepia się do ich gromady.
Wkray daleki z niemi spieszy
Choć go zbytni trud przyciska;
Nadzieia zawsze go cieszy,
Ze nakoniec cel uzyska. —
Przebył lądy niezmierzone.
Lecz kiedy morza nastały,
A wróbla siły zwątlone
Coraz bardziéy omdlewały;
Długim trudem zmordowany,
Nagle w morskie wpadł bałwany. —
Swiadkami będąc w téy sprawie,
Rzekli żórawie:
Bezsilny czyniąc dumne zamiary,
Godzien téy kary.

Wiosna

przez Teofila Lenartowicza.

Zniknęły już śniegi, spłynęły już lody,
I rzeka porusza się gładko;
Jaskółki szczebiocąc wybiegły z pod wody,
Całe ich unosi się stadko.
Kręcą się, wiją się, to niżéj, to wyżéj,
Nad czystą jak kryształ rzeczułką;
A coraz to szybciéj, a coraz to hyżéj,
A w kółko, a w kółko, a w kółko.
Na brzegu zielonym, na bujnéj, na trawce
Pasą się dwie krówki, baranek,
A pastuch przygrywa na długiéj ligawce,
I słonko przygrzewa w poranek.
Przelotny wiatrek to trawka zawichrzy,
To w trzcinę, w tatarak się wkradnie,
Zakłóci, zamąci, i cichszy, i cichszy,
W zielonym gaiku przepadnie.
Ligawka przycichnie — to dzwonek z kościołka
Z za lasu, z daleka zadzwoni;
A dzwonek zamilknie, to złota mi pszczółka
Zabrzęczy na kwietnéj, na błoni;
A pszczółka przysiędzie na świeży sasanek,
To piosnka dziewczęcia drzy w wietrze.
O Boże mój drogi — w wiosenny poranek
Jak wszystko i świeższe i letsze.

Ja siedzę pod lipą odwieczną, schyloną,
Co ledwie że w pączki rozpuka;
I słucham jak w lesie pod sosny koroną
Kukułka wciąż kuka i kuka.
Kukułko! kukułko! a dużo tam jeszcze,
A dużo naliczysz mi latek?
O ptasze ty moje, o ptasze ty wieszcze
I kiedyż tam będzie ostatek?
Już dziesięć, dwanaście, i jeszcze wciąż dzwoni,
Za wiele moja ty ptaszyno. —
— Nie bój się, nie wiele — w domowéj ustroni
Twe lata jak woda przepłyną.

Prośba fiołka.

Gdy Bóg stworzył kwiaty
I pytał każdego,
Czy rad ze swej szaty
I z kształtu swojego,
Zapytał i fiołka,
Tych kwiatów aniołka,
Czy rad ze swej woni?...
On główkę wnet kłoni,
na podziękowanie,
I listków szelestem
Ozwie się: „Ach Panie,
Z wszystkiego rad jestem
I za wszystko dzięki,
Co mam z Twojej ręki...
Za poranne brzaski,
Za południa blaski,
Za noc, milszą jeszcze,
Za słońce i deszcze...
Lecz nad te rozkosze
Największą jest w życiu
Módz kwitnąć w ukryciu!...
O jedno więc proszę
Łzą—rosy perełką:
Daj trawki źdźbełko!“

Jaskółka.

Krzyżyk.

Na L. M.

Krzyżyk, ona Łucjo! cierpliwości godło,
Jest przeznaczeniem dla każdego człeka:
Kto znosi mężnie, temu hojne źrodło
Słodkiéj pociechy w smutnéj doli ścieka.

Śród pieszczot ojca, śród matki uścisków,
Obce są tobie fortuny koleje:
Niewidzisz jeszcze strasznych burzy błysków,
Pogodne dotąd niebo ci się śmieje.

Obyś w twém życiu niedoznała zmiany!
Alić niestety! wiek dalszy przekona,
Jak trzeba z losem walczyć na przemiany!
Wówczas niewinność — jedyna obrona.

Gdy krzyż nielacnym jest człeka udziałem,
Ucz się za młodu nosić go cierpliwie;
Zwalczysz przeciwność sercem mężném, stałém
A żyjąc z Bogiem — żyć będziesz szczęśliwie.

Oda
Do sprawiedliwości
przez Kazimirza Brodzińskiego.

Słysz o bóstwo wdzięczne pieśnia!
Z ciebie chwała dla stworzenia!
Córko oświaty i cnoty!
Wolności matko – i zgody,
Mistrzyni szczęścia swobody
W tobie nas czeka wiek złoty.

Świat dojrzewa na twem łonie,
Tobie wdani światło płonie,
Z nocą pasują się wieki,
Nic twemu oku nie zginie,
Nic twego ucha nie minie,
Drży, lub twéy błaga opieki.

Równe wszystko obok ciebie
W sile prawach i potrzebie,
Czując twe tarcze lub miecze
Spi iagnie lwicy u łona,
Z pragnienia chytrość szalona
Jawnie z sidłami się wlecze.

Czas wesołe pieśni śpiewa,
Lud w mirtowe wziął ogniwa,
Prawom ludzkosci hymn głosi,
I sama niechęć zmuszona,
Przesądy tłumiąc wśród łona
Pieśni pospołu podnosi.

Pod twą tarczą korny stoię,
Głośno wielbię chwałę twoię.
Łączcie się świata potęgi,
Trzaskaycie gromy zgubnemi
Pioruny nieba i ziemi;
Oka nie zwrócę od księgi.

Każda kropla z synów łona,
Łza niewinnych wyciśniona,
Każda myśl prawego męża,
U ciebie droga i znana,
Na szal przez wieki składana
Waży się obok oręża.

Nie daremna praca ludów,
Wzniosą kościoł z krwi i trudów,
Swiatła kraina zaświeci,
Twóy miecz się w piekło zagrąży,
A święty łańcuch okrąży,
Zgodne i szczęsne twe dzieci.

SKOWRONEK.

Młodego dnia marzenie, mgła już się podnosi,
A skowronek zwikłany w cienkie jéj tkaniny,
Chwieje się w jedném miejscu i o słońce prosi,
Bo mu tęskno i nudno wśród smętnéj krainy.

O skowronku! zmiłuj się, nie śpiewaj tak ładnie,
Bo ja mgłę bardzo lubię, ona mi zakrywa
To, co do serca troski i boleść przyzywa,
Ona troskom i bolom zawsze coś ukradnie.

Ej niedobra ptaszyno! słońce wznosi głowę,
Złocisty włos rozgarnia i nadstawia ucha,
A skrywszy bystre oczy za ciemną dąbrowę,
Wciąż twoich żalów słucha.

Skowronku! tobie dobrze na ten świat spozierać,
Jakby na jakie nuty, z których pieśni splatasz,
Skowronku, tobie miło skrzydła rozpościerać,
Bo ty do nieba wzlatasz!

Ale spójrz no raz tylko na nieszczęsnych ludzi,
Których boleść ku ziemi nachyla i ciśnie,
Których krwawe sny straszą, a cierpienie budzi,
Lepiéj nieparz... bo łezka nad twym dziobkiem błyśnie,
Łezka zaś przyjacielu to nie deszcz nie rosa,
Chociaż w sobie najpiękniéj odbija niebiosa!

Skowronku! tutaj u nas są i ludzie tacy,
Co od trosk uciekając pieśni nucą sobie,
Ale to są nie godni wspomnienia śpiewacy!
Którzy niechcą pocieszyć strapionego brata,
Chociaż wszyscy na jednym przebywają grobie,
Na jednéj kuli świata.

Ptaszku! cacko harmonii — aniołków igraszko,
Czemu się między chmury przedemną ukrywasz,
Czy gardzisz moją skargą, niby ziemską fraszką,
Czy się nad własną pieśnią nareszcie rozpływasz?

Ptaszku wrócisz ty tutaj po troski i bole,
Więc niełudź się napróżno bo wkrótce pod miedzą,
Śmierć nie kosą, lecz szpilką w serce cię ukole,
A mrówki kości objedzą.

C. N.

URODZONY

JAN DĘBORÓG.

DZIEJE JEGO RODU, GŁOWY I SERCA,
PRZEZ NIEGO SAMEGO OPOWIADANE,
A RYTMEM SPISANE

PRZEZ

WŁADYSŁAWA SYROKOMLĘ.

PRZEDŚPIEWEK

DO

LITEWSKIEGO CZYTELNIKA.

Ziemio moja rodzona, Litwo moja święta,
Żółtym piaskiem i drobną trawą przytrząśnięta!
Niepokaźne na oko dzikie twe zacisze,
Nie tak jak u Auzońców i Helwetów słyszę,
Gdzie pola, jak raj ziemski, jako świata dziwo,
Gdzie lasy zarastają mirtem i oliwą,
Gdzie góry od Ponarskich wyższe tysiąc razy,
Takie cudne co chwila stawią krajobrazy,
Takie rzeki, kaskady i jeziora tworzą,
Że je Włosi malują, i na dziw rozwożą
Po litewskich jarmarkach, gdzie je naród chwyta —
Ty nie dojdziesz téj sławy, Litwo rodowita!
Twoja ziemia posępna, twe niebo bez blasku,
Ciebie do Włoch na pokaz nie powieźć w obrazku;
Nie spada w katarakty twoja woda sina,
Na twych wzgórkach jałowiec, po lasach sośnina —
Z nieociosanych bierwion klecone twe domy,
Kwitnie mech zielonawy na strzechach ze słomy,
A pod strzechą lud pełen prostoty i dziczy,
Rzekłbyś, patrząc na niego, że do trzech nie zliczy.

A jednak do twéj treści zajrzawszy głęboko,
Litwo! tyś więcéj warta, niż zda się na oko:
Pieszczota oceanu, dziwowisko świata,
Z twych sosen wyciosana brytańska fregata;
Siermiężny syn twych wiosek po to ziemię kopie,
Aby głodno nie było pięknéj Europie;
Nie zląkł się prosty szlachcic, karmiony twém żytem,
Ani Turków pod Wiedniem, ni skał pod Madrytem.

Cicho Niemen przebiega rodzinne siedziby,
Nie straszny dla żeglarza i spokojny niby,
Pozwala siebie lodziom deptać całe lato,
Zimą da się w ciemnicę zakuć lodowatą;
Nie stawi groźno czoła — nie rwie się, nie ryczy,
Taki zda się pokorny, taki niewolniczy!
O! nie wierz téj pokorze — i patrz, kiedy łaska,
Gdy się na wiosnę wzburzy i lód porozrzaska, —
Biada! ocknął się olbrzym — wie, kto go znieważa:
Gruchoce dom rybaka i statek żeglarza;
Falą zalewa błonie, echem grzmi po borze,
A gdyby jeszcze chwila — świat zniszczyłby może.
Lecz gniew jego przekipiał, już krzywd zapomina. ...
Ot tak samo jak Niemen i serce Litwina;
Tu gdzie niebo posępne, gdzie chłodnawe klima,
Zda się żadna namiętność wrząca nie wytrzyma,
Zda się ludzie drzemali, a całe ich życie
Upływało powoli i nierozmaicie;
Tak Litwin niepoczesny, tak zwiesił coś głowę. ...
Ho! ho! zapytaj dziejów, zbierz wieści domowe,
I co mędrzec zapisał, i co prządka gwarzy,
A poznasz, jak na zimnéj i spokojnéj twarzy
Odkryć gorącéj myśli tajemnicze piętno.

O! i poważna Litwa umie być namiętną:
Tutaj chrobrym zapałem pierś męża oddycha —
Tutaj miłość dziewicza gorąca, choć cicha,
Tutaj znać burze życia na obliczu starém ...
Kolejno z pługiem, z krzyżem, z mieczem lub z puharem,
To rąbiąc się wzajemnie, jak rozkażą starszy,
To wiodąc w gronie dziatwy żywot patryarszy,
To w modlitwie — to w domu, to między cudzymi,
Ruchawe pędził chwile mieszkaniec téj ziemi.
A ile doznał przygód! — i sam nie spamięta;
Czasem bywa ich powieść serdeczna i święta,
Czasem wypadek krwawy lub tchnący swawolą. ...
Niekiedy taki śmieszny, że aż boki bolą.
A pamiątkę tych przygód — co krok to znachodzę!
Każdy kopiec na gruncie, każdy krzyż przy drodze,
Stos łomów na gościńcu, kaplica, gospoda,
Wszystko tu jest pamiątką — i wszystko ci poda
Jakąś ciekawą powieść o życiu Litwina.
A ileż się tych podań codzień zapomina,
Albo widząc nie widzi, a słysząc nie słucha,
Kto rodzimém powietrzem nie napoił ducha?!

Ej, bolesno, bolesno! — czemuż to, mój Boże,
Lirników i gęślarzów miało Zaporoże?
Czemu na naszych polach nie zjawią się tacy,
Jak bardy kaledońscy, jak greccy żebracy,

Co to każdą pamiątkę w rodzimym zakresie
Zaraz w pieśnię ułoży i na świat rozniesie?...
Nas Pan Bóg nie obdarzył talentem śpiewaczym:
My domowe pamiątki kamieniami znaczym.
Co ten kamień?? — zaginie, jako ziemia marna,
Zarośnie mchem zgrzybiałym lub pójdzie na żarna,
A podanie zginęło. — Ejże, jako żywo!
Lirnik miałby tu piękne i bogate żniwo
Opiewać nasze krzyże, kurhany i groby,
Od czasów Mendogowych do dzisiejszéj doby,
Od baszty w krewskim zamku, gdzie legł Kiejstut stary,
Aż do krzyża nad brzegiem Prypeci lub Szczary,
Co wzniosła po topielcu wioskowa gromada
I dotąd o tym krzyżu cuda rozpowiada.
Ej, każda taka powieść dla piewcy ciekawa!
Z każdéj ludziom nauka, płacz, albo zabawa;
A pamiątka i pieśnia przywiązana do niéj;
Zawsze duszy litewskiéj choć cząstkę odsłoni.

* * *

Otoż podanie z jednéj litewskiéj mogiły
Składam dzisiaj w twe ręce, czytelniku miły.
Choć kształtem rymowanym oblokłem to dzieło,
Nic się gwoli końcówce prawdzie nie ujęło.
Prawdziwa, w rymotwórcze koncepta uboga,
Powieść urodzonego Jana Dęboroga:
O rotmistrzu pancernym i jego mogile,
I jako się upiorem błąkał przez lat tyle;
O starym Dęborogów z Brochwiczami sporze,
I o zgodzie serdecznéj — o definitorze,
O świętych jego cnotach, nauce i pracy
(Czemuż częściéj kapłani nie bywają tacy?)
Słowem, całą gawędę z upłynionéj chwili,
Jako niżéj ujrzycie, czytelnicy mili,
Powiadał mi obszernie i w niedawnym czasie
Urodzony Dęboróg, kiedy na popasie
Poznałem go raz pierwszy — zda się, człek statysta,
Z oczu widać szlachetność, mina zawiesista,
A dziś już obywatel, małżonek i ociec.
Ale czy prawdę mówił — zkąd ja mogę dociec?
Więc nie chcąc odpowiedzi brać na własną głowę,
Żem coś zmyślił lub dodał w powieści osnowę,
A pragnąc w całym kształcie oddać tę gawędę,
Własnemi jego słowy opowiadać będę.

URODZONY

JAN DĘBORÓG.

Gawęda szlachecka.

I.

Pod niegminną i niepodłą
Urodziliśmy się gwiazdą:
Herb Dęboróg nasze godło,
Stary Poleś nasze gniazdo.
Z dziadów, z ojców, w naszym rodzie
Zawsze były łaski boże;
Szlachta drobna, lecz zasobna,
Krzywo pisze, prosto orze,
Procesuje, strzeże kopców,
Lasy pali, Boga chwali
I hoduje walnych chłopców,
W naszym rodzie, jak w ogrodzie,
Pełno główek, jak makówek;
Znają ludzie każdą głowę,
I urzędów mamy dosyć;
Ale cóż się z nich wynosić,
Kiedy wszystko powiatowe?
Każdy urząd chociaż ludzki,
Ani grzmiący, ani groźny,
Rotmistrz lidzki lub obożny,
Albo cześnik nowogródzki.
Herb się naszéj parenteli
Ani razu nie doporał,
By po mieczu lub kądzieli
Wziął buławę lub pastorał,
Albo mitrę; naszéj tarczy
Taki *luxus* nie obarczy.
Prosto sobie herb dziadowski,
Przy nim sztandar i armata,
Hełm lub czapeczka rogata,
Albo biret proboszczowski,
Ot i basta. —
Protoplasta,
Od którego my pochodzim,
Za Chrobrego czy za Wazy
Deputatem był dwa razy
I wileńskim podwojwodzim.
Ale z takich antenatów
Nie ma po co dąć się w pysze:
Bo nasz przodek był to, słyszę,
Mimo sławę wiekopomną,
Curtum visum do stu katów!
Więc nie lubim, gdy go wspomną. —
Za to w rodzie naszym słynie
Ów pancerny rotmistrz stary,
Który walczył w Ukrainie
Z hajdamaki i Tatary,
A ugodzon kulą w głowę,
Jak bohater zginął śmiało.
O nim podanie domowe
Taką powieść zachowało:

Że ostatnią czyniąc wolę,
Kazał przewieźć swoje kości

Do ojczystéj posiadłości,
Na wioskową naszą rolę;
Że pogrzebu kościom życzy
Nie we sklepie lub w kościele,
Lecz gdzie żytni łan się ściele,
Gdzie z sąsiadem grunt graniczy;
Aby kurhan nad mogiłą,
Niby kopiec stał ochroniczy,
A na wieki znaczno było,
Gdzie poletek nasz się kończy ...
Jego wola uroczysta
Wypełniona jak należy.
Przeminęło lat ze trzysta,
A od starca do młodzieży,
Każdy jeszcze dziś pamięta
Grób rotmistrza — kopiec z darni;
A sąsiedzi gospodarni
Znali, że to miedza święta,
Że przywłaszczyć ztąd niewolno
Choćby jedną skibę rolną.

Tuż za kopcem stał dwór cudzy,
Ale gruntów nam nie spaszą:
Bo panowie i ich słudzy
Szanowali własność naszą,
Bo widziano, że wybrzeże
Stary dziedzic z grobu strzeże.

II.

Jak mogę zapamiętać — od najrańszéj chwili
Z sąsiadami z za kopca nigdyśmy nie żyli;
Nigdy na naszych ucztach nie byli przytomni,
Mój ojciec nigdy o nich i słówkiem nie wspomni:
Dwa dworki, choć od siebie w mecie niedalekiéj,
Zdaje się grób rotmistrza rozdzielił na wieki.

Jeszcze dzieckiem pamiętam, jak to było gwarno,
Kiedy ściany domowe gości nie ogarną ...
Tam przy matce matrony, tu przy ojcu męże,
Wre gwar, brzęczą kielichy, stukają orężе;
Wije się krasnych strojów barwa uroczysta,
Jako kwiaty na łące, gdy je wietrzyk chysta.
Ojciec wesół, że strzecha ożywiona nasza,
Miód i wino rozlewa, i gości zaprasza,
A sam z gośćmi zasiadłszy przy winie lub miodzie,
Rozpowiada o panu trockim wojewodzie,
Przy którym, jak zwyczajnie szlachta niebogata,
Szukając klienteli spędził młode lata.
I promienieje starzec kiedy gwarzyć zacznie.
Niechże kto o sąsiadach przypomni niebacznie,
Lub o grobie rotmistrza — wnet się ojciec zmienia,
Jak gdyby go ubodły ciężkie przypomnienia.
Wnet pobledniе jak ściana, głowę spuści smutnie,
I oblicze nachmurzy, i rozmowę utnie,
I gryzie gniewnie wargi — nudzą go przytomni;
Chyba że ktoś trockiego wojewodę wspomni,
Wtedy ojciec, nie bacząc, że mu serce boli,
Odzyskiwa wesołość powoli ... powoli.

W końcu umarł nasz sąsiad — cóż państwo powiecie?
Ojciec, co go nie lubił, póki żył na świecie,
Po śmierci mu wypłacał jak gdyby hołd dłużny,
Zapomogę z modlitwy, postu i jałmużny;
Zakupił msze żałobne, krył się od gromady,
A chodził zamyślony, ponury i blady.
Bywało, kto w sąsiedztwie zamknie w Panu oczy,
Mój ojciec w uczynności braterskiéj ochoczy,
Spieszy i losem sierot troska się najczuléj,
Owdzie wdowę pocieszy, tam dziatwę utuli,
Zajmuje się pogrzebem, gospodarzy w stypie,
I gawędki o trockim wojewodzie sypie;
A tutaj, chociaż smutek wpił się mu do głowy,
Nie pojechał na pogrzeb, nie pocieszył wdowy,
I odzywał się słowy gniewnego rankoru,
Kiedy wspomną nazwisko sąsiada lub dworu.
Raz, widząc, że ochłonął z gniewu i rozpaczy,
Spytałem go nieśmiało: co to wszystko znaczy?
Czemu zwykle tak dobry, ochoczy z usługą,
Na sąsiadów z za kopca gniewa się tak długo?
Dla czego, gdy się gniewa w jednostajnéj mierze,
Umarłego sąsiada żałuje tak szczerze?
Dla czego, gdy żałuje, dwór omija z dala,
Nic o zmarłym nie wspomni i nam nie pozwala?
Tu się ojciec zapłonił, potém zbladł jak ściana:
— «A zkądże ta ciekawość? — at, *proszę aspana*,
«Młokos jesteś i kwita, wścibiasz nosa wszędzie!
«Jak ci z laty rozumu do głowy przybędzie,
«Jak na skórze zużyjesz rózeg całą puszczę,
«Wtenczas, proszę aspana, całą rzecz wyłuszczę.
«A tymczasem wiedz błaźnie, i zapisz to w głowie,
«Że nie ja, ani sąsiad, lecz nasi przodkowie,
«Może to prapradziady, mieli z sobą waśnię
«I wnukom przekazali gniew, co nie wygaśnie
«Póty z naszego serca — dopóki wystarczy
«Naszych imion szlacheckich i herbów na tarczy.
«Wiele wody upłynie, długie przejdą lata,
«Nim się w końcu Dęboróg z Brochwiczem pobrata;
«A o tamtych zatargach pamięć i nauka
«Z ojca pójdzie na syna, a z syna na wnuka,
«I chyba który z rodu ... At i gadać szkoda!
«Coby to rzekł, mospanie, trocki wojewoda,
«Że się młokos u starca tak zuchwale pyta?
«Nie rozumiesz tych rzeczy — więc milczeć, i kwita.»

III.

Byłem już sobie rosłe pacholę,
Runiał mi wąsik na krasnéj twarzy;
Czas był do szkoły — ale o szkole
Mojemu ojcu ani się marzy.
A kiedy wspomni, to zawsze w gniewie:
— «Proszę aspana, czas wyśmienity,
«Młodzież głupieje, nic a nic nie wie,
«A gdzie się uczyć bez Jezuity?
«Minęła wiara i karność stara,
«Po szkołach jakieś nowotne dzieło,
«Nie masz łaciny, nie masz Alwara,
«Równo z Alwarem — wszystko zginęło.
«Ksiądz Jezuita niegdyś dobitnie
«Wrażał łacinę i karność w dziecię,
«Przetoż bywało i mądrość kwitnie,
«I lepiéj jakoś było na świecie.
«Przodkowie nasi ztąd mieli ducha,
«Ztąd wiekopomne tworzyli cuda;
«Dzisiaj bez rózgi moralność krucha,
«Z pijarskich książek łacina chuda.
«Synabym w domu nie trzymał dłużéj,
«Lecz Pan Bóg widzi, że pusto w kiesie:
«Dać do konwiktu możność nie służy,
«Uczyć przy farze jakoś nie chce się;
«Zwłaszcza gdy człowiek z dawna pamięta,
«Że dom nasz bywał w świetniejszym stanie,
«Byliśmy w szkole między panięta,
«Chłostę na perskim brali dywanie.
«A dziś ... mój dziedzic ... biada nam,
biada!
«Daremno człowiek ratunku szuka,
«Codzień to ciężéj ród podupada
«Z ojca na syna, z syna na wnuka.
«Proszę aspana, uczyć się pora,
«Lecz nie masz za co, nie masz widocznie.
«Uproszę księdza definitora,
«Niech bakałarzyć nad tobą pocznie.
«Kształć się w łacinie i świętéj wierze,
«Nim pójdziesz do szkół wedle zwyczaju —
«Może się u mnie grosiwo zbierze,
«I Jezuici wrócą do kraju.»

IV.

O milę w wiosce był dom plebana:
Mała świetlica w ziemię schowana,
Krzyżyk się wznosił na facyacie,
I człowiek boży mieszkał w téj chacie.
Ksiądz definitor, święty, wymowny,
Poważny wiekiem, szlachcic herbowny,
Przybył z klasztoru w wioskowe progi,
I wziął w opiekę kościół ubogi,
Wziął półwłocz gruntu — i na téj ziemi
Pracował równo z owieczki swemi.
Czy raz bywało widzieć się zdarza,
Jak święty starzec w porannéj porze,
Czytając hymny z kart brewiarza,
Bronuje zagon lub sieje zboże.
Dwa chromiejące kościelne dziady —
To była jego cała posługa.
Ksiądz definitor, ojciec gromady,
Jedzie do lasu, kołków nastruga,
Ogrodzi smętarz, przywlecze drzewa,
Nosi wiadrami wodę ze strugi,
A idąc pacierz łaciński śpiewa.
Gdy chcesz mu oddać jakie posługi,
Nigdy nie przyjmie — uchyli głowę:
— «Za dobre chęci zapłać ci, Chryste,
«Masz waszeć, bratku, prace domowe,
«Ja sam chcę orać pole ojczyste!»
I tak modlitwę szepcąc pobożnie,
Sam sobie zorze, zasieje, pożnie.

Na jego sznurach najlepiéj rodzi,
Jego przekosów nie znosi woda;
Gdy on na łąkę z kosą wychodzi,
Pewno dni kilka będzie pogoda.
Z długich doświadczeń jego żywota
Jakby wyrocznię mieli kmiotkowie:
Drożyzna, pomór, pogoda, słota,
Ksiądz definitor zawsze przepowie.
I cóż dziwnego? wszak jego oko
Na firmamencie tkwiło zwyczajnie,
Myślami w niebo wsiąknął głęboko,
Podpatrzył, przeczuł niebieskie tajnie;
Może mu nawet w samotnéj celi
I święci Pańscy coś podszepnęli.
Kiedy śpiew starca zadrżał w kościele,
Jakoś cię zawsze skrucha ogarnie,
Rzekłbyś: apostoł — kiedy w niedzielę
Prostemi słowy uczył owczarnię,
Kiedy tłómaczył ze świętéj księgi
«Jak to pokorny Zbawiciel świata
«Składa majestat bożej potęgi,
«I w ciele ludzkiém z człekiem się brata!
«Bóg z nędzarzami żyje pospołu,
«Między grzeszniki siada do stołu,
«I daje siebie przybić do krzyża,
«I składa ciało w człowieczym grobie ...
«Bóg się do ludzkiéj postaci zniża,
«By nas uzacnił, podniósł ku sobie.
«A u nas, szlachcic — jasne wielmożę,
«Rad, że mu herby dała ojczyzna,
«Bóg został człekiem, a on nie może,
«Kmiotków za bliźnich swoich nie przyzna;
«Wstyd mu z wieśniaki bawić pospołu,
«Hańba z rolnikiem siadać do stołu.
«Gdy hardy panek w zbytkach swawoli,
«Za jeden puhar starego wina
«Głodna i chłodna chłopska rodzina
«Na rokby miała chleba i soli.
«Za jedno słówko, w najmniejszéj rzeczy,
«Pany się waśnią, idą na noże;
«Wieśniak pod chłostą jęknąć nie może:
«Bo nie dla niego honor człowieczy!»
Tak to, bywało, głośno i śmiele
Ksiądz definitor gadał w kościele.
Słów jego świętych nigdy nie zaćmi
Żadna nienawiść lub dzikość sroga,
W oczach — do braci prośba za braćmi,
Albo za ludźmi prośba do Boga.
Ani przeklina, ani się dąsa,
Lecz z płaczem przyszłość stawi przed oczy —
Szlachta coś mruczy, najeża wąsa,
Lecz do spowiedzi hurmem się tłoczy.
A spowiedź jego — wieczna nauka!
Nim rozgrzeszenia krzyżyk nakréśli,
Nim w trybunału kratkę zapuka,
Wynajdzie nitkę najskrytszych myśli,

I tak przekona, i tak poruszy,
Tak wpoi miłość, wiarę, nadzieję,
Że choćby grzesznik miał skałę w duszy,
Łzami z pod serca trzykroć się zleje.
A po spowiedzi długo, ach długo!
Będzie spokojne sumienie twoje, —
Będziesz skwapliwy z bratnią usługą,
Krzywdę bliźniemu wrócisz we troje;
Wesołe serce ... och, popamięta,
Że w niém złożona Hostya święta!

Kiedy wieczorna szarzeje pora,
On pieszo zwiedzał poblizkie domy,
Z dala poznałeś definitora
Po kapeluszu z zielonéj słomy;
Za cieniem wzniosłéj, świętéj postawy,
Szło zawsze wierne, pieszczone psisko,
Jak owca biały i kędzierzawy,
Pamiętam, *Servus* jego nazwisko;
A ksiądz czeczotką kroki podpiera,
Idzie powoli i kwiatki zbiera.
On i w pałacu i w prostéj chacie
Pomagał, radził, krzepił na duchu,
Z panem i z chłopem za-panie-bracie,
Jakby ogniwo w bratnim łańcuchu.

V.

Ksiądz definitor był kapłanów wzorem —
Ojciec mój chodził najpoczciwszą drogą,
Rzecz jednak dziwna, że z definitorem
Nigdy bywało zgodzić się nie mogą.
Ojciec mój w mieście zawsze się spowiada,
Ksiądz definitor wiecznie nas ominie,
A gdy się zejdą trafem u sąsiada,
Zawsze się z sobą kłócą po łacinie —
A ojciec mówi: «At proszę aspana,
«Ksiądz i poczciwy, lecz pożal się Boże,
«Tak mu do grzbietu przyrosła sutana,
«Że o szlacheckim zapomniał honorze.
«Nie sztuka zrzędzić — ale Bogu dzięki,
«Moje sumienie nieskalane wcale;
«Gdyby przynajmniéj Statut wziął do ręki,
«Proszę aspana, tam w czwartym rozdziale,
«Jak wołem pisze o ziemskiéj dawności:
«Kto przez lat dziesięć dóbr się nie dopomni,
«Niech późniéj do nich i prawa nie rości,
«Ni on, ni dzieci, ni dalsi potomni.
«A toż, mospanie, od początku dzieła
«Może dziesiąta dawność upłynęła.
«Z dziadów, z prawnuków szło daléj i daléj,
«Czemuż się pierwéj nie upominali?
«Co wziąłem z ojców, muszę strzedz jak głowy,
«Muszę w całości przekazać méj dziatwie
«Grunta po miedzę, gdzie grób rotmistrzowy,
«I całą sprawę, któréj nie załatwię —
«Bo jest przysłowie: *że do końca świata*
«*Herb się Dęboróg z Brochwiczem nie zbrata.*
«Ksiądz definitor napomina srodze,
«Bym oddał grunta aż do saméj rzeki!
«Proszę aspana, toż minęły wieki,
«Nie jam ukrzywdził, nie ja wynagrodzę.
«Przodkowie nasi graniczyli miedzą
«I mieli proces o sąsiednie niwy,
«Przodkowie nasi Bogu odpowiedzą,
«Pan Bóg rozezna, kto prawy, kto krzywy.
«Może już dotąd gdzieś przed Panem Bogiem
«Dawno się Brochwicz zbratał z Dęborogiem;
«Lecz tu, na ziemi ... to wcale inaczéj,
«Proszę aspana, i honor coś znaczy,
«Honor szlachecki. ...
«Ale to najgorzéj,
«Że ksiądz tak żywo bierze sprawę wdowy,
«Puka mi w serce swojemi namowy,
«W imię sumienia i bojaźni bożej,
«Bym zwrócił grunta — ja gruntów nie zwrócę,
«Proszę aspana, lecz tu sęk u licha,
«Że trzeba z prośbą udać się do mnicha,
«By chciał mi syna przyjąć ku nauce.
«Bo już co prawda, to wyznać potrzeba,
«Że jego głowa przemądra, choć stara —
«Łaciny jeszcze uczył się z Alwara,
«A cnoty — chyba od samego Nieba;
«Uczony, skromny, pracowity, szczery,
«Czysto jak święty Franciszek Ksawery.
«O! dla młodego taki mistrz nielada,
«Święte w tych rękach boćkowskie narzędzie!
«Lecz iść i prosić, nie wiem, czy wypada,
«Bo jak odmówi, to jeno wstyd będzie.»
Taka w mym ojcu toczyła się walka,
Wreszcie kabała rozstrzygnie ją może.
Więc ujął karty, liczy: tuz ... król ... kralka ...
Z kart wyszło dobrze — idźmy w imię boże.

VI.

Ksiądz definitor prośby wysłuchał wesoło,
Ściskał ojca, mnie ściskał, ucałował w czoło,
I rzekł: — «Zostań tu chłopcze, ucz się w imię boże!
«Wszystką miłością w sercu, chlebem co w komorze
«I nauką co w głowie — choć jéj tak niewiele,
«Co Bóg dał, wszystkiém chętnie z tobą się podzielę!
«Tylko że widzi waszmość — rzekł do ojca daléj —
«Ja stary, mam narowy, a szlachcice mali
«Zwykle przynoszą z domu dwa początki liche,
«Bo dwa grzechy śmiertelne — lenistwo i pychę;
«A u mnie chleb pożywać trzeba w ciężkim trudzie,
«Przekonać się, że równi sobie wszyscy ludzie,
«Czy kto ma herb, czy nie ma — braciaśmy po prostu,
«Czy kto żyje w pałacu, czy w lepiance z chrostu.
«Chłopyśmy i parobki przed bożém obliczem! —
«Nikt cię tutaj nie będzie nazywał paniczem,
«Jeść będziesz razem zemną, z nami czeladź jada,
«W zakrystyi wyręczać kulawego dziada,
«Na polu mnie się w pracy nieraz dopomoże:
«Ja będę żął, ty w snopy związywał mi zboże;
«A żeby się nie nudzić, to na pole ruszym
«Z grammatyką łacińską i Wirgiliuszem,
«Z konwią mleka i z chleben — toż to będzie cudnie,
«Siadłszy pod kopą żyta we znojne południe,
«Posilając się sobie póki skwaru chwila,
«*Titire! te patula* ... tłómaczyć z Wirgila:
«Bo sielanki najlepiéj w polu się wydadzą.
«A szlachcic, co ma dzierżeć lud boży pod władzą,

«Gdy sam pozna w rolnictwie i róże i osty,
«Nie będzie się tak lekko porywał do chłosty;
«A gdy razem z czeladzią swą sochę zaprzęże,
«Równiejsze będą skiby ...»

VII.

— «Miłościwy księże!
(Tak mu przerwał mój ojciec nadąsany srodze)
«Na to, proszę aspana, nigdy się nie zgodzę.
«Pracować to pracować, lecz herbowne dziecko
«Winno zawsze zachować powagę szlachecką
«W obec gminnych plebejów, co z wioski ród wiodą.
«Ot powiem jegomości — z trockim wojewodą
«Raz taki był przypadek: — Jak jegomość wiecie,
«Na poleskich jeziorach, w bujnym oczerecie,
«Lęgną się stada kaczek; — panu wojewodzie
«Zamarzyło się z wioski sprowadzić dwie łodzie
«I ruszyć na jezioro — w jednéj szuhalei
«Byłem ja, pan Belina i dojeżdżacz z kniei;
«A w drugiém czółnie starém i popsutém wielce
«Jechał sam wojewoda, wyżeł i dwa strzelce.
«Wpływamy na głębinę — wtém ... zawietrzył w stronę
«Wyżeł, psisko niekarne a wielce pieszczone,
«Obaczył stado kaczek — więc bestya skora
«Machnął tylko kosmykiem ... i buch do jeziora! ...
«Stara łódź się pochysta, już żłopnęła wody,
«Tonie ... gwałtu! ratujcie! nie masz wojewody!
«Jeno kędyś pluchocą w rozhulanéj fali
«I on sam i myśliwcy, którzy z nim jechali —
«Jeno, proszę aspana, z falami się miesza
«Jego suta, zielona ze srebrem bekiesza.
«Pan nie pływał, bo tusza była na przeszkodzie;
«Lecz Poleszuk, jak ryba, nie zatonie w wodzie,
«Strzelcy się wydobyli za wspólną pomocą,
«Nogami depcą fale, pięściami je grzmocą,
«Płyną, proszę aspana, że aż widok miły —
«Jeden z nich, jak dziś pomnę, Hryćko syn Kiryły,
«Wynurzył się ... odetchnął ... dał nurka na nowo ...
«I jako zgryźć orzecha, jak powiedzieć słowo,
«Wybrnął z głębi, i za czub wojewodę wlecze,
«Na którym ledwie piętno rozpoznać człowiecze.
«My w pław i do topielca ... siłami wszystkiemi
«Dawaj na brzeg wynosić a taczać po ziemi,
«Aż struga z wojewody leje się jak z kadzi.
«Pan bez zmysłów, bez pulsu — więc w całéj czeladzi
«Przerażenie i popłoch — aż po długiéj męce,
Wojewoda odetchnął, wzniósł do góry ręce,
«I choć zaledwie żyje, zaledwie oddycha,
«*Te Deum laudamus* zabełkotał z cicha.
«Zaraz go nieść do zamku na barkiśmy wzięli.
«Nazajutrz wojewoda był zdrów po kąpieli,
«I wydał dla nas ucztę.
«Kiedyśmy przy miodzie,
«Wszystko opowiedzieli panu wojewodzie:
«Jak się czółen wywrócił, jak on wpadł do toni,
«Jak go fala unosi, jak go Hryćko goni,
«Jak nakoniec (niech będą wielbione Niebiosy)
«Strzelec go z topieliska wyciągnął za włosy.
— «Jak to? (krzyknął gniewliwie, nasrożywszy minę) —
«Śmiała mię chamska ręka dzierżeć za czuprynę!
«Trockiego wojewodę! pana! dygnitarza!
«Gdzie ów śmiałek? — Sto batów! niech się nie odważa
«Na podobne zuchwalstwa — bo krew szlachty święta.
«Sto batów myśliwcowi! — niechaj zapamięta,
«Że szlachcic chociaż w ogniu albo w wodzie ginie,
«Wara przedsię chłopowi ku jego czuprynie!» —
«W końcu nieco ochłonął — musnął się po głowie:
— «Ale żem ja niewdzięczen, niechaj nikt nie powie.
«Panie rządco! ja Hryćka kwituje z pańszczyzną —
«Dać mu na całe życie włokę gruntu żyzną,
«Niechaj wiedzą włościanie, że jeden w ich rodzie,
«Trockiego wojewodę salwował w przygodzie!
«Lecz że za czub mię dzierżał swoją chamską dłonią,
«Sto batów niech wyliczą, a liczby nie ronią.» —

«Więc Hryćko syn Kiryły wziął sute nahaje
«A nam szlachcie na wieki nauka zostaje,
«Co rozumieć o naszym herbownym splendorze.
«Lecz jegomość się zżymasz? ... ej definitorze!
«Wybij z szanownéj głowy swe dziwne pochopy,
«I dziecka szlacheckiego nie zrównywaj z chłopy,
«Bo na to nie pozwolę — Łaska waszmościna
«Za mój grosz jako tako poduczyć mi syna,
«Dobrze proszę aspana; lecz jeśli moj Janek
«Ma się uczyć przy snopach łacińskich sielanek,
«Razem z chłopstwem zasiadać do misy i chleba,
«Dziękuję, mnie łaciny takiéj nie potrzeba;
«Niechaj się sobie w domu choć po prostu modli,
«Lepiéj niech będzie głupim, — a rodu nie spodli.»

VIII.

— «Znam, panie Pawle, te szlacheckie pieśnie —
«Rzekł definitor, śmiejąc się boleśnie —
«Lecz pozwól waszmość . . .» Co tam mówił daléj,
Mogli zrozumieć chyba wszyscy święci —
Bo po łacinie starce już gadali,
Obadwaj żwawi, obadwaj zawzięci:
Ksiądz głową kiwa, ojciec ręką trzęsie,
Godzina druga upływa na swarze —
W końcu przy piwku i przy sztukamięsie
Podali sobie ręce adwersarze.

Snadź się mój ojciec wysilił w gawędzie,
Dał się przekonać, chociaż z wielką biedą,
Bo tylko mówił: — «*Concedo! concedo!*
«Proszę aspana, niech już i tak będzie.»
Potém rzekł do mnie: — «Tutaj cię porzucę;
«Słuchaj i kochaj cnotliwego księdza,
«Sprawiaj się pilno w pracy i nauce,
«Honor szlachecki niechaj cię przypędza;
«Zresztą leniwca ksiądz niech smaga batem,
«Bo mu *paternam* zdaję *potestatem!*»
To mówiąc, ręką do kieszeni zmierza, —
Spojrzałem, zbladłem, zadrżałem od mrowi:
Boćkowski rzemień zwinął do talerza
I przez stół podał definitorowi.
A ów rzekł, biorąc straszliwe narzędzie:
— «Ufam, że nigdy potrzebny nie będzie.»

IX.

Nie taki szatan straszny, za jakiego słynie,
Jak go czasem malują węglem na kominie;
Tak i z moją nauką — pojętność, pokora,
Prędko jakoś trafiły w myśl definitora:
Nie posłyszałem nigdy ostrego wyrazu,
Rzemień boćkowski nie był w robocie ni razu...

Bywało, skoro jutrznia błyśnie na lazurze,
Stary ksiądz już w kościele — ja mu do mszy służę,
Potém dziady grzanego piwka nam przyniosą,
I ruszamy na łąkę z grabiami i z kosą,
Albo wziąwszy więcierze, idziem ku zatoce
Patrzeć, gdzie hula płotka, gdzie szczupak pluchoce.
Poranek lekki, rzeźwy, a woda tak cicha,
Fafa falę ugania i naprzód popycha,
Snuje się nad wodami obłok tajemniczy,
W obłoku słowik śpiewa, lub żuraw zakrzyczy.
Wtedy mi starzec siwy, jakby duch z nad wody,
Objaśnia tajemnice i cuda przyrody.
Wprzódy uniosłszy ducha, wspomina imiona
I prace Kopernika, Lineja, Newtona,
I tłómaczy mniéj z książki, a więcéj z pamięci:
Wedle jakich praw ruchu nasz globus się kręci?
Jak snują się w przestrzeni światów miryady?
Co jest grom, błyskawica, i śniegi, i grady?
Jak się obiega ziemię w żeglarskiéj podróży?
Jak się ów ptak nazywa? k'czemu kwiat ten służy? —
A ja, siedząc oparty na kłodę olchową,
Piję łapczywém uchem każde starca słowo,
I pilno każde słowo w pamięci zasklepię.
A tymczasem już szczupak w więcierzu się trzepie.

Więc wyciągamy kosze, powracam do chaty
Z pełném sercem i w nową wiadomość bogaty;
A starzec szczęśliw zemnie, na końcu mi gwarzy,
Z jakiemi przyprawami szczupak się uwarzy,
Aby smaczny był obiad; — daléj kształcąc wiedzę,
Godzinę albo drugą nad książką posiedzę,
I znowu do roboty na łąkę zieloną,
Lub na pole szerokie z sierpami lub broną.
Tam dla mnie wszystko nowość, kędy okiem rzucę;
Starzec wszystko obracał ku mojéj nauce:
Opowiadał dobitnie, jasno a powoli,
O własnościach powietrza, klimatu i roli,
O pracach ludzkiéj ręki i bydlęcéj szyje,
Ile się jeszcze bogactw w łonie ziemi kryje...

Na takich pogadankach płynie chwila chyża,
Ani ujrzysz, jak słońce ku ziemi się zniża,
Jak całodzienna praca już do końca blizko,
Jako się snop przy snopie składa na ściernisko ...
Wtedy złożywszy kopy, wracamy do wczasu,
Nócąc psalm staroświecki Jana z Czarnolasu.
Wtórują nam dziadowie i żniwiarze z wioski,
Aż się puszcza rozlega od hucznéj pogłoski.

X.

Niekiedy w nocy, gdy maj się pocznie,
Słowik wieczorną piosnkę zadzwoni,
Z wiejskiemi chłopcy, z tabunem koni,
Lecim na nocleg śpiewając skocznie.
Aż za wioskę, aż za zboże,
Na wygonie, lub ugorze,
Konie w paszę z rąk —
I już chłopcy w jednéj chwili
Stosy chróstu nanosili
I zasiedli w krąg,
I ziemniaki w żarze pieką —
Płomień bucha — ej daleko
Widać ogień nasz!
Co tam śmiechu, co tam wrzasku!
Ktoś upiorem straszy z lasku —
Człowiek ani dbasz.
Choć kto w dzień się namozoli,
Choć drugiego serce boli,
To najmniejsza rzecz.
Bo gdy ludno, pusto, gwarnie,
Smutek duszy nie ogarnie,
Wszelka bojaźń precz.
Na rosnéj trawie rozściełamy suknie,
Zjemy ziemniaki i chleba po kęsie,
I chór: *Dobranoc o Jezu!* jak huknie,
Tak aż się echo w olszniaku zatrzęsie.
I daleko po równinie
Świętéj pieśni echo płynie.
Czasem słowik wtór nam poda,
W sercu rzewność tak głęboka,
Ani ujrzysz, gdy ci z oka
Łzy polejà się jak woda.

Człowiek rzeźwiejszy po świętéj pieśni
Do nowych śmiechów, do pogadanek;
We wsi już kury pieją poranek,
A o spoczynku żaden z nas nie śni.
Bo jakże usnąć w majowe noce?
Tu konie zarżą, tu ogień błyśnie,
A tutaj ptactwo, jak naumyślnie,
Na tysiąc tonów piosnkę szczebioce.
Chróst na stosie, ogień bucha,
Księżyc świeci, a gromada
Pieśni, skazki opowiada,
Skazek, pieśni bacznie słucha.
Miłoż w kółko sieść na ziemię,
Gwarzyć w ptactwa słodkiéj wrzawie!
Jeden, drugi niby zdrzemie —
Miłoż drzemać na murawie!
Ptactwo milknie po kolei,
Ogień z wolna gasnąć zacznie,
A nam sen powieki klei,
Ale czujnie, ale bacznie!
Każdy słyszy jako żywo,
Czy koń parsknie, czy podskoczy,
Brząknie trędzlą, wstrząśnie grzywą,
Albo zarży na uboczy.
Po chwilce drzemki oko się przetrze,
Blizko poranek, znać już po wietrze,
Znać już po gwiazdach, po szumie rzeczki,
Po głosie drozda i przepióreczki;
I koń już częściéj stuka w kopyta,
Zroszoną trawę pośpieszniéj chwyta.
Cyt, już i słowik strzela piosenką,
Już i skowronek wita się z dziońkiem;
My za słowikiem i za skowronkiem
Nócim: *Zawitaj ranna Jutrzenko!*
Ot i szaro, ot i dnieje,
Ot i gaśnie blask księżyca,
Ot i zorza jak dziewica
Miłą barwą rumienieje;
Ot i we wsi ruch niedzielny,
Kogut głosi czas świtania,
Ranny ptaszek dziad kościelny
Na pacierze już wydzwania.
Jakże pięknie dzwon daleki
W mgłach porannych się rozpływa!
Rzeźwy chłodek wieje z rzeki,
Z oczu resztę snu obmywa!
Słońce ognistym błysło promieniem,
Oblało ziemię światłem i cieniem,
A niebo w złocie, w różach, w błękicie,
Ziemia w zieloność strojna wesołą,
A człowiek wtedy patrząc w około,
Stałby jak wryty przez całe życie.
Z pacierzem w duszy, łzami zalany,
Aniby sobie przypomniał kiedy,
Że gdzieś jest ziemia i ziemskie biedy,
Że on nic więcéj — zlepek gliniany,
Hej, do domu czas już pewnie!
Konie syte nocną paszą —
My weseli, hukniem śpiewnie
I porzucim łąkę naszą.
I wtórując trąbką z rogu,
Na wyścigi, hej przez rowy! —
Ot i nocleg nasz majowy,
Śpieszmy oddać chwałę Bogu.

XI.

A kiedy święto lub deszcz z pola spędza,
Chłopcy się tłoczym, ile chata zmieści,
I ciasném kółkiem otaczamy księdza,
By nam gawędził odwieczne powieści;
A jego pamięć uczona, bogata,
Odsłania dzieje biblijne, najstarsze,
Kreśli nam potop lub stworzenie świata,
Albo szczęśliwe wieki patryarsze.
Jesteśmy zda się w rozmarzeniu złotém
Pod Abrahama pasterskim namiotem,
Płaczem z Józefem gdy się więźniem czyni,
Błądzim z Mojżeszem w arabskiéj pustyni.
Dopieroż słuchaj kiedy głos podnasza,
Gdy stare piersi zapałem odżyją,
Głosząc z proroków przyjście Messyasza,
Aż się radujem z Anioły, z Maryą,
Tężymy słuch nasz, jak zgłodniała rzesza,
Gdy tysiącami za Chrystem pośpiesza.
My w wieczerniku, my z Panem w ogrodzie,
Z Matką pod krzyżem nasza dusza gości —
W świętéj boleści, co nam duszę bodzie,
Uczym się ducha niebieskiéj miłości —
Tak nas ów obraz do niebios przybliża,
Człekby się chętnie dał przybić do krzyża. —
Niekiedy starzec na dłoni oparty,
Rzekłbyś, Herodot wśród pokoleń nowych,
Kreśli nam dzieje Atenów lub Sparty,
Czasów Likurga lub Peryklesowych.
Gdy kreśli przeszłość, to w takim kolorze,
Że ci się żywa przed oczami wyda,
Że tylko westchniesz: «O zeszléj mi, Boże,
«Życie Solona, albo Arystyda!»
Ileż to razy w długą noc zimową
Słyszane dzieje stawały mi we śnie!
Upiór przeszłości latał nad mą głową,
Było mi błogo, a czasem boleśnie.
Strach! gdy się głowa, gdy serce rozmarzy!
We krwi gorącéj wre jakby w ukropie.
To śnię zborzysko italskich zbrodniarzy,
Jak wieczne Rzymu fundamenta kopie;
To zda się widzę, że krok ku mnie czyni
Pobożny Numa lub hardy Tarkwini;
Lub się w kościele Jowiszowym baczę,
Rzym jeszcze nie jest zepsutym służalcem;
W krzesłach senatu zasiedli brodacze,
Cycero zdrajców ukazuje palcem:
Drży Katylina ... A tam złoto ważą,
I leżą trupy, pływają krwi fale,
Na rzymskiém forum Galle gospodarzą,
Kwiryci złoto niosą im na szalę,
A na tém złocie arcydziełem dłóta
Twarz rzymskich bogów i przodków wykuta.
Wtém szczęk żelaza, otwarły się wrota,
Nowa kohorta Rzymianów się wciska,
Kamillus wpada i szalę gruchota,
I dzikich Gallów spędza z targowiska;
Słychać jak giną, jak pierzchają dzicy,
Słychać szczęk mieczów po stalnéj zbroicy.
A owo widzę, jakby wiejska chata,
I widzę starca, co orze z daleka,
Idę — poznaję Kwinta Cincynata,
Przy nim miecz we krwi i konewka mleka.
Póki się woły popasły pod lasem,
On wrogów Rzymu zwyciężył tymczasem;

Precz zrzucił pancerz, znowu wziął opończę,
Smieje się stary w wesołéj gawędzie:
«Ot jeszcze dzisiaj zagonu dokończę,
«Posieję żyto — i niezgorsze będzie.»
Rzymski szlachcicu, dopomóż ci, Boże!
Tak sobie myślę i znowu śpię smaczno...
Wtém nowe mary na młodzieńcze łoże
W innych postaciach nalatywać zaczną.
Wiją się hufce i obcych i braci,
Płynie krew, pole trupami się ściele;
A wtém dziewica anielskiéj postaci
Rękę przez Niemen podaje Jagielle;
Słychać organy, i mężowie w bieli
Z piękném rycerstwem bratnio się objęli.
Wtém nowe widmo: wśród blasku oręży
Siedzą poważni państwa dostojnicy,
I w obrzędowéj dalmatyce księżéj
W koronie, z berłem, na ojców stolicy
Siadł Zygmunt August — z postawą młodzieńczą.

W koło tłum ludzi daleko, daleko;
Swoi coś gwarzą, a wrogowie klęczą,
A u stop tronu płynie miód i mleko ...
Ten piękny widok pobledniał i skonał,
Zniknęły tłumy, wrogowie, pancerni;
Na miejscu tronu stoi konfessyonał,
W nim siedzi postać obleczona w czerni,
Postać zbiedniona, pokorna i blada,
A Zygmunt Trzeci przed nią się spowiada ...
I tak kolejno myśli mojéj głowy
Na tysiąc sennych widziadeł się dzielą...
Wtém przeraźliwie ach! sen mój dziejowy
Rozproszył kogut pieją nad pościelą.
— «Czas do roboty!» poznaję głos dziada,
Co zwykł mię budzić gdy godzina szara.
«Ksiądz definitor dawno już spowiada,
«Czas do mszy służyć — sen mara, Bóg wiara.»

XII.

Biegły me dni jak w niebie na takiéj nance,
Mniemałem, że już księdza nigdy nie porzucę;
Bo przeznać całą mądrość, którą starzec głosił,
A przejąć wszystkie cnoty, które w sercu nosił,
I za rok i za drugi to jeszcze niewiele.
Ojciec przychodził do nas prawie co niedzielę,
Zaczepiał mię z łaciny — znać było po minie,
Że się cieszył, że widział jak postępy czynię;
Ale gdyśmy sam na sam, strach co wygadywa
Na owe z wieśniakami noclegi i żniwa!
—«Muszę, proszę aspana, oddać cię do miasta,
«Bo tutaj twe szlachectwo na nic się rozszasta,
«A tarcza z Dęborogiem wśród chłopstwa wytarta,
«Co kapelusz żydowski tyle będzie warta.
«Kiedy ksiądz definitor żąda natarczywie,
«Ażebyś z prostakami pracował na niwie,
«Staremu trzeba uledz, bo mię zrzędzić zacznie;
«Lecz pamiętaj w robocie zostać się nieznacznie
«I folgować swym rękom — by znał gmin ciekawy,
«Że pracujesz nie z musu, jeno dla zabawy.
«Dłoń szlachcica stworzona dla miecza, nie żniwa,
«Krom rycerskiéj zabawy niech wolno spoczywa.»
Tak zacni dwaj starcowie w niezgodnéj rozterce
Każdy w inną krainę ciągnął moje serce:
W krainie herbów jakoś i zimno i ciemno;
Inszy świat definitor rozjaśniał przedemną;
Tam dla duszy przestronniéj i sercu weseléj.
Ojciec to zauważał — więc jednej niedzieli
Na mszę przyjechał wózkiem, i oświadczył żywo,
Że mię oddać do szkoły zebrał już grosiwo,
I syna wnet zabierze. — Ja w płacz — nic nie służy:
Juz wybiła bolesna godzina podróży.
Ksiądz mię rzewnie uściskał, a tknięty mym płaczem
Łzie ze starego oka dał płynąć cichaczem;
Żegnał i błogosławił ojcowskiemi słowy,
I dał mi poświęcony medal z Częstochowy,
Przeprowadził z pół mili aż ku wielkiéj sośnie,
Stary *Servus* zaszczekał, zaskomlił żałośnie
Po dobrym towarzyszu — ruszyliśmy drogą,
Skrył się za górą domek gdziem przeżył tak błogo,
Tylko krzyżyk kościelny z za lasu migota,
Jakby błogosławieństwo na drogę żywota.

XIII.

Czém w polu zasiew, czém zawiązka w kwiecie,
Tém w życiu męża szkolne sześciolecie.
Trudno dziś skupić te drogie obrazy
Choć się ich tyle do wspomnienia ciśnie,
Choć jeszcze teraz, po ileż to razy
Szkolną ławicę albo dzwonek przyśnię!
Niekiedy marzę, że nie umiem *składni*,
A tu za chwilę wejdzie *ksiądz Łacina*.
Szydzą z méj biedy uczniowie przykładni,
Truchleję, blednę, aż krew mi się ścina,
Aż się rozbudzę — ale gdy na jawie
Ochłonę nieco ze strachu szkolarza,
To w gorzkiém życiu słodko się zabawię,
Pierś orzeźwioną wspomnienie rozmarza.
Tak w skwarne lato oddychamy miło
Pod ciemnym klonem lub brzozą pochyłą.

Pomnę raz pierwszy gdym jechał do szkoły,
Jaką się trwogę w sercu przezwyciężа,
A ojciec prawi w gawędzie wesołéj,
Jak to chłostali jezuiccy księża.
Przed rozognioną wyobraźnią dziecka
Stał Jezuita i poglądał srogo,
Ukrywał kańczug pod wełnianą togą,
A w jego rękach grammatyka grecka.
Takiemi strachy napełnia się głowa,
Chór Jezuitów groźnie mię otacza.
Tak gdy niebaczna piastunka wioskowa
Postraszy dziadem małego krzykacza,
To dziecko płacze gdy go w cerkiew wiodą,
Choć tam Pan Jezus we złocie i srebrze,
Lecz strach u progu — dziad z torbą i brodą

Wyciąga rękę i śpiewając żebrze.
Od tego dziecka nieweselszy zgoła,
Ujrzałem mury gdzie klasztor i szkoła,
Kędy mnie wiedli; — z bojaźliwą trwogą
Wszedłem za ojcem za fortę klasztorną ...
Na korytarzach nie było nikogo;
Przyległe cele godziną wieczorną
Grzmiały w sto głosów; znacznо, żeśmy
w szkole —
Owdzie nauki, tam śmiech i swawole.

Tedyśmy weszli do jednéj z tych celi.
Tutaj ksiądz prefekt mego ojca wita,
Z miłym uśmiechem, obleczony w bieli,
Całkiem nie taki jak ów Jezuita,
Co w czarnéj szacie i z groźbą na twarzy
Od kilku nocy w moich snach się marzy.
Snadź że wyczytał przestrach z mojéj miny,
Bo mię pod brodę pogłaskał łaskawie,
Potém z nienacka zapytał z łaciny —
Ja mu pijarską grammatykę prawię,
Jakby przed ojcem, odważnie, tak samo,
Bo wzrok łaskawy rozbudził mą wenę —
Odmieniam *terra*, konjuguję *amo*,
Ksiądz prefekt chwali: *Bene puer! bene!*
Aż ojciec wesół, że syn tak rozbiera
Nomen, pronomen, verbum, et cactera.
A jaka szkoda o Boże mój, Boże!
Że tu nie wszyscy kogo serce kocha;
Czemuż cię nie ma, o definitorze!
Moim tryumfem pocieszyć się trocha!
Widzieć jak rośnie, rośnie mi odwaga,
Jak mi się czoło rozjaśnia choć potnie ...
Ksiądz prefekt bada — Bóg mi dopomaga,
Ja odpowiadam przytomnie i lotnie;
Przebiegł tablice Pitagoresowe,
Kazał Rzym święty znaleźć na atlasie,
I rzekł poważnie, całując mię w głowę:
— «Wybornie chłopcze — będziesz w drugiéj
klassie!»
Ojciec wesoły, że nam w jednéj chwili
Koszt całoroczny i honor ocalał,
Wziął mię w objęcia — do swych piersi chyli:
«*Proszę aspana!* ...» i łzami się zalał.

XIV.

Gdzie wy jasne dni moje, moje szkolne
czasy,
Kiedy serce dziecinne z wiarą i otuchą
Do grona towarzyszów i do murów klassy
Przylgło, przyrosło na głucho?!
Gdzie wy drobne a wzniosłe mojéj pychy
cele,
By zrównać i prześcignąć najpierwszych
w nauce?
Gdzie owe wśród igraszek serdeczne wesele,
Kiedy piłkę wysoko ... wysoko wyrzucę?
Kiedy w gronie swawolném po równinach
lecę,
By schwytać wyrzuconą albo odbić w górze?
Gdzie pobożność i wiara w najwyższéj opiece,
Gdy sie modlę w kaplicy albo do mszy służę?
Czy dzisiaj świat postarzał, czy w oczach
ściemniało,
Bóg to wie — krew po sercu ślizga się
powoli,
Serce wiele wymaga, a wrażeń tak mało,
Dobre nie bardzo cieszy, złe nie bardzo boli.
Gdy się dusza zbłąkana w niepewnościach
miota,
A książka ich objaśnić, zwalczyć nie pomoże,
Zapłaczesz: gdzie jest owa dziecinna pro-
stota?
Gdzie wiara w twoją mądrość księże pro-
fessorze?
Wiara, z jaką słuchałem na szkolnéj ławicy,
Kiedy *ksiądz Matematyk* zadanie rozbiera,
Lub kiedy *ksiądz Łacina*, mistrz na kazalnicy,
W błoto strąca Buffona, Russa i Woltera;
Lub kiedy najdziwniejszą zagadkę przyrody
Ksiądz Fizyk wnet objaśni przez płyny
i gazy?
Przysiągłbyś, że to prawda, wychowańcze
młody!
Że Pan Bóg księdzowskiemi przemawia wyrazy.
Dziś, gdy człowiek sam nie wie, choć usilnie
bada,
Co jest biało? co czarno? co prosto? co
krzywo?
Jako chmiel bez podpory na ziemię upada,
Aż zginie przygłuszony ostem i pokrzywą;
Gdy ludzkość bolejąca zgodzić się nie może.
Co jest fałsz a co prawda? co szpetne,
co piękne?
Człek załamuje ręce: o Boże mój, Boże!
Co mi trzeba podeptać? a przed czém
uklęknę?
Bogdaj to szkolna wiara i nadzieja szkolna,
Kiedy wierzyłeś w przyszłość płomienistą
duszą,
Że choć nauka trudna, choć praca mozolna,
Lecz cele nasze wielkie, i spełnić się muszą!
A tu młodzież ochocza bada, czyta, pisze,
Złote bryły nauki wydobywa w trudzie;
Jeno spojrzysz na siebie i na towarzysze,
I pomyślisz: «Doprawdy, będziem wielcy
ludzie!»
Jeden — dziecię pobożne, z zapałem na
twarzy,
Będzie doktor kościelny — tak Pismo przenika;
Drugi biegły w rachunku, o przyrodzie marzy,
Przejdzie z czasem Newtona, dojdzie Ko-
pernika!
To będzie Archimedes, cześć tutejszéj ziemi,
On kwadraturę koła zgłębi i rozwiąże;
Inszy słynie na ławach wierszyki zręcznemi,
Będzie nowy Krasicki, rymotwórców książę.
Gdzie wy teraz jesteście, towarzysze moi?
Cicho o was na świecie: bo świat ciężka
proba!
Żal się Boże bywało co ksiądz prefekt roi,
Że przybędzie krajowi światło i ozdoba.
Spotkasz czasem którego — spojrzysz na
oblicze —
Nie on, nie on szlachetne spodziewania ziści!
Porwany w namiętności koło tajemnicze,
Oddał przyszłość za marne obecne korzyści —
Zszargały mu oblicze nałogi lub nędza.
Ów co miał drogę słońca odmienić na niebie,
Ów co miał zostać wieszczem — w śnie życie
przepędza,
Chodzi mrówczemi drogi — i kontent sam
z siebie!
A toż bywało o nim *ksiądz Retoryk* szepce,

Że ów chłopiec rozwija olbrzymie talenta,
Że Pan Bóg wielkich ludzi naznacza w kolebce,
Że Cezar dzieckiem jaśniał nad rzymskie chłopięta.
A ów teraz bohater poluje na zwierza,
Miłość go rozbydlęca, kielich z nóg obala;
Pan wioski — srogie chłosty wieśniakom wymierza
Albo drzemie po uczcie Heliogabala —
Aż ci się serce ściśnie, aż się łza poleje ...
Precz te smutne uwagi o człowieczéj doli!
Ja miałem opowiadać moje szkolne dzieje,
Teraz siła nie starczy i żal nie pozwoli.

Ot sześć latek przebiegło jakby chwila cicha,
Corocznie nowe trudy i nowe rozkosze,
Co rok głowa bogatsza a serce usycha,
Co rok nowe świadectwa na mądrość przynoszę.
A gdy po chlubnym roku przyjadę na lato,
Niebem mi się wydaje nasza wieś uboga...
Składam ojcu świadectwa — dziękuje mi za to,
I mówi, żem dostojen herbu Dęboroga.
W niedzielę idziem z ojcem do starego mnicha —
Tam gdy gradem mądrości na przytomnych rzucę,
Aż się ojciec raduje i wesół uśmiécha,
Aż się dziady kościelne dziwią méj nauce;
Tylko ksiądz definitor na te korowody
Potrząsa siwą głową — więc ojciec go pyta:
— «Nieprawdaż, zacny księże, iż Dęboróg młody
«Skończy szkoły uczony jakby Jezuita?»
— «Tak — rzecze definitor — zna wszystko po trosze,
«A gdzie nie ma zdolności, tam pracą okupi;
«Braknie mu jednéj rzeczy ...» — «A czegoż to proszę?»
— «Mądrości sokratycznéj: poznania, że głupi.
«Lecz z czasem i to przyjdzie — duma zniży rogi,
«Kiedy prawdziwa mądrość przetrawi się w głowie.
«Tymczasem daj mi rękę wychowańcze drogi —
«Nie gniewaj się na starca, gdy ci prawdę powie.»

XV.

Gdym skończył szkołę — po świętym Pietrze,
Ojciec mię lekko trzepiąc po grzbiecie:
— «Słuchaj — rzekł — Janie! nim ci się przetrze
«Jakiś tam zawód na bożym świecie,
«Dam ci zabawkę — i co się zowie,
«Co nie poniży herbowne dziecko,
«Przez którą starzy Dęborogowie
«Zyskali niegdyś godność szlachecką.
«Bartosz Paprocki w swych herbów zbiorze
«Pisze zkąd nasze godło urasta,
«Jak na Zygmunta Augusta dworze
«Był *quondam* strzelcem nasz protoplasta;
«(*Proszę aspana*, dzielny myśliwy
«Na pańskich dworach zawsze jest w cenie).
«Razu jednego znalazł — o dziwy!
«Wrosłe do dębu rogi jelenie.
«Rzecz taka rzadka i niewiadoma,
«Więc gdy ją złożył królowi w darze,
«Król mu szlacheckie nadał dyploma
«I Dęborogiem nazwać się każe.
«I od téj pory chętka myśliwska
«Szła w naszym rodzie z ojca na dziecię;
«Każdy Dęboróg chlubny z nazwiska,
«Choć nie *senator, venator* przecię.
«Ja sam za młodu strzelałem dużo,
«Świadkiem nieboszczyk trocki wojwoda, —
«Dzisiaj mospanie oczy nie służą,
«A jednak pola zależeć szkoda;
«Więc się chowają, proszę aspana,
«Strzelby i pieski dobre do pola,
«Stara myśliwska szkapa bułana,
«Wojewodzińska trąbka bawola,
«I zasłużona torba borsucza.
«Otoż ta cała strzelcza spuścizna
«Dziś się waścinym rękom porucza,
«Żeś ty Dęboróg, świat niechaj przyzna.
«Mamyć tu przecię las siaki taki,
«W zatoce — kaczek bywają stada;
«W naszych zaroślach skaczą szaraki,
«Czasem z pod żyta wilk się wykrada.
«Będziesz polował — wy młodzieniaszki
«Winniście wprawiać oko do strzału;
«Proszę aspana — tylko pomału,
«Strzeż się jak ognia dziewcząt i flaszki.
«Za naszych czasów, za Jezuitą,
«I kiedy pańskie świetniały dwory,
«Proszę aspana, tęgo nas bito
«Za gorzalinę i za amory.
«Kiedy to trocki żył wojewoda,
«Ja sam pamiętam cięgę dostałem;
«Proszę aspana ... krew była młoda,
«A jam okropnym był sowizrzałem.
«Otoż ...» Lecz dalszą powieść jak z karty
Ojciec już gadał do głuchéj ściany:
Bom z podarunku uradowany
Żwawo poleciał oglądać charty,
Tropić w zaroślach prześlad zajęczy...
Konno to pieszo zwijam się szlakiem,
Bułany tętni, a trąbka brzęczy,
I strzał po strzale wstrząsa chróśniakiem.

XVI.

Moja rusznica pali donośnie,
Bije zające, kaczki, cietrzewie;
Ojcu z radości aż dusza rośnie,
Jak mię uściskać sam stary nie wie.
— «Proszę aspana, ej szkoda, szkoda!
«Gdyby to trocki żył wojewoda,
«Ty byłbyś w łaskach: bo jako żywo
«On szczerze kochał młodzież myśliwą,
«A nawet z każdym, co pewien w strzale,
«Lubił mospanie żyć poufale.
«Proszę aspana, na jego dworze
«Raz pan Belina w dobrym humorze
«Prawił jak skakał do głuszca w toku;
«A wojewoda słuchał go z boku.
«Ten pan Belina, człowiek ruchawy,
«Gdy o myśliwstwie rozprawiać pocznie,

«To choćbyś głuchy, poznasz widocznie
«Z jego podskoków, ruchów, postawy.
«To w dłoń zatrąbi — psy nawoływa,
«To się jak zając czai do ziela,
«To niby tropi, prześlad odkrywa,
«Nabija, pełźnie, mierzy się, strzela.
«Otoż z tym głuszcem kiedy się chwali,
«Czasem tokuje, podskoczy czasem,
«Tak się uwinął, że w pańskiéj sali
«Wielkie zwierciadło strzaskał obcasem.
«Pan się nasrożył, uczuł nad szkodą,
«Lecz Pan Belina jakby w igrzysku
«Z cicha mu szepnął: «*Cyt wojewodo!*
Bo spłoszysz głuszca na tokowisku.»
«My w śmiech — pan także, nawet mu za to
«Darował pyszną strzelbę turecką,
«Puścił w niepamięć szkodę bogatą
«I długo, długo śmiał się jak dziecko,
«Czasyż to były!!
«Otoż, mospanie,
«Gdybyś za czasów żył wojewody ...
«Lecz może jeszcze — wszak jesteś młody ...
«Ruszajże sobie na polowanie.»

XVII.

Hejże znowu ja do kniei!
Jesień — zima — wciąż na łowy:
Raz zabiegłem po kolei
Aż za wzgórek rotmistrzowy,
Aż za kopce cudzych granic.
Była wiosna — zachód słońca,
Lecz nie zwykłem zważać na nic,
Kiedy ruszą psy zająca.
Daléj, daléj, a tu ciemno,
Czas do domu — zmrok zapada,
Patrzę w koło — tuż przedemną
Dwór sąsiadki czy sąsiada.
Tu Brochwiczów gniazdo rodu,
Ród szlachecki choć ubogi;
Nasłuchałem się za młodu,
Żeśmy sobie wieczne wrogi,
Że Dęboróg — póki świata,
Z Brochwiczami się nie zbrata.
Grób rotmistrzów, jakieś pole,
Były źródłem wiecznéj waśni;
Lecz o całym tym warchole
Kiedyż ojciec mię objaśni?
Dziś nieprzyjaźń nie jest jawną,
Tylko zawsze siebie stronim.
Stary Brochwicz umarł dawno —
A tu mieszka wdowa po nim.
Ojciec mówi, że Brochwicze
To wrogowie nam wieczyści;
Coś im jednak źle nie życzę,
Żadnéj nie mam nienawiści;
Coś mi szepce — pomóż Boże,
A ja rankor ten umorzę.
Dworzec mały — a tak schludno,
Tak coś miło w każdéj stronie,
Że źle trzymać o nich trudno;
Poczciwością zewsząd wionie.
Stary domek, stara strzecha,
Kędy mieszka stara wdowa,
A do okna się uśmiecha
Stara gałąź topolowa.
Lecz w ogrodzie — ach, mój Boże!
Same kwiaty, same róże,
Pięknie w okół — przez częstokół
Patrzę, aż tu hoża dziewa
Sadzi kwiaty i polewa,
I piosenkę jakąś śpiewa.
Słucham ... słucham, serce gubię,
Za jéj głosem myślą idę,
Ona śpiewa jak na biédę,
Tę piosenkę co ja lubię.
Długom patrzał między liście,
Coraz baczniéj, coraz miléj...
Krótko mówiąc — od téj chwili
Zakochałem się ogniście ...
Gdym odchodził pokryjomu,
Aby znak zostawić jaki,
Na topoli koło domu
Zawiesiłem dwa szaraki.

XVIII.

Codzień w pole — ej, nie w pole,
Lecz do dworku pod topole;
Już znajomość — cóż za dziwy?
Blizki sąsiad i myśliwy,
Że zajedzie niedaleko
Na poziomki i na mleko,
Że zwierzynę mamie nosi
I zagląda w oczka Zosi?
Ej poziomki! ej to mleko!
Ej ten dworek niedaleko!
Ej te oczka! — mówiąc krótko
Poglądały tak słodziutko,
Tak miluchno — z wolna ... z wolna ...
Już w nas chętka zobopolna
Spojrzeć razem, westchnąć razem,
Poszczebiotać półwyrazem,
Przyjacielsko ścisnąć dłonie,
Razem wybiedz na ustronie,
Pisać kartki potajemnie
I o sobie śnić wzajemnie.
Cicho, z wolna, niewidomie
Gore dusza gdy spodoba;
Z małéj iskry bucha płomię
I zażega serca oba.
Mgnienie oka, śmiech, swawole,
Zadumanie, gniew i zgoda,
Zda się fraszki — daj im wolę,
A zgubiona dusza młoda!
Taka biedna, tak szczęśliwa
Gdy w tych fraszkach się rozpływa!
Już dla świata żyć nie może —
Jedną myślą się otoczy,
By wciąż patrzeć w lube oczy,
By żyć w lubym rozhoworze
Wieki wieków — czas przeleci
Stokroć chyżéj od motyla:
Bo szczęśliwi to jak dzieci,
Dni ich lecą jako chwila.
Precz godziny! gdy słodyczą
Młoda dusza się rozmarzy;
Jedna bieda — że ci starzy
Ne zegarach czas swój liczą.
Ani śni się ojcu, matce,
Co ci miło? co cię bodzie?
Dusza rwie się jak ptak w klatce,

A tu gadaj o pogodzie.
Dobra matka karty kładnie
Na los dziecka, lecz nie zgadnie
Co tam dziecka myśl kołycha,
Czego dziewczę ciągle wzdycha,
Czego młodzian smutny bladnie?
Na niepokój snu twojego
Dają leki, warzą ziela,
A broń Boże, gdy postrzegą
Gdzie najczęściéj oko strzela;
Wnet witają chmurną twarzą,
Dają rady i przestrogi,
I zachmurzą dzień twój błogi
I uczuciom zmilknąć każą.
Zimném okiem wrzące łono
Chcą przemierzyć aż do głębi,
Przyzwoitym chłodem wioną,
Aż ci serce się wyziębi.

Matka Zosi — święta dusza!
Polubiła mię jak syna,
Jednak czasem głową rusza:
Częsta moja tam gościna
Snadź się matce nie podoba.
Gdzie tam częsta? — trudno w drogę!
Czasem przejdzie cała doba
A ja wymknąć się nie mogę.
Ho, ho! gdyby ojciec wiedział,
Gdzie mnie codzień kroki wiodą,
Wnetby z trockim wojewodą
Dał mi uczuć cały przedział,
Co rozróżnia nasze domy
Z wieków wiecznych, od pradziada!
Koniec rzeczy już wiadomy:
Bo przysłowie zapowiada,
Że Dęboróg póki świata
Z Brochwiczami się nie zbrata. ...
At zwyczajnie ludzie starzy;
Ale miłość pełna szału
Nie zagląda do herbarzy,
Ni w dekreta trybunału.
Po swojemu łączy pary,
Innym taktem pieśń zaczyna,
Stary proces lub herb stary
Fraszka w oczach Kupidyna.
Dzisiaj szczęsno!

Lecz niestety!
Jaka przyszłość, serce boli:
Upór starca lub kobiety
Na nasz związek nie pozwoli!
Bo mój ojciec nigdy zgoła
O Brochwiczach ani gada,
Matka Zosi niewesoła,
Bo żal czuje do sąsiada.
Jakieś kłótnie tajemnicze
Dzierżą starych pod swą władzą:
Dęborogi i Brochwicze
Ręki sobie nie podadzą.
A cóż dla mnie? — śmierć z rozpaczy!
Precz te mary zapaleńcze!
Choć przycierpię, choć się zdręczę,
Lecz zapomnę ... nieinaczéj.

Ot na sercu rękę kładę,
I tamuję jego bicie:
Nigdy ... nigdy ... póki życie
Już na łowy nie pojadę,
Ani spojrzę k'tamtéj stronie,
Ani myślą nie pogonię.
Co jest w sercu, to się zatrze
I zapomnieć jestem gotów,
W jasne oczy nie popatrzę,
Nie usłyszę jéj szczebiotów,
Co to płyną dźwięcznie, z cicha,
Aż się serce rozkołycha.
Takem roił zamyślony,
Ciągle patrząc w lube strony,
Potém kojąc serca bole,
Marsz do dworku pod topole.
A przed bramą wiem że spotka
Niespodzianka jaka słodka,
Albo wianek na brzezinie,
Albo kartka na tyczynie,
Albo czasem gdy podchodzę,
Zosia spotka mię na drodze;
Wtedy smutek się rozproszy,
Wstrząśnie duszę miłość święta —
Serce pjane od rozkoszy,
Rannych zaklęć nie pamięta.

XIX.

Raz jak dziś pomnę — wieczór był świeży,
Szedłem dumając pod lube sioło,
Zosia jak zwykle spotkać mię bieży,
Ale w jéj oczach coś niewesoło.
— «Czy wiesz? — mówiła ze łzami dziewa —
«Niedobre wieści: mama się gniewa.
«Ja wczora licząc na dobroć mamy,
«A chcąc ją zdziwić niespodziewanie,
«Szczerze wyznałam, że się kochamy,
«Jak tylko serce pokochać w stanie.
«Mama mi rzekła, że się nie dziwi,
«Lecz pragnie płochość wstrzymać w zapędzie,
«Bo cóż że młodzi dzisiaj szczęśliwi?
«Rozdraźnią serce — i gorzko będzie.
«Trzeba się rozstać, choć serce pęka:
«Bo ty mię kochasz bez ojca wiedzy,
«A moje serce ... i moja ręka
«Nie dla sąsiadów z za waszéj miedzy.
«Tak mówi matka, (przebacz mój drogi!)
«Że my odwieczne dla siebie wrogi,
«Że lat ze trzysta od owéj chwili,
«Jak z Brochwiczami Dęborogowie
«O jakieś grunta się pokłócili,
«I proces spadał po męzkiéj głowie
«Z ojca na syna, jak powieść niesie.
«Ach cóż te grunta? nie dopuść Boże!
«Ot tylko śmiać się i płakać chce się;
«Miłość grunt rzeczy — nie prawda może? —
«Wielkie mi święto że spór się toczy!
«Śmieszne te sądy i trybunały! ...»
I z głośnym śmiechem zakryła oczy,
Bo z modrych oczu łzy się polały.
Jam drżącą ręką schwycił jej dłonie,
Gorąca głowa zwisła mi z szyje,
Czuję — w jéj rękach twarz moja płonie,
A serce w piersiach z łoskotem bije.
— «O Zosiu moja! rzekłem w rozpaczy —
«Przed tobą młodość, życia rozkósze,
«Ty mię zapomnisz ... Bóg mi przebaczy,
«Ja żyć nie mogę ...»
— «O! bardzo proszę!

«To coś jak w książce — my chrześcianie,
«Ufać nam, ufać w Pańską opiekę!
«Jest Bóg, jest przyszłość — ej panie Janie,
«Gdy będziesz płakał, to wnet uciekę!
«Śpieszę do matki, matka się gniewa,
«A my tu marnie kwilim jak dzieci —
«Kto na kominek przyniesie drzewa?
«Kto jéj tak jasno ogień nanieci?
«Kto ją bezemnie do snu ugada?
«Ja kocham mamę jak własną duszę;
«Dziś mi na wieki pana sąsiada
«Każe pożegnać — i spełnić muszę ...
«Bo tam źli ludzie jeszcze powiedzą,
«Żeśmy zuęciły młodego ptaszka,
«By wam wyłudzić pole za miedzą
«Że nasza miłość — at sobie ... fraszka.
«Piękna to fraszka ... serce tak boli!
«Matce się zdaje, że to daremno ...
«Czyż nigdy ojciec twój nie dozwoli,
«Aby Dęboróg łączył się zemną,
«Z córką Brochwicza? ... ej te przestrogi!
«Niby twój ojciec taki już srogi —
«Niby ja nie wiem, że ciebie pieści,
«Chociaż się zdaje trzymać na wodzy?
«Ej ci rodzice! niby to srodzy,
«A znieść nie mogą naszych boleści.
«Ot jestem pewna — o rękę Zosi
«Ojciec przyjedzie i sam poprosi.
«Wtedy się chyba ... wtedy obaczym! ..
«Bądź zdrów, nie traćmy dobréj nadziei ...»
I tak szczebiocąc z śmiechem i płaczem
Znikła w zaroślach ciemnéj alei,
Tylko jéj piosnkę słychać z daleka —
Czy chce łzy pokryć? czy marzy świetnie?
Może odemnie rada ucieka —
O serce! serce szesnastoletnie! —
Jak bezprzytomny padłem na ziemię
I bolejące szarpałem łono.
Księżyc, co dotąd za lasem drzemie,
Wychylił na świat głowę czerwoną,
I drżącém światłem trysnąwszy w oczy,
Trochę mi ulżył cierpień ogromu —
Choć w piersiach ciężar, głowa się mroczy,
Niepewnym krokiem szedłem do domu.

XX.

Księżyc z za chmury przyświeca mgławo,
Gdzieś tam ogniska błyszczą za milę,
A tutaj sterczą w lewo i w prawo
Drzew i chat wiejskich czarne profile.
Droga znajoma, ach! i jak jeszcze ...
Znam każdą trawkę w nocnéj pomroce,
Wiem jak tutejsza olcha szeleszcze,
Jak tu pod olchą strumień pluchoce.
Tu każda trawka, fala i listek
Zda się żegnają, coś do mnie kwilą.
Tyle wspomnienia! — tu świat mój wszystek,
Tu moje niebo było przed chwilą!
A teraz, teraz ... piekielne bole
Nad memi piersmi pastwią się srodze;
Idę jak martwy — wbiegam na pole,
Pod rotmistrzowy kurhan przychodzę.
Wsród czarnéj nocy brnę nieprzytomnie —
Wtém coś jęknęło — dreszcz przebiegł po mnie:
Spojrzę ... dziad jakiś ... biały, wysoki,
Stoi odemnie tuż o dwa kroki.
— «Kto tu? i po co?» krzyknę na dziada,
A w trwożnych piersiach zamiera słowo.
Starzec jak martwy nie odpowiada,
Lecz tylko głośniéj jęknął grobowo.
Wzrostem jak olbrzym — jak leśna jodła,
Ubrany w białéj, grubéj opończy;
Snadź że mu czoło kula przebodła,
Po białych włosach krew mu się sączy;
Na piersiach stalna błyszczy się łuska,
Szeroką ręką po wąsach muska.
A taki straszny wyraz oblicza,
Że gdy go przyśnię i dziś mi trwożno —
Wskazał prawicą na dwór Brochwicza,
Potém na naszą miedzę przydrożną,
Otworzył usta, wlepił wzrok we mnie,
I trzy wyrazy jęknął podziemnie:
Redde quod debes!!
— «Kto tu?!» krzyknąłem,
Choć pierś zamarła ledwie kołata,
Czuję, pot zimny leje się czołem —
Wtém zniknął upiór z innego świata.
Lecz wyobraźnia strachem nabita
Jeszcze go widzi na ciemnéj błoni!
Uciekam polem, ot zda się goni
I trupią ręką za szyję chwyta.
Wbiegłem do domu — wszyscy już spali,
Więc bez pamięci na łoże padłem.
Chłód mię przejmuje, gorączka pali —
To zda się walczę z jakiémś widziadłem,
To widzę matkę Zosi surową,
To mię mój ojciec przeklina marnie,
To zważam każde kochanki słowo,
A w każdém słowie nowe męczarnie.
W takich torturach duszy i ciała
Chciałem gdzie uciec, lecz się nie dźwignę —
Nakoniec jutrznia gdy zaświtała,
Sen ukołysał ciężką malignę.

XXI.

Przespałem tydzień — strach co mi się marzy!
Ciało jak kamień, a dusza — jak w piekle,
Modlę się we śnie, to przeklinam wściekle,
I widzę ojca, domowych, lekarzy,
A choć się ocknę, to w myślach nie sprawię
Co było we śnie, co było na jawie.
Gdym wreszcie oczy otworzył przytomnie,
Dwóch dobrych starców przy mém łożu baczę:
Ksiądz definitor modli się koło mnie,
A ojciec ręce załamał i płacze.
Gdym przemknął oczy i pot otarł z czoła,
Ojciec wzniósł ręce i głośno zawoła:
— «Witaj nam z grobu młody Dęborogu!
«Proszę aspana — siedem dni jak chwila
«Byłeś w gorączce — ale dzięki Bogu,
«Dziś się choroba stanowczo przesila.
«Boże mych przodków, o wielki Jehowo!
«Puść mię w pokoju! niech starzec już skona,
«Kiedy żyć będzie na świetność herbową
«Mojego domu latorośl zielona.
«A ja o mojém rozpaczałem dziecku,
«Że w tych męczarniach rozstanie się z duszą,
«Ja umrę z żalu — i po staroświecku
«Herb mego rodu przy trumnie pokruszą ...

«Dziś jest nadzieja, że mię syn pochowa
«I weźmie po mnie zaszczyty ojczyste ...
«Dzięki Ci, Matko święta z Poczajowa!
«Dzięki'ć cudowny boromelski Chryste!
«Lecz dosyć stękać nad twoją mogiłą;
«Wyszedłeś we dnie, powróciłeś w nocy,
«Proszę aspana, powiedz jak to było,
«Kto ci napędził tak ciężkiej niemocy?»
— «A dajcież pokój! a bądźcież uważni!
(Rzekł definitor ocierając oczy)
«Jeszcze go powieść na nowo rozdrażni,
«I znów gorączka głowę mu zamroczy.»
— «Nie, ojcze — rzekłem — pozwala mi zdrowie,
«Mogę przypomnieć minione obrazy,
«A gdy przed wami wszystko się rozpowie,
«To lżéj mi będzie, lżéj będzie sto razy. —
«Ot kiedym z łowów powracał w noc ciemną,
«Z grobu rotmistrza opadły mię strachy —
«Straszny dziad jakiś stanął tuż przedemną,
«Wielkiego wzrostu i w odzieniu z blachy;
«A krew mu ciekła po twarzy i brodzie,
«A kiedy jęknie, to aż w serce bodzie.
«Tchnie groźbą cała postać tajemnicza —
«I skinął ręką przed oczami memi
«Na nasze grunta i na dwór Brochwicza:
«*Redde quod debes!* — wyjęknął z pod ziemi.
«A jam bez ducha uciekał po błoni,
«A tutaj zda się, że dziad za mną goni.
«Wbiegłem do domu o saméj północy,
«Krew lodem krzepnie, to żarem się pali,
«Padłem jak martwy na łoże niemocy,
«I nie pamiętam co było już daléj;
«Tylko w gorączce ani chwili niéma,
«Aby mi starzec nie stałprzed oczyma.»
— «No, dosyć tego — rzekł mi ojciec smutno —
«Zapomnij widma, bo ci to niezdrowo.»
Ale widziałem, że zbledniał jak płótno,
Wzniósł w górę oczy, a kiwając głową
Szepnął z westchnieniem: — «Miłosierny Panie,
«Kiedyż to widmo dręczyć nas przestanie?»

XXII.

Coś moję ozdrowienie szło krokiem niesporym;
Ojciec i definitor troszczą się nad chorym,
Ów przez czułość rodzica i względy herbowe,
Drugi pełniąc po prostu prawo Chrystusowe.
Czy mi gorzéj, czy lepiéj, czy usnę, czy wstanę,
Przy mnie dobrzy starcowie byli na przemianę,
A straszne moje dumki chcąc rozpędzić szczerze,
Grali zemną w arcaby, mówili pacierze.
Lecz ojciec coś mi niezdrów, coś twarz jego blada,
O trockim wojewodzie nic nie opowiada,
Gdy siądzie do maryasza, choć to gra tak łatwa,
Zamiast bić ze czterdziestu, Bóg wie jak się gmatwa;
A pomnę jak to dawniéj było z nim inaczéj,
Okładał pacierzami najzawziętszych graczy.
Dzisiaj snadź jego duszę tłoczą jakieś bole;
Nawet puharek miodu, co pijał przy stole,
Stoi czasem nietknięty aż do jutra rana,
A miód stary od szwedzkich wojen Sudermana
Wiekował w naszym lochu.
Ach, co mu się stało!
W oczy definitora pogląda nieśmiało,
Zamyśla się, i znaczno po całéj postaci,
Że chciałby o coś spytać — a odwagę traci.
— «Księże definitorze! — wreszcie go zagadnie —
«Żyjesz, proszę aspana, święcie i przykładnie,
«Śpieszysz z usługą bliźnim ilekroć się zdarza,
«Ot i tu od tygodnia pilnujesz Łazarza,
«Uciekasz od podzięków jakby od napaści,
«Ale stary Dęboróg modli się za waści,
«A pomimo dawniejsze z waszmością zatargi,
«Wyznam, żeś taki święty jak w żywotach Skargi;
«Nie zżymaj się, nie bluźnię — niech mię Bóg zachowa!
«Bo to, proszę aspana ... lecz nie o tém mowa ...
«Chciałem mówić, żeś kapłan ze słowa i czynu,
«A teolog zawzięty jak Tomasz z Akwinu,
«A łacinnik, mospanie, to jak Jezuita,
«Jednak ... proszę nie śmiéj się ... gdy cię prostak spyta:
«Czy waszmość wierzysz w strachy i nocne upiory,
«O których Jaś mój gada ... zwyczajnie jak chory?
«Wierzysz mu, czy nie wierzysz?» — Ksiądz na to odpowie:
— «Są cuda, panie Pawle, o których mędrcowie
«Ani śnili na jawie — jest gra wyobraźni,
«Czasem szatan widmami do złego nas drażni!
«Tak piszą stare księgi — liczyć ich nie pora —
«Ot prosto z duszy naszéj wyrobi upiora
«I postawi przed oczy — nie dziw, że przestrasza!
«A są widma i święte — czytaj Tobiasza,
«Czytaj o świętym Pawle, toć twój patron przecię —
«Są marne przywidzenia, są cuda na świecie,
«Poznacie je z owoców — Bóg jest miłosierny.»
— «A ja wierzę! rzekł ojciec — że rotmistrz pancerny
«Wyszedł z grobu i stanął przed Jasia oczyma.
«Dziś, wyznam jegomości ... wszak nikogo niéma:
«Ot! jak chciałbym bez zmazy przejść nieśbieską bramę,
«Że ze trzy razy w życiu widma takie same
«Widziałem jak was widzę — krew mu płynie z czoła,
«Jęcząc: *Redde quod debes!* po łacinie woła,
«Wskazuje dwór Brochwicza i na nasze miedze. ...
«Mniemałem, że to figiel, że sprawcę dośledzę,

«Ale nie było czasu — bo to owéj daty
«Ciągnęła mię krew młoda iść z konfederaty;
«Myślę sobie: na wojnie jak kulą w łeb palną,
«Bezpieczniéj będzie odbyć spowiedź generalną.
«Przed spowiedzią, wieczorem, kiedy grzechy liczę,
«Mignęło się na polu widmo tajemnicze.

«Upłynęło lat kilka, przeszły wojen burze,
«Ja na dworze trockiego wojewody służę,
«Parzę zęby, jak mówią, na dworackiéj kaszy,
«Kiedy umarł mój ojciec słonimski strukczaszy,
«Więc przyjechałem tutaj w wiosennéj coś porze,
«By gniazdo Dęborogów, dworzec Dęboroże
«Objąć w moje dziedzictwo *naturali jure*.
«Późnym jakoś wieczorem wyszedłem na górę,
«Patrzę na grób rotmistrza, aż przy grobie stoi
«Widmo wzniosłéj postaci i w żelaznéj zbroi,
«Muska wąsy skrwawione i swą brodę białą,
«Znowu: *Redde quod debes!* z jękiem zawołało.
«Zbladłem ... serce zamarło ... i trwożliwie puka,
«Lecz mówię sam do siebie: to znów czyjaś sztuka!
«A nawet się domyślam ...
«Lat kilka omija,
«Zapomniałem o strachach — bo krasna Marya
«Herbu Łabędź, łowczanka Zakroczymskiéj ziemi
«Snuła się jako widmo przed oczami memi.
«Począłem konkurować — zezwolili starzy —
«Szczęśliwym się sukcesem nasz związek kojarzy:
«Tu wesele, tu miłość, tam trud gospodarczy,
«Tylu różnym kłopotom ledwie człek wystarczy;
«Nie dziw, proszę aspana, że w tak ważnéj dobie
«Wieczyście zapomniałem o rotmistrza grobie.
«Lecz oto ... w rok po ślubie, w dzień Jana Chrzciciela
«Pan Bóg nową radością mój dom uwesela:
«Bo nam się syn urodził zdrowo i pomyślnie.
«Do rozrzewnionéj duszy modlitwa się ciśnie,
«Więc wyszedłem w noc letnią pomodlić się Panu, —
I znowu słyszę jęki od strony kurhanu,
«I znowu takież widmo, z témże groźném słowem:
«*Redde, redde quod debes!* — aż echem grobowém
«Zadrgał las wśród północnéj, uroczystéj głuszy —
«Choćby kazano przysiądz na zbawienie duszy,
«To przysięgnę, że głos ten nie z naszego świata —
«Struchlały padłem na twarz.

XXIII.

«Przyszły starsze lata.
«Z razu dobrze się wiodło — potem źle najczęściéj,
«Człowiek jak wół pracuje, a Pan Bóg nie szczęści:
«To mi żona umarła, to grad wybił zboże,
«Straszna nędza poczęła ściskać Dęboroże.
«Dawniéj, proszę aspana, człek uczty wydawał,
«Dziś na kufel podpiwka i na chleba kawał
«Ledwie starczy staremu — dajże radę biedzie!
«Ot nic, proszę aspana, ręką się nie wiedzie.
«Idzie od śmierci żony jesień siedemnasta,
«Ja stary bezsilnieję, a tu syn podrasta —
«On młodszy, mógłby kiedyś za pomocą Boga
«Okryć nową świetnością tarczę Dęboroga;
«Ale coś zły prognostyk od ojca na syna:
«Widmo się ukazywać młodemu poczyna,
«I grozi, że mu wszystkie zamiary rozprzęże —
«Czy wasze wierzysz w strachy, miłościwy księże?»
— «Wierzę — rzekł definitor — wierzę całą duszą!
«W waszmościnéj fortunie ludzkie łzy być muszą —
«Gospodarstwo nie idzie, giną urodzaje,
«Widmo jakieś czyscowe zasnąć wam nie daje;
«Może to grzechy przodków — wiadomo waszeci,
«Za nieprawości ojców pokutują dzieci,
«Może herb Dęborogów w czasie niepamiętnym
«Nieszlachetnego czynu pokalany piętnem ...»
— «Jakto, proszę aspana!! .»
— «Powoli! powoli!
«Ja jestem ksiądz i starzec, mój wiek nie pozwoli
«Grać ze szlachtą w szablice, — bić się rzecz człowiecza,
«A kto mieczem wojuje, ten zginie od miecza,
«Tak stoi w Piśmie Świętém — nie rwiéj się z zapałem:
«Waszmościnego herbu obmawiać nie chciałem;
«Lecz memu posłannictwu i przyjaźni gwoli
«Pragnę położyć koniec dla waszéj niedoli.
«Wielkie są skutki złego, choć początek marny.»
Tak mówił definitor — a uśmiech figlarny
Przebiegł po jego uściech. — «Nie gniewaj się wasze,
«Że ci sen mój rozpowiem i może nastraszę.
«Oto wczora wieczorem, zmówiwszy pacierze,
«Chciałem zasnąć, lecz starca zawsze sen nie bierze,
«Więc począłem rozmyślać ... od nudów ... tak sobie ...
«O domu Dęborogów, o rotmistrza grobie,
«Począłem przypominać, co doszło méj wiedzy,
«Za co on kazał siebie pochować na miedzy,
«Dla czego mara jego błąka się u drogi?
«Proces, co z Brochwiczami toczą Dęborogi —
«Wszystko, coś mi powiadał o starej intrydze
«I co ze staroświeckich dokumentów widzę.
«Ot tak mi się te myśli po głowie dziwaczą,
«Że przyśniłem rotmistrza i wojnę kozaczą.

«Usnąłem ... widzę zastęp na zastęp uderza,
«Dęboróg wiedzie hufce Jana Kazimierza;
«Łamią tabór Dnieprowców pancernicy młodzi,
«Których dziad siwobrody chorągwią dowodzi.
«Wtém k'niemu Zaporożec mierzy z samopału,
«Wystrzelił — siwy rotmistrz zachwiał się pomału,
«Podjął kratę od hełmu z wejrzeniem ponurém,
«Z czoła jego krew czarna wytrysnęła sznurem,
«Upadł, ale nie jęknął, jak gdyby był z głazu;
«Lecz walka się usuwa niby w głąb' obrazu,
«Błyska ogień wystrzałów, migają pałasze,
«I widziałem zgon starca — posłuchaj mię wasze.

XXIV.

SEN DEFINITORA.

«Ze wzgórka widać, jak dym się czerni,
«Słychać z daleka strzelbę armatnią,
«A na pagórku bracia pancerni
«Oddają komuś posługę bratnią;
«Kształtem namiotu rozpięli płótno,
«Stanęli kołem i gwarzą smutno.
«A pod namiotem, z głową u siodła
«Leży dziad siwy w grubéj opończy,
«Kula mu stare czoło przebodła,
«Po białych włosach krew mu się sączy;
«Na piersiach stalna błyszczy się łuska,
«A starzec z dumą po wąsach muska.
«A w koło starca cisz uroczysta,
«Trzech zbrojnéj szlachty otacza łoże,
«Jeden coś pisze — pewno jurysta,
«Drugi puls maca — to lekarz może,
«A trzeci skłonił głowę do łona,
«To syn żałosny tego, co kona.
— «Cóż? — jęknął chory — mijają chwile,
«A księdza niéma, ach! ani blizko:
«Jeden Bernardyn a rannych tyle,
«Pewno obchodzi pobojowisko ...
«O duszo moja! o duszo biedna!
«Któż cię rozgrzeszy, z Bogiem pojedna?»
— «Bredzisz rotmistrzu, ot byle skrucha,
«Bylebyś w sercu nie miał rozpaczy,
«Sam Bóg spowiedzi twojéj wysłucha,
«Sam Bóg i grzechy twoje przebaczy;
«Odbyłeś spowiedź tuż przed *potrzebą*,
«Umierasz w boju — toć pewne niebo.» —
«Tak to jurysta cieszył chorego. —
«Temu rumieńcem zaszła twarz blada,
«Po siwych rzęsach łzy ze krwią biegą,
«Oczy w niebiosach — snadź się spowiada.
«Nagle dostojne oblicze zmienia,
«Wyrazem bolu, czy przypomnienia,
«I głucho jęknął: — «Grzeszyłem dosyć,
«Lecz żal otwiera niebieskie wrota,
«Umiałem ciernie życia przenosić
«Jako ofiarę grzechów żywota,
«Strzegłem jak mogłem grzesznego łona,
«Reszty niech Męka Pańska dokona.
«Jeden grzech tylko, grzech to nie świeży
«Moją śmiertelną godzinę plami,
«Ciężkim kamieniem na sercu leży
«I stawi piekło tuż przed oczami.
«Któż mię rozgrzeszy? kto mi przebaczy?
«Boże mój, Boże! chroń mię rozpaczy.
«Zbliżcie się tutaj dopóki pora,
«Głósno go wyznam, o bracia moi!
«Może skruszona moja pokora
«Gniewne oblicze Boga rozbroi.
«Zbliż się mój synu, zważ każde słowo:
«Bo waść nagrodzisz winę ojcową.

* * *

«Burzliwy byłem w młodości mojéj —
«Jeno przy czarce, jeno we zbroi,
«Niekiedy tylko znużony szałem:
«Litewski Statut w przemian czytałem:
«Obcą mi była wszelka zabawa
«Okrom oręża, kufla i prawa.
«Z takich rozrywek — z naprawy czarta,
«Idzie nieprawość siłą poparta —
«Było to grzechem, lecz w owéj chwili
«Temi grzechami wszyscy grzeszyli.
«Ksiądz na spowiedzi, a Pan Bóg w duszy
«Wciąż nam szeptali, cośmy powinni;
«Lecz choć się człowiek spowiedzią skruszy,
«Z młodemi laty, z duchem Sarmaty
«Idzie tak samo jak inni.
«Mijały wiosny, mijały lata,
«Szumiał jak wicher wiek mój swawolny,
«Kiedy mój ojciec zeszedł ze świata,
«A ja zostałem ziemianin rolny.
«Tutaj zbytkując huczno i gwarnie,
«Nabyłem sobie nie lekkiéj sławy:
«Nie było psiarni nad moją psiarnię,
«Nie było konia jak moj cisawy;
«Nie było miodu jako mój lipiec,
«Nikt w koło nie miał takiego wąsa,
«A przy odgłosie rzęsistych skrzypiec
«Nikt tak polotnie w tanku nie pląsa.
«A biada temu, kto mi zawczasu
«Nie umknął z drogi — młodzi, czy starzy,
«A trzykroć biada kto mi do lasu,
«Kto mi do pola wedrzeć się waży,
«Kto mi wśród tanka parę odbija,
«Albo mi mruknie słówko sromotne:
«Bo wnet, jak zmówić *Zdrowaś Marya*,
«Wyzwę na rękę i uszy otnę.
«A jak na biedę miałem sąsiada:
«Pan Maciej Brochwicz o mnie nie stoi,
«On mi bywało do lasu wpada,
«On się przymila mojéj dziewoi,
«A na pałasze bił się tak świetnie,
«Że mię i nieraz ciężko obetnie.
«Wtém weszli Szwedzi — w wojennéj porze
«Któż o prywatnym myśli rankorze?
«I my z Brochwiczem, bracia, koledzy,
«Złożyli z serca kłótnię zawziętą:
«Nie pora myśleć o swojéj miedzy
«Kiedy z miedzami ojczyzny krętо.
«Rycerska szlachta na konia siada —
«Ja szedłem walczyć obok sąsiada.
«A wojna szwedzka waściom wiadoma,
«Lecz opowiadać nie pora wcale;
«Dość że po wojnie zasiadłem doma,
«A sąsiad jeszcze bije Wandale.

«Poczekaj, myślę — póki przyjedzie,
«Figiel za figiel, panie sąsiedzie!
«Pod ciemną nockę zbieram gromadę,
«W kije i w rydle uzbrajam chłopy,
«I w dziesięć koni na pole jadę,
«Tam gdzie graniczne stały okopy.
«Nuż burzyć kopce, przenosić wiechy
«Na grunt sąsiada z pracą, z mozołem.
«Boże mój, Boże! odpuść mi grzechy,
«Za morg zabrany — dziesięć odjąłem;
«I nowe kopce (piekielna rada!)
«Tuż się przymknęły pod dwór sąsiada.
«Nazajutrz tedy o rannym świcie
«W sto moich pługów ruszyłem żywo,
«Orze się skiba na cudzém życie,
«Krusząc z korzeńmi dojrzałe żniwo.
«Kopiec graniczny gdzieindziéj stoi,
«Miedzę i zboże zorali chłopi,
«Już ani znaku dawniejszéj Troi,
«Starej granicy nikt nie wytropi.
«Lecz myślę sobie: zabrałem jawnie,
«Tylu jest świadków, wszystko widocznie,
«Jakże zabory moje uprawnię,
«Kiedy mię sąsiad pozywać pocznie?
«Począłem dumać, sprawą szatana
«Znowu mi przyszła myśl niespodziana.
«Sąsiad miał lamus w środku zagrody,
«Co prapradziadów pamiętał jeszcze,
«Ściany ciosane z dębowéj kłody,
«Drzwi kute blachą, zamki jak kleszcze,
«Miał postać baszty pięknego gmachu,
«Chorągiew z herbem skrzypi na dachu.
«W takich lamusach w wojennéj chwili
«Przodkowie nasi skarby swe kryli.
«Sąsiad mój sobie szlachcic biedota
«Pereł, brylantów nie miał i sztuki;
«Lecz miał papiery droższe od złota,
«Pamiątka dziadów, spadek na wnuki.
«A waszmość wiecie — takiego plika
«Szlachcic pilnuje jak serca w łonie:
«Tu się szlachecka pewność zamyka,
«Że jesteś dziedzic na tym zagonie;
«Tu pergaminy odwiecznéj daty,
«W nich bezpieczeństwo dla twojéj głowy,
«Że byli szlachtą twe antenaty,
«Że nosisz prawnie klejnot herbowy.
«Zniszczyć papiery — to znaczy może
«Zniszczyć na mieniu i na honorze.
«A ja w szaleństwie ... i z jakiém czołem
«Ja się na świętą własność targnąłem!
«Gdybyż to w zwadzie, albo rozterce,
«I po rycersku zbrojno, otwarcie ...
«Ale to spodlić szlacheckie serce,
«Podłych włóczęgów użyć na wsparcie!
«Bo oto w nocy, z mojéj namowy
«Szedł tam z krzesiwem żebrak odarty,
«Podpalił główną lamus dębowy,
«I poszły z ogniem odwieczne karty.

«Ja stałem w oknie — noc była czarna,
«I z niepokojem patrzę k'tej stronie —
«Oto buchnęła łuna pożarna,
«Pewno graniczny dokument spłonie,
«Uprawnię tedy mój zabór cały ...
«Sumienie jękło ... padłem omdlały.

«Powraca sąsiad — załamał ręce,
«I mnie obwinia sprawcą pożogi;
«Ale ja pewien, że się wykręcę,
«Hardo stawiłem bezczelne rogi.
«Kopce zniesione, ślad jeszcze świeży,
«Lecz jakże dowieść nocnéj kradzieży?
«Jednak zapozwał przed trybunałem,
«Żem sprawca gwałtu i konflagraty;
«Ale ja w sądzie sprawę wygrałem —
«On bez dowodów, a ja bogaty;
«Kopce granicą z obojéj strony,
«Więc cały zabór mnie przysądzony.
«Czułem zgryzoty w sercu i w głowie,
«Alem sumienie skałą zawalił, —
«Powrócić krzywdę — toć każdy powie,
«Żem zabrał grunta i lamus spalił.
«A on bez chleba, z proga do proga
«Pełzał po sędziach dziesięć lat prawie,
«W końcu zdał pomstę na Pana Boga,
«I tak mi uszło moje bezprawie.»

* * *

«Tak stary rotmistrz prawił swe dzieła —
«Głos jego słaby zamrze niedługo;
«Krew mu obficiéj z czoła trysnęła,
«Płynie po zbroi czerwoną strugą,
«Płynie po wąsach i usta klei,
«Trup — tylko w oczach iskra nadziei.
«Tchnął — żyje jeszcze, natęża płuca,
«Chce jeszcze mówić, co duszy boli,
«Ale już słabo, cicho, powoli,
«Słówko po słówku ledwie wyrzuca:
— «Synu! to moja spowiedź — ty napraw me grzechy,
«A wy bracia nademną miłosierdzia proście.
«Umieram bez kapłańskiéj kościelnéj pociechy ...
«Na święconych mogiłkach nie spoczną me koście.
«Synu, wieź je do domu — chcesz ulżyć méj duszy?
«To je pogrzeb pod lasem, na polu, przy gruszy,
«Tam były stare kopce granicy sąsiada,
«Dziesięć morgów na prawo — to grunt, co zabrałem,
«Oddaj je Brochwiczowi — i biada ci biada,
«Jeśli nie tak postąpisz z rodzicielskiém ciałem!
«Zburzyłem stare kopce, niechże grób mój przecię
«Będzie kopcem granicznym zobopólnéj miedzy —
«A gdy gruntów sąsiada nie odda me dziecię,
«Wnet wyrodka do sądu pozwiéjcie, koledzy;
«Rozpowiedzcie rzecz całą ojcowskiemi słowy,
«A ja go sam oskarżę przed sądem Jehowy.
«Synu, oddaj grunt cudzy, zaklinam na życie,
«Grób mój ... kopiec graniczny ... pod gruszką... słyszycie?»
«Rzekł, uderzył się w piersi i opuścił szyję,

«Krew się przestała sączyć . . . Rotmistrz już nie żyje.
«Poklękli nad umarłym uzbrojeni męże,
«A jam się modląc — ocknął.»

XXV.

— «Bałamucisz, księże!
«Ja poznałem od razu — to nie było we śnie;
«Lecz śpiewasz nowym tonem staroświecką pieśnię:
«Abym powrócił grunta Brochwiczowéj wdowie,
«Choć je z kilku pokoleń dzierżę urzędowie,
«Chociaż — proszę aspana — rzecz jasna jak złoto . . .»
— «Nie sroż się, panie Pawle, tu nie idzie o to,
«Czy to sen marny, albo rzeczywista jawa,
«Czy grunt dzierżysz bezprawnie, albo wedle prawa;
«Ale kapłan cię pyta o sumienne słowo,
«Jak kochasz twe zbawienie i tarczę herbową,
«Jakeś ojciec, jak szlachcic, jak potomek wierny
«Walecznego rotmistrza chorągwi pancernéj —
«Powiedz mi — boś się nigdy kłamstwami nie zmazał —
«Czy ów syn zwrócił grunta, jak mu ojciec kazał?
«I czy tam, gdzie kazano, pogrzebł ojca kości?»
— «Jużci . . . proszę aspana, w tém nie masz pewności . . .
«Ów syn . . . Pan Piotr Dęboróg . . . a mój pradziad prosto,
«Był za Jana Trzeciego rzeczyckim starostą,
«I człekiem wielce skąpym — pokój jego duszy:
«Więc może zamiast ojca pochować przy gruszy,
«Pochował go za rzeczką dziesięć morgów daléj,
«Tam, kędy *violenter* kopce usypali —
«A tak uprawnił zabór — trudno dociec z dzieła,
«Gdzie wtedy gruszka rosła, jak rzeczka płynęła.
«Kto to wie? w ciągu wieków wszak przemiana bywa.
«Lecz tylko poświadczają domowe archiwa,
«Że syn Piotra, Mateusz piwniczy nadworny,
«Miał proces z Brochwiczami o poletek sporny.»
— «I cóż, wygrał, czy przegrał?» definitor spyta.
— «Ani wygrał, ni przegrał — forsował i kwita.
«Bo to, proszę aspana, jest sztuka w palestrze,
«Że jak sprawę zahaczą w taktowym regestrze,
«Można tworzyć przeszkody wciąż nowe i nowe,
«Komportacye papierów, badania miejscowe;
«Czas idzie jakoś prędko, a proces pomału
«Od sądów podkomorskich do spraw trybunału.
«Kiedy mądry obrońca umiejętnie zwleka,
«Niełacno się pan Brochwicz dekretu doczeka,
«Niełacno się w Temidy dokołatać wrota.
«Dęboróg miał pieniądze — a Brochwicz hołota —
«Pan Mateusz wziął górę. Za pamięci naszéj,
«Tymoteusz Dęboróg, słonimski strukczaszy,
«Jego syn a mój ojciec — jako ślad zmachodzę,
«Chciał załatwić rozterki w polubownéj drodze;
«Lecz potém się rozmyślił — obliczył z chudobą,
«Nikt się nie dopomina, dawność miał za sobą,
«A grunta tak wybornie zarodziły latem,
«Że zostawił przy sobie ich *haereditatem*.
«A jam po ojcu objął całe Dęboroże.»
— «Wielkie — rzekł definitor — miłosierdzie boże!
«Pociesz się, panie Pawle, twa dola szczęśliwa,
«Wielkich rzeczy dopełnić Bóg cię powoływa.
«Co ciężko praojcowie przed Panem zgrzeszyli,
«Zbrodnię czterech pokoleń zmazać w jednéj chwili,
«Rozbroić chmurę gniewu Pańskiego nad domem,
«Co gotowa wybuchnąć piorunem i gromem;
«Ulżyć własnemu sercu, odrzuciwszy z dala
«Kamień grzechu i zgryzot, coć piersi przywala —
«Obaczysz . . . w twojéj duszy jaka będzie zmiana,
«Gdy wrócisz cudze grunta.»
— «Ot, proszę aspana,
«Któż powiedział, że z taką wystąpię szczodrotą?
«Wszak wdowa po Brochwiczu nie prosi mię o to,
«I co powie, mospanie, cnych przodków oblicze,
«Po których Dęboroże ojczyste dziedziczę,
«Żem uszczuplił odwieczną praojców siedzibę
«Choćby o jeden zagon? choć o jedną skibę? . . .»

XXVI.

Tu definitor powstał jak w stanowczéj dobie
I ojca po bratersku wziął za ręce obie,
W jego ustach był uśmiech błagalny i słodki:
— «Ej wara, panie Pawle, wspominać twe przodki!
«Bo czy waszmość masz serce, czy masz wasze głowę
«Skazywać twoich przodków na męki czyscowe?
«Widziałeś cień rotmistrza, co cierpi tak srodze,
«Czy myślisz, że on dotąd na zbawiennéj drodze?
«Nie pomogły mu cnoty, ni dzielna odwaga
«Ot! błąka się po nocach i potomków błaga
«Aby zwrócili własność sierocie i wdowie,
«Co niesłusznie przywłaszczył. — Czyż dalsi przodkowie
«I całe pokolenie parenteli waszéj,
«Pan starosta rzeczycki, piwniczy, strukczaszy,

«Sprawę przed Panem Bogiem wygrali przemocą?
«Czy tam nie pokutują za krzywdę sierocą?
«Czy myślisz, panie Pawle, że zbiór ich katuszy
«Nie spadnie na rachunek waszmościnéj duszy?
«Syn, wnuk i chrześcianin, szlachcic jak należy,
«Czyż tobie użytkować z owoców łupieży?
«Czy to po chrześciańsku? pytam, czy to pięknie?»
— «Dosyć ... proszę aspana ... bo serce rozmięknie» —
Rzekł ojciec, bo go mowa zwyciężyła taka,
I ocierał łzy bujne rękawem kubraka —
Zamyślił się i dodał: «Prawda, prawda święta,
«Lecz są ważne przeszkody, są *impedimenta:*
Pro primo trzeba wyznać i powrócić jawnie
«Co ojciec, dziad i pradziad trzymali nieprawnie,
«I za grzechy pradziadów mnie świecić oczyma;
«*Secundo* starych kopców i śladu już niéma,
«Cudze mogę powrócić, ale swego szkoda,
«Potrzecie ... grób Rotmistrza — święte przodków kości,
«Czyż zostawić na gruncie obcych posiadłości?
«Potém ... proszę aspana ... w szlacheckiéj chudobie
«Dziesięć morgów nie żarty — pomyśl tylko sobie!
«Toż i tak Dęboroże już nas nie przeżywi.
«Na taką szczodrobliwość i mój syn się skrzywi:
«Bo on po mnie dziedziczy — a z czego żyć będzie?»
— «Gdzie rzecz o cudzą własność, nic nie masz na względzie!
(Zawołał definitor ze świętą powagą)
«Bóg dobry — i nikogo nie opuścił nago:
«A zresztą choćby żebrzeć przy kościelnéj wieży,
«Jednak *redde quod debes*, oddaj co należy!
«Ale nie pójdziesz z torbą, już moja w tém rada.
«Jest sposób i powrócić grunta do sąsiada,
«I honor twoich przodków ocalić najściśléj,
«Że grabieży i zwrotu nikt się nie domyśli,
«I syna zaspokoić zręcznie a korzystnie,
«Że na oddanie gruntów i słówka nie piśnie.
«Słowem — przebłagasz Nieba, a dom twój widocznie
«Zubożon krzywdą ludzką, podnosić się pocznie;
«Otrzymasz przebaczenie za twe antenaty,
«Zysk w niebie, a na ziemi — ani na grosz straty.»

XXVII.

— «Jakiż to dziwny sposób — ot, proszę aspana?
«Oto ręka szlachecka, niczém nieskalana,
«Oto *nobile verbum*, słowa nie zmitrężę,
«Daj tylko dobrą radę, miłościwy księże,
«A na wszystko przystanę! — Niech odetchnie stary.
«Te zgryzoty sumienia, te widma i mary,
«Co dawniéj mię dręczyły, a dziś mego syna,
«Ta domu Dęborogów widzialna ruina —
«Och! to mi rani serce okropniéj od noża.
«Poradź mi!!»
— «Niechaj przyszły dziedzic Dęboroża
«A godny syn waszmości za mnie już dogada,
«Czy chce wojny, czy zgody z rodzimą sąsiada?
«Jeżeli jest za zgodą, to niechże obwieści
«Jak ją spełnić bez ujmy rodowitéj cześci,
«Wedle Boga, sumienia i słuszności całéj,
«Aby się dusze przodków w Panu radowały.»
— «Jak to zrobić — rzekł ojciec — nie widzę dokładnie,
«Gdy ja zgadnąć nie mogę — to jakże syn zgadnie?
«Wszak starość przed młodością rozumem się szczyci.
«Tak trzymali pobożni księża Jezuici.
«Przy trockim wojewodzie niech-no się odważy
«Młodzieniaszek mieć więcéj rozumu co starzy! . . .»
— «O! — rzecze definitor — i ja przy tém stoję,
«Starość ma swoje prawa, a młodość ma swoje.
«My starzy mamy rozum z doświadczeń i biedy,
«A oni sercem widzą — i jaśniéj niekiedy;
«A więc gdy nasze mądre nie wiodą się plany,
«Posłuchajmy serc młodych — tam skarb nieprzebrany! —
«No! śmiało, panie Janie, nie próżno cię dręczę,
«W rozterkach z Brochwiczami daj radę, młodzieńcze!
«Podsłuchałem w gorączce twę marzenia chore,
«I dobrze jestem świadom, gdzie twe serce gore.
«Wszakże miłość cnotliwa żadnym nie jest grzechem.»

Tak mówił definitor z łagodnym uśmiechem,
Przywodząc mię za rękę do ojcowskiéj ławy,
A jam blednął i kraśniał i drżałem z obawy,
Srożéj niźli przed owém rotmistrza widziadłem;
Wreszcie jak bezprzytomny na kolana padłem.
— «Ojcze! — rzekłem nieśmiało, jak młode pacholę —
«Przebacz, że bez twéj wiedzy dałem sercu wolę:
«Kocham córkę Brochwicza — bo chodząc na łowy,
«Częstom odwiedzał dworek sieroty i wdowy,
«Zawsze mię przyjmowały z uprzejmą słodyczą;
«One ród nasz szanują i dobrze nam życzą,
«Nie pamiętają krzywdy, co nasi przodkowie . . .»
— «Ależ, proszę aspana — co aspanu w głowie?
(Przerwał mi ojciec mowę z uśmiechem, lecz srogo)

«Zdaje się taki sensat ... pokochał ... i kogo? ...
«Córkę tych, co od wieków ... co może lat dwieście ...
«Byli nieprzyjaciołmi ... ej sidła niewieście!!
«Oplątać mi młodzieńca, w którym ród nasz tleje
«I herbu Dęboroga jedyne nadzieje ...
«Bratać się z Brochwiczami! ... o! nie! żart na stronę:
«Musisz puścić *per non sunt* zapały szalone.»
— «Nie, mój ojcze — odpowiem z błagalnym wyrazem —
«Już nie wydrzeć ich z serca, chyba z sercem razem;
«Dałem słowo i żadną nie zhańbię się zmianą.
«Ja pierwszy pokochałem ... i ... mnie pokochano:
«Święte uczucie serca to nie mary senne,
«A miłość nasza czysta jak niebo wiosenne.»
— «No! zręcznieć ułowiono! — to zuch jakaś dziewa;
«Ależ, proszę aspana — przysłowie opiewa,
«Że dopóki dwóch rodów, póki starczy świata,
«Nigdy się z Brochwiczami Dęboróg nie zbrata —
Co tu począć z przysłowiem?»
— «Cóż to! czy my dzieci? —
«Zawołał definitor — ktoś dwa słowa skleci,
«To dla tego zapomnieć przykazania Boga!
«Cóż to? związek z Brochwiczem skrzywdzi Dęboroga?
«Oba rody szlacheckie przez pokoleń wiele,
«(Tylko oni skrzywdzeni, a wy krzywdziciele),
«W obu domach mieszkańcy poczciwi choć prości.
«Nikt tam nie stawił sideł na syna waszmości,
«A wdowa po Brochwiczu, gdy się dowiedziała,
«Że serce dwojga młodych wzajemnością pała,
«Jak niewiasta szlachecka i wielce pobożna,
«Dała uczuć swéj córce, że odtąd nie można
«Ani widzieć kochanka, ni się pismem znosić,
«Chyba przyjdzie Dęboróg sam o rękę prosić
«Dla swego jedynaka — i cóż waszmość na to?
«Grzechy kończą się karą, a cnota zapłatą.
«Pamiętaj, panie Pawle, że kara łupieży,
«Że grzech kilku pokoleń na twéj głowie leży,
«Że dom wasz podupada — i niech Bóg zachowa,
«Ostatnia jego gałąź zawiędnąć gotowa.
«Młode serce, jak ogień, paląc się, wyniszcza —
«Miłyż ci będzie widok domowego zgliszcza?
«Po niém błąka się widmo i przemawia do cię:
«*Redde! redde quod debes!* — wróć krzywdę sierocie!»

Ojciec zalał się łzami — za rękę go chwyta:
— «Błogosławionyś księże, jakby Jezuita!
«Nawet, proszę aspana, trocki wojewoda
«Przyznałby, że masz słuszność — a zgoda już! zgoda!
«Niech się młodzi kojarzą, ja sam tego życzę,
«Niech się z Dęborogami zbratają Brochwicze.»
To mówiąc, ojciec powstał rzeźwy i ochoczy;
Ucałował mię w czoło i w usta i w oczy,
Modlił się, gdym uściskał rodzicielskie nogi:
— «Boże! coś miał w opiece stare Dęborogi,
«Błogosław moje dziecię w jego losu zmianie,
«Niech szczęsnym i cnotliwym na zawsze zostanie,
«Niech będzie godzien swego herbu i nazwiska.»
Potém definitora serdecznie uściska.
Popłakali się rzewnie starcowie weseli
I miodem z czasów szwedzkich tę sprawę zaleli.

XXVIII.

Tak się skończyła sprawa tajemnicza:
Ojciec pojechał do dworku Brochwicza,
Polubił Zosię i jéj matkę starą,
Złożył mój affekt — a serca ofiarą
Nie pogardzono — tak w jednym obchodzie,
I młodym sercom, i rodowéj zgodzie,
I cieniom przodków spełniło się zadość —
Było wesele, miód, wino i radość;
I sporne grunta, zarośla i pasze
Zlały się w jedno, jak dwa domy nasze.
Młodzi się sercem bez przeszkody dzielą,
A starzy szczęściem młodych się weselą,
Mówią pacierze, lub grają w drużbarta;
A kiedy ojcu poszczęści się karta,
Popija miodek, i z ogniem nielada
O wojewodzie trockim rozpowiada.

A gdy już sporna zaorana miedza,
Ksiądz definitor rzadko nas odwiedza:
Choć go błagamy, raz, drugi i trzeci,
Aby zamieszkał u nas jak u dzieci;
Ale ze starcem sprawa nie tak łatwa,
Mówi: że cała społeczność mu dziatwa,
W niejednéj wiosce i w niejednym dworze
Są nieszczęśliwi — a któż im pomoże?
Tam sąsiad cierpi niechęć do sąsiada,
Tam ktoś w rozpaczy na duchu upada,
Tam pełno starych i chorych Łazarzy,
Któż ich nawiedzi, kto ziółek nawarzy?
A tam już może puka kto we wrota
O pokarm ciała lub o Chleb Żywota.
Ksiądz wszędzie czuwa, zasila i strzeże,
Bronuje pole i mówi pacierze.

XXIX.

Żyjąc w miłości i bojaźni bożéj,
Widmo rotmistrza nigdy nas nie trwoży.
Gdzie stała jego mogiła wśród pola,
Dzisiaj kaplica z modrzewiu i sosny:
Tam gdy domowa dola lub niedola,
Idziem się modlić — a Pan Bóg litosny,
Czy głód, czy wojna, czy grad, czy posucha,
Zawsze gorącéj modlitwy wysłucha,
Albo odwróci, gdzie groziła szkoda,
Lub serce wzmocni i otuchy doda.

EPILOGOS

DO

DRUGIEGO WYDANIA.

Kiedym przed dwoma laty (toć niedawne czasy)
Oddawał Dęboroga pod drukarskie prassy,
Nie tuszyłem, że pismu poszczęści się w świecie,
Że je tak dobrém sercem łaskawie przyjmiecie.
Dziś, kiedy rozrzewniony jak na dłoni baczę,
Że warto dla was śpiewać, litewscy słuchacze!
Że można choć niekształtnie złożonemi rymy
Zagrać na waszych sercach kreśląc kraj rodzimy, —
Rumieniec zawstydzenia do twarzy mi bije,
Żem tak mało ulepszył drugą edycyę.
Może przynajmniéj z łaski posłuchać zechcecie,
Co się z Dęborogami stało przez dwulecie.

Stary Dęboróg umarł ku powszechnéj szkodzie,
Gwarząc jakąś powiastkę o trockim wojwodzie;
Ale, proszę aspana, jako człowiek święty,
Oczyszczony pokutą, wzmocnion sakramenty,
Gdzieś na łonie swych przodków, wśród herbownéj rzeszy,
Ze trockim wojewodą pospołu się cieszy:
Bo tam już stary Brochwicz, niegdyś wódz pancerny,
Wymodlił mu w niebiesiech dekret miłosierny,
I oba z wyżyn patrząc na litewską stronę
Błogosławią swych herbów tarcze skojarzone.
Dąb, godło Dęborogów, jest ozdobą lasa,
Jeleń w herbie Brochwicza posuwisto hasa,
I trejga małych wnuków nowe pokolenie
Rośnie krzepkie jak dęby, zwinne jak jelenie.

Lecz może pamiętacie, że Dęboróg stary
Miał swoje uprzedzenia, miał dawne przywary;
Naprzykład, wierzył mocno w katechizm jedyny:
Że szlachcic stworzon z inszéj, a chłop z inszéj gliny.
Przebaczmy staréj głowie — przebaczmy tém szczerzéj,
Że dziś po jego śmierci nikt temu nie wierzy:
Szlachta na całéj Litwie jest bracią swéj włości,
Ochrania ją od głodu, od zimna srogości;
W wioskach, słyszę, dostatek, wyplenione chwasty,
Zakwitnął bujném kwieciem nasz wiek dziewiętnasty;
Obruszać się na szlachtę nie miałby sposobu
Nawet ksiądz Definitor, gdyby powstał z grobu.

Och! bo już upłynęła druga wiosna pono,
Jak grób jego porasta darniną zieloną.
Młodzi Dęborogowie i naród z daleka
Odwiedzają mogiłę świętego człowieka;
O nim serdeczna pamięć łzy im sączy z oka;
A jego miłość bratnia i wiara głęboka,
A przykład jego cnoty nie zaginął marnie,
Bo długo jeszcze będzie umacniał owczarnię.
Była to w swoje czasy postać nader rzadka;
Lecz dzisiaj Kościół święty, prawowiernych Matka,
Liczy garstkę pasterzów sporą a przykładną,
Co własne swoje dusze za owczarnię kładną,
Co pracują na polu, znoją się w kościele,
Dzielą ze smutnym smutek, z wesołym wesele,
Z ubogim chleb powszedni, a z każdym chleb ducha,
A lud boży przykładnie ich nauki słucha,
Z ich serca jak ze źródła czerpiąc dobre wzory
Dostojnego ubóztwa i świętéj pokory.

Grób po grobie pochłania czyjeś stare kości.
Zapadaj, dawny wieku, na łono przeszłości;
Ty zasię strojna w barwę różową, tęczową,
Młoda jutrznio postępu, świtaj nam nad głową!
A gdy już twoje słońce u południa stanie
I oświeci grobowéj ciemności otchłanie,
Gdy promienni twém światłem zajrzym ku podziemi, —
Niechaj się nie zawstydzim przed ojcy naszemi.
Bo biada naszéj głowie i twym blaskom biada,
Jeśli stanie przed nami postać prapradziada,
I głosem uroczystym zagrobowéj mary
Rzecze: «*Redde quod debes*, płaćcie dług wasz stary! ...
«Spuściliśmy prostacy naszą piękną stronę
«Na wasze ręce silne, na głowy uczone, —
«Od zgonu waszych przodków, do dzisiejszej chwili,
«Obliczcie, coście wzięli, coście przymnożyli.
«Musi być w wasze czasy, które postęp budzi,
«I więcéj kwiatów w polu i cnot w sercach ludzi;
«Lubiliśmy procesa i pieniacze matnie,
«U was pewnie zakwitło miłowanie bratnie;
«Równych synów ludzkości odkupionych z krzyża
«U was pycha herbowna pewno nie poniża;
«Porzuciliście puhar, co ku złemu kusi;
«Z trzeźwych piersi modlitwa gorętsza być musi;
«A jako BÓG nagradza cnotę zasłużoną,
«Toć i wasze niebiosa błękitniejsze pono...»

Och! bolesno posłyszeć taki głos z mogiły:
Jeszcze nasze zasiewy kłosów nie puściły,
A choć zda się do koła zielone przestworza,
Po trawce nie rozeznać kąkolu od zboża.

A pieśniarz, co gotuje piosenkę do żniwa,
Przebaczcie, że niepewnym tonem pobrząkiwa:
Bo nie zgadnie do jakiéj nastroić się nóty,
Czy tworzyć pieśń wesela, czy żalu wyrzuty.

d. 7 maja 1855.

KONIEC.

NAJKRWAWSZE POLE.

Nie to jest pole najkrwawsze na ziemi,
Co pije z wojen rubinowéj czary
I tak się bieli szkielety ludzkiemi,
Jak morskie piany, lub śniegi...
Nie to, gdzie leżą strzaskane sztandary
Na mężnych piersiach, które ich broniły
I kędy, zwarte w dwa wrogie szeregi,
Ścierają się ludów siły.
Nie to, nad którém, jak śmiertelne chusty,
Ciągną się dymy ciężkie, ołowiane...
Nie to, co wiecznie spragnionemi usty
Ssie pierś ludzkości, jak ranę.
Nie to, gdzie żołnierz konający pada,
Zdala od chaty, od żony, od dzieci
I gdzie się jękiem ostatnim spowiada
Gwieździe, co nad nim, drżąc, świeci.
Nie to, nad którém wichrom jęczéć trzeba
I łzami padać chłodnym, nocnym rosom,
I dzwonić pustym na zagonie kłosom,
Na przyjście roku bez chleba.

. . . . . .

Lecz to, gdzie duchy, jak orły zwaśnione,
Biją się w chmurach o prawdę nieznaną
I gdzie od wieków w dwie strony targano
Nieskończoności zasłonę.
Gdzie w mrokach nocy, w walk krwawych zamieci,
Tysiąc hypotez ciska błyskawice...
I ponad którém wieczna burza leci,
Niosąc duchów nawałnice.
Lecz to, gdzie jeszcze nigdy nikt z śmiertelnych
Ostatecznego nie dopiął zwycięztwa...
To, gdzie zastępy najśmielszych i dzielnych
Mają mogiły męczeństwa.
Gdzie ciężkim wieków wstrząśnione pochodem,
Walą się gmachy posępną ruiną...
Gdzie bogi, wiary i idee giną,
Przed ustaw wiecznych dowodem.
Gdzie w sam war bitwy, co grzmi wiekuiście,
Ludzkość potężnych swych atletów ciska
I gdzie z nich każdy znaczy swoje przyjście
Łuną nowego ogniska.
Gdzie, jako wichry, co piaszczyste żary
Miotają w siebie z dwóch krańców pustyni,
Walczą, w imieniu bóstw swoich i wiary,
Świątynia przeciw świątyni.
Gdzie szermierz prawdy wyrasta w olbrzyma;
Gdzie myśl, podnosząc miecz badań stalowy,
Przecina ludzkość na wrogie połowy
I duchy na ostrzu trzyma.

. . . . . .

O pole straszne! o szranku ty krwawy,
Co wiekom swoje obwołujesz hasło!
Nad tobą pośród dziejowéj kurzawy
Sto słońc już wzeszło i zgasło;
Sto ramion prawdę namiętnie chwytało,
Za całość biorąc rozbite atomy...
Sto serc tu pękło, gdy ideę białą
Kruszyły fakta, jak gromy.
O bojowisko olbrzymów! o pole,
Gdzie się ściérają żywe duchów prądy!
Wszystkie sprzeczności i wszystkie niedole
Czekają na twoje sądy.
Nad tobą sztandar wieczności szeleści,
Zasady ostrzą miecze twych rycerzy,
A ludzkość czeka, konając z boleści,
Aż chwila ciszy uderzy.
Najszlachetniejsze, najgorętsze duchy,
Co przekazują wiekom swoję chwałę,
Są pośród ciebie jako chusty białe,
Tłumiące walki wybuchy,
Przez chwilę jako gwiazdy błękitnieją
Ponad ludzkością mdlejącą już w boju
I opatrują rany jéj... nadzieją
I błogą ciszą pokoju.
Lecz czas uderza w skrzydła i ulata...
Rwą się do walki nowe pokolenia,
A nad okręgiem zwichrzonego świata
Wieje chorągiew zniszczenia.
A człowiek, zgrozą przejęty i blady,
Patrzy na wieków nieśmiertelne boje
I widzi nieraz ideały swoje
Strącone w przepaść zagłady...
I nie wié czemu Bóg wielki w błękicie
Nie zerwie z prawdy słonecznéj zasłony,
By mogły spocząć już raz te miliony,
Co walczą na śmierć i życie!

. . . . . .

Marya Konopnicka.

Wyjątek z Poezyi Wiktora Hugo.

Na czele tych ustępów trzeba stawić silnie wypowiedziane uznanie Boga:

Jest... lecz żaden krzyk ludzki ani głos anioła,
Żadna miłość ni groza, pokora ni duma
Tego słowa wyraźnie wyjąknąć nie zdoła.
On jest, jest, jest, bez miary, bez granic, bez końca,
A wszystkie ognie, błyski i światła i słońca,
Dnie i noce i światy co w przestrzeni biegą,
Są cyframi a On jest sumą. Pełnia Jego
To dla nas nieskończoność... a ludzkość się sili
Znać Go, znaleźli pewnik i Bóstwo odkryli
Poczęli wyszukiwać i szperać i wnosić...
On jest! czyń to wyznanie świecie... to już dosyć.

. . . . . .
. . . . . .

Ty wierz tylko i ufaj w tę miłości córę
Nadzieję, którą skrzydła wiary wznoszą w górę,
Niechaj to przekonanie w sercu twojem wzrasta
Spojrzyj tylko i uznaj że jest, bo niewiasta
Cichym śpiewem dzieciątko swe do snu kołysze,
Jest, bo duch chce odwieczną wciąż rozbudzać ciszę,
Jest, bo wznosim ku niebu dumnie nasze czoła,
Jest, bo żadna nas siła ujarzmić nie zdoła,
Jest, bo Cezar swą dumę przed Patmosem chyli,
Jest, bośmy te wyrazy wielkie wymówili:
Obowiązek, ideał, rozum i nauka,
Jest, bowiem błąd nasz Jego cierpliwości szuka,
Bo ciało we mnie słabe, a dusza jest mocą,
Bo chcę światła by błysło ponad moją nocą,
Bo myśl biegnąc ku Niemu olbrzymieje w trudzie...
Niechajże te pragnienia wystarczą wam ludzie,
A nie chciejcie już Boga mierzyć swym rozumem...

A teraz o wieczności i nieśmiertelności.

Jakto?... gdy się kochało i czuło i żyło,
Nigdy się już nie ujrzy, nigdy!... żadną siłą
Nie módz już poza ziemią zapewnić spotkania
Dla tych co się kochali! Dziecko, które skłania
Do spoczynku wiecznego uśmiechniętą głowę,
Zginęło już dla matki, noc pod swą pokrowę
Weźmie je... a kobieta z promieniącem czołem,
Która była mi w życiu pociechy aniołem,
Pójdzie tam i gdy rzeknę: „do widzenia drogą“
Nicość już mi się tylko uśmiechnie złowroga,
I na wieki tam dla nas zaparte już bramy!
I ten grób, który wszyscy czcimy i kochamy,
Grób co jest życiem dla nas, śmiercią się już stanie!...
Nadzieja wobec niebios zapadnie w otchłanie.
Żałoba, która chmurą zasępia nam czoło,
Jest obłędem i kłamstwem i próżnia wokoło,
I na wieki już ciało całun w dół swój zniesie,
A życie jest sprężyną co przy śmierci rwie się!
Ślepota która wzroku chce odszukać znamie,
Jeśli dąży ku światłu myli się i kłamie!
Istota się ku niebu silnym wznosi rzutem
I ginie! Świat pod tchnieniem kruszy się zatrutem
Nocy, a światło z góry próżno daje hasło,
Na życie które chwilkę zatliło i zgasło!
I te kółka ma wprawiać nicość niezbadana
W ruch!...
Otchłani! weź nicość a daj nam szatana!

A o ludzkości jak pisze poeta:

Niewolnicy i kaci! ta popiołów fala,
Co tylko bohaterstwa głownia ją zapala,
Słomka, co się pod tchnieniem zażega i gaśnie,
Tłum co chwilę wśród dymu przewinął się jaśnie,
By zniknąć potem we mgle i zwiać się na marno,
Zostawiając po sobie plamę tylko czarną,
Naczelnicy bez celu, bogowie bez kształtu,
Dzieje co są zwierciadłem przemocy i gwałtu,
Działa, ostatni wyraz bojowniczej sztuki,
Trony, ofiarne stosy, tryumfalne łuki,
I posągi Cezarów i świątyń zwaliska
I pochodnia zapalna co z tych świateł błyska
I napływ nocy kiedy wolność uleciała,
I nienawiść i wrzawa... oto ludzkość cała.

Do ***

Nie bądźcie jako księżyc gdy po modrych falach
Zimny, blady przeciąga, pogrążony w żalach
Nad ziemią, co śpi martwo pod jego wejrzeniem;
Nie bądźcie jako słońce w południowym skwarze,
Gdy krople potu ciska na zgorzałe twarze,
I ciało jak kwiat zwarzy ognistym promieniem.
Wam trzeba stać się liściem gałęzi dębowych,
Chłodem co najsilniejsze dobywa uczucie
Magnesowanym drutem na wieżach zamkowych,
By w serca braci iskra biegła po tym drucie:
Wam trzeba łzy porzucić, i żale porzucić
I przywdziać inną szatę, nie trupią, nie czarną,
Lecz jasną jak Jutrzenka, by nią ze snu cucić
Za nim się dzienne światła po ziemi rozgarną.
Taki śpiew przynosimy, taki pleciem wianek,
Bierzcie dary na jakie ubogiego stało,
Bierzcie i dalej wiążcie — dla was świeci ranek,
Nasze słońce już w chmurach wieczornych skonało.

WSPOMNIENIA.

Wielkość, chwała, łzy, cierpienia —
To przewodniéj gwiazdy blask,
Co jak jutrznia z nad sklepienia,
Z głębi Wspomnień nieci brzask.

*

Jedne tęczą lśnią w lazurze
Na młodzieńczem niebios tle,
Inne płoną jako róże,
Gdy całuje wiosna je.

*

Jedne świecą jak promienie,
Gdy wiosenny świta wschód,
Inne ciężą jak kamienie,
Inne ziębią jak lód.

*

Jedne grają pieśni święte
Z nieskalanych serca strón,
Inne żywcem w niebo wzięte,
Gdy pierwiosnek zmroził zgon.

*

Z jednych wspomnień noc wyrasta,
Słychać jęki, żelaz brzęk;
Inne z lipy szumią piasta,
Głosząc hymny, głusząc jęk.

*

I są jeszcze tak przejrzyste,
Jak jeziora cicha toń,
Jak niebiosa uroczyste,
Ciepłe jak matczyna dłoń;

*

O! i wieleż to pamiątek
W kraju wspomnień dwojga dusz,
Gdy się uczuć zwijał wątek,
I w kielichu tonął róż. —

Kiedy drzewa na jesieni
Do nóg zmiotą żółty liść,
Kiedy życie bez promieni
Każe jeszcze naprzód iść;

Wtedy w ciężkich dni kolei
Promień wspomnień skrzepi nas,
I rozświeci z nad zawiei
Nowe drogi — w ciemny las...

K. G.

RUINY.

W strzępach wspomnień, omszałe
Obecnością zdumiałe,
Jako rycerz zsiwiały,
Na swym szczycie
Nosicie
Wieńce dziejów i chwały!

* * *

Gdzież te dłonie stalowe,
Co dni waszych osnowę
Powiązały z chmurami?
Ducha siły
Wrzeźbiły
Misternemi splotami?...

* * *

Gdzież te hełmy, przyłbice,
Gdzie rycerzy zbroice,
Co przez mosty zwiedzone
Grzmiąc orężnie,
Szli mężnie
Po laurową koronę?

* * *

Znikli, — śpią już w kurhanach, —
Jako widma, w tumanach
Po nad ziemią przemknęli,
I swe czyny
W ruiny
Niebotyczne zaklęli....

* * *

I tak sterczą wysoko,
Patrzą w przeszłość głęboko
Z gór wierzchołków, przy wodach..
Patrzą w mroku
Bez zwroku,
Jak gość martwy na godach...

* * *

Na ich głowie zsiwiałej
Burze ziarna posiały,
Drzewko strzela z okienka..
Szczelinami
Nad mgłami
Sieje promień jutrzenka.

* * *

Cicho!.. Co tam tak gwarzy?
Są-ż to pieśni gęślarzy?
Może szmery pacierza?...
Może w gody
Pan młody
Swéj bogdance się zwierza?

* * *

Lecz szmer rośnie w okrzyki;
Tak, nie grają lirniki,
Tak się miłość nie zwierza:
Wichr to z wieży
Strach szerzy,
Skrzydłem w zręby uderza...

* * *

I tak wichry zawzięte
Budzą duchy zaklęte—
Stróżów skarbnic minionych....
Blask miesiąca
Potrąca
W strony ruin omglonych...

* * *

I tak wielkie, wspaniałe,
Obecnością zdumiałe,
Jako rycerz zsiwiały
Na swym szczycie
Nosicie
Wieńce dziejów i chwały!

(Józef Grajnert.)

SWIAT IDEAŁÓW.

Któż z nas, o bracia! w duchowéj ciszy
Choć raz z wód nie pił wieczności?
Komuż z nas serce choć raz nie dyszy
Tchem cudnych rojeń? Czyż duch nie słyszy
Szumu fal wiecznéj jasności?

Szumi toń błoga z krain tęczowych —
Brzmiąca wszech-świata muzyka!
Co to za blaski słońc zaświatowych
Rwą nam uczucie z więzów zmysłowych?
Cóż nam strop nieba odmyka?..

Co nam odmyka bramy błękitu,
I z pyłu ciężarnéj ziemi,
Ducha, co dostał skrzydła zachwytu,
Wyżej—i wyżej wznosi do szczytu,
Aż do Krynicy promieni?

Do zdroju wiecznych blasków wzbujały
Duch ten w powietrznej osłonie,
Jak rad się kąpie w obszarach chwały
Nieogarniętéj! i odmłodniały
Powraca w męstwa koronie.

Stroi nam skronie w świateł koronę,
Wypełnia piersi zwątpiałe,
Patrz! tam u krańca w zachodnią stronę,
Jak cudną niebo wdziewa zasłonę,
Jakież tam hymny wspaniałe!

W chmur złotym wieńcu hymny tam grają
Niebiańską pieśnią bez końca!
Promienie w drżący dźwięk rozbrzmiewają, —
Blask w ciemni tonie, — ludzie wzdychają,
Z żalem dłoń wznosząc do słońca;

Z żalem podnoszą dłonie żebrzące,
Gdy z smutnéj nocy nastaniem,
Od czarnej ziemi znika gasnące,—
A gdy nam zda się już konające,
Dla nieba ono świtaniem...

Dla nieba zachód świtaniem zorzy,
Ziemia jest cieniem błękitu, —
O! duchu biały — posłańcze Boży,
Żadna z nędz ziemskich ciebie nie strwoży,
Gdyś pił z wieczności zachwytu...

Z źródła zachwytu, w bożym obłoku
Tyś spłynął jak tajemnica.
Patrz! jak nam niebo jaśni w otoku,
Jak drzewa gwarzą w uroczym mroku,
W szmaragdach błyszczą wód lica!..

Z szmaragdów, wodny opal smugami
Płynie, w szum borów rozwiany,—
Słowo wcielone gra nam wichrami,
Śle pokłon niebu dębów głowami,
Gra bór w olbrzymie organy...

Pienia drzew, gajów, lasów organy,
Smugi wzorzysto-kwietniane,

Chór istot ziemskich — i oceany,
I szmery westchnień, zdrój łez wylany,
W jak pyszne wzory przetkane!

Zkąd ta czarowna zgoda stworzenia —
Kwiatów, drzew, chmur arabeski?..
Wszędy myśl, zamiar, duch upięknienia —
Wrzeźbiony złotym rylcem promienia, —
Marny-ż to trud ten niebieski?

Marny-ż to zakrój doskonałości
W przepięknych kształtach przyrody?..
Czegóż drżą liście szeptem miłości?..
Co mówi cisza sfer, z bezdenności,
Patrząc rozumnie w głąb' wody?..

Bezdno sfer niczem z serca głębiną,
Z myślą, co mknie przez etery, —
Piekło burz rwące chmurną krainą
Niczem z wichrami, co z piersi płyną, —
Są-ż to wypadków chimery?.,

Jest-że chimerą uczuć skarbnica?
O! duchu, wieszczu wszech-bytu,
Niech w blask nam słońca spłon.e źrenica,
Niech z rąk nam spadnie śmierci gromnica,
Daj nam pić z źródła zachwytu.

Niech myśl, przesłana w przestwór bezdenny
Wróci z przecudnem widzeniem,
Zkąd świat wszech-piękna szczęściem promienny
Zesłał nam w padoł, prochem brzemienny,
Swój rys wcielony natchnieniem...

Bo piękność Boża od piękna ziemi
Wyższa o niebo jest całe, —
I gdyby kwiaty nie perły swemi
Zarannéj rosy, lecz anielskiemi
Myślami były zwilżałe;

Gdyby natchniony myślą aniołów
Kwiat duszę z nieba miał wziętą,
Wtedy dopiéro z ziemskich padołów
Mógłby iść stroić krąg bożych stołów,
Gdzie wiecznie błogie jest święto;

Gdzie w wieczność płyną pienia natury,
I szmer tych westchnień z pod s'ońca,
Aż w coraz lżejsze zwiane lazury,
Aż w łono Boga, w harmonji chóry
Utoną, grając bez końca!

Grają bez końca w nieziemskie tony, —
Żaden głos nie mrze z téj ziemi,
I zdrój łez czystych, w łuk otoczony,
Bieży promiennem skrzydłem wzniesiony,
Zaświeci z gwiazdy mlecznemi.

Jak mleczne gwiazdy, wiecznie jaśniące
Łzy—napój duszy—nie zginą,
Świecą tam niebu jako miesiące,
Jako serc czystych żary płonące,
Z ojczystą zrosłe krainą.

W ojczystym kraju dusz naszych kwiaty
W bezśmiertne zejdą korony,
Aż się zespolą wiecznie dwa światy,
Aż ziemia strojona w gołębie szaty,
Wdzieje duchowe osłony;

W szat doskonałych ustroj wcielona
Da z siebie niebu świątynię, —
Bo ziemia wróci do Stwórcy łona
Dziewicza, jako była stworzona,
I ogień święty nie zginie...

Bo ogień święty — Boże natchnienie —
Wszędy swe władztwo rozszerzy,
Chwastom ludzkości da zatracenie,
Stugłowej hydry straszne istnienie
Spali, i złości uśmierzy.

Bo zachód niebu jest świtem zorzy,
Ziemia jest echem wieczności.
O! duchu-biały, posłańcze Boży,
Żadna z nędz ziemskich ciebie nie strwoży:
Tyś pił z wszechźródła wieczności! —

(Józef Grajnert.)

ZŁOTE SŁOWA.

Ucichły boje, — na złotym tronie
Król siadł w koronie.
Dokoła w zbrojach z świecącéj stali
Panowie-Rada stoją na sali.

Na drugim tronie siedzi królowa.
Szata perłowa
Z pod gronostajów cudnie ją stroi, —
A wkoło milczą panowie w zbroi.

Król sądził sprawy. Weszli wieśniacy.—
Istni żebracy!
Mężowie smutni, niewiasty płaczą
Nad swą nieszczęsną dolą żebraczą.

Rzecze chłop siwy:—„Pułki zabrały
Dobytek cały
W zagrodach naszych, dziś kij dziadoski
Wzięliśmy w rękę i wyszli z wioski.“

Król słuchał skargi i rzekł łaskawie:
—„Szkody naprawię,
Idźcie w pokoju; acz nie bogaty,
Skarb nasz, powrócim zrządzone straty“

Na to wtrąciła śliczna królowa
Swe złote słowa:
—„Wróci się — wróci stracone mienie,
Lecz któż im wróci łzy i cierpienie?“

(Józef Grajnert)

RYCERZE Z WOLINA.

USTĘP DZIEJOWY.

WEDŁUG SAGI SKANDYNAWSKIEJ. *)

I.

Stypa.

Na wyspie, w odwiecznej siedzibie Lechitów
Stał pyszny gród Wolin, baltyckiej król fali;
W niéj kąpiąc podnóże z olbrzymich granitów,
W świat puszczał okręty ładowne w dąb, zboże,
Po perły, po wieńce mórz wschodnich korali.
I błyszczał on świetny Pomorcom jak zorze,
Aż pono, gdy zbytków złe-duchy przybyły,
Gród zapadł się z grzmotem,— otchłanie go skryły.

Dziś jeszcze tam, mówią, śród ciszy dokoła,
Gdy żeglarz szczęśliwy w głąb' puści źrenicę,
To ujrzy w przezroczu omszone dzwonnice,
I dzwonów jęk słyszy morskiego kościoła.
A tysiąc lat płynie, jak w mieście Wolinie
Normanie zamczysko Jomsburgu ogromne
Stawili, i z niego po wrzącej głębinie
Czynili wyprawy jak piorun niezłomne.

Raz z wyspy przesmyku wybiegły okręty,
Jak stado łabędzi z śnieżnemi skrzydłami;
Przez wzdęte, od słońca iskrzące odmęty,
Las masztów zaszumiał dwustoma żaglami.
I płyną na zachód ku ziemi ojczystéj;
Rej wodził smok-okręt, cud-dziwo nieznane,
O szyi w kły zbrojnéj, wygiętéj, ognistéj,
Skrzydłami wzbujały, — miał piersi miedziane.

Stał na nim Sygwaldi, wódz morskich szermierzy;
Z pokładu z pod żagli wzrok puścił w skraj morza,
Płaszcz na nim płomienny pożarów strach szerzy,
Wsparł dłonie na mieczu, hełm jaśniał jak zorza.
Lecz czemuż pierś smutkiem gnieciona, z pod stali
Westchnienie tłumione wybrzmiała?.. Ot, w dali
Zelandja ojczyste roztacza wybrzeża;
Tam z brzegów mu sterczy grób ojca-rycerza:

Strutharald jarł (1) umarł, jak wszystkie wikingi,
Gdy w boju nie giną od młota, od klingi,—
Nie umarł na słomie, lecz bliski mogiły,
Z gaśnięciem swéj gwiazdy, sam przebił swe żyły.
Wysiedli z okrętów i biegną gromadą
Na kurhan okrągły, podniebny, i kołem
Pierś korzą, dumając nad ziemską zagładą,
Więc bogom Walhali swe modły ślą społem...

W zamkowej świetlicy obitej skórami,
Na stołach dębowych już stypa dymiła
Pieczenią jeleni z złotemi rogami,
A w kadzi srebrzystej odyńca wieńczyła
Korona z róż dzikich, w kłach jałbka czerwone,
A dzbany błyszczały miodami spienione.
Na ścianach z rozpiętych niedźwiedzich skór
Jaśniały oręże jak gromy chmur.

Wtem przysedł i Harald, książęciem on Danów,
W płaszcz strojny z purpury, gwiazdami usiany;
I przyjaźń zmarłego i skrytych myśl planów
Przywiodła go tutaj. Siadł, mile witany,
Na miejscu najwyższém; Sygwaldi siadł z prawa,
A z lewa Astryda, ziemicy téj sława,

*) Właściwie jestto saga jomsburgska, dlatego tak nazwana, że przy ujściu Swiny do morza Baltyckiego, na wyspie Wolinie, zamieszkałéj przez słowiańskich Lutyków i Wilków, niedaleko Szczecina, w mieście także Wolinie, zdobywcze plemię Normandów założyło zamek *Jomsburg*, w początkach X wieku. Braterska ta rzesza wikingów, to jest morskich rycerzy, zgromadzona pod wodzą Zelandczyka Sigwaldi'ego, niedługo po założeniu zamku otrzymała surowe prawa od Palnatokiego, które ją ścisłą związały spójnią. Nikt w tém towarzystwie nie mógł mieć żony przy sobie podobnie jak w Siczy Zaporożskiej; nowozaciężni musieli najprzód poddawać się próbom jak tu przepływania Dniepru, tak tam morskiéj odnogi.

Saga wspomniana znajduje się przytoczona treściwie prozą w „Kronice Helmolda“, tłómaczonej i objaśnionej przez p. Jana Papłońskiego. Kto się wczytał w dzieje dawnych Skandynawów, ten przyjmie za możebne i prawdziwe, dowody mocy ducha i niesłychanego męztwa, o jakich w tym ustępie dziejów skandynawskich czytamy, a które wiążą się z dziejami pierwotnéj Polski.

Zkąd Sygwald za żonę wyprosił ją sobie;
Jéj ojciec Burzysław, król Wendów, już w grobie. 2)

I cały stół wieńcem srebrzysto-złocistym
Zabłyszczał, gdy mnogie świeczniki wniesiono;
Kwiat zbroic i hełmów w rycerskie się grono
Powiązał; tu owdzie w ustroju śnieżystym
I łono normandzkich dziew błysło w grze cieni.
Śród jarłów był Torkiel, brat wodza z Wolina;
Wagn, Bue i Sygurd, dwaj bracia rodzeni,
I Biorna przysłała Bretonów kraina.

W ogromnych puharach oprawnych w róg turzy,
Pienisty miód krąży od dłoni do dłoni;
Lecz czoło konunga duńskiego się chmurzy
Tajnemi zamysły. Znał dobrze on ramię
Jomsburgskich wikingów, znał sławę ich broni...
Więc krzyknie wesoło, choć dusza w nim kłamie:
„Hej! znieść tu z mych lochów sycylskich win kadzie,
Niech radość purpurą przywiewa biesiadzie".

I wino purpury wniesiono do sali.
Już szczerość z ochotą zabrzmiała dokoła,
A ręce przechodzą od rogów do stali,
I huczą aż straszno, aż konung zawoła:
„Ej! bracia wikingi, kwas nudy mnie dławi,
Myśl w kółku niezmiennem jałowieć poczyna,
Wymyślmy zabawę, niech ucztę rozsławi,
Niech o niej potomność z ust wnuków wspomina".

Wódz Sygwald się ozwie: „Pierwszeństwo twéj [mowie!
Co rzekniesz, to święte! my pójdziem za tobą".
Rzekł Harald: „Od wieków przesławni przodkowie
Śród biesiad podobnych, zwieńczonych żałobą,
Zwyczajnie, na chwałę swą śluby składali.
Wikingi! wam sławy zazdrości Thor w niebie,
Toż śluby rycerzy zebranych w tej sali
Nielada być winny. Zaczynam od siebie:

Przysięgam! nim zima potrzykroć mórz prądy
W mur zetnie lodowy, w kraj Anglów popłynę,
Spopielę wsie, miasta, zagarnę im lądy,
Etelred król zginie, lub ja ot, tak zginę".
Tu rozciął toporem łeb dzika na dwoje:
„Tak niech mi pomoże Thor, krzepki pan bojów!
A teraz Sygwaldzie! ty śluby głoś swoje."
Więc powstał wódz rozgrzan potęgą napojów:

„Przysięgam! niech Odin bóg-stwórca pomoże;
Nim lato kraj zbożem złocistem ustroi,
Okręty swe wszystkie rozpuszczę na morze,
I na ląd wysiądę w norwegskiej ostoi;
Tam jarla Hakona wypędzę z krainy,
Lub jak psa zabiję, kraj zmienię w ruiny!"
Rzekł Harald radośnie: „Przed tobą drżą wrogi!
Niech Norny (1) różami uścielą twe drogi.

A teraz ty w koléj, Torkielu Wysoki!
Ty zwykłeś na umór bój toczyć po świecie."
Rzekł Torkiel: „Sygwaldi ma wszędy me kroki
I siłę méj dłoni powolną jak dziecię.
Jam przysiągł go bronić śród walki odmętu,
I nie ujść, aż ujrzę tył jego okrętu."
A konuung mu na to: „Twe słowa grom sieją.
No, Bue ty Gruby, cóż powiész koleją?"

„Przysięgam! rzekł Bue, z Sygwaldem iść w parze
I z walki nie ujdę, aż chyba sam każe".
—„Wiedziałem już z góry, że powiész rzecz dobrą,
Rzekł konung, — no, Krępy Sygurdzie, do rzeczy!
Cóż powiesz po bracie?" Rzekł Sygurd: „Dłoń chro- [brą
Braterską nam ukuł bóg wojen w swéj pieczy;
Ja brata nie rzucę, aż śmierć nas rozdzieli."
Znów Konung zachęca, a coraz weseléj:

„Przezacne z was druhy, jomburgskie wikingi."
Toż przysiągł Bretańczyk Biorn skory do klingi;
Aż w rogu u stoła i Wagna tak zacznie
Podburzać: „Junaku, o zwojach kędziorów!
Czy w świeże twe usta, czy w pierś twą niesmacznie
Ślub wpada? Tak milczysz? czyś wrogiem toporów?"
Namarszczył brwi młodzian, krwią oblał skroń,
Płaszcz spuścił z ramienia, miecz porwał w dłoń,
Rzekł wstając: „Ten brzeszczot dwom służy wszech- [władnie:
Druhowi Buemu i moich rąk woli;
Któż nie wié, z kim wspólnie zmieszaną krew na [dnie
Pucharu wypiłem w przyjaźnéj znak doli? 1)
Gdzie Bue ślub wyrzekł, tam święte mi prawo,
Toż z wami popłyniem za złotem i sławą.
Na Freję przysięgam! nie puszczę go zdradnie
Śród boju, aż każe lub trupem upadnie.

I drugi ślub głoszę, słuchajcie rycerze!
Gdy stopą już trącę w Norwegów wybrzeże,
Zabiję Leira, całunkiem ukoję
Żal jego Imborgi i śluby tam swoje
Zamienię w świątyni na wieniec jéj czoła!"
Tak piją do świtu, aż konung zawoła,
Rad swoim zamysłom śród blizkich zamętów:
„Hej! daję sześćdziesiąt na wojnę okrętów."

1) Jarł, to samo co wielkorządca, a u nas wojewoda.
2) Ma to być Mieczysław I, Wendami zaś nazywali cudzoiemcy dawnych Polaków.

1) Skandynawscy rycerze ślubując przyjaźń, krople krwi sobie puszczonéj mieszali z winem i pili.

II.

Straszni goscie.

Wielką tarczą słońce wstaje
Z nad Baltyku czarnych chmur,
Krwią nadbrzeżne zlewa gaje
I wierzchołki śnieżnych gór.
Łono morskie żarem płonie,
Orły w locie toczą bój,
Szumią bełtów ciche tonie:
Stuokrętny płynie rój.

Przodem okręt-smok ster trzyma,
Niby żóraw' lotnych stad,
Wódz Sygwaldi już oczyma
Brzeg Norwegów zgnieśćby rad.
Biada—biada! miecz krwi chciwy
W piersiach bratnich tonąć ma,
Prysną miecze i cięciwy:
Thor na zbrodnię gromy ma...

Jarł Norwegów, Hakon czujny,
Ma miecz zwany bratem-burz,
Ma kraj w dzielne męże bujny,
O napadzie wié on już.
Trzysta więc okrętów stawił
Na giorungskiéj szyi fal:
Kapłan-wróżbit błogosławił
Mnogie łuki, straszną stal.

Czterech skaldów z bardonami
Na pokładzie stoją z nim,
Grzmią ich struny piorunami
Cześć dla zacnych, hańbę złym
Straszna burza z fal się zrywa;
Wróg już z wrogiem w miecze gra;
Próżno pamięć dzieje wzywa,
Czy kto walkę taką zna?!

Nikt nie pomni... Strzał obłoki
W noc zmieniły dzienny blask;
Okręt w okręt, w piersi, boki
Tłucze, gradem pęka drzazg.
Nikną hełmy i szyszaki,
Topór łupie zbroic stal;
Tam, jak spięte dwa rumaki,
Statki toną z rykiem fal.

Szczęk, wrzask, łomot głuszą strony
Harf wojennych,— próżno grać!
Tłum Jomsburgów niezwalczony!
Hakon musiał tył im dać.
Śpiesznie zdąża w swe przystanie,
W las, na zamek biegnie w cwał,
Gdzie śpi jego syn-kochanie.
Patrzy... łez go deszczem zlał,
Nagle w drżące dłonie bierze
Skarb najdroższy—dziecko swe,
I w gaj święty na wybrzeże
Ofiarnika z sobą zwie.

Gdzie się oltarz święty bieli
Dla Bogini-wojny, tam
Na kamiennéj ach! pościeli
Własne dziecko zabił sam
Tą ofiarę purpurową
Dla ojczyzny żebrze łask:
I Bogini twarz gromową
Rozjaśniła w zwycięstw brzask.

* * *

Z świtem bój się znów wynurza,
Otchłań morska zdradą tchnie:
Bo ot nagła wstaje burza,
Od Norwegji falą rwie.
Najezdnikom grad ciął w oczy,
Wicher strzały cofa wstecz,
Straszna chmura wzrok im mroczy,
A Hakona szczęka miecz!

Pierwszy Sygwald duchem zmienny
Woła: „Bies tu wmieszał się!
Jam uczynił ślub wojenny
Bić się z ludźmi, z biesem-nie!“
I gwałtownie ster odwrócił,
Pierwszy z boju uciekł, tchórz!
Wagn swój dziryt za nim rzucił
I pieśń taką z rykiem burz:

„Sygwaldi pod topór nas przywiódł tu,
Sam uciekł strwożony!
Tchórz, śpieszy do domu, on pragnie snu!
On tam co tchu,
Nikczemny! chce upaść na łono swéj żony!“

W ślad za bratem i Wysoki
Torkiel uszedł z grzmiących fal,
A Buemu już wyroki
Wyrąbała straszna stal:
Naraz świszcząc z dwóch stron, miecze
Górną wargę, dłonie tną;
Jak pień stoi, krew zeń ciecze,
Błędne oczy zaszły mgłą.

„Któraż z dziewic się odważy
Na Bornholmie teraz mi
Całus złożyć w takiej twarzy?
Co na świecie z takich pni!?“
Tak rzekł Bue, i resztkami
Rąk obciętych schwycił on
Swą szkatułę z klejnotami,
I z nią w morzu znalazł zgon.

Umknął Sygurd z śmiercią brata;
Jarł-Wagn pojman z statkiem swym.
Straszna bitwa w dziejach świata
Znikła z morza niby dym..
Norwegowie z fal krwią zlanych
Pieśń zawodzą w grzmiący chór,
Siedemdziesiąt powiązanych
Jeńców wiozą do swych gór.

III.

Straszni jency.

W gaju Thorgerdy, zwycięztw bogini,
Jarł Hakon jeńcom rozkazał stać;
Kapłan-ofiarnik obrzędy czyni:
Ma z nich ofiarę bogini dać.

Jeden ich powróz uwikłał w pęta,
Jeden im topór ma głowy zciąć;
Jak na dożynek obfite święta,
Torkiel-Leira plon będzie żąć.

Pochwycił topór. Jarł srogim wzrokiem
Liczy ich, ściąga okrutną brew,
Oni tak szydném patrzą nań okiem!
Choć dawno węszą już własną krew.

Trzem wieńce z dębów plotą w kędziory;
Lica im stroi męczeństwa blask;
Trzy głowy spadły jak ścięte wiory;
Żaden nie wzywał zwycięzców łask.

Aż i z powroza czwartego wiodą,
Już mu wian liści oplata skroń,
Pancerz rozbity, krew ćmi twarz młodą,
Torkiel-Leira rzekł szydnie doń:

„ Jak ci się zdało iść tam w obłoki?“
—„Śmierć to rzecz dobra! Ty raczéj drżyj;
Słusznie iść w ślady ojca bez zwłoki.“
„Cóż się z nim stało?“—„On umarł, tnij!“

Upadła głowa. Torkiel znów pyta,
Gdy piąty stanął, a topór błysł:
„Czy tam za serce cię co nie chwyta?“
Lecz jeniec czarne brwi chmurnie ścisł,

I rzekł: „W Jomsburgu, w mieście Wolinie
Ten zakon Toki wikingom dał:
Hańba rycerza tego nie minie,
Kto zdradził słowem, że z trwogi drżał;

Każdy się z śmiercią w życiu raz zmierzy..“
Wtrącił więc Torkiel i tego w grób.
A Hakon kazał męstwo rycerzy
Łamać postrachem szyderczych prób.

Szedł szósty, starzec, już uwieńczony;
Torkiel więc szydzi: „Wikingu! drżyj.“
Ten rzekł: „Walhali blasku spragniony,
Zginę chwalebnie, ty podle żyj!“

Zginął. A siódmy pytanie kata
Tą odpowiedzią ciekawą zbył:
„Umrzeć mi błogo. U nas brat brata
Pytał, gdym wolny w Jombsburgu żył:

Czy też ten wie co, albo pamięta,
Któremu głowa upadnie już?..
Ot, mam nóż w dłoni, gdy głowa ścięta
Zleci mi, wtedy, tak! wzniosę nóż —

Na znak, że pamięć mam jeszcze w sobie;
Jak nie, to nóż mi wypadnie z rąk.“
Ciął Torkiel, ręce obwisły obie,
Jeniec padł, niby zwalony drąg!

Siódmy szedł jeniec. Znowu badanie.
„Śmierć mi nie straszna, to ludzki los!“
Torkiel ostrz waży... „Tnijże, tyranie!“
Z piorunem gniewu spadł zręczny cios.

I rzekł dziewiąty: „Śmierć mi uciechą;
Siadam, a ty patrz, czy twarz mi drga?
Rąb w nią a prosto... Pod ojca strzechą
O tem nam nieraz gawędka szła...“

I z czołem w słońce zwróconem siada,
Torkiel go prosto po twarzy ciął,
I gdy na lica padła śmierć blada:
Zwarł modre oczy, lecz ani drgnął.

Aż idzie wiking w pancerz ubrany,
Skroń złoci gęsty,jedwabny włos,
Za pasem błyszczał brzeszczot krwią zlany;
Torkiel znów pyta: „Przykryż ci los?“

Ów rzekł: „Już bracia tacy od wczora
W walce i kaźni ponieśli zgon,
Że mnieby żywot gniótł pierś jak zmora,
Toż lepiéj iść na Odina tron.

Tylko niech rycerz schyli mi głowę,
Bo niewolnika odrzuczę dłoń,
Niech w górę wzniesie włosy me płowe,
By w krwi nie zmokły, gdy zwiśnie skroń!

Zbliżył się rycerz norwegski z koła,
Oburącz w górę włos rusy wziął;
Lecz topór w miejsce wikinga czoła,
Po łokieć ręce Norwega zciął.

Zerwał się wiking: „Czyje tam dłonie
W włosach mych zcięte uwikłał cud?“
— Biada! zawołał Hakon, rąb w skronie
Tego i wszystkich to straszny lud!“

Lecz syn Hakona Ejrych przypada:
„ Wprzód niech imiona swe rzekną ci,
Kto ty? jak się zwiesz?“ Ten odpowiada:
„Bue z Bornholmu rodzicem mi.“

„Jak staryś?“ „Jeśli przeżyję lato,
To osiemnasty mieć będę rok.“
„Przeżyjesz!“ młody Ejrych rzekł na to,
I powiódł jeńca w rycerzy tłok.

I rozplątują jeszcze z powroza
Wikinga,—nie mógł odwikłać stóp;
Tóż siedział spętan, z lic patrzy groza
Na tłum zwycięzców, na blizki grób.

Był smukły, mężnéj, świetnéj urody,
Hełm mu skrzydłami orlemi drgał,
Pancerz zrąbany, włos bujny, młody
Na lśniącą zbroję las złoty siał.

„Jak ci umierać?“ Torkiel zapyta.
Kto miecz poštradał, dla tego stal
Męczeńska tęczą raju rozkwita,
Lecz jeden tylko pierś dręczy żal...“

Tak prawił wiking, Ejrych się pyta:
Jak tobie dzieją?“ „ Wagnem mnie zwą.“
„Ojciec twój?“ „Aki.“ „ Cóż cię tak chwyta
Za serce? co tak myśl płoszy twą!“

Rzekł Wagn: „Niedawno na ostrze stali
Na imie Frei przysiągłem ślub:
Jeśli w Norwegii będziem w miecz grali,
Wtrącę Leira na wieki w grób.

I jeszczem skończył tak śluby moje:
Cudną dziewoję ma Leir ten,
Więc żal Jmborgi sercem ukoję, —
A dziś to wszystko znikło jak sen!“...

Torkiel-Leira rzekł gniewem zdjęty:
„Podły! nie tobie mój kwiatek rósł.“
Zgrzytnął, jak rumak rzucił się wspięty,
Topór oburącz z zamachem wzniósł.

Wtém Biorn Bretańczyk pchął Wagna nogą,
Ten padł, a Torkiel, chcąc zniszczyć ślub,
Już topór spuścił, ale złowrogo,
Bo przeciął powróz u Wagna stóp.

Wagn się od ziemi porwał ockniony,
Wyrwał miecz,przez łeb Torkiela tnie.
„Teraz, rzekł, ślub mój napół ziszczony,
Serdeczna radość ogarnia mnie!

Jarł Hakon woła: „Trzymać! Zabijcie!
Niech go straszliwy pochłonie zgon.
Rzekł Ejrich: „Ojcze! prośbę przyjmijcie,
Lepiéj niż Torkiel ciąć będzie on:

Tóż się zamiana hojnie opłaci,
Wagn nam Torkiela zastąpi,—i
Téj garstce jego dzielnych współbraci
Ojcze! daj wolnych zażywać dni.“

Tak rzekł wspaniały Ejrich. Po chwili
Pęta wikingom tnie zacna stal;
Lecz do Wolina już nie wrócili;
Jadą w kraj ojców po grzbietach fal.

I Wagn odpłynął; jego ślubami
Wzgardził Imborgi sierocy jęk. —

Łzy nieszczęśliwych, świecąc gwiazdami,
Stokroć są droższe nad wojen szczęk. —

(Karl Grajnert)

SEN POETY.

FANTAZYA.

Gdy pierwszém tchnieniem witałem świat,
Owiał niemowlę grudniowy chłód—
Pierwsza to wróżba mych przyszłych lat,
Pierwsza to boleść u życia wrót.
Płacz zadrgał z piersi.—Któż bracia z was
Płaczem nie witał życiowych dróg?
Uśmiech przy śmierci uwdzięcza nas,
Bo ona kresem cierpień i trwóg.
Na łonie matki koił me łzy
Czarowny powab dziecięcych mar,
Tam młodociane rozkoszy sny
Wykwitający wzmagały żar.
Wtedy do niebios otwartych bram
Wznosił mnie urok nadziemskich sił;
Jasnych aniołów widziałem tam,
Każdy z nich piękny, ach! piękny był!
To znów pod lśniącém sklepieniem gwiazd
Zbierałem kwiatów perlistą woń,
Słyszałem piosnki śpiewaków gniazd
I biegłem, biegłem w zachwytów toń.
Lecz gdy w rozkoszy czarowny kraj
Nosił mnie Cherub w rąbku swych szat,
Sen niknął z powiek—przemijał raj!—
Była to wróżba mych przyszłych lat.

* * *

Gdy już rozkwitła młodość szalona,
Gdy dusza żarem poczęła lśnić,
Chciałem świat cały tulić do łona,
Ukochać ludzi i dla nich żyć.
Śmiało się do mnie wszystko tak mile,
Kryjąc w ułudzie uczucia pleśń,
Wtedy najpierwsza w miłości sile
Biegła mi z serca gorąca pieśń;
Lecz gdy złych przeczuć byłem daleki
W uroczych barwach rozkosznych mar,
Sen mi okropny skleił powieki,
By dać zwątpienie i zgasić żar,

* * *

Widziałem obszar, obszar bez końca,
Trefiony lśniącym promieniem słońca,
Gwiazdy błyskały z górnych przezroczy,
Złocąc odblaskiem dzionek uroczy.
W falach promieni wznosząc ołtarze,
Biegali ludzie po tym obszarze.
Tych ludzkich istot było tam wiele—
A wszędzie drgało jasne wesele.

Olśniony blaskiem, podchodzę zblizka—
Każdy mnie wita, całuje, ściska,
Każdy radośnie do serca tuli,
Obudza ufność, dobrocią czuli.
Wszyscy tak piękni, wszyscy tak szczerzy,
Urok tchnie z kobiet, starców, młodzieży,
Niebo wygląda z oczu i z czoła—
I brak im tylko skrzydeł anioła.

A w ciągłym wirze, w ciągłéj pieszczocie,
Szczyt trzech ołtarzy wykwita w złocie.
Nad jednym drobnych dziateczek para
Unosi godło: „*Tu mieszka Wiara!*"
Nad drugim w ogniu wstęgą jaśnieją
Słodkie wyrazy: „*Jestem Nadzieją!*"
Nad trzecim, kędy szczytu pochyłość,
Błyszczy w półkręgu: „*Tu znajdziesz Miłość!*

Owiany blaskiem, zdumiony, drżący,
Puszczam się w szczęścia wir szalejący,
Na szczerość ludzi spoglądam szczerze,
Oni mi wierzą i ja im wierzę,
Oni się śmieją i ja się śmieję,
Oni miéć każą, ja mam nadzieję

I cała ludzkość moja pieszczocha,
Zniewala kochać—bo sama kocha.

Cała godzina zbiegła w rozkoszy,
Nic mnie nie straszy, nic mnie nie płoszy,
Półsenny szczęściem, pijany szałem,
Nic nie pragnąłem, nic nie żądałem.

Wtém... ociężałe nadbiegły chmury,
Czarnym się kirem skryły lazury,
Słońce zagasło, gwiazdy posnęły,
Straszne ciemności świat ogarnęły,
Na zieleń sine trysnęły lody,
Wicher z gromami igrał w zawody.
A wśród chaosu olbrzymia skała
Ponad przepaścią wygórowała.
Zamęt mnie zaniósł na jéj urwisko—
Wszystko straciłem... śmierć była blizką...
Rwą się kamienie, głazy, opoki,
Przepaść podemną.. w przepaści mroki...
Odłamy w locie świszczą nad głową;—
Chcę się ratować, odżyć na nowo,
Lecz mi nie dadzą zaklęte duchy,
Co panowały wśród zawieruchy.
Dobrze mi znane były ich twarze,
Bo je widziałem w jasnym obszarze,
Tylko postacie zimne, grobowe,
Kształty przybrały na siebie nowe.
Przecieram oczy... patrzę... nie wierzę!
Twarz tylko ludzka—a daléj... zwierzę!...
Błagam potworów o życia chwilę,
Na wpół w głębokiéj zwisły mogile.
Każdy się śmieje, lecz nie tym śmiechem,
Co mi pieszczotę ronił oddechem;
Zamiast pomocy braterskiéj ręki,
Widzę szyderstwo i nowe męki—
Zamiast uścisków, co mnie witały,
Znajduję wzgardę!—A tłum ten cały
Snuje się w wirze, syczy i wyje,
Krew świeżych ofiar w szaleństwie pije—
I cała jego szatańska władza,
Konając w zemście, z zemsty się zradza.

W ofiarnym ogniu, między tą burzą,
Szczyty ołtarzy w dymie się nurzą.
Wiara wężykiem w wichrze opada,
A na jéj miejsce wybiegła: *Zdrada*,
Nie ma *Nadziei*, bo w jéj zakresie
Skrzydlaty szatan *Zwątpienie* niesie,
Miłość spojrzenia nie rozwesela,
Bo wyżéj nad nią *Nienawiść* strzela.

Smutno mi było, ach! bardzo smutno!
Walczyłem długo z siłą okrutną,
Nareszcie ołtarz ofiarny drugi
Puścił mi w serce zwątpienia smugi—
I nim do nieba zwróciłem oko,
Wicher mnie strącił w przepaść głęboką.

* * *

Sen zniknął . . . . . .
. . . . . .

Daléj biegłem w zachwycie,
Gdzie przyciągała rozkoszy siła,
Lecz prędko prysło uroków życie,
Bo... rzeczywistość sen powtórzyła.

Już dawny zapał we mnie nie tleje,
Straciłem wiarę w niebo i w ludzi,
Świat mi odebrał szczęścia nadzieję,
W złamaném sercu miłość mi studzi.
Lecz duch nieznany, co w duszy gości
Szepce mi zawsze:—Nie trwóż się synu,
Bo do Nadziei, Wiary, Miłości,
Możesz powrócić—po drodze czynu.

Feliks Schober.

Jaskółka.

(Z tematów ludowych).

* * *

Już się zwijasz jaskółeczko
Pracując ze znojem;
By ulepić swe gniazdeczko
Pod okienkiem mojém.

* * *

Jednak powiedz szczerze miła
Na moją pociechę:
Jaka cię tu wabi siła,
Pod tę biedną strzechę?

* * *

To nie pałac kolumnowy
Z wyniosłemi szczyty,—
Tylko dworek modrzewiowy,
I słomą pokryty.

* * *

Widno kładziesz ufność we mnie,
Przenosząc te strony,—
A nie kładziesz ją daremnie,
Bo doznasz obrony.

* * *

Będę strzegł cię z dobréj woli
Od burzy i gradów,
Od złych ludzi i swawoli—
I wszelkich napadów,

* * *

Nikt nie zmierzy chciwém okiem
Twéj lepianki głębie,—
Ni cię zoczą bystrym wzrokiem,
Krwiożercze jastrzębie.

* * *

Ty mi za to bardzo łatwo
Odpłacisz co rana,
Gdy wraz ze mną i mą dziatwą,
Uczcisz pieśnią Pana.

* * *

Mimo niebios więc lazury,
Lśniące w gwiazd milionie,
Piosnka przedrze się przez chmury
I zabrzmi przy tronie.

* * *

Bo czy modły wśród rodziny,
Czy w świątyni progu;
Czy człowieka,—czy ptaszyny,
Zawsze miłe Bogu.

K. Kucz.

Za łzę.

(Z tematów ludowych).

Daj mi ten kwiat,
Który ożywia nam błonie,—
A wpośród chat
Ozdabia dziewicze skronie.
— Bo kwiatek ten,
To dzięcię z ponad téj wody,—
Gdzie jak przez sen,
Rodzinne widzę zagrody.

* * *

Daj mi twą dłoń,
Niech ją utulę w méj dłoni,—
I główkę skłoń,
Gdy piosnkę—skowronek dzwoni.
— Bo piosnka ta,
To hymn dla Pana—poranny,
I póty trwa,
Aż ptak dośpiewa hosanny!

* * *

Ach! nie skąp mi
Tego błogiego uśmiechu,—
O którym śni
Dusza—daleka od grzechu.

* * *

I rzuć mi raz
Choć jedno takie spojrzenie,
Co w późny czas
Zmienia się w słodkie wspomnienie.

* * *

Za dary te—
Gdy je otrzymam od ciebie,
Dam tobie łzę,
Którą policzą ci w niebie!

K. Kucz.

Pieśń o Filonie.

Czy z was kto lubi stare piosenki?
Są one doby minionéj echem;
Młodzież ich słucha z drwiącym uśmie-
[chem,
Lecz ludziom smutnym miłe ich dźwięki.

. . . . . .

Pamiętam jednę chwilę uroczą,
Wieś... ogród... cisza... woń róż... dym
[fajki...
Starzy gawędzą, młodzi chichoczą—
W tém u wrót stają wędrowne grajki.

Julię światowe wabią rozkosze,
Więc dłoń puszczając narzeczonego,
Biegnie i woła: Grajcie nam, proszę,
Lecz coś skocznego, lecz coś modnego!"

Arfiarka huczne bierze pasaże,
Skrzypek uderzył akord zawiły,
I pieśń jęknęła z muzyką w parze:
„Już księżyc zaszedł, psy się uśpiły."

Ogród się zatrząsł od śmiechów burzy:
Piosnka wesołość zbudziła wielką;
Drwili z niéj wszyscy—prócz panny
[Róży,
Co była w domu nauczycielką.

Nikt nie uważał na starą pannę,
Lecz ja dojrzałem po małéj chwili,
Że jéj źrenice błyszczą jak szklanne,
I że łzy płyną po jéj mantyli...

. . . . . .

W rok późniéj Julia śmiać się przestała;
Z inną przed ołtarz poszedł jéj luby...
Strzaskane serce, złamane śluby,
To jéj miłości spuścizna cała!

I znów dzień jasny przyszedł po burzy,
Siedziemy w sadzie z fajką i kawą,
Wszyscy... prócz niego i panny Róży,
Co pod cmentarną śpi już murawą.

Przy furcie grajków stanęła para.
Julia z uciechy klasnęła w dłonie,
I z brzękiem arfy śpiewaczka stara
Zawiodła smutno pieśń o Filonie...

Na twarz dziewicy spozieram z boku,
Pewny, że piosnkę śmiechem przywita,
Lecz nie,—wesołość zgasła w jéj oku,
Duma i milczy—smutna, przybita...

Potém się zrywa jak marmur biała,
I zanim jeszcze śpiewać przestano,
W głębi szpaleru znika jak strzała,
Pierś przyciskając łkaniem wstrząsaną...

. . . . . .

Gońce przeszłości! stare piosenki!
Wyście żałoby i szczęścia echem;
Choć śmieszek z drwiącym słucha was
[śmiechem,
Poetom miłe są wasze dźwięki!

Wiktor Gomulicki.

Moja Róża.

(Z niemieckiego.)

W ogródku, gdzie kwiatów
Rozwinął się rój,
Różyczka czarowna
Wabiła wzrok mój.

„O różo!—wyrzekłem —
Wiedz o tém, ach wiedz,
Że pragnę cię pieścić
Chodować i strzedz.
Miłością kwiateczku
Otaczać się daj,
Wraz z tobą w tém życiu
Niech kwitnie mi raj!"

O świcie do klombów
Pobiegłem znów sam,
Tęsknota do róży
Pędziła mnie tam.
Lecz róża zniknęła,
Znikł śliczny mój kwiat;
Napróżno szukałem—
Zaginął jéj ślad.

„Gdzie moja różyczka?
Kto zabrał mi ją?"
A kwiatki na głos mój
Zraszając się łzą,
Szeptały swym szmerem:
„Ten piękny cud róż
Przenieśli na cmentarz,
Tam ona śpi już."

Do ciebie różyczko
Myśl moja mknie w dal,
A serce w to wierzy,
Gdy łzawi je żal,
Że wkrótce ogrodnik
Tam wskaże mi ślad,
Gdzie serca nie cierpią,
Gdzie spoczął mój kwiat.

Feliks Schober.

30. Spowiedź.

Czas przyszedł wyznać grzechy pokutnemi usty,
I na klęczkach niebiosów błagać o odpusty,
Więc kiedy się niegodzi łamać prawa Boże,
Błędy ślepego serca pokornie wyłożę —
Nie uczynię jak Gnaton lub tłuszcza bezbożna,
Co wtenczas wyzna winę gdy skłamać niemożna,
Lecz co się grzechem zdawa, co sumienie ciśnie,
Przypomnę, i zatwierdzę i wyznam rozmyślnie,
Nie znęciła mię złotem fortuna bogata,
Lecz kogom znał poczciwym, kochałem jak brata,
Przed dumnemi pyszałki nie bijałem czołem,
Dobrym się przypodobać najżywiéj pragnąłem
A Bóg widząc szczerotę pokornego ducha
Odpuści moje winy, i modłów wysłucha. —

(Jan Kochanowski.)

LISTKI.

(Z tematów ludowych).

Tam pod lasem na nowinie,
Rozsiadł się dąb stary—
I wyciąga ku dolinie
Suche swe konary.

* * *

Lecz już ptaszę w gaju śpiewa
Piosenkę radosną,
A maj stroi w pączki drzewa,
Idąc w parze z wiosną.

* * *

Słonko chętnie pączki owe
Ciepłem opromienia—
I nim miną dni majowe
W listki je zamienia.

* * *

Dumny z tego dąb zielony
Pnie się wciąż do góry—
I wierzchołkiem swéj korony
Strzela prosto w chmury.

* * *

Idzie jesień—a z jesienią
Bielejące szrony—
I wnet listki barwę mienią
Na kolor złocony.

* * *

Potém burze po kolei
Wstrząsają drzewami—
I te listki wśród zawiei
Pędzą tumanami.

* * *

Ten dosięga szczytu wieży,
Ten buja w przestworzu,
Kiedy inny z wichrem bieży,
Albo tonie w morzu.

* * *

Choć ten obraz oko łudzi,
Lecz widzicie przecie:
Że los listków—losem ludzi—
Rozsianych po świecie.

* * *

Ten na oślep szczęście goni,
Ten się dmie bezkarnie,
Tamten pędzi w głębie toni,
A ten ginie marnie.

* * *

Czemuż—kiedyś sam człowiekiem,
Równasz się z listkami?...
— „Bo co stało się przed wiekiem,
Dziś powtarza z nami!"

K. Kucz.

Opuszczona ptaszyna.

(Z tematów ludowych).

Na gałązce,—na zielonéj
Zasiada ptaszyna,—
I dla swojéj ulubionéj,
Pieśń nucić zaczyna.

* * *

Rosa sypie wciąż perłami
Po słonka zachodzie,
A pieśń sunie jéj szlakami,
Jak łódka po wodzie.

* * *

Sunie lekko—tylko czasem
Z tęsknoty się wzburzy,—
A tam w górach—i za lasem,
Echo—ją powtórzy.

* * *

Lecz o świcie—piosnka kona,
Spiewak milknie w ciszy,—
I już jego ulubiona
Pieśni nie usłyszy.

* * *

Gdyby mu żal dozwolono
Wyjawić przed nami,—
To gałązkę swą zieloną
Wnet skąpałby łzami.

* * *

Bo od lubéj—porzucona
Ta ptaszyna mała,—
W chwili—gdy jéj piosnka kona—
I sama skonała.

K. Kucz.

NA CZEŚĆ

Don Pedra Kalderona de la Barca

w dwóchsetną zgonu jego rocznicę. *)

I.

Patrzcie w błękity!... Na złocistym tronie
Najświętsza Boga Rodzica Dziewica
W pokorze jasne pochyliła lica,
A Dziecię Jezus igra na jej łonie;
U stóp mu anioł, tędy i owędy
Biorąc po lutni, wygrywa kolędy.
Aż Dziecię rzecze: „Grałeś mi już wiele,
„I grałeś pięknie, wypocznij aniele!“...
Ucicha anioł, a śpiew nie ustaje.

Przez wszystkie gwiazdy brzmią i wszystkie raje
Hymny, kolędy, hejnały, hozanny,
To na cześć Boga, to Najświętszej Panny,
Jeden drugiemu lutnią anioł zdaje,
Aż ku światłościom, zkąd źrenica Boża
Ogarnia świata bezbrzeżne przestworza.
I płyną pieśni jak ruczaje, rzeki,
Do nieobjętej tam wszechłaski morza—
A raz zagrane, brzmią po wszystkie wieki.

I na tę biedną, ciemurną patrzcie ziemię!
Mienią się ludy tu jak barwne wstęgi;
Z nich po kolei Bóg wybiera plemię,
I wieszczów jego w raju wznosi kręgi,
Śród burz żywota otula ich ciszą—
I wniebowzięci w zachwytu godzinie,
Co z anielskiego śpiewania zasłyszą,
Gęśl ich wyśpiewa, albo wdzięcznie spiszą —
I już pieśń taka po wieki nie ginie.

Tęczą pieśń taka od grodu do grodu
I od narodu leci do narodu,
I grozą dzwoni zatwardziałym w pysze,
Hartuje męże i dziatwę kołysze.
A jako rajskim chórom odsłuchana,
Z padołów ziemi powraca do Pana,
Z dziękiem i żalem człowieczego rodu.
I słucha Ojciec na światłości tronie!...
Bądź nam pozdrowion, wieszczu Kalderonie!

II.

I zdał Bóg swoich wyroków koleją
W Twe ręce berło na lądzie i wodzie,
I palmę pieśni, hiszpański narodzie!...
Z wieżyc Granady Twe krzyże jaśnieją,
Kolebka Cydów wolna już dokoła...
Rzekłeś—świat nowy wstaje z oceanu...
Korzy się Tobie świat stary jak panu...
I gra pieśń Twoja, jak dziecię wesoła—
Rycerska, wzniosła, jak hymn archanioła.

III.

Może śród ludzi, jak w przewrotach ziemi,
Zawrą wulkany, nawałnice, gromy;
I nie zapłacze już żaden Jeremi,
Gdy lud po ludzie, zakon po zakonie
W ciemne, bezkształtne rozsypie się złomy: —
Więc Twój zawoła, wielki Kalderonie,
„*Książę Niezłomny*“ słowy anielskiemi —
I sztandar zbawczy nad mord i bluźnierstwo
Podniosą: wiara, miłość i rycerstwo.

Błogosławiony! Tyś namaszczeń troje
Z rąk Pana powziął na żywota boje,
Troistym wieńcem skroń Twa przepasana:
Wieńcem żołnierza, poety, kapłana!
Więc z Twej rycerskiej, namaszczonej pieśni
Wielcy, maluczcy, radośni, boleśni
Czerpią otuchę na życia zapasy,
I czerpać będą aż po owe czasy,
Kiedy się żywot naszej ziemi przesni!

Błogosławiony! Arcypotęg troje
Z swemi sztandary słało Cię na boje:
Bóg, ojczyzna i rodzina!
Giermka ze swego wziąłeś już narodu:
Honor Cydowy. I ruszyłeś z młodu...
Wdzięcznie świat cały boje te wspomina!..
I już nie padną te wzniosłe sztandary
Śród złotych cielców i mar korowodu,
Gdzie Twoja zabrzmi pieśń honoru, wiary!

*) Poemat konkursowy, nagrodzony złotym medalem przez akademję madrycką, podany w dzisiejszym numerze *Kłosów*.

Błogosławionyś! W Chrystusa wpatrzony,
Co w Kannie bawił się weselem ludzi,
I w swej ojczyzny czarodziejskie strony,
Gdzie lodem błyszczą Syery korony,
A dołem Wega raju wdziękiem ludzi: —
Ty trzęsąc nędzą ludzkiego żywota,
I ku zabawie przygrywałeś rzeszy...
Jak radość dziecka, niechaj brzmi ochota!
Ptak się wesели, niech i człek się cieszy!

Błogosławionyś! Ojczyzna Cię kocha,
Dwóch oceanów rozkoszna pieszczocha,
Gdzie jasność mrokom, gdzie mroki jasności,
Morze brzegowi, brzeg morzu zazdrości;
Kocha hiszpanka, serdeczna, nie płocha,
Co wrogów prosi w taniec na armaty;
Hiszpan, co w ręku oba dzierżył światy,
Któremu w Andach słały się pod nogi
Potomków Słońca starożytne bogi!

Błogosławionyś! Wielbią Cię rodacy —
Ów lud wesela i rycerskiej pracy —
Rozkoszne Wegi i groźne Syery,
I afrykańskiej Centy ostre skały,
I niebotyczne wielbią Kordyljery,
Co w pół obręczą ziemię przepasały;
I dłoń klaszczącą ku Tobie wychyla
Azyjskich woni ogrojec—Manila...
I nie zna ziemia kresu Twojej chwały!

Odbiegli jedni synowie macierzy!
Ledwo się węzeł opieki rozplata,
Już wyzwolony godzi brat na brata!

Ale gdy echo Twej pieśni uderzy,
To każdy słucha, jak gdy dzwon kościoła
Na Anioł Pański wieczorem zawoła;
I wspomni matkę i w krew bratnią wierzy —
I kiedyś bratnie skojarzą się dłonie...
Chwała Twej pieśni, wielki Kalderonie!

Błogosławionyś! Wszelkich ludów rzesza,
Jak gdyby jedna, hiszpańska rodzina,
I jakby pomnik najdroższego syna
Twoją mogiłę wieńcami obwiesza!
A czciciel złota, co urąga Bogu,
Duma skruszony w Twej mogiły progu,
Że ludzkość wdzięcznie pieśniarza wspomina...
O, pokąd słońce nad tą ziemią płonie,
Cześć Tobie, chwała, wielki Kalderonie.

IV.

Więc cześć i Tobie, poetów macierzy,
I apostołów, bez skazy rycerzy,
I niewiast dzielnych! Blask Twego imienia
Synom Północy ziemię opromienia:
Marzą o kraju, gdzie gitara dzwoni,
Gdzie słowik z palmy śpiewa, to z jabłoni;
I z Twoich dziejów w Boskie wierzą sprawy,
Widząc, że wszystkie zawody, cierpienia—
To mężnym stopnie wolności i sławy.

O, chwała Tobie, hiszpański narodzie!
Przeszła Twa jesień, i minęła zima,
Wiosna już kwiatów zagląda oczyma,
I nowe słońce świta Ci na wschodzie;

I z fali Twoje powstaną armady,
I będą ludy czekać Twojej rady —
Bo wolnych mową mowa Kalderona,
Już niewolników nie klną jej gromady,
Wdzięcznie się tuląc do wolności łona!

Potrójna Tobie, Hiszpanjo, chwała!
Dawniej Ty grozą światy zdobywała —
Dzisiaj Ty pośród zdobywców jedyna:
Gdzie Twoja wiara, Twoja zabrzmi mowa,
Indjanin w puszcze, w groby się nie chowa,
On błogosławi Ci modłami syna;
Na ziemi ojców rośnie jak kwiat polny,
Równy z równymi i z wolnymi wolny!...
Kwitnij po wieki, macierzy jedyna!

O, z win obmyta i z ran uleczona,
Jakąż Bóg jeszcze wielkość chowa Tobie!
W dzikiej niewiary i sobkostwa dobie
Ty się gromadzisz u stóp Kalderona,
Na ideału świat zapraszasz gody!
Jak do Olimpji, do Twojej stolicy
Spieszą z palmami ludów wysłannicy —
I czas nastaje jakiś cudny, młody...
I wieki będą wielbić Cię w zawody.

We Lwowie w marcu 1881.

Platon Kostecki.

SĘDZIWÓJ.

(SCENA Z DRAMATU.)

NAPISAŁ

M. J. CZERNEDA.

OSOBY.

Michał Sędziwój, alchemik.
Jan Bodowski, jego sługa.

Rzecz dzieje się w Bazylei, na początku XVII wieku.

(Noc.—Pracownia alchemiczna.—Sędziwój przy stole.—Jan drzémie przy kominie).

SĘDZIWÓJ (odsuwając księgę).

Żywot straciłem nad księgami cały;
Codnia, zaledwie blask zajaśniał słońca,
Jąłem się pracy; a ileż to razy
Powtórnie słońce wschodziło na niebie,
A jam wciąż siedział, nad księgą schylony,
Śledząc tajniki człowieczéj mądrości!
Ileż-to nocy bezsennych i długich,
Ileż dni jasnych minęło daremnie
Przy ciągłéj pracy, by odnaléźć prawdę,
Gdzieś przez niebacznych zatraconą ludzi!
Kto je dziś zliczy?... I napróżno wszystko!...
Lat tyle pracy, dni tyle bez przerwy
I nocy nawet żyłem myślą jedną,
Że dzisiaj może zabłyśnie mi światło,
Które-m ukochał, a dziś... ciemniéj jeszcze,
Niż kiedykolwiek....
Po długich latach tułactwa w obczyźnie,
Po długim trudzie, gdy śmierć może blizka,
Zapytać muszę, co mi z wytrwałości,
Co z hartu duszy i woli niezłomnéj,
Z nadludzkich niemal wysiłków jéj, z chęci
Wielkiéj jak morze? co z całego życia,
Kiedy osiągnąć niepodobna celu?
Bo prawda wiecznie jednako daleka:
Jak w piérwszą chwilę rozpoczęcia dzieła,
Tak i po całych latach pracy, trudu.
Byli jednakże szczęśliwi wybrańcy,
Którzy znaleźli filozofów kamień,
Eliksir życia, tajemnicę złota...
Marzenia marzeń—cel mego żywota!

(Po chwili.)

Byli!... Więc czemuż ja ich nie posiadłem?
Czyż mało jeszcze wycierpiałem w życiu?
Czyż oni więcéj cierpieli odemnie?
Och! nie, przenigdy! Jedno to uczucie,
Żem życie dotąd zmarnował napróżno,
Żem nic nie zdziałał, chociaż zdziałać chciałem.
Ta myśl—nic więcéj—jużby zmienić mogła
Na piekło niebo...
Światła, prawdy szukam;
Chcę odkryć ludziom wielką tajemnicę,
Znaną przed wieki jednostkom wybranym.
Śledzę ją wszędzie, mędrców czytam księgi,
Poznałem wszystkie i—nic nie wiem jeszcze:
Nigdzie promienia światła—wszędzie słowa
I słowa tylko...

(Po chwili.)

Czyżby nie istniała
Ta wielka prawda? Czyżby była płodem
Podstępu, fałszu, ludzkiéj wyobraźni,
Zabawką nędzną, rzuconą uczonym
Przez zręcznych kłamców, co kłamali światu,
A późniéj własnym kłamstwom uwierzyli?
Czyżby Avicen nie istniał zupełnie?
A Rajmund Lullius, Libavius lub Földen?
Wszak oni znali tajemnicę złota...
Lecz czemuż piérwsi grożą mi przekleństwem,
Czemu ostatni z sobą w grób zabiéra
Klucz do tajemnic? Czemu ludzi tylu
Poświęca życie, kraj, szczęście, rodzinę,
Aby rozwiązać tę zagadkę wielką,
Aby odnaléźć filozofów kamień?...
Jedenby człowiek mylić mógł się jeszcze,
Lecz tylu ludzi, ludzkość niemal cała
W swoich dążeniach nigdy się nie myli.
Musi więc istnieć gdzieś ta tajemnica!
Precz, precz, zwątpienie!—Czyżby wszyscy oni
Marę gonili, oddając jéj życie,
Śnili na jawie?—Nie! ona istnieje...
Więc znów do pracy, do tygla i księgi!
Może dziś właśnie uchylę zasłony
I zdumionemu wskażę prawdę światu!...

(Powstaje. Jan się przebudza.)

JAN.

Czas spocząć, panie. Kury dawno piały,
Niedługo słońce zabłyśnie na niebie.
Dość pracy na dziś! Cały dzień siedzicie
Nad księgą zgięci; toć i ciału trzeba
Dać wypoczynek, inaczéj wam ono
Wypowié służbę... Naco wam ta praca,
Te noce całe bez snu, bez spoczynku,
Naco tułaczka ta po obcéj ziemi
Od lat dziesięciu? Jam, drogi mój panie,
Człek bez nauki, sługa wasz, nic więcéj,
Niezdolny-m może pojąć waszych celów,
Lecz mnie się widzi, że niewarto chyba
Lat tyle żyć i...

SĘDZIWÓJ.

Chcesz powiedzieć, Janie:
I nic nie zrobić?

JAN.

Téj myśli nie miałem,
Bo wierzę, panie, że wy odkryjecie
Nie dziś, to jutro, jak się robi złoto;
Ale się chciałem zapytać was: naco
Wszystkie bogactwa, gdy przy ciągłéj pracy
Stargacie siły? Co wam po tém złocie,
Że go szukacie, sami gubiąc siebie?

SĘDZIWÓJ.

Złota nie pragnę, gardzę bowiem złotem.
Czemu go szukam?... Nie zrozumiész nigdy,
Jak można gardzić czémś, a mimo tego
Poświęcać życie, ducha swego siły,
By dotrzéć do tych celów marzeń swoich
I swéj pogardy... Czemu szukam złota?...
Ja go nie szukam, lecz odnaléźć pragnę,
Jakim sposobem zmienić można w złoto

Najlichszy metal. Wtedy—pomyśl, Janie—
Co znaczyć będą ci bogacze świata,
Co dumni złotem, gnębią słabszych braci,
Gdy w złoto każdy z tych opływać będzie?
Bogactwa, które wyłączną są dzisiaj
Własnością panów, kmieć posiędzie każdy;
Zniknie ubóstwo, a co najważniejsza:
Nie będzie panów, ani sług pokornych,
Ani poddaństwa—będą tylko bracia...
I ty chcesz, Janie, bym porzucał pracę,
Bym, poświęciwszy lat tyle téj sprawie,
W połowie drogi cofnął się sromotnie?
Nie, nigdy, starcze! Dotrzéć chcę do celu,
Z łona nauki wydrzéć tajemnicę,
Albo sam zginąć!...

JAN.

Pięknie mówicie, to prawda; lecz, panie,
Ja nie wiem... pono od ludzi słyszałem,
Że Bóg przekleństwem grozi tym...

SĘDZIWÓJ.

Milcz, starcze!
Przez usta twoje ślepa mówi wiara:
Bóg nie przeklina—przeklinają ludzie
Źli, zaślepieni... Miałżeby Bóg karać
Tego, co własne chce potargać szczęście,
By tylko ludziom dać je tu na ziemi?
Nie, nigdy! Bóg mu błogosławić będzie.
(Po chwili.)
Czarnoksiężnikiem zwą mnie, wiem ja o tém;
Mówią że diabłu zaprzedałem duszę
Za jego pomoc, bo sami gotowi
Sprzedać się czartu za marną garść złota.
Spojrzyj na świat ten, na mrowisko ludzi,
Na cel ich dążeń—co tam ujrzysz, Janie?
Wszędzie chęć złota, żądza bogactw, blasku.
Ileż-to zbrodni strasznych i nikczemnych
Dla złota ludzie spełniają!... Łez ile,
Jęków i płaczów wycisnęło ono!...
Zaiste! godzien przekleństwa wydzierca,
Lub ten, co w złocie swego boga widzi;
Stokroć przeklęty jest człowiek bez serca,
Bogacz, co z nędzy bliźnich swoich szydzi
I gotów duszę sprzedać, o sromoto!
By tylko złoto posiąść—marne złoto!...
Lecz tych świat wielbi, chociaż Bóg ...

JAN.

Przeklina.
Jednak....

SĘDZIWÓJ.

Zamilknij, nie skończyłem jeszcze.
Bóg mnie nie przeklnie, lud ubóstwiać będzie,
Jeżeli złotem uścielę mu życie.
Nie łaknę jednak tego: żądza sławy
Obca méj duszy—pragnę dobra ludzi;
Widok ich szczęścia będzie mi nagrodą
Aż nadto wielką... A to, że mnie przeklną
Ci, coby radzi zakować w kajdany
Ducha wolności, zdeptać ludzką duszę,
By nie wybiegła poza krąg ich myśli,
Na to jam gotów... Ciemni, zaślepieni,
Z zawiązanemi na prawdę oczyma,
Stos lub tortury dadzą mi w nagrodę
Zato, żem inną niż oni szedł drogą,
Zato, żem życie niósł dla nich w ofierze.
Lecz czyż nie ludzie zabili Chrystusa?
(Przez okno widać wschód słońca.)
Patrz, słońce wschodzi, nikną nocy cienie,
Świat cały ze snu do życia się budzi...
Tak przyjdą czasy, kiedy błyśnie słońce,
Przed którém pierzchną nadętéj głupoty
Ponure cienie, fałsz zastąpi prawda
Odwieczna, czysta, a duch wyzwolony
Széroko skrzydła rozłoży do lotu,
Dążąc do bóstwa, z którego pochodzi.
I jeden tylko Bóg będzie na niebie,
Nauka jedna królową na ziemi.
. . . . . .
. . . . . .

Ars longa, vita brevis *)

Hej! grajku, twe piersi gdy grotem strzaskane
Na chwilę żar duszy przytłumią,
Gdy strony serdeczne rdzą szyderstw skalane
Powtórzyć swej nóty nie umią;

Gdy widzisz, że gwiazda przewodnia twéj duszy
W dłoń pychy przemożnéj schwytana,
Gdy nagle spostrzeżesz, w samotni swéj duszy,
Na bożych obrazach szatana;

Cóż z tego?! Wszak panem tyś swego cierpienia,
Ty skrzypek, przebitych gwoździami
Zawiści, na krzyżu nie wieszaj zwątpienia,
Nie padaj z wisłemi rękami!

Pierś twoja rozbita ódżyje wskrzeszona,
Gdy rozkosz ją sztuki owieje,
I skrzypka strzaskana na nowo zstawiona
Zdrój pieśni głośniejszych wyleje.

I wtór ci zaśpiewa nieziemskiéj potęgi
Słuchacza głos szczery zachwytu,
I jedno ci serce z prostaczéj siermięgi,
Wskrzeszone, da pomnik z granitu.—

Twa gwiazda przewodnia nie zgaśnie w zamęcie,
Lecz w słońca wrośnięta koronę,
Spromieni banderę na życia okręcie,
I w cudów powiezie cię stronę.

*) Sztuka długa, życie krótkie.

Napróżno kamienni przed słońcem twarz kryją,
Żar słońca i dłoń im przepali,
I tacy, co żmii ściskali się szyją,
Fenixem znów będą witali.

Ty silniéj od onych dwunastu harfiarzy
Dla ziemian pieśń zagrasz olbrzymów,
Pieśń w sercach ogniska ofiarne rozżarzy,
Ty będziesz proroczył z ich dymów.

Bo taka jest siła bożego natchnienia,
I władza porywów serdecz nych,
I taka potęga wieszczego płomienia
I taka moc pieśni słonecznych!

(Józef Grajnert)

NA JUBILEUSZ KOPERNIKOWY [1])

W dniu 19 Lutego 1873 r.

WIERSZ

drukowany w Albumie wydanem przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu, na pamiątkę 400 rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika.

O! jak wielki, hymn wspaniały
Wzbił się dzisiaj pod lazury,—
Głos to wspólnej ziomków chwały
Płynie z dolin po nad góry.

Płynie w błękit pieśń zachwytu,
Ludzkość cała wzrok wytęża,
Gdzie nam jaśni u zenitu
Nieśmiertelna wielkość Męża!

Myśli mędrców rozbujałe
W tych wyżynach nie zawisły,
Gdzie skroń wzniosłą z ponad Wisły
Tyś otęczył w niebo całe.

I świat zdumion ujrzał nagle
Wymierzone sfer przestwory,
Gdzie twą duszę natchnień żagle
W zasłoneczne wzniosły tory!

Tam wstrzymałeś w biegu słońce,
Wzruszył ziemię z narodami,
I promienne prawd swych gońce
Zawiesiłeś nad gwiazdami!

Jakiż dla nas wzór zostanie
Pracą planet spromieniony!
Jak cudownie gwiazd miljony
Pędzą w świata oceanie!

Co za duma, pełna chwały
Dla plemiennych, dla rodaków,
Oczy świata gdy spojrzały
Na Frauenburg, Toruń, Kraków!

Wziąłeś rozbrat z ponętami,
Cały oddan dla ludzkości,
Pod duchownych szat zwojami
W sercu-ś zawarł świat wielkości!

Słowo Boże, płodne czyny,
Szczyt nauki, wszystkie siły —
Poświęciłeś dla krainy,
Gdzie twe usta wiedzę piły.

Harmonijny chód dziejowy,
Czas w odwiecznych zmianach stały,
Krwi w człowieku bieg wirowy —
Prawom twoim pieczęć dały.

*

W tém ujrzałeś z niebios szczytu
Klęsk twych braci szatę czarną,
Więc im niesiesz z pod błękitu
Pełną darów dłoń ofiarną.

Gdzie jad moru miasta nęka,
Lejesz balsam w lud zbolały,
A mistrzowska twa im ręka
Kopie czystych wód kanały.

Tak orężny iskrą świętą,
Silny z ducha i natchnienia
Wieszczą harfą z nad gwiazd wziętą
Hymn zagrałeś Odkupienia *).

Wielki Ziomku! brylantową
Zbrojny tarczą archanioła,
Tyś nam gwiazdą przewodową,
Jaka z twego jaśni czoła!

Tyś nam gwiazdą nad gwiazdami,
Tyś nam zbliżył Stwórcy dłonie,
Tyś wzniósł ludzkość prawd szlakami
W niezmierzone niebios tonie!

(Józef Grajnert.)

*) W poemacie wzniosłym „Septem Stellae“ (siedem gwiazd) Kopernik opiewał dzieje Zbawiciela.

CUDA BOŻE.

Jak lubię w polne patrzeć równiny
Bez końca,
I w chmur zachodnich skrzące rubiny
Z nad słońca!..
I w te szmaragdy łąki kwiecistej
Z doliny,
I w te opale jezior, przeczystej
Głębiny...
I w ametysty fiołków pachnących
Daleko,
I w te turkusy kwiatków rosnących
Nad rzeką...

* * *

Jak lubię płowe zboża łanami
Szumiące,
I ciepło letnie ponad kłosami
Drgające...
I te brylanty liści zroszonych
O wschodzie,
I tę osłonę lasów omglonych
W zachodzie...
Jak lubię poić duszę wichrami
Jesieni,
I w tajnym gwarze biegnąć z duchami
W przestrzeni...
Z tych wichrów pieśń nam głośna żywota
Przegrywa:
Śmiechy i płacze, jęk i tęsknota
Lękliwa...

* * *

Jak lubię w bory burzą huczące
Słuch grążyć,
I z falą rzeki w krańce niknące
Podążyć...
Jak lubię z pod chmur czarnych płonący
Blask złoty,
I pogwar dziatwy cudnie dźwięczącéj
Prostoty;
I te natchnienia z ziemi płynące
W błękity,
I nieśmiertelne dzieła, tworzące
Zachwyty!

* * *

Wszystkich tych cudów ziemi i nieba
Czyż wiecznie?..
Czemuż je wszystkie pożegnać trzeba
Koniecznie?..
Czyż na to one, by nas daremnie
Łudziły,
I szły wraz z nami w ponure ciemnie
Mogiły?..

Lecz głos wewnętrzny koi te ludów
Żałości:
„Ojciec wasz więcéj ma dla was cudów
W wieczności...“

(Józef Grajnert.)

. . . . . .

(Jak w przyrodzie z tylu tworów
Jeden tylko widny Bóg,
Tak myśl jedna wiecznych-wzorów
Tcze w szerokiéj niwie sztuk.
Taka téż myśl prawdy: ona
Tylko pięknych żąda szat,
W blask najwyższy spromieniona,
Śmiało w jasny patrzy świat.)

GOETHE.

Koniec Tomu pierwszego.

53 | 5

Spis przedmiotów zawartych w Tomie pierwszym.

1. — U stóp Ołtarza. —
2. — Oj figle, figle! gawęda. —
3. — Więc dalej w świat. —
4. — Mali pracownicy. —
5. — Fragment. —
6. — Jagódka, gawęda. —
7. — Nawrócenie. —
8. — Nie płacz za mną. —
9. — Niech się nie żali. —
10. — Pożegnanie. —
11. — Fragment. —
12. — Sieroty. —
13. — Czara i usta. —
14. — Do . . . —
15. — Ranek w górach. —
16. — Miłość Boga. —
17. — Treny Jana Kochanowskiego. —
18. — Nie trzeba tracić nadziei, pr: tegoż. —
19. — Wyjątki z poematu "Wiosna" —
20. — Wiersz do Boga. —
21. — Piosnka Flisa. —
22. — Z Album pieśni — Na zgon Poezyi. —
23. — Z Wiktora Hugo — wiersz. —
24. — Letni wieczór. —
25. — Do . . . wiersz. —

26. — Po koncercie. —
27. — W Tatrach — Wodospad Siklawy. —
28. — Nieśmiertelni. —
29. — Zostań. —
30. — W Imionniku Józefowi Kraszewskiemu. —
31. — Hellada. —
32. — Wiersz . . .
33. — Dwie potęgi. —
34. — Złota kolebka. —
35. — Życie. —
36. — Przyszłość. —
37. — Na własnych śmieciach. —
38. — Wioska. —
39. — Ot i rzecz!
40. — Reminiscencye Jesienne. —
41. — Do bławatka. —
42. — Zacofana. —
43. — Pytanie sieroty. —
44. — Jaskółka. —
45. — Blichtr niewieści. —
46. — Szczęśliwa. —
47. — Piosnka Jesienna. —
48. — Mróz — podług legędy ludowej. —
49. — Święto umarłych. —
50. — Powieść o sosnowym ziarnku. —
51. — Mech na kamieniu. —
52. — Człowiek wielki. — wyjątek. —
53. — Zburzenie Persepolu z legendy Greckiej. —
54. — Ustęp z poematu "Tatry"
55. — Takiż ustęp "Tatry" —

56. — Przechodzień. —
57. — Napad na Parnas. —
58. — Przysłowia ludowe Słowiańskie. —
59. — Dola. —
60. — Ustęp z poematu „Tatry" (Dokończenie.) —
61. — Trzeci. —
62. — Milczący, i smutni. —
63. — Kalina. —
64. — Do ptaka marzeń. —
65. — Ojciec zadżumionych. — Poemat. —
66. — W Szwajcarji, dalszy ciąg tejże poematu. —
67. — Wiersz na przybycie Jul. Kossaka-malarza. —
68. — W wielki piątek. —
69. — Smutna rozmowa. —
70. — Szukając — a znajdując. —
71. — Grunwald. —
72. — Kopernik, poemat dramatyczny. —
73. — Żmudź — i Żmudzini. —
74. — Mały świątek. —
75. — Orace do skowronka. —
76. — Pieśń wieczorna. —
77. — Dumka. —
78. — Alleluja. —
79. — Biała róża. —
80. — Prorok. —
81. — Zwątpienie. —
82. — Za późno — ballada. —
83. — Hozanna. —
84. — Łzy i rzeka. —
85. — Obiór stanu. —
86. — Dwie chwile. —

87. — Miłosierdzie i Sława. —
88. — Nad kolebką. —
89. — Miłość matczyna. —
90. — Chadży-Abrek — powieść kaukaska. —
91. — Gwiazdy. —
92. — Satyry Krasickiego. —
93. — Stokfisz, bajka. —
94. — Wróbel i Żórawie, bajka. —
95. — Wiosna. —
96. — Prośba Fijołka. —
97. — Krzyżyk. —
98. — Oda do sprawiedliwości. —
99. — Skowronek. —
100. — Urodzony Jan Dęborój
Gawenda Wł. Syrokomli. —
101. — Najkrwawsze pole. —
102. — Wyjątek z poezyi Wiktora Hugo. —
103. — Do ...
104. — Szydziwój — Scena z dramatu. —
105. — Ars longa — vita brevis. —
106. — Na Jubileusz Kopernikowy. —
107. — Cuda Boże. —
108. — Wiersz ...
109. — Wspomnienia.
110. — Ruiny. —
111. — Świat Ideałów. —
112. — Złote słowa. —
113. — Rycerze z Wolina, Ustęp dziejowy. —
114. — Sen Poety. — Fantazya. —
115. — Jaskółka. —
116. — Za Wąz. —
117. — Pieśń o Filonie. —
118. — Moja Róża.
119. — Listki. —
120. — Opuszczona Wiosna. —